Emma
Becker

DOM

filtry WYDAWNICTWO

Przełożyła Magdalena Kamińska-Maurugeon

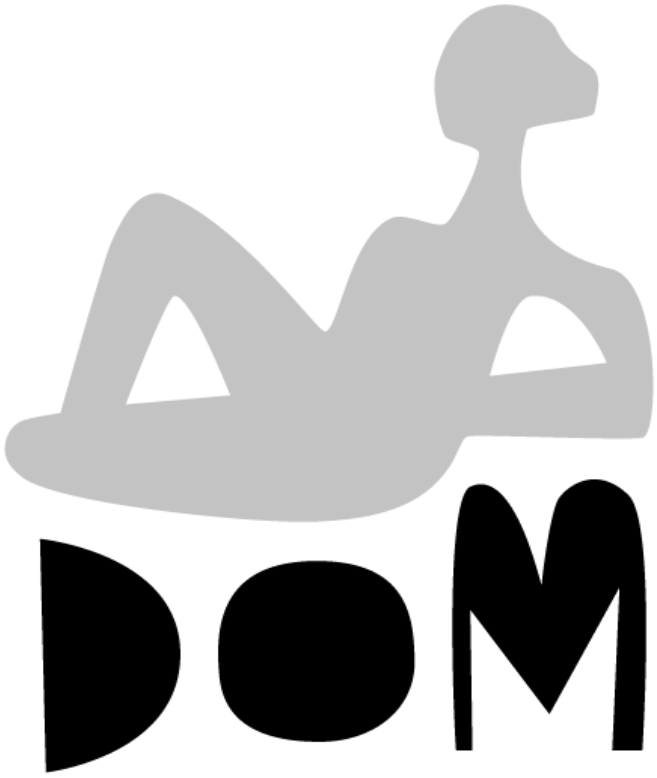
DOM

Cet ouvrage a bénéficié du soutien des Programmes d'aide à la publication de l'Institut français.

Książkę wydano dzięki dofinansowaniu Instytutu Francuskiego w ramach programów wsparcia wydawniczego.

Emma Becker

DOM

Przełożyła
Magdalena Kamińska-Maurugeon

filtry
WYDAWNICTWO

Tytuł oryginału francuskiego: *La Maison*

Copyright © Éditions Flammarion, Paris, 2019
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Filtry, 2021
Copyright © for the Polish translation by Magdalena Kamińska-Maurugeon, 2021

Projekt okładki: Marta Konarzewska / Konarzewska.pl

Opieka redakcyjna: Ewa Wieleżyńska
Redakcja: Pracownia 12A
Korekty: Pracownia 12A

ISBN: 978-83-961264-3-6

Wydawnictwo Filtry sp. z o.o.
ul. Filtrowa 61 m. 13
02-056 Warszawa

e-mail: redakcja@wydawnictwofiltry.pl
www.wydawnictwofiltry.pl

Skład i konwersja do eBooka: Jarosław Jabłoński / jjprojekt.pl

Dla Louisa Josepha Thorntona,
godnego podziwu mężczyzny i ojca.
Dla Désirée.
I dla nich, dla nas wszystkich.

„Ta szpara, ta długa blizna, która zawsze rozszerza się tylko w potworny uśmiech bez końca. Czarny. Ziejący. Bezzębny uśmiech. Dziwacznie obleśny. Może nie ma niczego innego na końcu naszego niepokoju, a jedyną odpowiedzią jest niepowstrzymana, niema wesołość tego lepkiego otworu".

Louis Calaferte, *Septentrion*

Vous qui passez sans me voir, Jean Sablon

Wczoraj. Jestem z synem, który metodycznie opróżnia swoją szafę z ubrań, w czasie gdy ja ścielę mu łóżko. Szukam jakiejś kapy – na tyle dużej, że przykryje cały materac – i pierwszą rzeczą, jaka rzuca mi się w oczy w komodzie stojącej w przedpokoju, jest narzuta trzy metry na trzy, którą kupiłam podczas likwidacji Domu. Czeka tu cierpliwie od pięciu miesięcy, upchana byle jak, niewyprana.

„Nie pomogłabyś mi rozłożyć narzuty?" – pyta Inge, stając w drzwiach Pokoju Czerwonego. Narzuta, dopiero co wyjęta z suszarki, jest ciepła i niemal żyje w naszych dłoniach, to ja ją włożyłam do pralki, bo jeden klient wylał na nią olejek, i teraz Inge i ja, stojąc po obu stronach olbrzymiego łóżka, starannie wygładzamy dłońmi każdą fałdę. Rozmawiamy – o czym? Nie dam rady sobie przypomnieć. Ale jestem w dobrym nastroju, trochę przegoniłam grafik, zresztą i tak już prawie kończę. Inge rozchyla zasłony z organdyny, żeby przewietrzyć pokój; światło na zewnątrz mieści w sobie cały splendor późnego lata, jeszcze nie ma pomarańczowego odcienia, ale już prawie nadnaturalnie lśni. „Schodzę na dół, na razie" – mówię do Inge i wkładam czarny płaszcz, Inge odpowiada, jak to ma w zwyczaju, śpiewając, zamykają się drzwi, a na schodach unosi się jeszcze zwietrzały zapach proszku do prania i nagich ciał.

I ten właśnie zapach przetrwał, uwięziony w narzucie, cudeńku, które kupiłam za pięć euro – tyle co nic – gdy trzeba było zamknąć

Dom, a szefowa postanowiła odsprzedać nam wszystko za bezcen, zanim właściciele innych burdeli przyjdą i zaczną buszować w naszych rzeczach.

Przyniosłam narzutę do domu jak szczeniaka porzuconego na autostradzie i długo utrzymywałam, że nie mogę jej wyprać, bo mam za małą pralkę. Lecz tak naprawdę broniłam się przed tym w obawie, że utracę ten zapach. Bez niego byłaby tylko średnio gustowną draperią, za dużą na cokolwiek, niepotrzebną płachtą, której nie potrafiłabym wyrzucić. A teraz proszę – duża fałda pośrodku, dopóki doskonale jej nie wygładzę, będzie nadawać mojemu materacowi nieporządny wygląd. Nie bacząc na Młodego, zajętego opróżnianiem szafy, zanurzam twarz w tych pachnących fałdach, a w głowie, niczym dziecięcy bąk, wirują mi barwne wspomnienia. Oczywiście czuję też proszek do prania i mogłabym odnaleźć tę samą markę, gdybym tylko miała czas, energię i wystarczająco mało skrupułów, by narzucić swojej rodzinie znajomy zapaszek burdelu, w którym pracowałam przez dwa lata. Ale skąd wziąć kwaśnawy akcent woni zgrzanych mężczyzn, wijących się, jęczących dziewczyn, potu, śliny i innych ludzkich wydzielin, które zaschły na włóknach, oraz duszącą, czasem nieznośną nutę niebieskiego mydła, używanego przez klientów w łazience? Nawet gdybym jej nie prała, narzuta, wystawiona na działanie powietrza w pokoju, przesiąkłaby w końcu zapachem Młodego, duchy Domu (do których należę) ulotniłyby się i dzień po dniu wychwytywałabym coraz subtelniejszą strużkę, aż haftowana płachta trzy metry na trzy przeistoczyłaby się w dziewiczą kanwę pachnącą pampersami i czystym niemowlęcym ciałkiem.

Musiałabym zakonserwować tę narzutę jak średniowieczną księgę i rozkładać ją z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, w optymalnych warunkach, bez narażania jej na gwałtowne ruchy

i światło. Biorąc ją do siebie, miałam niejasne przeświadczenie, że nie zamkną Domu, że w ostatniej chwili coś albo ktoś nas ocali, że znajdą się inne rupiecie do kochania i darzenia nienawiścią – i że nawet jeśli Dom zniknie, to odrodzi się gdzie indziej. Tak wiele przeniosłam do swojego mieszkania – łóżko Śnieżki, lustra, szafkę nocną, stolik do kawy, ręczniki, mały wentylator – wierząc, że dzięki temu pamięć o Domu przetrwa. Jednak przedmioty potrafią aklimatyzować się w sposób niezwykle wdzięczny i dyskretny…

Gdy odwiedziła nas babcia, spytała zachwycona, gdzie znaleźliśmy takie piękne i solidne łóżko; zaskoczona napomknęłam coś o pchlim targu w Reinickendorfie, mimo że wszystko w tym łóżku krzyczało „burdel". Bo któż mógł pragnąć lustra wbudowanego w wezgłowie ozdobione romantycznymi odlewami gołębi i ukwieconych wieńców laurowych? Jednak tutaj, w pokoju, wyzute z żałosnego erotyzmu, łóżko wyglądało skromnie jak nieoczekiwany, tani, okazyjny zakup i gdy oświadczyłam, że kosztowało zaledwie trzydzieści euro, babcia powtórzyła, że jest naprawdę urocze. Jak nam się udało je tutaj wnieść?

„Och, to była nieopisana męczarnia" – usłyszałam własny głos. Tego dnia strasznie lało i wstaliśmy o siódmej, by wypożyczyć furgonetkę na drugim końcu Berlina, bo byłam bardzo zachłanna i oprócz łóżka musieliśmy przewieźć jeszcze cztery lustra, dwa stoły i sporą ilość rupieci, których bym nawet nie obdarzyła spojrzeniem, gdybym nie obcowała z nimi w tym domu. Zaparkowaliśmy na chodniku tuż przed drzwiami, przez które wchodziły i wychodziły moje koleżanki po fachu oraz grupa rosyjskich robotników, uzbrojonych w miarki i w śrubokręty. Po raz pierwszy widziałam te drzwi tak rozpaczliwie ziejące między dwiema kulami bukszpanu. Panował tu nastrój nie przeprowadzki, lecz upadłości, egzekucji komorniczej i pa-

nicznej ucieczki. Pierwsze piętro było już całkiem puste. Przechodząc obok, Jutta omiotła pomieszczenie smutnym powłóczystym spojrzeniem i westchnęła: „To ci strata, co nie?". Wyszła, twierdząc, że jest umówiona, ale myślę, że przede wszystkim nie mogła patrzeć, jak łóżko znika z jej pokoju. Demontaż zajął nam godzinę, bo mebel składał się z trzech niewiarygodnie ciężkich elementów, absolutnie nieprzeznaczonych do transportu. Ktoś wymyślił go specjalnie do tego pokoju, którego nie miał nigdy opuszczać. Rama zrobiona jest ze zwykłych litych desek, można po niej skakać z całych sił i nigdy nie zaskrzypi, w tym celu powstała, jest po to, by znosić gwałtowne ruchy, mocne dopchnięcia, noce poślubne, dzikie i chwilowe uściski – a nie po to, by na tym łóżku spać. Swoją drogą to właśnie dlatego tak dobrze się na nim zasypia. Zapadamy się w nie, obezwładnieni wyczerpaniem wszystkich ludzi, którzy baraszkowali tu w ciągu czterdziestu lat. Ale o tym nie wie nikt – poza mną. A mnie zawsze schodzi trochę czasu, zanim zamknę oczy, bo na chwilę zapominam o zmęczeniu, zdjęta potrzebą przejrzenia się w lustrze. Gdy odwracam głowę, mam wrażenie, że za kulami moich kusząco wypiętych pośladków zobaczę białą komodę, gdzie Inge trzymała pościel, lampkę w kształcie gwiazdy, przesłodzony portret blondyny wyglądającej przez okno, i już niemal słyszę muzyczną papkę, która sączyła się z głośników, a którą zagłuszałam własną playlistą z odtwarzacza hi-fi. Tamtego dnia myślałam już, że nigdy nie wydostaniemy łóżka z pokoju. Że trzeba je będzie pokawałkować, jak to robiono kiedyś z dziećmi, gdy odwracały się pośladkami i nie można ich było urodzić. Nawet po odkręceniu pięćdziesięciu śrubek rama pękła, gdy próbowaliśmy ją podnieść. Nie daliśmy rady i musieliśmy zawołać na pomoc pięciu Rosjan, demontujących inne łóżko w innym pokoju. Wyglądali jak grabarze. Spojrzałam na parkiet, jaśniejszy w miejscu, w którym stało łóżko, i pomyślałam, że kiedy te klepki ostatnio wdziały

światło, szefowa była młodziutką kobietą, a trzech czwartych dziewczyn, które przewinęły się przez ten pokój, nie było jeszcze na świecie. Kurz był tak samo stary. Załadowaliśmy furgonetkę i ruszyliśmy wykończeni, upaprani, i wtedy po raz ostatni widziałam tamtą kamienicę, tamte pokoje, tamte kule bukszpanu, ulicę Wilmersdorf, i po raz ostatni czułam tamten zapach.

Zamiast to wszystko opowiedzieć, brnę w historyjkę o opatrznościowym pchlim targu, na którym dwa lustra, kosztujące wyjściowo czterysta euro (jak podaje metka na odwrocie), zostały nam odstąpione za dwadzieścia procent ceny. I ta lampa, i te ręczniki, i te podstawki… jedyną rzeczą, która naprawdę pachnie burdelem, jest narzuta; ukrywam ją jak suknię na ślub, odwołany z tragicznego powodu. Nie mogłabym wytłumaczyć jej zakupu, tak bardzo nie trafia w mój gust. Jej wartość jest czysto sentymentalna. A sentymenty te wydają się niemożliwe do wytłumaczenia – i dlatego piszę tę książkę.

Poza tym nie mam wyboru, bo Młody właśnie rzucił mi się w ramiona, golusieńki, tuż po kąpieli, i obficie obsikał narzutę – więc teraz muszę ją wyprać. Zawsze można liczyć na dzieci w kwestii zamknięcia rozdziałów, których nie chcemy jeszcze zamykać. W tym miejscu zaczyna się rozstanie.

I moja książka.

„Nie należało chodzić tam,
gdzie mieszkała dama w rozłożystych i pięknych sukniach.
Nikt z nią nie rozmawiał, nikt się jej nawet
nie kłaniał. Porywała małych chłopców.
Jej dom był ich pełen. Pełen małych chłopców,
których już nikt nigdy nie widział i nigdy nie zobaczy,
bo pożerała ich, jednego po drugim.
Dama w rozłożystych i pięknych sukniach
była dziewczyną lekkich obyczajów".

Louis Calaferte, *La mécanique des femmes*

„Doch die Leute im besetzen Haus
riefen: »Ihr kriegt uns hier nicht raus!
Das ist unser Haus, Schmeißt doch endlich
Schmidt und Press
und Mosch aus Kreuzberg raus!«".

Ton Steine Scherben, *Rauch-Haus-Song*

Season of the Witch, Donovan

Kiedy tak naprawdę zaczęłam o tym myśleć? Wpadałam w życiu na różne durne pomysły, ale zdaje się, że ten miałam w głowie zawsze, bardziej lub mniej świadomie.

Może pojawił się po prostu dwadzieścia pięć lat temu, w Nogent, powiedzmy, 14 grudnia. A może dekadę później, gdy odróżniałam już małe dziewczynki od kobiet. A może wtedy, gdy zaczęłam czytać. A może, gdy dotarło do mnie, że nie zatrzymam przy sobie Josepha, i szłam sama, smutna, szerokimi ulicami Berlina, całymi w szronie. Ta powieść mogłaby zaczynać się dokładnie w tym miejscu. Stéphane, który mnie odwiedził i na pewno bardzo tego żałuje, śpi mocno obok i nie dość, że mi zabrał całą kołdrę, to jeszcze wydaje głuche, znaczące chrapnięcia. Skoro nie jestem w stanie zasnąć obok mężczyzny, który chrapie, a chrapie również dlatego, że nie jest najmłodszy, to oznacza, że po raz kolejny zbłądziłam; że wbrew wszelkim oczekiwaniom i pomimo miłości, jaką darzę Stéphane'a, tym, czego mi trzeba, jest chłopak o niezatkanych, nowiutkich zatokach – inaczej mówiąc, chłopak w moim wieku. Czy to w ogóle możliwe?

Fakt, jest Joseph. Joseph – powtarzanie tego imienia w ciemności, bezgłośne wypowiadanie go, by poczuć pieszczotę muskających się nawzajem warg, sprawia mi ból, którego nie potrafię nazwać. I być może tak jest lepiej. Może nie powinnam mieszać Josepha do tej opowieści. Gdy ktoś odchodzi, jest tak, jakby umarł – tylko nie można odbyć żałoby, bo myśl, że ta osoba nadal żyje, i to gdzieś niedaleko, lecz postanowiła przestać dla nas istnieć, bezustannie sypie sól

na nasze rany. To jest śmierć. I przyczyniłam się do śmierci Josepha, tak jak stopniowo przyczyniałam się do zabijania wszystkich ludzi, których kocham.

Rozumiem jego wobec mnie nienawiść, jego nienawiść, która w porównaniu z moją do samej siebie wygląda jak mglista antypatia. Wyjechałam do Berlina, bo jestem tchórzem i nie znalazłam innego sposobu, by dać mu do zrozumienia, że nie ma dla mnie nadziei. Że nie ma dla nas nadziei. Byłam przekonana, że znajdę tu, w tym mieście, ludzi podobnych do mnie. Nie wiem jeszcze, czy istnieją na świecie ludzie tacy jak ja, ale ulica bezustannie mnie woła, krzycząc głośno, wykorzystując najmniejszy pretekst. Odkąd odszedł Joseph, mam wrażenie, że wstrzymuję oddech, dopóki nie jestem na zewnątrz, nie chodzę. A teraz, gdy Stéphane śpi, tak mocno, jak tylko to możliwe, nie widzę niczego, co mogłoby przeszkodzić mi w zaczerpnięciu nowego oddechu. Ubieram się zatem, by uciec. Gdy nie było tu jeszcze Stéphane'a, umierałam z samotności – wystarczyło jednak, że się pojawił, a ja już tęsknię za samą sobą, tak jak wtedy, gdy ktoś, ktokolwiek, oczekuje, że będę mu towarzyszyć. Stąd właśnie te nagłe ucieczki – i wszystko, łącznie z chrzęstem sznurówek, które wiążę, wstrzymując oddech, aż do strzykania w kolanach, gdy kucam po torebkę, zdaje się działać na moją niekorzyść, a sprzyjać osobie, która śpi. Lecz, dzięki Bogu, nawet gdyby w sypialni ktoś wystrzelił z armaty, Stéphane nie otworzyłby oka. Zamykając za sobą drzwi, czuję taką samą wyszarpaną wolność, jaką musi czuć facet, który wraca do domu po tym, jak poderwał, a potem przeleciał dziewczynę spotkaną w barze.

Od kilku lat czuję się jak w potrzasku między kobietą a mężczyzną. Och, tak naprawdę to od zawsze. Nigdy nie uderzyło mnie to tak mocno jak w Berlinie, podczas moich nocnych samotnych spacerów

po szerokich arteriach, gdzie kwitną prostytutki. Odnoszę wrażenie, że wyrastają na mojej drodze wszędzie, dokąd pójdę. Około szesnastej ulica jest pusta, ale gdy tylko całkiem zajdzie słońce (bardzo wcześnie, jak to w Berlinie w lutym), nie zdążysz mrugnąć, a chodnik szturmują legiony dziewczyn w długich kozakach, z saszetkami na paskach. Odkąd tu mieszkam, mam wrażenie, że mijam zawsze te same, i gdybym nie była tak nieśmiała wobec kobiet, chętnie witałabym się z nimi jak z każdym sklepikarzem w dzielnicy. Może z czasem zaczęły mnie brać za policjantkę w cywilu albo za potencjalną koleżankę po fachu, która przyszła obczaić warunki. Niedaleko stąd mam swoją oazę spokoju – ławkę ustawioną idealnie pod latarnią; siadam na niej i udaję, że czytam, albo naprawdę czytam, a jednocześnie zerkam na ich cienie, kładące się tuż obok mojego.

Za każdym razem myślę: oto kobiety, które naprawdę są kobietami, które naprawdę są tylko tym. Oto istoty wybitnie seksualne, które można określić bez żadnego trudu. Gdyby nawet była w nich jakaś dwuznaczność, utonęłaby w nadmiarze ozdobników i feromonów, którymi przesycają ten kawałek bruku. Po Josephie zostało mi skrzywione przekonanie, że kobieta, która pieprzy się jak mężczyzna – czyli z równą swobodą – może być tylko kurwą, niezależnie od ubioru lub spojrzeń, z jakimi się oddaje. To wiele mówi o trudnościach Josepha z jednoznacznym określeniem mnie przez te trzy lata, które dzieliliśmy, oscylując stale między szaloną miłością a skrajną nienawiścią. Wprawdzie na początku nie dogadaliśmy się co do pewnych kwestii, ale Joseph wreszcie zrozumiał (choć nie zaakceptował), że oddanie i fantazja, jakimi wykazywałam się w łóżku, nie były – oj, nie – zarezerwowane dla niego, i w dodatku nie czekałam długo, by się z tym ujawnić. Przypuszczam, że zrozumiał też, iż moje pożądanie nie było skierowane do jednego konkretnego mężczyzny, lecz do całego gatunku męskiego, targanego niezrozumiałymi popędami,

które nie miały związku z cielesnym błogostanem. Spędziłam tak wiele lat na intelektualizowaniu pożądania, i w ogóle ciała, że do zaspokojenia mogło u mnie dojść bez ściągnięcia choćby jednej części garderoby. Jak? Nie mam pojęcia. Prawdopodobnie właśnie dlatego nadal to robię, nadal się pieprzę i myślę, że, wbrew wszelkim oczekiwaniom, rozwiązanie znajdę właśnie w tym.

Prawda jest taka, że odkąd odszedł Joseph, ulotniła się wszelka idea fizycznego zaspokojenia. Już nawet o tym nie myślę, to jest po prostu niemożliwe – żeby mieć orgazm z kimś innym niż on. Własną rozkosz oddaję temu, kto akurat pode mną leży, a ja patrzę na niego i między udami skrywam niezrozumiałą tajemnicę, przekonana, że zbliżą mnie do niej kawalkady, podczas których aktywny jest tylko mój mózg. Moje ciało chętnie poddaje się tej maskaradzie, lecz choć się miotam, choć wykonuję najbardziej karkołomne wygibasy, w głowie cały czas dźwięczy spokojny, zimny głos przyczajonego drapieżnika: „On już chyba zaraz dojdzie. Jeśli będziesz go pieścić w ten sposób, to właśnie się stanie. Jeśli zwolnisz, opóźnisz wytrysk, ale spójrz, jak włoski jeżą się na jego klacie, zobacz gęsią skórkę na brzuchu – on już naprawdę kończy. Patrzy na twoje podrygujące piersi i ten widok zabierze go na dno piekieł".

A na ten głos nakłada się drugi, niestosownie dziecinny głosik tej części mnie, która zatrzymała się w rozwoju na piętnastym roku życia, i nie może się nadziwić! Więc to ruchy twoich piersi doprowadzą go do orgazmu, twoich piersi, tych małych piersi, o których nigdy nie myślałaś, że mogą być czymś innym niż jedynie dekoracją. Twoje ciało, twój zapach, sposób, w jaki się poruszasz, dźwięki, które wydajesz – jesteś tylko powłoką i ta powłoka wysysa z niego powoli całą zimną krew, czy to nie jest coś w rodzaju cudu? Ty jesteś ciałem? Ciałem, które doprowadza do orgazmu? Bomba!

Można by pomyśleć, że skoro oddaję się tej rozrywce już od kilku lat, ów początkowy zachwyt się przytarł – ale nie. Na każdego mężczyznę, który mnie zaczepia i w bardziej lub mniej subtelny sposób sugeruje, że chce iść ze mną do łóżka, reaguję jak na okazję i chcę ją złapać natychmiast, zanim zniknie. Jakby groziło mi, że znów obudzę się w skórze dziewczyny, która rozpaczała, że jest dla chłopaków wyłącznie kumpelką w okularach. I zastanawiam się, co może się dziać w głowie dziwki, jak zbudowane jest jej ego, jej samoocena. Ta, na którą patrzę ze swojej skostniałej z zimna ławeczki, jest młodą blondynką. Pali vogue'a, przemierzając chodnik. Tak jak jej koleżanki w całym Berlinie, ma na nogach skajowe kozaki do połowy uda. Światło lamp odbija się w nich, ciągnie oko i już go nie puszcza. Dziewiczo białe kozaki na koturnach, które krzyczą: „Do wynajęcia!", jeszcze głośniej niż jej lubieżne spojrzenia. W kozaki ma wpuszczone nogawki jasnych dżinsów, które obciskają jej wzruszające dziewczęce uda, a do tego jaskrawą saszetkę, kontrastującą w sposób dziwnie przemyślany z kusą kurtką ze sztucznego futerka. Na tym lodowatym wietrze jej buźka jest różowa i trochę wilgotna, a długie, prawie białe kosmyki fruwają wokół głowy i skrzą się w siwych smugach dymu z papierosa.

Po minie, z jaką wydmuchuje dym, poznaję, że jest co najmniej pięć lat młodsza ode mnie. Pięć lat, zatem nie przekroczyła dwudziestki, a jak wymyślnie się porusza, jak świadoma jest swojego ciała! Już same te obcasy: nikt nie dałby rady na tym chodzić, ja na pewno nie, a tu stanowią przedłużenie jej nóg, równie naturalne jak gołe stopy. I ten odgłos, przeciągły stukot dziesięciu kroków tam i z powrotem, w granicach jej rewiru.... Słuchając go, wie się, że takiego rytmu nie może wygrywać dziewczyna rozchwiana, która w każdej chwili może skręcić kostkę – za tym dźwiękiem kryje się siłą rzeczy kobieta agresywnie uwodzicielska i świadoma siebie.

I w ogóle te ubrania, te włosy, makijaż – to stereotyp zalotności, cholera! Jak ona może w tym wieku łączyć ze sobą wszystkie te sztuczki, wszystkie te lepy i nie wyglądać przy tym jak dziewczynka, która splądrowała szafę matki? Czy ona w ogóle o tym wie? Jak to jest mieć świadomość, że w każdym mijanym mężczyźnie wywołuje się – czy się tego chce, czy nie – lubieżne myśli? Jak to jest być kimś takim, na ulicy, wśród samochodów i przechodniów, jak to jest przypominać w sposób donośny i bezlitosny o wyższości żądzy nad całą resztą?

I co by powiedział Stéphane, przy którym nie śmiem już nosić takich strojów, odkąd w Paryżu, krocząc w niebotycznie drogich botkach, runęłam jak długa na przejściu dla pieszych? Potem nastąpiło kilka ciągnących się w nieskończoność sekund, podczas których Stéphane i kilku gapiów, z trudem powstrzymując śmiech, przyszło mi z pomocą – a brak majtek naraził tych poczciwych ludzi na widok mojej przerażonej kępki. Choć minęło już sporo czasu, Stéphane i ja nigdy nie śmialiśmy się z tego razem, to przemilczenie tkwiło nieruchome między nami, poważne i ciężkie jak temat, który wystarczy lekko musnąć, by wywołać kłótnię. Ze swojej strony nie próbowałam go podejmować z oczywistych powodów: urażonej kobiecej ambicji i dumy; ale nigdy nie udało mi się ustalić, co powstrzymywało Stéphane'a, może po prostu bał się, że mnie wkurzy, przypominając o tamtym wieczorze (bo ciąg dalszy nie zrekompensował mi upadku i był tylko sekwencją prztyczków w nos w klubie dla swingersów – w sumie długim i przykrym upadkiem na obcasach dla ego nas obojga). Albo po prostu go to nie śmieszyło. Ta opcja skłaniała mnie do refleksji: może Stéphane i ja mieliśmy odmienne poczucie humoru, co wyjaśniałoby zmowę milczenia wokół tej sceny i innych, mniej znaczących, w roli głównej ze mną, ubraną w fatałaszki, które dla innych kobiet są naturalne jak oddech, a dla mnie okazały się niemożliwe do opanowania. Teraz widzę, że żartowanie z czegoś takiego

było mu równie obce jak śmiech z osoby otyłej, która wskoczyła na bombę do basenu – bo nie należy kpić z niczyjego kalectwa. I być może właśnie z tym mu się kojarzyłam, gdy kuśtykałam na obcasach, z trudem kryjąc cierpienie. Gdyby mógł podziwiać, tak jak ja podziwiam teraz, wdzięk tej post-nastolatki przemierzającej kilka metrów chodnika bez żadnych oznak niewygody, przyznałby bez wątpienia, że mój brak talentu dla tego typu rzeczy jest po prostu wrodzony.

Czy byłaby to odpowiedź na pytania, które zadaję sobie, gdy tylko Stéphane pojawia się w pobliżu? To bezustanne poczucie, że staram się pogodzić dwa równoległe światy, oddzielone nie przestrzenią, lecz czasem, do tego stopnia, że gdybym chciała poczuć się blisko Stéphane'a, musiałabym użyć jakiejś fantastycznej machiny, którą wynajdą za tysiąc albo za dwa tysiące lat. To, czy noszę obcasy, czy nie, w żaden sposób nie wpływa na naszą bliskość – stanowi wyłącznie symptom: dla niego nie jestem kobietą. Albo raczej: jeszcze nie. Albo nawet jeśli nią jestem, co przecież widać wyraźnie, kiedy się rozbiorę, to brakuje mi kilku dekad pracy nad sobą pod jarzmem męskiego pożądania. Tym, czego brakuje mi, by zafascynować Stéphane'a, jest dobra wola oraz obojętność, z jaką powinnam chodzić na obcasach po zdradliwym paryskim bruku albo po schodach bez poręczy, wiodących do przereklamowanych klubów, w których się dekowaliśmy, prawdopodobnie również dlatego, że na mojej twarzy malowały się ból i niedojrzałość. Brakuje mi wzrostu innych kobiet, ubranych, by zabijać, a tych osiem, dziesięć centymetrów prowokacji daje im złudzenie, że dominują nad mężczyznami. Brakuje mi umiejętności patrzenia na niego z góry, jak na każdego innego mężczyznę, którego mam gdzieś.

Dobrze to czuję, gdy spacerujemy lub idziemy na kolację; czuję, że nie licząc kilku wspólnych poglądów i identycznej wrażliwości, jesteśmy najgorzej dobraną parą, jaką tylko można sobie wyobrazić.

On nie znosi myśli, że wygląda jak ojciec, który zabrał do knajpy córkę mieszkającą w Berlinie. Ale czy może być inaczej, skoro wolę ubierać się jak jego córka i wykazując się swoistą klasą, nie pozwalam sobie na stroje panny do towarzystwa, która wyszła z klientem. Jestem pewna, że on wolałby tę opcję. Stéphane nigdy nie pozwoliłby sobie na publiczny pocałunek, trzyma się swojego stanowczego tonu i szorstkich manier, zagubiony między postawą przyjaciela a kochanka, a gdy się śmieje i gdy robi mi się miękko na dźwięk tego dojrzałego, seksownego śmiechu, zaciskam pod stołem dłoń na swoim udzie, żeby nie złapać za udo jego. Przyszło mi kiedyś do głowy, że nie całuje mnie w miejscach publicznych nie ze względu na innych, lecz dlatego, że nie ma na to ochoty, bo spacery po Berlinie, które uważa za zbyt długie, wyczerpują go równie mocno jak moje bezustanne pytania i pragnienie, by wiedzieć więcej i więcej; że mój nieprzerwany słowotok, wynikający z nieśmiałości, ze strachu, że mu się znudzę, dusi go, zamiast dostarczać mu rozrywki, i że przy mnie Stéphane zawsze tęskni za swoją samotnością, tak jak ja tęsknię za swoją. Czas, który spędzamy razem na zewnątrz, wyraźnie nas wykańcza, i tylko w łóżku, z dala od ludzkich spojrzeń, Stéphane i ja – a w każdym razie nasze ciała – zaznajemy czegoś w rodzaju ukojenia. To znaczy, dopóki on nie zacznie chrapać – bo tego nieznanego mi wcześniej czynnika nie brałam pod uwagę w swoich fantazjach o romansie; wtedy bowiem dociera do mnie, że skoro ja jestem dla niego za młoda, to może i on jest za stary dla mnie. To wyjaśniałoby, dlaczego chcąc się do niego zbliżyć, zawsze mam wrażenie, że składam dwa elementy z różnych kompletów puzzli. I dlaczego, gdy po jego wyjściu czuję ulgę, że nie muszę już udawać czegokolwiek, towarzyszy jej zawsze żal, że nie byłam bardziej tkliwa, bardziej wyrozumiała, że go w sobie nie rozkochałam.

Wyobrażam go sobie w samolocie powrotnym, tego szorstkiego niedźwiedzia, który wypełnia mój pokój pomrukami i zabiera mi całą kołdrę, typa, który odmawia dalszych spacerów, dopóki nie sprecyzuję celu włóczęgi, niecierpliwi się, gdy mylę numery ulic, mężczyznę starszego niż mój ojciec, przerażonego myślą, że mógłby być choćby namiastką mentora czy nauczyciela, faceta, którego wkurza moja ciekawość, lecz który tak pięknie wypowiada moje imię w momentach rozkoszy... Jest taka święta chwila, gdy leżę na nim, wywyższona jak nigdy, a Stéphane wygląda, jakby tonął, i w białkach jego wywróconych oczu widzę swoje królewskie, niemal mityczne odbicie – a on powtarza: „Emma, skarbie, skarbie, och, Emma", jak facet zatopiony w kobiecie, od której nie różni go wiek i pochodzenie, nie jak facet, który właśnie ejakuluje – a w każdym razie nie tylko – lecz jak facet, który kocha naprawdę. Później ten trzaskający ogień gaśnie powoli, rozgrzewając do białości jego skórę; z głową na moich piersiach Stéphane wzdycha błogo, jest ślepy i głuchy. Gdy otwiera oczy, ja zamykam swoje, bo władza, jaką najwyraźniej nadają mi moje łóżkowe talenty, nie umniejsza w niczym faktu, że ten mężczyzna budzi we mnie respekt. To jest przekleństwo, które mimo wszystko nazywam miłością. Jedyne chwile bliskości to te, które on spędza we mnie. To magia naszego romansu, te momenty po zbliżeniu, gdy patrzę, jak on patrzy na mnie wsparty na łokciu, i głaszcze mnie po włosach z czułością, z jaką mężczyźni traktują kobiety, które właśnie posiedli, i można by w tym widzieć zwyczajną scenę łóżkową dwojga kochanków, gdyby nie ta bezradność w jego oczach na myśl, że ta rozkosz przyszła ode mnie, od dziewczynki, której nigdy nie pokocha. Jesteśmy totalnie razem, a jednocześnie samotni jak nigdy. Więc nagle wydaje się nam, że będziemy mogli się pokochać. W milczeniu i w kontemplacji dociera do mnie, że każde słowo mogłoby rozbić ten kruchy stan łaski, to nasze ulotne porozumienie;

a przecież chciałabym tyle powiedzieć – i może właśnie w tym leży problem, w niepohamowanej potrzebie mówienia, choć przecież wystarczy nam cisza. Chciałabym powiedzieć, że naprawdę jest takie miejsce i taka chwila, gdy Stéphane i ja się kochamy, choć jest to maleńki punkcik – i to wystarczy, żebyśmy trwali razem, aż do granic snu, póki nie wtopimy się w noc. Rano wracamy na dawne miejsca, Stéphane do swoich wad, ja do swoich, słucham, jak narzeka na zimno, skarży się na odległości, i myślę o tym, co zaszło wczoraj, gdy byliśmy w sobie zakochani. Cierpliwie czekam na wieczór, by ponowić eksperyment na tym zgryźliwym pisarzu, wymusić na nim oddanie i tę dziwną jasność umysłu, które każą mu pisać do mnie z drugiego końca świata: „Być może w gruncie rzeczy jesteś tą jedyną". Tak wiele niepewności w jednym zdaniu, w jednym kontekście. By uzyskać tego typu wyznanie, należy zebrać w jednym miejscu określoną liczbę czynników: Stéphane musi być smutny albo wypatroszony z cynizmu przez orgazm, lub porzucony przez którąś ze swoich kochanek czy żon. Jednak tym, co dzieli mnie od „jesteś tą jedyną", jest początkowe „być może" oraz „w gruncie rzeczy", które należy tłumaczyć jako „wbrew wszelkiej logice i dokonawszy skrupulatnej oceny swojej sytuacji" – tak, ale Raymond Radiguet pisze, że mówiąc kobiecie „kocham cię", można sądzić, iż robi się to z wielu powodów innych niż miłość, że się ją okłamuje; a jednak coś w tej właśnie chwili skłoniło nas do powiedzenia „kocham cię", więc siłą rzeczy jest to prawda. Są chwile, gdy Stéphane i ja się kochamy, zazwyczaj to czysty nonsens, lecz czasem porusza mnie prawdziwość tego kłamstwa i wówczas świat jawi mi się jako terytorium wybitnie wrogie, na którym on i ja walczymy ramię w ramię – co już i tak jest lepsze niż wrogie terytorium, gdzie jestem sama przeciwko wszystkim, nieprawdaż?

Wzdłuż chodnika, po którym drepcze panienka, sunie wóz policyjny i zamieram na chwilę, myśląc, że jeśli gliniarze zażądają od niej dokumentów, to równie dobrze będą mogli zażądać ich od tej dziwnej babki, która o czwartej nad ranem czyta zmarznięta na ławce. A ponieważ wyszłam bez papierów i nie mam zamiaru spędzić nocy na posterunku z powodu nieporozumienia (choć może tam wyspałabym się lepiej niż u boku Stéphane'a), kryję się w cieniu kasztanowca i czekam, aż radiowóz odjedzie. Panienka też się ulotniła i został po niej tylko kawałek zaplutego asfaltu, który pod jej stopami wyglądał jak kwietnik.

Stojąc w drzwiach, patrzę na ciało Stéphane'a, rozwalone po przekątnej na całym materacu. Już nie chrapie; może wybił go z rytmu zgrzyt klucza, a może wcześniej moja obecność i ciepło tworzyły warunki sprzyjające chrapaniu. Rozbieram się powoli i siadam na brzegu łóżka w zatoce stworzonej przez jego kolana podciągnięte w kierunku twarzy. Rzadko mam okazję przyglądać mu się w ten sposób, prawdę mówiąc, jest to pierwsza taka okazja – Stéphane nigdy wcześniej u mnie nie spał. I siłą rzeczy, gdy widzę go w tym stanie rozprężenia, dociera do mnie z całą mocą, jak bardzo do siebie nie pasujemy. To się rzuca w oczy. Pięćdziesiąt pięć lat, zrozumcie sami; może sobie wyglądać młodziej, ale przecież nikt nie da mu dwudziestki. Wszystko w nim emanuje dojrzałością, nawet jego sen, bo gdy śpi, nie traci poważnego, srogiego wyglądu. Gdy zdejmę okulary, w artystycznej mgiełce krótkowzroczności kontury stają się mniej wyraźne, mniej ostre i udaje mi się zobaczyć go takim, jaki był w okolicach trzydziestki – nie w moim wieku, nie, dwudziestopięcioletni Stéphane to odległe eldorado, które odnaleźć można jedynie w archiwach, choćby na zdjęciu zrobionym, gdy ukazała się jego trzecia książka. Można bez trudu nałożyć tę uśpioną twarz na okrągłe, radosne lico młodego pisarza, który nie mógł zrobić kroku

w Paryżu, nie zakochując się dziesięć razy. Nie wymyśliłam tego, lecz przeczytałam, a gdy nie mogę w to uwierzyć, czytam jeszcze raz. By nie zapomnieć, że już przed trzydziestką był szorstki, że długo się rozchmurzał i że była to zbroja, pod którą ukrywał przed światem panikę, jaką budziły w nim kobiety – Stéphane był pilnie strzeżonym ogniem, którego ciepło czuło się tylko w przebłyskach. Zastanawiam się, czyby się wtedy we mnie zakochał; trzydziestka Stéphane'a – ekscytujące lata osiemdziesiąte, kiedy to ja pulsowałam jeszcze w ojcowskich najądrzach, wydają mi się rajskim czasem, w którym wszystko było możliwe. Wyobrażam sobie, że jestem wysoka jak wieża i fascynuję tego zwierzaka kipiącego nasieniem, że ciągam go po całym Paryżu, poznając tajemnicę kobiety, jedynej, którą pokochał tak bardzo, że spłodził z nią dziecko. Zresztą być może to właśnie ja podszepnęłabym mu pomysł, by się rozmnożył, bo chciałabym w ten sposób pozostać blisko niego – a on kochałby mnie, a potem by się mną znudził, a w końcu by mnie znienawidził za poświęcenie, którego nikt by od niego nie oczekiwał. Stałabym się sztampą, śpiącą w pokoju obok z oseskiem, wyczerpaną i pełną mleka, znużoną tym, że tak dobrze go znam, znużoną jego słabościami, nikczemnością, obietnicami, pogardzaną i upokarzaną przez jego męskie całonocne włóczęgi – zaznałabym gniewu Stéphane'a, jego pretensji, niespójności i zdrad, a może nawet jego łez. I powiedziałabym po latach wspólnego życia, że nie było czym, mój Boże, tak bardzo się przejmować, że to facet jak każdy inny. Pokłócilibyśmy się o ważne sprawy, wrzeszcząc, tłukąc przedmioty, a nocą, z poczuciem winy, przyszłabym i przysiadła na brzegu jego łóżka, i tak jak teraz położyłabym rękę na jego włosach, a Stéphane otworzyłby oko, spojrzałby na mnie bez słowa, zastanawiając się, co teraz powinien poczuć, a potem westchnąłby i powiedział: „O, skarbie…".

– O, to ty?

Stéphane prycha, odwraca się na drugi bok i mamrocze, jakby już znowu zasypiał:

– Gdzie się szlajałaś? Jesteś przemarznięta.

– Nigdzie. Wyszłam się przejść.

– Oszalałaś. Kładź się.

I zauważcie, że być może to samo powiedziałby mi wtedy. Moszczę się w cieple, odsuwając daleko od niego lodowate kończyny. Z tyłu głowy rozlewa się cała moja naiwna tkliwość, odnajduję znajome uczucie, jakbym kładła się obok przyjaciela rodziny, który nie zdążył zarezerwować hotelowego pokoju i z większą lub mniejszą łaską godzi się przespać w moim.

Stéphane i ja idziemy w nieśmiałym słońcu po Danziger Strasse. Spacer jest żmudny, bo pada śnieg, i pozbawiony celu (zresztą za pięćset metrów całkiem się zgubię) – ale Stéphane najwyraźniej się tym nie przejmuje; dawno nie widział śniegu i to wprawiło go w rześki nastrój. Wcześniej, gdy szliśmy w górę Kastanienallee, widziałam, jak uśmiecha się bez powodu, smakowało mu ciastko na śniadanie, podobały mu się sklepy. I sprawił mi królewską przyjemność, oświadczając pośrodku milczenia, które ostatecznie nie było aż tak niezręczne, i choć wcale o to nie prosiłam:

– Naprawdę, mógłbym tutaj żyć.

Tym, co go powstrzymuje, poza pracą, jest być może berliński klimat. Za zimno.

– Tak, ale spójrz, jak ładnie miasto wygląda w bieli.

– To prawda – zgadza się, spokojny, zamyślony, podziwiając kamienice, którym słońce i śnieg nadają wygląd klejnotów. – Ale w Londynie…

Rozdziela nas dyskretnie jakaś ładna dziewczyna, niemal wślizguje się między nas, ma na sobie futro, doprawiające zapach jej perfum nutą mokrej sierści – i rzuca mu, dzielnemu tatuśkowi w towarzystwie córeńki, błyskawiczne spojrzenie, które sprawia, że Stéphane się odwraca. Zirytowałoby mnie to, gdyby dziewczyna nie nosiła błyszczących kozaków za kolano, bielszych od śniegu, jakby specjalnie wymyślonych na zimowe poszukiwania klienta.

– O! Ale tego nie macie w Londynie.

– Ładnych dziewczyn?

– Nie, durniu. Dziwek.

– To była dziwka?

Stéphane natychmiast się odwraca, nie może uwierzyć, że dziewczyna wyglądająca jak studentka może być kurwą, nawet w takich butach, i że w dodatku chodzi sobie beztrosko, nie dbając o służby porządku publicznego.

– Ale… to tutaj legalne?

– Wszystko jest legalne. Prostytucja, burdele, *escort girls*…

– Toż to istny raj!

Oczy Stéphane'a, ożywione nagłą fascynacją albo nagłą chętką, odprowadzają ją aż do rogu Shönhauser Allee – to właśnie w takim spojrzeniu się zakochałam. W spojrzeniu, którym wodził za mną pierwszego dnia, zaraz po tym, jak uścisnęliśmy sobie ręce. Odchodząc, odwróciłam się, by sprawdzić, jaki efekt wywołała moja spódniczka na tym zbyt dorosłym jak dla mnie mężczyźnie – i to było to spojrzenie. Ponieważ wolę wierzyć, że nie jest to uwaga, jaką darzy wyłącznie profesjonalistki, wysnuwam wniosek, że Stéphane patrzy tak na wszystkie kobiety, które dzięki mieszance dezynwoltury i prowokacji stanowią żywe symbole pożądania, spokojne w swej sile i gardzące rozpłaszczonym przed nimi tłumem. Więc i ja byłam dla niego kimś takim, zanim mój liryzm nie pchnął mnie do słów i do czynów i zanim nie straciłam w zaślepieniu tego, co udało mi się zyskać w chwilach intymności.

Byłam pod zbyt dużym wrażeniem tego prawie nieprzyzwoitego spojrzenia, nieczytelnego dla wszystkich poza mną, by nadać mu jakiś sens; pozostało po nim tylko żywe wspomnienie ciepła i pilnej potrzeby, by uciec, szybko, szybko, zanim moja obecność straci cały swój splendor. Teraz, gdy widzę to samo spojrzenie uczepione futra i wyzywających kozaków, zastanawiam się z tym swoim słynnym chłodem patologa: „O czym on myśli, tu, w tym momencie?". Gdybym go o to spytała, powiedziałby, że o niczym, ale zobaczyłabym, jak jego twarz gwałtownie zmienia wyraz, jak gdyby ktoś wyrwał go

ze snu – a o czym jest ten sen? Zapewne przed oczami przesuwają mu się obrazy: ona, naga, w niemożliwych pozycjach, a w głowie ma wszystko, czego mógłby od niej zażądać, gdyby pozwolił sobie przejąć nad nią chwilową władzę. Czy myśli, choćby przez moment, żeby zabrać ją do nas?

– Sądzisz, że jest wydepilowana? – szepczę z nutką obłudy, którą on, szelma, wychwytuje natychmiast.

– Zazdrosna?

– Zazdrosna? Raczej zahipnotyzowana.

Znajdujemy się akurat pośrodku terytorium bezprawia, oświetlonego częściowo słabym światłem od Prenzlauer Berg; nieco na uboczu kurwy zaczęły już świadczyć usługi.

– Tak dwadzieścia lat temu wyglądały niektóre ulice Paryża – zauważa Stéphane.

– Jak myślisz, dokąd chodzą z klientami?

– Nie mam pojęcia. Do samochodów? Może mają jakieś zapyziałe klitki.

Jest tam wysoka brunetka, wymalowana, za gruba, wbita w gorset – i widok tej cielistej masy, wylewającej się znad i spod ściśniętej talii budzi moje przerażenie i wesołość. Rzuca Stéphane'owi, ocierając się o niego, pogardliwe, lecz zachęcające spojrzenie, trwa to sekundę, po czym znów skupia wzrok na celu, czyli – jak mogę przypuszczać – na miejscu, gdzie kończy się jedna ulica, a zaczyna druga, i na jednym mężczyźnie z tysiąca, tym, który da się namówić na krótki odpoczynek w ciepełku. Nie wiem nawet, czy w ogóle widziała Stéphane'a; czy po pewnym czasie ludzie tacy jak on, którzy tylko przechodzą i patrzą (nieważne, jak natarczywie), nie mieszają się z niechętnym i szydzącym tłumem innych ludzi, którzy mieliby ochotę, ale nie mogą, którzy by chcieli, ale się boją, którzy w sumie nawet nie chcą, ale szukają podniety, wracając do domu – z tłumem,

który nie zapłaci nawet grosza, by pożreć ją wzrokiem, a ona dokonuje cudów, będąc jednocześnie ubraną cieplej ode mnie i nagą bardziej niż rzeźba, podaną jak na tacy, wciśniętą w gorset włożony na kurtkę.

– Dlaczego nigdy nie byłeś w burdelu?

– Nigdy nie miałem potrzeby.

– To chyba nie jest kwestia potrzeby.

– Powiedzmy, że nigdy nie czułem potrzeby płacenia kobiecie. Znasz moje legendarne skąpstwo.

– Zatem to kwestia pieniędzy? Nie mów mi, że to kwestia pieniędzy.

– Po co miałbym płacić, skoro mogę mieć dziewczynę, która mnie chce, i to za darmo.

– Ach, Stéphane! Nie wiem, może dla poezji?

– Nie podnieca mnie szczególnie posuwanie dziewczyny, o której wiem, że zgodziła się tylko dlatego, że jej płacę. Gdybyś była mężczyzną, rozumiałabyś, o czym mówię.

Wybucham śmiechem i w swojej chwilowej obsesji mam wrażenie, że mała blond kurewka, która na nas patrzy, też się do nas uśmiecha.

– Gdybym była mężczyzną? Skarbie, gdybym była mężczyzną, bez przerwy bym się do nich kleiła.

– Tak ci się wydaje.

– No dobrze, może nie do tych, które stoją na ulicy. Ale chodziłabym do burdelu. Nie uważasz, że to cudowne? Nie mówię nawet o chodzeniu tam, ale o takiej możliwości. Wyobraź sobie, że jedziesz do pracy i nachodzi cię nagła ochota na ruchanie, a po drodze masz burdel z piętnastką ładnych dziewczyn, które…

– Które mają gdzieś, czy będę to ja, czy ktoś inny.

– Załóżmy, że jest wcześnie. Dopiero co otworzyli burdel. To przecież tylko ludzie i może wśród nich jest kobieta, która wstała podniecona, tak jak ty.

– Nie wiem, jak długo możesz czuć podniecenie przy takiej robocie.

– Ależ Stéphane! To nie są maszyny!

– Nie, ale nie masz pojęcia, jak to jest przyjąć dziesięciu klientów dziennie. Myślę, że po pewnym czasie ciało i umysł zlewają się w jedno i że podniecenie staje się elementem nie tyle ozdobnikowym, ile skrajnie rzadkim. Wyobraź sobie, że… Och, przepraszam panią…

Dziwka, z którą Stéphane prawie się zderzył, to blondyna o ustach tak czerwonych, że reszta jej białej twarzy całkowicie niknie, widać na niej tylko tę krwawą plamę.

– Przepraszam – powtarza Stéphane, nieco zbity z tropu, a uśmiech, który w odpowiedzi posyła mu ona, zamienia jej usta w bukiet czerwieni, bieli i różu. Cofa się na gigantycznych obcasach, żebyśmy mogli przejść, a ponieważ facet, który nigdy nie płaci kobietom, nadal się w nią wpatruje, ona obdarza go wystudiowaną miną, przechylając głowę w kierunku szarego budynku i unosząc dłońmi w rękawiczkach odsłonięte piersi, obiecującym gestem, tak skutecznym, że żal mi trochę oznak zaprzeczenia, które wykazuje Stéphane.

– Ładniutka była – przyznaje.

– Nie rozumiem, jak ktoś może tak świetnie udawać żądze i tak łatwo wywoływać je u innych, jeśli sam całkiem zapomniał, czym jest ten stan.

– Żądza istnieje, nie mówię, że nie, ale jest to żądza pieniądza.

– Tak, ale one udają ją tak doskonale, i to nie wydając z siebie ani słowa, że w ułamku sekundy wywołują chętkę i w tym samym ułamku sekundy facet zapomina, że to zwykła gra…

– Komediantki.

– Tak, ale doskonałe komediantki. Sztuka wysokich lotów. Albo to, albo męskie pożądanie jest czymś całkiem debilnym i wystarczy, że dziewczyna wypnie cycki, a facet już wierzy we wzajemność.

– Nawet nie wiesz, jak głupi są faceci.

– Dobrze, załóżmy, że faceci są głupi. Ale nie aż tak głupi, żeby…

– Aż tak.

– Nie denerwuj mnie, widziałam, jak na nią patrzyłeś.

– Bo była ładna!

– Miło mi to słyszeć. Przyznajesz mi rację. Być może w gruncie rzeczy ta praca polega tylko na byciu ładną i wzbudzaniu pożądania, jednak różnica między tymi, na które patrzysz, a tymi, które ignorujesz, tkwi w zalotnych sztuczkach, jakie stosują, zaczepiając cię.

– Zatem to aktorki.

– Potencjalnie najwybitniejsze. Dziwka, która tworzy złudzenie, że naprawdę jest twoja, dziwka, która sprawia, że zapominasz, ile cię kosztowała, to urodzona aktorka, bez dwóch zdań.

Stéphane uśmiecha się do mnie:

– Łatwo powiedzieć komuś, kto nie wykonuje tego zawodu. Jestem pewien, że twoi klienci w Paryżu czuli pełną satysfakcję. A to dlatego, że robiłaś to dla żartu. Że nie musiałaś wkładać większego wysiłku w udawanie – jeśli rzeczywiście udawałaś – bo nie płaciłaś tymi pieniędzmi za mieszkanie czy zakupy, lecz za to, co w twoim mniemaniu było luksusem. A jeśli chodzi o te dziewczyny…

– Mówię tylko, że udawanie, i to w taki sposób, żeby nikt się nie zorientował, jest wpisane w bycie kobietą.

– Och, naprawdę? A jaką kobietą?

– Każdą kobietą.

– Każdą kobietą czy tylko tobą? Twój problem polega na tym, że generalizujesz, by dodać sobie pewności.

– Nie sądzę, że jestem w tym odosobniona. W dziwce wkurza was, że symuluje, a mimo to doprowadza was do orgazmu.

– Sama wiesz, jak łatwo jest doprowadzić mężczyznę do orgazmu.

– Tak, zrobiłaby to nawet maszyna. Ale nie przeszkadza wam to dalej toczyć tej gry, prawda? Być może to wszystko od początku jest fałszem, nawet w przypadku twojej żony i kochanki – co nie zmienia faktu, że gdy ci staje, gdy masz ochotę się pieprzyć, myślisz tylko o ciepłym ciele blisko swojego ciała, o odgłosach, jakie będzie wydawać dziewczyna, i o tym, jak będzie się pod tobą wiła – i wystarczy, że wygląda, jakby sama też miała ochotę, a ty nie wyobrażasz sobie nawet przez sekundę, że właśnie odgrywa komedię.

– Więc twoim zdaniem wszystkie symulują?

– Mówię tylko, że kurwa nadal jest kobietą. To zawód inny niż wszystkie, ale uprawiające go kobiety wcale nie są inne, masz takie same szanse na porażkę i na powodzenie jak z każdą inną kobietą.

– Będąc z kobietą, która nie spędza całych dni na pierdoleniu się, masz więcej szans na dotarcie do niej i poruszenie jej. Bo nie popadła w zawodowe zobojętnienie.

– Zdarza się nam czasem bzykać z facetami, którzy działają na nas raczej średnio. Jest mnóstwo powodów, żeby się bzykać, nie myśląc o ciele.

– Jakich?

Jakich? Patrzę na Stéphane'a i czuję się nagle dalej od niego niż kiedykolwiek dotąd. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że gdyby był dziewczyną, zostałybyśmy najlepszymi przyjaciółkami – lecz tym, co być może przeszkadza mu mnie zrozumieć, jest narząd między nogami, dla którego seks oznacza rozkosz, zawiera w sobie rozkosz. Seks i rozkosz są nierozerwalnie związane, kutas i mózg nie prowadzą żywotów równoległych podczas spółkowania, trzymają się za rękę i stapiają się w jedno w chwili orgazmu. Gdybym sprowadziła

Stéphane'a tylko do kutasa, zacząłby skrzeczeć jak sokół, oburzałby się na to wulgarne uproszczenie – wkładając w to tyle złej woli, ile uznałby za stosowne.

Dwie godziny później w Hamburger Bahnhof Stéphane, który przestaje się przekomarzać, gdy mowa o sztuce, pochyla się w moim kierunku, jakby chciał skomentować oglądane akurat dzieło (ponurą instalację Josepha Beuysa):

– Stanął mi.

– Dlaczego?

– Jakoś tak, sam nie wiem.

Przemieszczamy się bokiem w kierunku ściany naprzeciwko; wiszą na niej szkice wykonane czymś, co wygląda jak krew albo jak sok truskawkowy. Nie fascynują już Stéphane'a – pobieżnie czyta tłumaczenia opisów i rozedrgany szuka wzrokiem ciemnego kąta. Wchodzimy do pomieszczenia, w którym trwa projekcja eksperymentalnych krótkometrażówek, i gdy stapiamy się z nielicznymi stojącymi tam widzami, Stéphane szepcze:

– Daj rękę.

– To ty zaciągnąłeś mnie na tę wystawę.

– Nie wiem, co mnie napadło, podskoczył mi testosteron…

– Przejdzie.

– Nie chcesz wiedzieć, co bym z tobą zrobił, gdyby to było możliwe. Na środku tego pokoju.

Jak to nie chcę wiedzieć? Niespodziewanie, właśnie wtedy, gdy zaczynałam interesować się wystawą, wyciągam do Stéphane'a dłoń, on wsuwa ją do kieszeni, a ja zaciskam ją na jego fiucie. Fascynująca jest świadomość, że przytrzymany w ten sposób mężczyzna traci resztki rozumu – kluczyliśmy dwa kilometry w śniegu, by dotrzeć do tego muzeum, bo koniecznie chciał je odwiedzić, pokłóciliśmy się

trzy razy, bo zbytnio zawierzyłam swojemu zmysłowi orientacji, Stéphane wszedł tu z miną, jakby nikt poza Beuysem nie zasługiwał na miano artysty – a teraz wystarczy dłoń, mała, ciepła dłoń wokół jego pały, by odebrać mu jakąkolwiek zdolność myślenia.

I nie przychodzi mu do głowy, że podniecenie, które czuję, które z nim dzielę, jest całkowicie odklejone od mojego ciała. Nie przychodzi mu do głowy, że moje ciało ma to wszystko gdzieś, ale mózg mi staje – i że to jego podniecenie, to, co sobie wyobraża, wprawia mnie w stan upojenia. Czyż nie tak właśnie należy nazwać kłamstwo, które jest między nim a mną? On udaje, że to przeze mnie ten wzwód, ja – że zestroiłam się z tym pragnieniem, które do mnie nie należy, a które jest prawdopodobnie wynikiem ostrej różnicy temperatur między ulicą a wnętrzem muzeum: kobiety pieprzą się z tylu wspaniałych powodów, niemających nic wspólnego z fizyczną rozkoszą. Jak mężczyźni mają się o tym dowiedzieć? W jaki sposób Stéphane mógłby się domyślić, że moim prawdziwym celem jest doprowadzenie do zetknięcia się naszych dwóch kontynentów, które gdyby nie ta zła pogoda, gdyby nie ten huragan, nigdy by się do siebie nie zbliżyły? Robię to dla magii – żeby patrzeć, jak się zapamiętuje, jak młodnieje, nabiera gibkości podobnej do mojej, żeby usłyszeć, jak jego niski głos przybiera rozpaczliwe, wysokie, chłopięce tony, gdy go obejmuję nogami, i żeby patrzeć, jak szeroko otwiera oczy, stężały w obliczu mocy, której nabieram, kiedy na nim siedzę.

Breezeblocks, Alt-J

Październik 2010, Joseph świętuje swoje dwudzieste pierwsze urodziny; jesteśmy tak zakochani, że jakikolwiek prezent wydaje się niedorzeczny, nasze szczęście całkowicie by się obeszło bez głupot w rodzaju swetra czy biletu na koncert, ale ja, gnana manią wielkości, uknułam szatański plan, który cieszy mnie tak bardzo, że nie jestem w stanie utrzymać go w tajemnicy. Dam mu w prezencie pannę do towarzystwa, żebyśmy sobie strzelili trójkącik. Wybrałam hotel, ustaliłam porę, ułożyłam w głowie cały program, brakuje mi tylko dziewczyny.

Znalazłam już jedną, Nathalie, która świetnie by się nadawała, bo specjalizuje się w parach. Jej ciało, na tyle, na ile ma to dla mnie znaczenie, wydaje się ładne, a opis na stronie pozwala mieć nadzieję, że nie jest profesjonalna do przesady. Pozostaje jeden problem: jej twarz jest nieodwracalnie zamazana. Pomimo mojej uprzejmej prośby odmawia wysłania mi fotki, a choć ciało może wyglądać doskonale, nie czuję się gotowa na ryzyko zatrudnienia dziewczyny, której twarz mogłaby wszystko zniszczyć.

Po dłuższej chwili wahania mój wybór pada na Larissę, znalezioną na angielskim portalu dla *escort girls*, przeuroczą dwudziestoletnią Rosjankę, blondynkę o delikatnych rysach i przejrzystych niebieskich oczach w kształcie migdałów; z dumą pokazuję jej zdjęcie Josephowi. Łatwo zgadnąć, że dwa tygodnie, które dzielą nas od wielkiego wieczoru, spędzamy, rozpalając się nawzajem, wyobrażając sobie egzotyczne wygibasy, którym będę się oddawać razem z Larissą,

podczas gdy on będzie chłonął niezapomniane widoki, z ręką na wyprężonym kutasie; bezeceństwa, jakie – każde z osobna – oglądamy w sieci, wydają się w cudowny sposób zamieniać w rzeczywistość. Larissa, to omdlewająco brzmiące imię, wraca przy każdej okazji podczas długiej gry wstępnej.

Spotkałam się z nią w Café de la Paix.

Tego dnia było zimno i słonecznie, trzęsłam się na tarasie, wypatrując jej, tymczasem ona czekała na mnie w środku. Przy pierwszym zerknięciu powinnam była odwrócić się na pięcie, jednak byłam pod zbyt dużym wrażeniem – jak zareagować, gdy kierownik sali prowadzi cię do stolika, przy którym siedzi potężna, otulona w futro Rosjanka, zajęta obieraniem szczypców homara i piciem szampana? Wszystko w niej ociekało bogactwem, nawet uśmiech, który rozciągał jej twarz, nie roziskrzając oczu. Welur jej upudrowanej skóry pochłaniał światło zalewające salę, a spojrzenia mężczyzn podejrzliwie badały parę, którą tworzyłyśmy. Pachniała czymś mocnym i wymyślnym, Violette Guerlaine'a, a jej małe zęby lśniły jak perły, gdy wybuchała udawanym śmiechem.

Gdyby Joseph był ze mną, zobaczyłby bez wątpienia to, czego ja nie dostrzegłam w swoim rozgorączkowaniu: że ta kobieta była za mocno umalowana, że miała gdzieś, czy sypia z chłopcem, czy z dziewczyną, jeśli tylko ktoś jej za to zapłaci – nie wprowadzamy się na rue de la Paix, jeśli nie mamy określonych wymagań. A przede wszystkim, że nie jest podobna do osoby na zdjęciu – ani śladu zwiewnej nimfy, tylko wysokie kości policzkowe przetrwały retusz fotografa. Powinnam była podziękować i poszukać nowej kurtyzany, ale czas gonił i nie mogłam pozwolić sobie na taki kaprys, za dużo już marzyliśmy o Larissie.

Pozbywszy się większej części swoich oszczędności, zmusiłam się, by wtłoczyć Larissę taką, jaka była, do naszych fantazji, odsuwając na bok bezbrzeżną obojętność, którą we mnie budziła. Gdy Joseph zapytał mnie, jak było, ścisnęło mi się serce i skłamałam: „Och, bardzo ci się spodoba".

O osiemnastej jesteśmy już w pokoju. Wyjęłam szampana i kokę, która za chwilę okaże się wyjątkowo podła – ale w żadnym razie nie będę źle mówić o własnym prezencie. Gorączkowo, by dodać sobie animuszu, skręcam jointa, który podcina już i tak rachityczne skrzydła kokainy. Ta mieszanka, podlana ciepławym szampanem, nie łagodzi moich lęków.

Jest dwudziesta, Larissy nadal nie ma i zaczynam mieć nieśmiałą nadzieję, że ulotniła się z moją forsą – myśl o pieprzeniu się we dwoje staje się nagle bardziej podniecająca niż ewentualność pokpienia sprawy we trójkę. Joseph boi się tak samo jak ja. Gdy go przytulam, a w tamtym czasie robiłam to co dwie minuty, czuję, jak w jego pięknej, szerokiej piersi trzepocze wystraszone serce.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom Larissa wreszcie lekko puka do naszych drzwi, doprowadzając mnie niemal do mdłości. Dzięki Bogu, pokój jest za mały, bym mogła dyskretnie zapytać Josepha, co o niej sądzi – zresztą i tak jesteśmy zbyt spanikowani, by się konsultować, za bardzo zlęknieni. Larissa w butach ma blisko metr osiemdziesiąt wzrostu, jest o półtorej głowy wyższa od nas obojga. Widać wyraźnie, że nie spodziewała się tak małego pokoju, bo bez wątpienia przywykła do przerośniętych proporcji najdroższych paryskich hoteli – i właśnie to powinnam była zarezerwować, apartament w Ritzu, który przytłoczyłby nas bijącym po oczach luksusem. Zrobiłabym to, gdyby nie zrujnowała mnie Larissa; intymna ciasnota pokoju staje się dławiąca, czuję zażenowanie z powodu jedynego krze-

sła, które jej podsuwam, a my przysiadamy na brzegu łóżka niczym dwie białe gąski. Larissa wygląda na wielką i dorosłą, my zaś śmierdzimy niewinnością na odległość. Od razu widzi, jak bardzo jesteśmy młodzi i wystraszeni. Najlepiej byłoby, gdyby udała, że niczego nie zauważyła, jednak psychologia nie jest najwyraźniej jej mocną stroną, ponieważ przyglądając się długo Josephowi, zaczyna skrzeczeć po angielsku: „Masz ukończone osiemnaście lat?".

I gdy oboje kiwamy głowami – Joseph czerwony, a ja oburzona – widzę, jak moje nadzieje obracają się w pył. Myślałam, że młoda, zakochana w sobie parka wyda się jej bardziej fuchą na boku niż prawdziwą pracą, ale w jej wielkich oczach lśni wyraźnie pobłażanie i rozbawienie – i nagle zdejmuje mnie litość wobec nas samych: mogłam zamówić jakąś młodą. Debiutantkę, która nie potrafiłaby rozróżnić pracy od przyjemności, albo pracy od doświadczenia, i którą zwaliłaby z nóg uroda Josepha – zapierające dech piękno zwierzęcia u szczytu możliwości.

Ale zapłaciłam; i znajduję się w niewygodnej pozycji klienta, który zrobi wszystko, żeby wyrwać kurwie kilka gratisowych ochłapów. Ponieważ atmosfera nie sprzyja spontanicznej orgii, ponieważ ani Joseph, ani ja nie mamy chęci się na nią rzucać, zaczynam żmudną rozmowę w angielszczyźnie, którą wszyscy troje masakrujemy swoimi topornymi akcentami.

Nigdy dotąd nie spotkałam tak zimnej kobiety; chociaż się uśmiecha i prycha, słysząc moje żałosne żarciki, chociaż ma na sobie tylko obcisłą sukienkę, jeszcze nigdy nie czułam wobec nikogo takiego dystansu. Koka, którą proponuję jej uprzejmie, a którą ona równie uprzejmie przyjmuje, nie rozchmurza jej, a wręcz do listy ciążących na nas zarzutów dorzuca ignorancję nowicjuszy, gotowych kupić jakikolwiek biały proszek, byle tylko był wystarczająco miałki. Ani butelka szampana, którą podkradłam ojcu, ani gram gówna, usypany

w dwie żałosne kreski, nie mogą działać na naszą korzyść: „Wyluzuj, *baby*, wciągnij trochę słodziku, wypij kieliszek bąbelków!". Ach, ci nędzarze...!

Czas płynie nieubłaganie i nikt nie potrafi zmienić sytuacji; nie wiem, kto bardziej zasługuje na klapsy: ciągle paplająca ja, Joseph, który bawi się w didżeja i puszcza muzykę z iPoda, czy Larissa (przecież to jej robota, do cholery), która rozsiada się z kieliszkiem w dłoni, opierając skrzyżowane nogi o skarb, na który z wielkim trudem odłożyłam ponad połowę najniższej krajowej. I myśli sobie zapewne, że przynajmniej zyskała już trzy kwadranse – co byłoby zrozumiałe, gdybyśmy byli starymi zbereźnikami, ale czy można marzyć o klienteli łatwiejszej do zaspokojenia niż my? Już sam pocałunek, krótki pocałunek z mokrym języczkiem wyniósłby nas oboje na szczyty ekstazy, ona na pewno o tym wie, siłą rzeczy wyczuwa, że żadne z nas nie będzie od niej wymagać niemożliwych wygibasów czy odgrywania durnych ról. Ponieważ się pojawiła, jesteśmy gotowi udawać, że zadowala nas niewiele.

Wprawdzie nie ma w niej ani krzty spontaniczności, ani zdolności aktorskich (bo spontaniczność można udawać, tak jak całą resztę), lecz muszę przyznać, że cechuje ją swoista wspaniałomyślność: musiała wyczuć, jak bardzo się tym gryzę, bo po godzinie sama prosi mnie, żebym poszła z nią do łazienki. To kłopotliwy moment, w którym, niemal przyklejona do mnie między kabiną a klozetem, Larissa domaga się dopłaty reszty w postaci trzystu pięćdziesięciu euro, a potem sugeruje, żebyśmy się z Josephem umyli. Co już oboje zrobiliśmy, wręcz nadgorliwie, zdzierając sobie skórę w pachwinach.

Kaska zgarnięta, Larissa może zaczynać. Nie potrafię myśleć, co było dalej, nie wybuchając śmiechem, i jestem pewna, że gdybym dziś rozmawiała o tym z Josephem, jeśli miałabym możliwość rozmawiania z nim o czymkolwiek, śmialibyśmy się oboje. O, Chryste!

Wybacz, Joseph. Gdybym wiedziała, nigdy bym nas w to nie wciągnęła, ale tak bardzo chciałam sprawić ci przyjemność, tak bardzo chciałam dać ci w prezencie małą niewolnicę, którą moglibyśmy sobie razem obmacywać.

Jak gdyby nagle wszystko się zmieniło, jak gdybyśmy nie zmarnowali już sześćdziesięciu procent czasu na rozmowę, Larissa pospiesznie ściąga sukienkę, a potem siada okrakiem na Josephie. Całuje go w usta, no cóż, zapomniała, że kurwy tego nie robią – i być może tkwi w tym jej osobisty wysiłek, żebyśmy się odprężyli, być może zrozumiała już, że nic więcej się nie zdarzy…?

Jest to dla mnie, i zawsze był, fascynujący widok – usta inne niż moje na ustach Josepha. Choć nikt nie zwraca na mnie uwagi, rozbieram się i wbijam w tę dziwną parę, którą tworzą. Cisza w pełni by nam wystarczyła, ale Larissa wydaje z siebie zdzirowate pomiaukiwania, jak w pornosie, a ja staram się omijać wzrokiem oczy Josepha – bo choć milcząco zgadzamy się, że sytuacja nie ma w sobie nic seksualnego, granica dzieląca nas od histerycznego śmiechu robi się cienka jak pergamin. Nawet nasze pocałunki brzmią fałszywie.

Robię wszystko, by pierwsza chwycić go za spodnie, bo wiem, że nie będzie miał wzwodu. Cały wysiłek wkładam w nadzieję, że się mylę, jednak obiektywnie nie ma szans. Wiem, że będziemy mogli już tylko ograniczać straty, i liczę na swoją siłę perswazji. Ale Joseph jest nie tylko miękki – on, który ze mną zawsze był doskonale twardy – kutas jakby wsunął mu się w podbrzusze; i wbrew mojej czułości i moim staraniom tam pozostaje, wpatrując się we mnie uparcie jak dziecko, które nie chce chodzić. Nie mogę za to winić ani jej, ani jego, Josephowi jest co najmniej tak samo przykro jak mnie; to w ogóle nie jest podniecające. Erekcja uczyniłaby ten cyrk mniej żałosnym, ale czy wzwód z powodu tej wielkiej kukły nie byłby w złym guście? Ja też się nie podniecam, w akcie najwyższej solidarności.

Nikt bardziej od Larissy nie odbiega od tego, co podoba mi się w kobietach. Ma ten irytująco perfekcyjny wygląd, wspaniałe, wysoko uniesione piersi, małą, lecz idealnie okrągłą dupkę, skórę białą i delikatną jak mleko, całkowicie bezwłosą, nie licząc minicipki, a w niej – niemal zabawkowa pochwa, tak delikatna i czysta, że zastanawiam się, czy Larissa nie dojrzewa każdego ranka na nowo. Na próżno szukam między jej pośladkami jakiegoś zwierzęcego albo chociaż ludzkiego zapaszku, szczegółu, niedoskonałości, która trochę ją do mnie zbliży; ale jej odbyt mógłby figurować na witrażu, przed którym klęczałyby tłumy, to jest ledwo widoczna dziurka, różowa jak policzek niemowlaka, neutralizująca swoją ślicznością wszelkie nieczyste myśli. A ja, rozczochrana, z rozwichrzonymi włosami łonowymi, nienakremowana, niewymalowana, śmierdząca papierosami, zachłannie wącham zakamarki ciała tej zimnej, wystawowej suki. Mikre rozmiary jej łechtaczki i warg sromowych, poza tym, że przyprawiają mnie o potworną chandrę, kojarzą mi się z czymś prawie nielegalnym. Jedynie moja ślina nadaje smak jej szparce, jak gdyby Larissa była tylko naczyniem, przyjmującym kształt i kolor fantazji każdego klienta, z duszą ukrytą gdzieś w ciepełku, pod warstwami apatii. Nawet w pozycji sześćdziesiąt dziewięć, z nią na górze, czuję się tylko tak, jakbym miała na głowie minimalistyczny kapelusz; a Joseph, którego zazwyczaj ta pozycja doprowadza do szaleństwa, patrzy na nas, półtwardy, i zastanawia się, czy to słaby film, czy jakiś koszmar. Naciągając mu szybko gumę na kutasa, rzucam mu spojrzenie mówiące: „Na miłość do moich siedmiuset euro, zlituj się, zerżnij ją”.

Joseph ledwo ją penetruje i zaraz wychodzi z niej miękki, sprowadzony do impotencji przez jej lodowate wnętrze, ale Larissa, nagle ożywiona, desperacko pragnąca dokończyć robotę z dwójką przeklętych smarkaczy, chwyta go i gorączkowo nim potrząsa, prężąc się

nad nim, jęcząc na całe gardło: „*Come now, come for me*”, nie bacząc na to, co ja widzę wyraźnie: Joseph jest jak nigdy daleki od orgazmu. Nie potrzeba do tego żadnej szczególnej wiedzy, wystarczy rozsądek: nie staje mu, do kurwy nędzy, co sprawia nam większy ból niż tobie – i jeśli chcesz znać moje zdanie, nie pomaga mu uścisk twoich ostrych paznokci, o nie, jak go znam, to się teraz modli, żebyś nie urwała mu fiuta.

Jak, przy swoich wszystkich dobrych intencjach, mogłam nas w to wciągnąć? Liżąc gorliwie Larissę, szukam jej oczu, na próżno, ponieważ Joseph, który ssie jej sutki, zasłania mi pole widzenia. Jestem w końcu zmuszona zaakceptować myśl, że wcale tak bardzo się nie różnimy, i pieszcząc jej nieme uda, próbuję przekazać jej swoje błaganie – Larisso, siostro moja, moja bliźniaczko, zrozum mnie, postaraj się chociaż przez chwilę, zapomnij o tym mężczyźnie między nami, absorbującym nas obie, choć z całkowicie innych powodów. Byłam tam, gdzie ty jesteś teraz, oczywiście wkurzające jest to, że mu nie staje, nie wiadomo, jak zapełnić czas, który nam pozostał. Irytuje mnie to tak samo jak ciebie. Ale chcę wierzyć, że możemy jeszcze, my dwie, naprawić tę sytuację. Larisso, byłaś w moim wieku, miałaś ukochanego, może też miałaś w kieszeni siedemset euro, by zrobić temu ukochanemu ambitny prezent. Chciałam dać mu, z twoją pomocą, orgazm, który zwala z nóg, ale ponieważ ta możliwość jest już teraz stracona, wystarczyłoby, gdybyś przestała wydawać z siebie te przeszywające jęki, bo uwłaczają inteligencji nas trojga; żebyś poczuła, co z tobą robię. Bo chyba dość miło jest trafić na kogoś, kto robi ci minetę, podczas gdy ty liczyłaś na lekcję gimnastyki. Gdybyś mogła nagrodzić mnie westchnieniem – chociaż jednym, do diabła, gdybyś po prostu położyła mi dłoń na karku, rozszerzyła tę swoją minicipkę i pokazała odrobinę zaangażowania, gdybyś chociaż udała orgazm, który mógłby naprawdę zmylić piętnastolatka...!

Czy jesteś w stanie dostrzec w jego młodych oczach nadzieję na jedną chwilę tej spontaniczności, której nie można kupić? Nawet bąk, Larisso, nawet niekontrolowany wyciek gazów z twej eleganckiej pupki wystarczyłby, żeby Joseph uznał cię za człowieka i by zaczął mu stawać.

Zatem Larissa udaje orgazm, wpasowując się sprytnie w moment, w którym Joseph dokłada swój język do mojego pośrodku tej tablicy rozdzielczej, która u niej zastępuje srom. Mam wrażenie, że przeskakujemy nad mikroskopijnymi zakończeniami nerwowymi jej łechtaczki, która prawdopodobnie świetnie reagowałaby na pióro wróbla. No, ale dobra, symuluje, i to w niezbyt ubliżający nam sposób. I kiedy Joseph robi minę myśliwego, który nareszcie czuje, że teraz pora na niego, pięć kurewskich minut przed końcem umówionego czasu, lekko zaróżowiona Larissa siada i dobija go z zimnym uśmiechem. „Słuchaj, mam wrażenie, że twój mały przyjaciel jest zmęczony...".

„Mały przyjaciel" – co uświadamiam sobie w osłupieniu – nie jest określeniem Josepha, lecz jego kutasa. I on, i ja uśmiechamy się głupio, stężali ze wstydu, a jego kutas kładzie uszy po sobie i wraca do kryjówki, zmęczony złym traktowaniem.

Gdy Larissa wreszcie wychodzi, trudno opisać gęstość ciszy, jaka zalega po trzaśnięciu drzwiami. Niemalże boję się spojrzeć Josephowi w oczy; wybuchamy śmiechem – bo tylko to nam już zostało. Siedemset euro! Ile mogłam mu za to kupić par dżinsów April 77, tych, w których zawsze mu stawał? Taki wydatek uszczęśliwiłby przynajmniej jedno z nas dwojga, zamiast sprawić, że czujemy się jak dwa niedoświadczone obszczymurki, a ja w dodatku jak jeleń.

Jednak Larissa dokonała cudu, o którym nigdy się nie dowie. Nagle, bez tego lodowatego powiewu, który zabrała ze sobą, powstaje

z popiołów ciepło nas dwojga, a myśl, że moglibyśmy uprawiać miłość, tylko Joseph i ja, i robić to jak zwykle, tak dobrze, że aż łzy napływają nam do oczu, jest tak strasznie podniecająca, jak gdybyśmy nigdy nawet się nie całowali.

– Chodź tu, mój myśliwcu – mruczy Joseph, wyciągając do mnie ramiona – piękne ramiona wyrzeźbione przez miłość i przez rok na siłowni, ramiona, przez które, gdybym była dziwką, zrezygnowałabym z jakiejkolwiek zapłaty.

Jego kutas jest tak twardy, że zaraz pęknie.

– Widziałeś, jaką miała gładką skórę? – pytam, wypinając tyłek uwięziony w jego rozczapierzonych dużych dłoniach skrzypka.

– Fakt, miała gładką skórę – zgadza się Joseph. – Wręcz za gładką, nie?

Wgryza się w mój pośladek. Wydaję z siebie pisk protestu, którego nie należy rozumieć dosłownie, i nie proszę go, żeby przestał. Joseph wpycha swój piękny nos między moje nogi i zachłannie węszy. Unoszę spódnicę, żeby zobaczyć jego uśmiechnięte, błyszczące oczy.

– Widziałeś, jaką miała małą cipkę?

Joseph kiwa głową, zatopioną w chaosie warg sromowych i owłosienia łonowego w nieładzie.

– Nadal nie jestem przekonana, czy tam w ogóle była jakaś łechtaczka.

– Dołują mnie takie cipki. Nawet u małych dziewczynek są lepiej ukształtowane.

– Skąd wiesz, zbereźniku?

Jego kły lśnią, a ja wzdycham:

– Jej dupa nie miała zapachu…!

– Za to twoja…

Czubek jego nosa wystaje sponad mojego tyłka, a on bierze niekończący się wdech i przymyka powieki, jak na szczycie góry.

– Dotknij, sprawdź, jak mi staje.

– Rzeczywiście! Dlaczego teraz?

– To przez twoją dziurkę w dupie.

Koniuszek jego kutasa rozsuwa lekko ujście mojej cipki, mam usta pełne śliny, pełne sprośnych słów. Jedna tylko rzeczywistość wylewa się z prezentu urodzinowego dla zakochanego chłopca:

– Czy mogę cię zmaltretować na swoje dwudzieste pierwsze urodziny?

Co to jest siedemset euro? Ile jest wart w porównaniu z tą nędzną sumą zapach Josepha, czas, który staje w miejscu i traci jakiekolwiek znaczenie, i to, że kleimy się do siebie, ogłuszeni rozkoszą, która jak nigdy dotąd przypomina śmierć – choć ta perspektywa nie przeraża nas ani przez moment.

Ale odbiegam od tematu.

Obecność Larissy, cienia rzuconego na środek świetlistej plamy naszej miłości, nie przeszkodziła nam w spędzeniu urokliwego weekendu, rozciągniętego między kotłującym się romantyzmem a piersią kaczki, którą delektowaliśmy się dzień później na tarasie knajpki przy rue Rivoli. Knajpki, która – przypadek lub nie – była przez cztery lata naszym schronieniem; to tu lizaliśmy rany po wszystkich kłótniach, wszystkich dramatach, tu uczyliśmy się kochać na nowo przy butelce zbyt słodkiego coteaux-du-layon, które czyniło z nas istoty zamyślone, sentymentalne. Joseph przychodził wkurzony, zdegustowany moją osobą, lecz wystarczyło, że umoczył wargi w tym nektarze – podczas gdy ja modliłam się, by Stwórca pozwolił mi jeszcze choć raz poczuć łaskę pocałunku tych przepięknych ust – a jego naburmuszone oczy natychmiast rozświetlała iskierka przyjemności; i już był gotów rozmawiać, słuchać, jak wylewam z siebie żałosne i beznadziejne tłumaczenia recydywistki niewierności. I ta alkoholowa pieszczota podpowiadała mu szeptem, że

naprawdę nie trzeba mieć do mnie żalu. Że nie trzeba wierzyć w to, czego zdają się dotyczyć moje kłamstwa. Że go kocham.

Jedno z kłamstw powtarzanych przez te cztery lata dotyczyło spotkań z Arthurem. Joseph nigdy nie uwierzył, że Arthur i ja już się nie pieprzymy. Po raz enty uwikłałam się w jakąś wymyślną bujdę, żeby tylko pójść i opróżnić z Arthurem kilka butelek różowego wina – bo komuż innemu mogłabym opowiedzieć o tym żałosnym wyczynie? Gdy kilka dni później, siedząc u niego na kanapie, przedstawiłam mu całą przygodę co do najdrobniejszego szczegółu – myślałam, że nigdy nie przestanie się śmiać. Śmiech Arthura oczyszczał mnie z gniewu:

– Co ci strzeliło do głowy, że wzięłaś Rosjankę?

– Wiem. Chciałam, żeby była ładna.

– Rosjankę, która umawia się z tobą w Café de la Paix!

– Wiem, kurwa. Wiem. Nie dobijaj mnie.

– Rosjanki są dla zobojętniałych biznesmenów. Nie wiem, nie masz jakiejś koleżanki, którą to by mogło kręcić…

– Nie, nie mam koleżanek w tym stylu. Wiesz, jak trudno jest zaproponować kumpeli, żeby przespała się z twoim facetem? A nawet, przyjmując, że byłaby zainteresowana, trzeba jeszcze ją przekonać, żeby to odbyło się w określonym dniu, w określonym czasie i bez uprzedniego spotkania… Nie, to jest misja dla kurwy, nie widzę nikogo lepszego do takiego zadania.

– Tak, ale ty masz w stosunku do kurwy za duże oczekiwania. I w sumie nieważne – Rosjanka czy nie. Dla tych dziewczyn to zwykła praca. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby zawsze miały ochotę?

– Chcesz mi powiedzieć, że młoda parka, taka jak my, niczym się nie różni od grubego oblecha po sześćdziesiątce?

– Dla nas się różni, bo nie jesteśmy kurwami. Dla niej na pewno ten obowiązek był mniej przykry z ludźmi takimi jak wy, lecz

w gruncie rzeczy może było jej trudniej, bo nie jest przyzwyczajona do młodych parek. Tak najwyraźniej to wyglądało.

Przez chwilę zastanawiałam się intensywnie, co mi się często zdarza z Arthurem, bo jego głos ma częstotliwość zdolną wpływać na zmianę nawet najbardziej utrwalonych opinii.

– Chcę tylko powiedzieć, że zawód kurwy polega mimo wszystko na oferowaniu iluzji.

– Właśnie to dostałaś. Iluzję.

– Mam na myśli iluzję, w którą można uwierzyć. A nie cyrk, który z daleka śmierdzi oszustwem.

– Mimo wszystko pozostaje iluzją, bo taka jest umowa. Wiesz o tym. Ale może kobieta jest mniej łatwowierna od mężczyzny i może trudniej ją zaspokoić. Oczywiście lepiej, gdy robota jest dobrze wykonana i można mieć wątpliwości, ale myślę, że faceci milcząco godzą się z faktem, że to komedia. Zapewniam cię, że panienki przy Porte Maillot, te, które obciągają w samochodzie, nie wysilają się za bardzo, żeby udawać. – Arthur uniósł brew. – Ale wiesz, to kosztuje trzydzieści euro.

– Ach! – wrzasnęłam.

– A ty ile zapłaciłaś?

– Siedemset za dwie godziny.

Arthur znowu wybuchnął śmiechem i tym razem mnie zdenerwował.

– Przestań.

– O, kurde! Siedem stów?

– Przypuszczam, że za siedem stów miałam prawo żądać co najmniej Comédie-Française.

– Ależ ma się rozumieć, księżniczko.

– Bo przecież zgoda, to jest robota, ale gdy ktoś tak świetnie zarabia, to mógłby się chociaż zdobyć na zwykłą życzliwość, nie?

– Życzliwość! Słuchając cię, czuję, że wchodzimy w jakiś błyskotliwy koncept.

– Ja w każdym razie tak bym robiła. Grałabym na wysokim *C*.

– Wiadomo, byłabyś cudowną dziwką. Najlepszą ze wszystkich.

– Tego nie powiedziałam.

– Ale ja powiedziałem.

Tamtego wieczoru nie robiliśmy z Arthurem niczego zdrożnego i do końca życia będę się trzymać tej wersji.

Monolith, T. Rex

Gdy oczy innych ludzi spoczną na tych linijkach, sporego kawałka Berlina już nie będzie, zniknie otoczony niemal całkowitą obojętnością. Takie rzeczy przydarzają się codziennie, wszyscy berlińczycy przeżywają w ten sposób żałobę po jednym lub kilku miejscach, które uznawali za wieczne, a które pewnego dnia wyparowują. I jakaś mała uliczka, znaleziona przypadkiem, gdy spacerowali bez celu, bo nie dotarli do czegoś, czego akurat szukali, już na zawsze będzie miała dla nich posmak osobistego odkrycia.

Nie wiem, jak radzić sobie z tego typu stratą. Nigdy nie musiałam mierzyć się z taką sytuacją – zazwyczaj to ja porzucam drogie mi miejsca, by zdać sobie sprawę, gdy do nich wracam, że nie byłam koniecznym elementem ich prawidłowego funkcjonowania. W tym określonym wypadku stosuję tchórzowską metodę, która dość dobrze się sprawdza: próbuję nie myśleć. Omijam wzrokiem ten obszar planu linii metra, a ponieważ nic mnie nie zmusza, by jeździć w tamte okolice, moja nostalgia, choć chroniczna, pozostaje lekka.

Tylko że wczoraj zabłądziłam, jeżdżąc na rowerze, i starając się odnaleźć znajome główne arterie, trafiłam na skrzyżowanie, na którym zatrzymywał się mój autobus jeszcze niecały rok temu. Rozpoznałam piekarnię i sklep z narzędziami. Z pobliskiego ogromnego kościoła niosły się coraz cichsze uderzenia dzwonu, który z perspektywy naszych pokojów brzmiał jak zrzędzenie zniesmaczonego krewnego – zbyt dalekiego lub zbyt starego, by mógł w nas wywoływać skrupuły. Kościół, który wydawał się jeszcze potężniejszy, gdy

stał w sąsiedztwie burdelu, rzucał cień na kawiarnię, gdzie dziewczyny piły po pracy piwo z sokiem. Lodowaty chłód sączył się z jego murów, grobowcowy powiew, który oczyszczał nas z wilgotnego ciepła, z odurzającego zapachu dwudziestu samic oddychających tym samym tlenem.

Właśnie taki był Dom: rozkraczony między świątynią a przedszkolem; nic dziwnego, że próbowano go zamknąć – i że w końcu się to udało. Dzwonnica była naszym zegarem, a dziecięce piosenki niosły wytchnienie dziewczynom, gdy paliły w ogrodzie.

Był taki czas, niezbyt odległy, gdy przypinając rower, podnosiłam wzrok i po firankach widziałam, która z nas już pracuje. Za różową, fioletową albo żółtą organdyną przesuwały się sylwetki; rozpoznawałam je natychmiast. Za słomiankami na balkonach dostrzegałam kłęby dymu i cienie rozłożonych nóg. Teraz nie ma tam już nic do oglądania. Między szkołą a kościołem stoi budynek, w którym prywatne mieszkania sąsiadują z biurami. Z biurami! Idzie się popłakać. Nie trzeba wchodzić na podwórze, by domyślić się, że tam, gdzie kiedyś był ogród, jest teraz designerski taras, wyścielany sztuczną i toksyczną trawą – z miejsca, w którym teraz stoję, mogę z łatwością wyobrazić sobie biurowy open space – kilka stolików, ławki z polietylenu, pastelowe popielniczki, przy których pali się fajki i popija latte podczas przerwy, wyznaczonej przez korpo-guru. Pewnie kazał rozwalić łomem wszystkie bidety. „Nienawidzę was, wsiury" – myślę, próbując dostrzec za gołymi szybami przynajmniej jedną twarz, na której mogłaby skrystalizować się moja pogarda.

W tej właśnie chwili przez ulicę przeszła chmara maluchów wraz z kilkoma opiekunkami. Rozpoznałam ją, gdy mnie mijała, po czułych refleksach w głosie. Trzymała za ręce dwie dziewczynki i próbowała zagonić do stada małego chłopczyka, który patrzył zafascynowany, jak sprzedawca kebabów kroi mięso. Ciężkie włosy zebrała

w surowy kok, a ubrana była w przywiędłą spódnicę i espadryle. Nasze spojrzenia spotkały się, gdy chwytała chłopczyka za rękę – i upłynęło kilka sekund, zanim uprzejma obojętność przeistoczyła się niespiesznie w wyraz namysłu. Widziałam, jak przeszywa ją dreszcz, gdy wreszcie mnie sobie przypomniała. Jestem pewna, że odezwała się do mnie ze strachu, że nazwę ją imieniem, na które już przestała reagować:

– Ej! Jak się miewasz?

Zlękniony uśmiech. Wymowne spojrzenie na towarzyszące jej stadko – i nieme pytanie, kim mogłabym dla niej być: dawną sąsiadką, kuzynką, siostrzenicą?

– Akurat byłam w okolicy. Cóż za zbieg okoliczności! Jak się masz?

– Świetnie, dzięki.

Dwie dziewczynki, które trzyma za ręce, obserwują mnie. Robię w ich kierunku gest, który wydaje mi się uspokajający, ale nigdy nie umiałam zachować swobody przy dzieciach, więc nadal stoją z otwartymi buziami i wbijają we mnie zbyt inteligentne oczy. Jesteśmy osaczone, a ona najwyraźniej się męczy.

– Muszę lecieć.

– Ja też. Miło było cię spotkać po tak długim czasie.

Ulga pozwala jej się uśmiechnąć, a potem roześmiać i na dźwięk jej śmiechu wraca do mnie tyle wspomnień, że jednocześnie marznę i jest mi gorąco, i chce mi się płakać. I nie pomaga wcale retoryczna sugestia, którą rzuca, by nie uciec ot tak:

– Trzeba przy okazji skoczyć na jakąś kawę.

– Chętnie.

– Zdzwonimy się.

I gdy odchodzi w aureoli dziecięcego szczebiotu, który dawniej codziennie rozbrzmiewał pod naszymi oknami, ogarniają mnie dwie refleksje: po pierwsze, choć w gruncie rzeczy nie ma to znaczenia,

ona nie zna mojego numeru, a ja nie znam jej. Po drugie – i ta myśl tłucze się w mojej głowie przez cały dzień, a w każdym razie do chwili, w której wreszcie udaje mi się dotrzeć na Kreuzberg – ten tyłek, podskakujący pod spódnicą w kwiaty, nie zmienił się ani o centymetr. I choć upłynęło kilka miesięcy od czasu, gdy stała przede mną naga, choć jej imię zginęło w odmętach mojej pamięci, to wyryło się w nich na stałe wspomnienie o jej dupie, o galaretowatym białym cielsku i konstelacji pieprzyków przy kości ogonowej, o jej wspaniałym tłustym zadzie, który obnosi teraz po Berlinie, przebrana za przedszkolankę.

Spicks and Specks, The Bee Gees

Chcę przypomnieć sobie wszystko. Musi gdzieś pozostać dokładny opis tego, czym był Dom, i ten opis powinien od razu przywoływać obrazy – jak najbliższe prawdy. Ale może w gruncie rzeczy dokładność nie ma tu większego znaczenia. Bo choć przyda mi się pewien talent, by odtworzyć układ pokojów i kolory zasłon, najbardziej zajmuje mnie sposób, w jaki oddam duszę tego miejsca, wszechobecną tkliwość, która kicz przemieniała w piękno. Nie potrzeba wielu słów; wystarczy, że będą odpowiednie. Przeciętnemu pisarzowi wystarczyłoby dziesięć stron. Ja napisałam ich już dwieście i ani razu nie poczułam, że dotykam tego, co interesuje mnie naprawdę – jedynej rzeczywiście ciekawej rzeczy. Naświetlam temat pod tysiącem różnych kątów, a on za każdym razem mi się wymyka, pozostawiając w głowie pustkę większą niż to, co jeszcze przed chwilą ją zapełniało.

Dotarłszy tu metrem, jak to robiło wiele dziewczyn i wielu klientów, musimy iść w górę szerokiej alei, w kierunku kościelnej dzwonnicy. Ale najpierw jest park, zielonkawy latem, a zimą bardzo ponury, z zamarzniętym jeziorem otoczonym jak na smutnym obrazie przez smukłe, ciemne, przysypane szronem drzewa. Za parkiem – *Biergarten,* który dziewczyny mijają ze spuszczoną głową, by nie dostrzec przypadkiem żadnego klienta. Żłobek, przedszkole. Piekarnia, solarium. Kebab i kwiaciarnia naprzeciwko. Stara zachodnia dzielnica bez atrakcji turystycznych, której nie odwiedzałby nikt poza mieszkańcami, gdyby nie tamte drzwi w kamienicy pod numerem

trzydzieści sześć. Ledwo widoczne, ukryte między dwoma szpalerami krzewów przyciętych w kule. Wśród jednakowych dzwonków wyróżnia się przycisk w starym stylu; wystarczy go dotknąć, a drzwi się otwierają, ukazując nieco ponury, pozornie mieszczański hol z płytkami ułożonymi w szachownicę. Małe, zniszczone drzwi w głębi, pominięte w trakcie niedawnych remontów, prowadzą na podwórko – studnię, gdzie już unosi się zapach Domu i gdzie słychać, stłumione przez podwójne szyby, śmiechy dziewczyn i dzwonki w pokojach, do których wchodzą i z których wychodzą mężczyźni.

Za słomiankami wyblakłymi od deszczu widać błękitny dym; kobiece imię, rzucone czasem na głos, rozbija ciszę fałszywie brzmiącymi, przesłodzonymi samogłoskami. To mógłby być wewnętrzny ogródek, tak zostało to pomyślane. Jeśli nie wejdzie się do Domu – co ja zamierzam zrobić – nie można w żaden sposób określić, skąd dochodzą te pomruki, te jęki, pochrząkiwania przepalonych gardeł.

W drugim holu, który uznano za moralnie niegodny remontu, są schody z drewna toczonego przez korniki i piękna szeroka poręcz, starannie rzeźbiona, pokryta łuszczącą się farbą. Gdy zamknę oczy, czuję jeszcze, zawsze będę czuła, jej krągłość, bogatą fakturę, gadzi poślizg pod palcami. Schody prowadzą prosto na pierwsze piętro, a tak naprawdę – na półpiętro, nazywane tu *Hochparterre*. Zupełnie nie pasują do tej starej kamienicy ciężkie pancerne drzwi, do których przybito złote litery, tworzące nazwę Domu i dziwaczne określenie „Samopublikowanie". Jak gdyby firmę wydającą książki własnym sumptem stać było na takie drzwi albo na takie litery.

Kładę palec na guziku dzwonka; z wnętrza dobiegają zduszone, przejrzałe trele, dziewczyński jazgot, który cichnie nagle i znów rozbrzmiewa, o pół tonu ciszej. Już słyszę kroki *Hausdame,* i przez tę krótką chwilę, której ona potrzebuje, żeby przepchać się między dziewczynami, wypełniam płuca powietrzem zalegającym na klatce

schodowej, powietrzem, które już samo w sobie stanowi filtr. Spod drzwi wydostają się zapachy damskich perfum i mieszają się z wyziewami pralni na pierwszym piętrze, gdzie samopublikujących się pięćdziesięciu pisarzy pierze swoje ręczniki i gatki. Połączenie tych dwóch ostrych woni ma w sobie coś dziecinnego i obscenicznego zarazem, jakbyśmy wąchali bieliznę bandy gimnazjalistek, które zamknęły się w toalecie, żeby zapalić – a w pokojach, które dziewczyny wypełniają swoimi jękami, rozpylono dość pospolitą esencję, coś między chlorem a tanim dezodorantem, i zapalono pięć różnych kadzidełek, próbując bez skutku wyplenić smród papierosów, spoconych pach, zatłuszczonych palców i mężczyzn, którzy nigdy nie zostają na dłużej – ta ostatnia nuta jest dość cierpka, ledwo wyczuwalna. Za dziesięć lat, gdy dwadzieścia razy zmienią się najemcy biur, gdy kilka razy przemaluje się ściany, na tej klatce nadal będzie się unosił zapach, którego pochodzenia nie wyjaśni nikt poza berlińczykami pamiętającymi gołe kutasy w mroku pokojów i cipki myte pod głośnymi strumieniami wody w dawno już zlikwidowanych bidetach.

Drzwi się otwierają; organiczne wyziewy są wyraźniejsze, bardziej namacalne, a jednocześnie – lepiej zakamuflowane przez armię świec, palących się na stojaku przy wejściu. Tańcząca aureola płomieni ożywia podłą reprodukcję Klimta – a właściwie zwykły plakat w bardzo ozdobnej ramie. W tym ośmiokątnym pomieszczeniu znajduje się dwoje drzwi; jedne prowadzą do saloniku przypominającego buduar. Jest tu biały skórzany fotel, niski stolik zasłany starymi numerami „Der Spiegel", które klienci przeglądają z takim samym nieuważnym lękiem jak w poczekalni u lekarza, i las sztucznych roślin od podłogi po sufit – znikają tu i tam pod zasłonkami i pojawiają się znowu przy secesyjnej lampie, która wypełnia pokój stłumionym światłem. Tu jest jaśniej niż w jakimkolwiek innym miejscu; to tutaj wchodzą mężczyźni, siadają w białym fotelu i kilka

minut później dołączają do nich dziewczyny, jedna za drugą, a ich zwielokrotnione sylwetki odbijają się w lustrach na ścianach. To pomieszczenie nazywane jest męskim salonem, mimo że zawsze należało wyłącznie do dziewczyn; mężczyźni są tu tylko przyczajonymi gośćmi, skulonymi w fotelu, który wcześniej połknął już tylu innych. Wymienialni do bólu, podczas gdy każda wchodząca tutaj kobieta wnosi własny zapach i własną aurę, które zostają jeszcze długo, długo po jej zniknięciu.

Drugie drzwi pozostają zawsze uchylone. Za nimi ciągnie się wąski korytarz z bordową wykładziną, wyświechtaną stopami dziewczyn i ich klientów. Na ścianach – plakaty z belle époque, często francuskie. *Pocałunek* Klimta – znowu on – wisi nad nadprożem kolejnych drzwi; to Żółty Pokój z ciemnym dębowym parkietem. Po lewej, tuż przy wejściu, stoi komoda z jasnego drewna, a na niej – bukiet plastikowych polnych kwiatów. Po prawej – sofa okryta żółtą narzutą, gerydon i podstawka na drobiazgi, gdzie nikt nigdy nie opróżniał kieszeni. Jednak tym, co od razu przyciąga wzrok, jest stojące pośrodku łóżko. Od razu widać, że komoda, gerydon i sofa to tylko dodatki, ornamenty przeznaczone dla nieśmiałych, sparaliżowanych bliskością efektownego łoża. Na sofie siada się tylko po to, by przywyknąć do widoku gołej dziewczyny, która wspina się na tę estradkę i rozkłada na satynowych złocistych i ciemnozielonych poduszkach, pomiędzy dwoma ogromnymi tryptykami. Pierwszy ma sześćdziesiąt lat, jedna z najstarszych pensjonariuszek wygrzebała go na jakimś pchlim targu. Ilekroć na niego patrzę, zastanawiam się, co widział, zanim wylądował tutaj, gdzie dwadzieścia, a czasem nawet trzydzieści razy dziennie musi oglądać mniej lub bardziej barokowe wygibasy mężczyzn ejakulujących z zamkniętymi oczami i dziewczyn, które dosiadają ich, zerkając na tarczę zegara. Tuż obok jest Pokój Liliowy, który wygląda jak brudnawy motel, słabo podświetlony ultrafioleto-

wymi neonówkami. Białe panele na podłodze wybrzuszają się w kątach, podeszwy i wysokie obcasy zostawiły na nich ślady przy łóżku – trochę obskurny Pokój Liliowy, gdzie chodzi się tylko wtedy, gdy inne są akurat zajęte. Przylega do niego drugi, maleńki salonik; tam też czekają mężczyźni, o których czasem się zapomina, zwłaszcza gdy jest duży ruch.

Gdy zawrócimy i ponownie miniemy męski salon, dotrzemy do przedsionka z krętą odnogą drugiego korytarza. To główny punkt obserwacyjny, o którym nie wie żaden przedstawiciel płci męskiej. Purpurowa, stale drżąca teatralna kotara stanowi granicę między światem zewnętrznym a tym zamkniętym uniwersum, wymyślanym przez dziewczyny codziennie na nowo, między dziesiątą a dwudziestą trzecią. Jeśli drzwi wejściowe na chwilę się uchylą, bo stanął w nich mężczyzna, zimne powietrze natychmiast rozpływa się w ciepłej wilgoci dużego pokoju dziennego, który pulsuje za kotarą. Gdyby klienci byli uważniejsi, gdyby nie zaślepiała ich chuć, a *Hausdame* nie prowadziła ich prosto w kierunku białego skórzanego fotela, być może dostrzegliby w rozcięciu kotary migające długie nogi obleczone w czarne pończochy, połowę twarzy o zmrużonych oczach, tipsy rozsuwające ściśniętą tkaninę.

Ciągnie mnie za tę kotarę, jednak ważniejsze są teraz coraz bardziej zacierające się w pamięci pokoje. Nie kochałam ich wystarczająco mocno, lecz chcę zatrzymać wspomnienia. W zakątku korytarza stoi stiukowa fontanna z Wenus, z której woda pachnąca imbirem sączy się przy akompaniamencie dźwięku, jaki wydaje siusiające dziecko. Tuż za fontanną – Pokój Srebrzysty, jak pudełko czekoladek wyścielane od podłogi po sufit śliwkową tkaniną. Jest lilipuci, łóżko rzuca się w oczy, rozciągnięte od ściany do ściany. W głębi, pod baldachimem haftowanym w gwiazdy – małe okienko, przez które wpada z podwórza ciepły powiew, niosący dziecięce piosenki śpiewane

podczas przerw. Umywalka jest ukryta za drzwiami, a przy niej – stos złożonych ręczników. W tym miejscu Domu gromadzą się wszystkie zapachy rozpylane, by zamaskować wyziewy ciał; zmysł węchu szaleje, czujemy zawroty głowy i nieodpartą chęć, by opaść na łóżko i podpełznąć do okna. Obrazy na ścianach, jedyni świadkowie tego omdlenia, wyglądają jak halucynacje – być może dlatego, że w normalnym świecie nigdy nie znalazłyby się obok siebie ryciny z *Kamasutry*, reklama balu z lat dwudziestych i kopia Tamary Łempickiej wśród fioletowych draperii. Jesteśmy na skraju niestrawności, ona rodzi się w tym pokoju z histerycznych uścisków, po których następuje trudne do przełamania milczenie. Po wyjściu na przepełniony zepsutym powietrzem korytarz czujemy się, jakbyśmy spacerowali po lesie.

Za Srebrzystym są drzwi do szafy z zamkniętą na kłódkę kratą. Kiedyś zatrzaskiwano w niej mężczyzn podczas seansów sado-maso; po to ją urządzono. Pamiętam jeszcze, jak świeciła się w niej czerwona żarówka, lecz w końcu uznano, że niezbyt praktycznie jest trzymać kogokolwiek pośrodku korytarza, którym przemykają dziewczyny i nadzy mężczyźni po wyjściu z łazienek. Teraz, gdy otworzymy kratę, która skrzypi jak w prawdziwym lochu, zobaczymy kartony, w których piętrzą się rzeczy znalezione, buty bez pary, tanie gorsety, majtki i biustonosze, wydzielając całkiem miły zapaszek kurzu i niemytych stóp.

Obok, między klatką a Studiem BDSM – męska łazienka; podłogę wyłożono szarym marmurem z czarno-złotym żyłkowaniem, pretensjonalnym i cudownie brzydkim, tak śliskim, że trzeba było go przykryć dywanikiem łazienkowym, by zagwarantować bezpieczeństwo starszym lub niezdarnym klientom. Gdy słońce pada pod odpowiednim kątem, widok wydaje się dość okazały, podłoga wygląda jak nieruchomy staw, po którym ślizgają się wielkie nenufary. W łazience

jest kabina prysznicowa, w głębi – muszle klozetowe i przykryta szkłem reprodukcja z Pigmalionem i Galateą w miłosnym uścisku. Po skończonych ablucjach należy wcisnąć ledwo widoczny guzik nad drzwiami; wówczas w salonie kobiet rozlega się dźwięk dzwonka, zapowiadający wybrance, że klient jest gotowy, by wrócić do pokoju. System guzików we wszystkich pomieszczeniach minimalizuje ryzyko spotkań między klientami – pracownika z szefem, męża ze szwagrem czy matki z synem. Lecz oczywiście nie wszystkie dziewczyny i nie wszyscy klienci są jednakowo skrupulatni. I często dochodzi do takich spotkań – kobiety chichoczą wówczas, rozbawione własną udawaną obojętnością, a mężczyźni spuszczają wzrok, jakby ktoś przyłapał ich na gorącym uczynku, popychani w kierunku bezpiecznych kryjówek przez swoje chwilowe towarzyszki.

Na końcu korytarza docieramy do Studia. Gdy zamknięto Dom, jakiś anonimowy oryginał odkupił je w całości za śmieszne pieniądze; lubię wyobrażać sobie, że był to kaprys starego klienta, który czuł się jak u siebie między kozłem BDSM a bambusowymi laskami, jednak prawdopodobnie był to po prostu dzierżawca jakiegoś burdelu, chcący doposażyć placówkę. Wszystko w środku jest czerwone i czarne: antypoślizgowe linoleum na podłodze oraz czarny skaj i farba barwy świeżej krwi na ścianie, z którą kontrastuje stojak najeżony biczami, dyscyplinami i innymi przedmiotami o różnych kształtach i kolorach, wszystkim, co ludzki mózg był w stanie wymyślić, by obsłużyć tylną część ciała. Tuż przy wejściu stoi fotel z lakierowanej skóry; w świetle dziennym budziłby litość, tak bardzo jest połatany czarną i srebrną taśmą. Siedząc w fotelu, wystarczy wyciągnąć rękę, by wziąć ze szklanego stolika angielskie pisemko „Victoria" przeznaczone dla fanów kobiecej dominacji. Nigdy nie wymieniono numeru – jest to zawsze ta sama goła babka w białych kozakach, rozłożona na futrze. Wydawnictwo w rodzaju tych, które zamawia się po kryjo-

mu i przy którym dwadzieścia lat temu można się było pewnie masturbować. Są w nim pożółkłe zdjęcia mężczyzn z gołymi tyłkami, dosiadanych przez naburmuszone panie, które domagają się, by lizali im ubłocone pięty. By mieć pewność, że nic nie umknie uwagi zainteresowanych, jakiś gryzipiórek wysmarował historyjkę mającą podbić działanie obrazków i okrasił ją nadmiarem dialogów, od których sam zapewne umierał ze śmiechu lub pocił się z zażenowania – ale przecież źle ukrwiony mózg czytelnika w stanie erekcji nie wiedziałby, co robić z produkcją dobrego dialogisty. Naprzeciw głębokiego fotela stoi dziwny kozioł BDSM z otworem – nigdy nie doszłam, co należało przez ten otwór przekładać. Dwa olbrzymie lustra odbijają w nieskończoność osobę przywiązaną do kozła albo do ławki pod oknem. W kącie – zaokrąglona komoda z szufladami pełnymi sznurów i fascynujących narzędzi; oraz z asortymentem kajdanek i linek tak szerokim, że nigdy nie wiadomo, co wybrać, i zawsze kończy się na używaniu tych samych albo wygrzebywaniu tych, które leżą na dnie, tak jak rotacyjnie wyjmuje się talerze z dołu stosu. Do Studia wpycha się często klientów w godzinach szczytu, większość z nich nie śmie nawet usiąść z obawy, że ktoś uzna to za milczącą zgodę na ten pokój. Mężczyźni boją się Studia, dziewczyny przychodzą tu telefonować i długo sprawdzają w lustrze, czy szew na pończochach równo się układa. Czerwone światło padające z sufitu spłaszcza facetów, podkreśla piękno skóry dziewczyn, bawi się cieniem na ich twarzach, w których białka oczu lśnią przesadną bielą.

Zawracam teraz w kierunku teatralnej kurtyny, zza której dochodzą śmiechy i szepty. Żyjąc tu, wiele razy pragnęłam być mężczyzną, ale wówczas nigdy nie mogłabym wślizgnąć się za tę kotarę ani nawet snuć się po zakamarkach Domu – i przegapiłabym dziewięćdziesiąt procent najważniejszych miejsc. Oczywiście mogłabym po kryjomu zerknąć do łazienki dziewczyn, dostrzec umywalkę, do której

plują po przepłukaniu ust z dezynwolturą przeżuwaczy tytoniu, oraz boski bidet, a na nim Hildie, która siedzi okrakiem i narzeka płaczliwym tonem na powolność ostatniego klienta, a jej loki podskakują w rytmie dłoni poruszającej się między nogami, albo Gitę, wycierającą się bez czułości i opowiadającą o swoim – przekupki w ciałach młodych kurtyzan. Ale nie mogłabym pójść za nimi, gdy drepczą z majtkami na kostkach w kierunku dużego salonu kobiet, zaplątując się po drodze w purpurową kurtynę. Nie znałabym wiecznie zadymionej kuchni, w której dziewczyny jedzą i rozmawiają, przekrzykując się w zgiełku, ani blatu, który omiatają ruchem dłoni, by usadzić na nim jeden pośladek, ani na wpół otwartego okna, zza którego dobiega gwar targu na placu. Nie zobaczyłabym też dużego lustra stojącego przy wyjściu z kuchni ani siedzącej przed nim Esmée z rozbebeszoną kosmetyczką między udami i malującej sobie prowokujące brwi, dla których niektórzy klienci przyjeżdżali tu z najbardziej zapadłych wioch Brandenburgii.

A przede wszystkim brakowałoby mi całościowego widoku z progu salonu; często przystawałam tu, z dala od wrzawy, gdy dzwonek rozbrzmiewał we wszystkich zakamarkach burdelu. Czas się dla mnie zatrzymywał i pasłam oczy obrazami. Kanapy ustawione w kształt litery L, tyłem do rzędu szafek sięgających sufitu; Agnetha siedząca przy wysokiej biblioteczce pełnej książek, które mamy czas czytać tylko pobieżnie; Birgit, która przewraca kartki powieści, przysłuchując się jednocześnie ożywionej dyskusji pomiędzy Fauną a Tinkie – jedną stojącą pośrodku salonu i macającą swój kolczyk w pępku, drugą palącą na balkonie, lecz przechyloną w kierunku wnętrza. Birgit i jej podciągnięte kolana, jej skąpe majtki wrzynające się w wargi sromowe; nawykłyśmy do tych widoków, a mimo to zawsze, przynajmniej na chwilę, przykuwały moją uwagę – jak ciężkie i niemal prześwitująco białe piersi Fauny. Stojąc nieruchomo przed

wszystkimi tymi roznegliżowanymi dziewczynami, które na mnie nie patrzyły, miałam przez dwa lata wrażenie, że jestem mężczyzną przebranym za kobietę, tak doskonale zakamuflowanym, że gdy przechodziłam obok nich, obdarzały mnie szorstkimi dziwkarskimi pieszczotami: dawały mi bardziej lub mniej głośne klapsy albo z niemal matczyną czułością głaskały po głowie, burząc rozmyślnie „nieuczesaną" fryzurę. Nie sądzę, by kiedykolwiek mnie o coś podejrzewały, nie dostrzegały ani mojej dziecięcej, szatańskiej ciekawości, ani zdumienia, kiedy zatykało mnie na widok przedziałka między pośladkami dziewczyny, malującej sobie akurat paznokcie u stóp; gdyby cokolwiek poczuły, prawdopodobnie zareagowałyby z obojętnością kobiet, które z racji zawodu muszą wyglądać i dają się oglądać, jednak przestały się przejmować mniej lub bardziej pociągającymi pozami swoich ciał.

Między kanapami stoi niski stolik, a na nim – zawsze – burdel: książki, talerze, słuchawki porzucone przez dziewczyny, oderwane przez klientów od interesującego podcastu. Przy ścianie, wciśnięte między kolejne szafki – biurko, na którym *Hausdame* trzyma papiery i dwa telefony stacjonarne – ma jeszcze prywatny komórkowy i taki, na który dzwoni do niej szefowa, agencja towarzyska i fachowiec „od wszystkiego", który nigdy nie może znaleźć narzędzi w szafach wypchanych fatałaszkami. Na brzegu biurka – lista pokojów, na którą dziewczyny wpisują godziny przybycia i wyjścia klientów oraz ich pseudonimy na post-itach, odklejanych wieczorem, by zostawić na widoku tylko liczbę klientów oraz dzienny utarg. Inna lista informuje, jakie specjalności są oferowane przez poszczególne dziewczyny – ten wordowski dokument został wydrukowany tak dawno, że teraz z trudem można odszyfrować imiona pod plamami po kawie i zrobić mentalny odsiew tych, które nadal pracują, od tych, które ulotniły się wiele lat temu. Na korkowej tablicy wiszą przypięte dziesiątki

menu różnych restauracji, numery korporacji taksówkarskich, którym wystarczy tylko imię klienta, kontakty do księgowych, którym podobno można zaufać; a na samym dole – specjalne zalecenia od dziewczyn: „Nie umawiać Carstena z Christiną!", „Gdyby zadzwonił Thomas, nie zapisywać go do Sary!", „Birgit realizuje wizyty wyłącznie od czterdziestu pięciu minut w górę!", i ta uprzejma notatka: „Lola zapomniała włożyć 210 euro do swojej koperty, proszę jej o tym przypomnieć!". Ale Lola zmyła się bez zapowiedzi dwa miesiące po moim przyjściu. Była winna dziewczynom większe i mniejsze sumy. Podobno teraz pracuje w Monachium, Genova twierdzi, że widziała ją, jak wciąga kokę w jakimś klubie, i jest oczywiste, że Dom może sobie wsadzić swoje dwieście dziesięć euro tam, gdzie słońce nie dochodzi. To niezachwiana wiara w ludzi sprawia, że notatka nadal tu wisi, wiara w lojalność, która nie bierze pod uwagę – a jeśli już, to bardzo słabo – chwiejności dziewczyn wykonujących ten zawód, sprzecznych sił, które przyciągają je do Domu i jednocześnie odpychają od niego. Ta życzliwość granicząca z naiwnością widoczna jest też na ścianie szafek – niektóre z nich nadal zdobią imiona dawno już nieobecnych pensjonariuszek, wytarte palcami nowych, a w środku tkwi kurz przesiąknięty ich perfumami.

Dalej jest ładny szeroki balkon, otwierający się na schodki z białego kamienia; cztery stopnie o antycznym wyglądzie i leniwym spadzie, z szerokimi poręczami, prowadzące do ogródka, od którego Dom wziął swoją nazwę. Widać wyraźnie, trzeba to od razu powiedzieć, że kiedyś był tu trawnik – w czasach gdy korzystali z niego właściciele. Dziś jest to kwadrat ziemi maźnięty bladą zielenią – czymś w rodzaju porostów czy mchu i gdzieniegdzie jakimś chwastem czy lichym kwiatkiem, zakwitającym w cieniu kościoła. Niemniej panuje tu zapach właściwy dla miejsca, w którym rosną rośliny i latają owady. Aby osłonić dziewczyny przed spojrzeniami sąsiadów, zało-

żono niebo z siatki, po którym pnie się rozsądna kępa bluszczu i białych powojów. To, czego nie chciała zasłonić natura, zasłonięto pnączami z plastiku; wyblakły pod wpływem deszczu i śniegu, ale całość prezentuje się charakternie, taki Wersal tuż przed wypłatą. Odbarwione lampiony zwisają ze słomianek, rozwieszonych, by spotęgować wrażenie hermetycznego pudełka. W rezultacie, wchodząc na podwórze kamienicy, widzimy wyłącznie ogródek, zwłaszcza latem. To bańka zieleni, ożywiana powolnym oddechem; w jej wnętrzu przesuwają się cienie, a nad nią unoszą się stale podejrzane dymy, pospolity podmuch kadzideł.

Gdyby ogródek przeznaczono dla klientów, zapewne włożono by więcej wysiłku w jego urządzenie, zainwestowano by w eleganckie meble; ale on jest przywilejem dziewczyn, a do tanich rupieci, które już tu zalegały, niektóre z nich dorzuciły własne kulawe sprzęty: skrzypiącą huśtawkę wyścielaną obiciem w biało-niebieskie pasy, składane krzesła ogrodowe, pokryte złuszczoną żółtą farbą, dość porządnie wyglądający leżak i – najważniejszy eksponat – majestatyczny szkielet starego kosza plażowego z Wannsee. Gdy zaczyna się lato, w pobliżu donicy z rododendronem stawiamy dmuchany basen, w którym dziewczyny moczą ciężkie nogi, dopóki któraś nieopatrznie nie strzepnie do wody popiołu z papierosa i nie zmieni basenu w wylęgarnię komarów. W lipcowe popołudnia spędzałam całą wieczność, wbijając wzrok w to oskubane podwórko. Leżące dziewczyny, duży słomkowy kapelusz na rozpuszczonych włosach Elsy. Birgit i Ingrid ze stopami po kostki zanurzonymi w przejrzystej jeszcze wodzie z początków lata. Eddie, schowana za krzakiem malin, dla zasady, bo każdy wie, że skręca jointa. I wszystkie inne, w tym ja, wchodzące i wychodzące, pilnujące opalenizny, wnoszące zimne napoje w ten nieruchawy żar. Zimą obrazek wcale nie traci uroku – choć trudniej jest chodzić po śniegu i szronie na niebotycznie wyso-

kich obcasach. Ale właśnie ten widok chowam w sercu najgłębiej: Gita i Eddie w futrach drobią przez ogródek, wydychając wielkie kłęby pary – milczące w różowym świetle grudniowego poranka, kuśtykające i pełne gracji jak dwie łabędzice, które właśnie nauczyły się panować nad przemarzniętymi łapkami. Przez całą noc padał śnieg i wielkie płatki wirują jeszcze leniwie, pudrując jasne loki Gity i czarny kok Eddie. Słychać tylko ich kroki skrzypiące na śniegu; znajdują wreszcie miejsce, by usiąść, opadają, wzniecając tumany śniegu, który skrzy się przez moment w cienkim promyku światła, a potem krzyczą chórem: „Jak dobrze!". Spod rozchylonej kurtki Gity wystaje bordowy gorset, kawałek piersi uniesionej przez fiszbiny stanika; na chwilę wyjmuje z buta stopę obleczoną w cielisty nylon, porusza palcami – nie mogłam oderwać wzroku od Gity, gdy przychodziła do pracy. A ona, jakby to czuła, odwraca do mnie swoją lalczyną twarz:

– Chodź, Justine. Tu oddycha się łatwiej niż w kuchni.

Zawsze zastanawiałam się, jak sama wtapiam się w ten obrazek – i czy na balkonie jest ktoś, w kim budzi on taką samą czułość.

Siedząc tu, w starym koszu plażowym, widzę rośliny z balkonów na drugim piętrze, widzę inne pokoje. Nie muszę do nich wchodzić, by je sobie przypomnieć. Schody pachnące żarciem, drzwi pierwszego mieszkania; długi przedpokój wyłożony czerwoną wykładziną, niska komoda wypchana ręcznikami. Kuchnia, do której dziewczyny przychodzą zerknąć na zegar i westchnąć, że czas się, do cholery, nieźle wlecze, albo wypalić nielegalną fajkę podczas spotkania z klientem. W tym pomieszczeniu słychać zduszone odgłosy dochodzące z Pokoju Złocistego – dwudziestu metrów kwadratowych obitych purpurową tkaniną, oświetloną pomarańczowymi świeczuszkami; w wykuszu stoi czerwona sofa i bufet, a na nim zdjęcie przedstawiające dwie całujące się dziewczyny. Łóżko jest szerokie, przysadzi-

ste, pokryte złocistą narzutą. Leżąc na nim, wystarczy sięgnąć ręką w dół, do mahoniowego parkietu, by natrafić na koszyczek pełen prezerwatyw i nieodzowną rolkę papierowego ręcznika. Jest to oblegany przez dziewczyny pokój, ale mój ulubiony znajduje się naprzeciw, na końcu krótkiej, ciemnej sieni. Często zmieniał nazwę: z 1001 stał się Jaśminowym, a później po prostu Czerwonym, by ostatecznie zasłużyć na wszystkie te trzy nazwy. Połowę jego powierzchni zajmuje wspaniałe, wykonane na wymiar łoże. Z sufitu spływają kilometry baldachimu, ocean organdyny, pośrodku którego błyszczy lekko arabizujący kinkiet. Światło dzienne jest przytłumione przez haftowane na czerwono i złoto zasłony. Tutaj skóra dziewczyn wydaje cię purpurowa, a w ich rozpuszczonych włosach migoczą płomienie. Elektryczny kominek naprzeciw łóżka, włączany podczas siarczystych styczniowych mrozów, emanuje ciepłem porównywalnym do ogni Hadesu. Jest tam też duży aksamitny fotel, wyśmienicie głęboki, naznaczony białymi smugami, śladami po flejtuchach, które siadały tam gołą dupą, by po seksie wypalić rytualnego papieroska – a wsunięty pod niego dywan jest wyleniały i wypłowiały w miejscu, w którym drepczą, czekając, aż facet się ubierze.

Pokój Tropikalny w mieszkaniu obok jest jak pudełeczko pachnące jaśminem aż na klatce schodowej. Sztuczne rośliny otaczają z szacunkiem ohydny mural, popełniony przez jakiegoś przeklętego artystę naprzeciwko drzwi: widok dżungli z natłokiem kwiatów i zwierząt – taka plątanina, że nawet po dwóch latach odkrywałam zawsze jakiś nowy, nieprawdopodobny szczegół. Naprzeciw tej aberracji – piękne płótno przedstawiające Bałtyk w świetle księżyca i na pierwszym planie efemeryczną jak morska pianka kobietę, która właśnie zdjęła sukienkę. Ale gdy już leżymy na łóżku, najbardziej fascynującym obrazem pozostaje zawieszone na suficie lustro, tworzące iluzję lewitacji, mimo że naklejki w kształcie motyli, fruwa-

jących wokół nagiego odbicia, nadają blademu ciału wygląd kiczowatej fotki ze Snapchata. Obok Pokoju Tropikalnego jest łazienka – Klinika. Wykafelkowana na biało od podłogi po sufit, czeka, aż jakiś mężczyzna wyrazi pragnienie, by posadzić dziewczynę na fotelu ginekologicznym. W Klinice pachnie alkoholem i płynem do dezynfekcji, mimo że wchodzi się tam wyłącznie po to, by nalać sobie wody z kranu; a jednak anatomiczne plakaty, wózki pełne instrumentów chirurgicznych i lekarskie fartuchy na wieszakach świadczą o nadziei, że w tym znienawidzonym przez wszystkim pomieszczeniu zbierać się będą kiedyś domorośli lekarze.

Na końcu korytarza, w trzecim mieszkaniu, kryją się dwa ostatnie pokoje Domu – Biały i Zielony. Pokój Biały, cały różowy z wyjątkiem kremowego laminatu, jest do bólu naiwny, z zasłonami w łączkę i orgią kwiatuszków. Łóżko i jego pretensjonalna drewniana rama wyglądają jak mokry sen starej panny. Ale gdy tylko wyjdzie słońce, nawet nieśmiałe, i zacznie prześwietlać zasłony, cały pokój rozpala się różowym światłem, kwiaty znikają, bibeloty rozmazują się, skąpane w tym waginalnym blasku, i już nie czujemy się zatrzaśnięci w fantazjach starej panny, lecz wtuleni w nią samą, miękko wessani pomiędzy jej uda, a jedyną oznaką świata zewnętrznego jest rzewna i na dłuższą metę trudna do zniesienia muzyka, która rozlega się w całym Domu przez głośniki na suficie. W porównaniu z Białym Pokój Zielony odznacza się elegancją najwyższej próby, bo jedynym przejawem wybujałego kiczu jest tu szklana fontanna, najczęściej zepsuta. Gdy działa – a to znaczy, że na cały dzień ryzyko porażenia prądem zostało oddalone albo że konserwator dał porządnego kopa w odpowiednie miejsce – cały pokój wypełnia piżmowa, oszałamiająca wilgoć. Duża kuchnia w tym mieszkaniu obfituje w skarby, zapomniane przez dziewczyny i ich klientów. Listy miłosne, gumki do włosów, ta-

nie krawaty, mydła, szminki, pozostawione w odtwarzaczu płyty kompaktowe, które tak wiele mówią o właścicielkach.

Pod koniec dnia można zgadnąć, w jakim humorze była ta czy tamta, jak ewoluowały ich nastroje. Esmée, która zaczyna o jedenastej w Złocistym – od nastroszonego typa, co to na zdjęciach wyglądał szczuplej – a kończy o siedemnastej, zrzędzi, zaciągnąwszy trzech następnych klientów w korzystniejszy dla urody półcień Czerwonego. Gita, która ma okres i dziś będzie wyłącznie urzędować w Studiu, wyżywa się na kilku facetach, klęczących pod jej piersiami, podrygującymi w rytm uderzeń szpicrutą. Ingrid w nowej fryzurze, krążąca między Białym a Czerwonym, by prezentować i podziwiać we wspaniałych zwierciadłach swoją wyprostowaną grzywkę. Agnetha, która kończy szybciej, niż powinna, bo pokaleczył ją pewien nadgorliwy klient. I jeszcze ona. I one. Ich pełne frustracji westchnienia, gdy otwierają szafkę z kluczami i widzą, że pokój, na który miały ochotę, jest już zajęty. I genialne wymówki, by nie iść do tego czy do tamtego, chociaż klient prosi – „krzyż mnie boli, a ścielenie łóżka w Liliowym to koszmar, w Srebrzystym się duszę, bo za oknem kwitnie akurat kasztan, a ja mam uczulenie na pyłek. W świetle Tropikalnego moja dupa wygląda na większą, w Złocistym czuję się taka samotna, Genova jest obok i rozpraszają mnie jej krzyki…" – i konstelacje, które tworzą, a raczej tworzyły, w tych pomieszczeniach, wynajmowanych teraz jako apartamenty na urlop, w tym ogrodzie, gdzie dziś chodzą na papierosa niewolnicy innego rodzaju – dokąd idzie dusza miejsca, zamieszkiwanego w sposób tak nieokiełznany?

Little Bird, The White Stripes

Dorothée, cała goła, smaruje nogi oliwką cytrynową, której woń miesza się z zapachem stygnącej zupy, zostawionej przez jedną z dziewczyn na brzegu niskiego stolika. Udaję, że czytam, ale jej nagość odbiera słowom cały sens, mam przed oczami czarno-białą papkę liter, a jedynym widokiem godnym mojej uwagi jest unosząca się nad tą papką dziewczyna, która niezbyt mnie lubi i uważa prawdopodobnie, że wypinanie w moim kierunku białego tyłka jest z jej strony gestem najwyższej pogardy. Gdy oblewa oliwką pośladki i miętosi je, by lepiej się wchłonęła, dostrzegam ciemniejszą różową plamkę oraz kilka drobnych fałdek tłuszczu – i to właśnie ten bezwstyd, ta dezynwoltura tak mnie zachwycają. To ta niedbałość, z jaką traktuje własne ciało, tak mnie rozczula – mam wrażenie, że teraz jest jeszcze bardziej naga niż wtedy, gdy wychodzi z któregoś pokoju zlana potem.

Nie bardzo wiem, kiedy ani dlaczego Dorothée przestała mnie lubić; podejrzewam, że wtedy, gdy mimowolnie oddałam jej tego grubego Francuza. Ale już wtedy wiedziałam wystarczająco dużo, by spekulować na temat jej życia poza murami Domu. W ten lub inny sposób dowiedziałam się, że była pielęgniarką. Ten zawód wykonuje jakieś piętnaście z pięćdziesięciu, czasem sześćdziesięciu dziewczyn, tworzących naszą ekipę – w tym Nadine, którą bez trudu mogę sobie wyobrazić, z tą jej uprzejmością i uśmiechem, jak ocala od rozpaczy pacjentów, którzy nie uwierzyliby, gdyby się dowiedzieli, jak sobie dorabia do pensji. Być może Dorothée należy do pielęgniarek

wybuchowych, choć przecież nie zawsze jest taka. Bywają dni, kiedy, nawet wobec mnie, jest w uroczym nastroju; śmieje się z historii innych dziewczyn, opowiada swoje, broni Domu przed krytyką nowych, tych, które przyszły z miejsc, gdzie zarabia się dużo więcej. To skłania mnie do wniosku, że jej zły humor nie ma związku z Domem ani z tą robotą, lecz po prostu ze stanem ducha, który czasem nęka kurwy, ze starzejącym się ciałem, z młodymi, które przychodzą, z coraz trudniejszymi do zniesienia „okienkami" między jednym klientem a drugim. Czuję, że gniew Dorothée nie jest skierowany przeciwko nam, lecz przeciw całemu światu, a wręcz – całemu wszechświatowi. I gdybym lepiej znała niemiecki, gdybym mogła prawić jej kazania, powiedziałabym jej, gdy tak się wykręca, by rozsmarować oliwkę pomiędzy udami, że jest wiele młodych kobiet znacznie brzydszych od niej; że niektóre z nich nie mają, i nigdy nie będą miały, tak idealnie gładkiej skóry i tak płaskiego brzucha, w którym wyrosło dwoje dzieci, nie zostawiwszy po sobie choćby drobnego rozstępu.

Ale oto zjawia się Esmée w turbanie z ręcznika na głowie.

– Już wychodzisz?

– Jak to „już"? Jestem tu od południa.

– Ale ładny zapach! – wykrzykuje Esmée i nie pytając o pozwolenie, z zachwycającą bezpośredniością, jaka rodzi się wśród zamkniętych razem kobiet, pochyla się nad ramieniem Dorothée, by je powąchać ze zmrużonymi oczami.

Choć spędziłam w burdelu blisko dwa lata, nie nabrałam tej śmiałości, której im zazdroszczę. Spędziłam dwa lata w świecie, w którym dziewczyny obwąchują się na wszystkie strony, a nadal się czerwienię, gdy któraś z nich całuje mnie w policzek. Nie czuję podniecenia, gdy widzę, jak Esmée wącha Dorothée, porusza mnie jedynie ufność, z jaką traktują osoby własnej płci, zwyczajność odruchu, z jakim

analizują jedna drugą. Być może dlatego, że większą część dnia spędzają na fantazjowaniu o sobie nawzajem, tak jak ja to robię na swój aseksualny sposób, przyszpilam jej jak okazy motyli i kontempluję do woli.

– Będziesz juro? – pyta Esmée.

– Nie, jestem wykończona. Jutro pójdę nad jezioro i wypiję pod drzewem piwo albo dwa.

– Więc nie zobaczymy się aż do wtorku, sarenko?

Wymyśliłam „sarenkę". Esmée prawdopodobnie powiedziała *Mäuschen*, czyli „myszko", więc to niewielka różnica, ale chciałabym czasem pisać po niemiecku, by zobrazować czułość, która kryje się w tych wszystkich *-chen* i *-lein* i sprawia, że nawet banalne słowo staje się pieszczotą.

– Nie będzie mnie we wtorek. W niedzielę wraca mój mąż.

– Jak się wam układa?

– Na razie bardzo dobrze. Zarezerwowałam hotel, dzieci będą u matki.

Zadziwia mnie obojętność, z jaką traktują fakt, że w Domu pieprzą się z czterema, pięcioma, sześcioma facetami dziennie, i chichot, z jakim reagują, gdy tylko któraś wspomni o hotelu i dzieciach, oddanych na noc do dziadków. Czy wspominałam, że mąż Dorothée nie wie o jej pracy tutaj? Jest przedstawicielem handlowym lub kimś w tym stylu, często musi wyjeżdżać i bez wątpienia łatwo może sobie wyobrazić, że żona go zdradza – jednak myśl, że zdradza go w taki sposób, chyba nigdy nie przyszłaby mu do głowy. Mówiąc o burdelu, zbyt rzadko wspomina się o sposobach na radzenie sobie z nadwyżką seksu. A jeśli nawet ta nadwyżka nie przeszkadza, to jak wzbudzić w sobie ochotę, by się pieprzyć, a raczej – przepraszam – się kochać, gdy się spędza godziny robocze z pokaźną liczbą lokatorów, którzy w nas wchodzą.

– Od trzech dni chodzi nakręcony. – Dorothée się uśmiecha. – Wysyła mi mnóstwo świńskich esemesów. Oczywiście przy klientach nie mam czasu odpowiadać. Dostaję fotki jego kutasa, to miłe, ale tak między nami za bardzo mi przypomina robotę. Więc jestem trochę zdystansowana, a on szaleje.

Odgina w tył długą szyję, by związać włosy w koński ogon, a ja czuję, że rozumiem tego mężczyznę. Za kilka minut włoży ubrania zwykłej kobiety, a ja będę nadal widzieć Dorothée – nagą i lśniącą od oliwki, zachwycającą nawet w kasku rowerowym.

– W poniedziałek, po powrocie z urlopu, minęło dziesięć dni, odkąd się nie pieprzyłam. Dziesięć dni, rozumiesz to? Jestem tu od lat i jeszcze nigdy coś takiego mi się nie zdarzyło. Już po czterdziestu ośmiu godzinach zastanawiam się, co jest nie tak.

Dorothée widzi, że słucham, więc uśmiecha się również do mnie, a ja przytakuję.

– Teraz mam problem, bo nie wiem, czy będę miała ochotę się pieprzyć pod koniec tygodnia.

Zapina kurtkę i widać, że o tym myśli. Pracuje w burdelu już kilka lat i dobrze zna odpowiedź, sama ją wyartykułowała: po czterdziestu ośmiu godzinach spędzonych na piciu piwa nad jeziorem nie będzie wiedziała, co jest nie tak. Dziwne zakwasy w udach i krzyżu przypomną jej, że to już dwa dni. Być może nie wzbudzi to w niej większego pragnienia, te wyuczone wygibasy, wykonywane codziennie w Domu, dla mężczyzn, których ma gdzieś. Uczciwie mówiąc, prawdopodobnie nie wzbudzi żadnych pragnień; prawdopodobnie co najwyżej westchnienie ulgi na myśl, że nie musi dziś ich wykonywać, no, chyba że dla ukochanego faceta. A fakt, że zarezerwowała pokój, ona, która większość czasu spędza w pokojach rezerwowanych przez innych, wywoła złudzenie, że wybrała seks, niezależnie od tego, czy ma na niego ochotę, czy nie. Gdy on będzie z nią, w jej ruchach da

się oczywiście dostrzec pewien profesjonalizm, w sposobie wygięcia pleców, wypięcia pośladków, przymknięcia oczu i pomrukiwania. Automatyzmy będą przypominać pośpiech, podczas gdy ona będzie już myśleć o czułości po stosunku, o poczuciu dobrze wypełnionego zadania, o możliwości milczenia, niepatrzenia na zegarek, o wypaleniu fajki na balkonie. Będzie jej się zdawało, że nie ma ochoty, że zrobi to tak, jakby robiła coś innego, z przyzwyczajenia, z rezygnacją, aż do chwili, gdy on w nią wejdzie, a do niej dotrze, że ten kutas, niewiele różniący się od tysięcy innych, nie ma z nimi tak naprawdę w ogóle nic wspólnego. Bo ten kutas tak ją wypełnia, tak w niej rezonuje, że zakochałaby się w nim od razu, gdyby już w nim nie była zakochana. I jej krzyki będą brzmiały jak muzyka, którą wreszcie dobrze słychać, nie jak jakaś niewyraźna melodyjka w tle. Jak kawałek Pink Floydów na odpowiednim sound systemie, jak coś prawdziwego, mocnego, coś, od czego chce się płakać. Będzie się zastanawiała, czy on to czuje, czy dostrzega tę szczerość; ale – jakże by mógł? To przecież jęki jego żony, jest w nich coś prymitywnego i bezpośredniego, tak krzyczy żona, której dawno nie widział. I te jej jęki, sposób, w jaki mu się oddaje, wszystko to jest dobre i znajome, jak powrót do domu po miesięcznej tułaczce. I nieważne, ile razy pierdolimy się z innymi, i nieważne dlaczego, bo robienie tego z kimś, kto się dla nas liczy, jest jak powrót do portu. I być może Dorothée pomyśli sobie wtedy, leżąc z rozłożonymi nogami i z błędnym wzrokiem, że wszyscy ci faceci i wszystkie te akrobatyczne pozycje mają wartość jedynie ze względu na powtarzalność, którą tworzą – być może będzie jej się wydawać, że przez cały ten czas myśli o mężu, wtedy gdy ich nadmiar psuje jej humor i gdy czuje, że nie będzie w stanie patrzeć na żadnego z nich, nie drapiąc go po twarzy, może wtedy myśli, że to on w nią wchodzi; albo może zamyka oczy i wyobraża sobie, że stoi w kącie pokoju i na nią patrzy; może fakt, że on

nie wie nic o Domu, nie jest zdradą, ponieważ przez cały ten czas ona myśli o nim?

(Sometimes You Gotta Be) Gentle, Heavy Trash

– Problem z tym zawodem polega na tym, że po pewnym czasie twoje ciało nie wie już, kiedy udajesz, a kiedy naprawdę coś czujesz. – Hildie wietrzy się, wzdychając głośno, na schodkach ogrodu. – Tak bardzo staramy się wybudować tę obojętność, tak mocnym staje się ona odruchem, że ciało potrzebuje czasu, by znowu coś poczuć. Właśnie w tym leży prawdziwy problem związany z byciem kurwą. Cała reszta to nic – to, o czym myślą inni, pieniądze, zmęczenie, znoszenie facetów… Problemem są maskarady, które urządzamy i które przeistaczają się w prawdę.

Mam akurat pod rękami jej długie, gibkie plecy, całe w pieprzykach, i smaruję je kremem przeciwsłonecznym. Hildie ma dwadzieścia siedem lat, podaje zresztą swój wiek, gdy klient o niego pyta, mimo że na stronie internetowej odmłodzono ją o pół dekady. Krępuje ją udawanie, że jest w wieku swojej siostry, ma wrażenie, że musiałaby inaczej mówić, wdzięczyć się jak wtedy, gdy chodziła na uczelnię – a to już nie jest ona. Gardzi facetami, którzy wybierają jej godzinne towarzystwo ze względu na młody wiek, i nie chce mieć z nimi nic wspólnego. Aby dobrze wykonywać ten zawód, by prowadzić tę działalność równie rozsądnie jak ona, trzeba przekroczyć ćwierćwiecze – wówczas zaznajemy samych jego blasków i żadnego cienia. Gdyby zaczęła w wieku osiemnastu lub dziewiętnastu lat, czyli gdyby uskuteczniała większą część swojego życia erotycznego w burdelu, dziś wszystko byłoby bardziej skomplikowane – i ta wspomniana przez nią trudność w odróżnieniu prawdziwej chuci od tej,

którą sfingowała od A do Z, w ogóle nie przyszłaby jej na myśl, byłaby czymś kompletnie niemożliwym i Hildie miałaby przerypane do końca życia. Musiała się przedtem pieprzyć, i to naprawdę porządnie, by tyle pracować, a mimo to umieć podszepnąć swojemu ciału – wieczorami, gdy trafia na mężczyznę w swoim guście – że tym razem robią to naprawdę. Dobrą stroną tego skrzywienia zawodowego jest fakt, że gdy ulegnie chłopcu, który nieporadnie ją dotyka albo który nie jest w stanie jej zaspokoić, nie przejmuje się tym aż tak bardzo; wkłada to rozczarowujące spółkowanie do domowego koszyczka i nie musi traktować go jako porażki komunikacyjnej czy też braku chemii. Ciało jest jej towarzyszem, uważnie go słucha i traktuje je z łagodną wyrozumiałością w dni największej orki, gdy wracając do domu, zastanawia się, czy to, czemu oddawała się przez ostatnie osiem godzin, jest seksem czy zwykłą aktywnością fizyczną. Zdaje sobie sprawę, że złożyła ofiarę ze swojego ciała; czasem, pijąc kawę na tarasie, otoczona kobietami równie młodymi jak ona i równie ładnymi, Hildie myśli, że gdyby dotknęła uda którejś z nich, gdyby pochyliła się, by pocałować ją w kark, dreszcz, który przeszyłby tamtą dziewczynę, byłby realny, odczuwalny od nasady włosów po koniuszki palców u stóp – natomiast dla niej samej byłoby to znajome, odtwarzane codziennie tarcie, jak zadrapanie cierniem podczas spaceru w lesie. Naprawdę mogłaby się zapomnieć tylko wówczas, gdyby ktoś dał jej taką samą powolność i czułość, jaką się daje dziewicom, z mężczyzną pieszczącym miejsca, które ona sama nauczyła się traktować obojętnie – jej nogi, ramiona, żebra – niezależnie od tego, że ma w głowie takie same dzikie fantazje jak wiele innych dziewczyn. Raz jeden z klientów otworzył jej oczy po seansie w Studiu. Zapytał, czy próbowała już tantry; Hildie się roześmiała, oczywiście, że nie, no co ty, dwie i pół godziny masażu i obietnica nieziemskiego orgazmu… Przecież to jakaś głupota! Klient prawdopodobnie dostrzegł

sarkazm w jej uśmiechu, ale spokojnie wytłumaczył jej, że tantra wcale nie jest przeznaczona dla staruszków, którym już nie staje, ani dla przesuszonych staruszek, które mają mnóstwo czasu, by gonić za orgazmami. Przeciwnie – powolność i przedłużanie doznań są idealne dla młodych kobiet takich jak ona, które (zbyt?) często się pieprzą, z konieczności przeznaczając bardzo mało miejsca na grę wstępną.

– Jestem na przykład pewien, że ty potrzebujesz silnych doznań, żeby mieć orgazm.

– Raczej tak – odparła Hildie, myśląc, że moc i odgłosy jej wibratora są tak skuteczne, że ledwo zdąży wyobrazić sobie jakieś świństewka i już dochodzi.

– Jasne. Normalna sprawa. Natomiast dzięki tantrze możesz odczuć każdą część swojego ciała, każdy centymetr kwadratowy skóry. Na przykład – pozwolisz?

Pochylił się nad nią, czekając na zgodę, by muskać koniuszkami paznokci obszar między wybrzuszeniem kostki a zagłębieniem pod kolanem.

– Zdziwisz się, że tak delikatny dotyk może cię podniecić. To oczywiście tylko ćwiczenie. Tantra wymaga, by się w niej zapamiętać, a dobrze wiemy, że nie jest to łatwe, gdy wykonuje się taki zawód. Ale może dzięki niej powróciłabyś do delikatności. Potrzebujesz delikatności, Hildie, tak jak wszystkie inne kobiety.

Hildie puściła to mimo uszu. W głębi duszy bała się, że istnieje inna forma zmysłowości, którą była zmuszona pogardzać, a dzięki której poczułaby się znacznie bardziej spełniona. Jednak czasami, siedząc na kawiarnianym tarasie i patrząc na odprężone w słońcu ciała innych kobiet, Hildie zamyka oczy i bardzo powoli przesuwa koniuszkami paznokci po własnej nodze – od kostki do zagłębienia pod kolanem. Robiąc to, myśli o jakimś młodym facecie, na którego

miałaby ochotę. I gdy kończę smarować jej ramiona, czuję wzdłuż łydki coś jakby irytujące łaskotanie źdźbłem trawy i omal nie zbijam dłonią ręki Hildie, która uśmiecha się i zwraca ku mnie piękną twarz w ciemnych okularach:

– Widzisz, jak reagujesz?

Długo jeszcze będę wspominać tę pieszczotę, zwłaszcza że było to już po kilku naszych występach w duecie, owych seansach w trójkącie, które doprowadzały facetów do utraty tchu. Prowadziłyśmy te półgodzinne sesje tak sprawnie, że nie musiałyśmy się nawet umawiać, jak i gdzie roztoczyć nasze obsceniczne skarby, jakie niewiarygodne pozycje przybrać; ściskałyśmy zaślepionego i ogłuszonego faceta w imadle naszych czterech ud, a Hildie, nie przestając go ujeżdżać, szeptała mi na ucho wskazówki, według których miałam postępować. Udawałyśmy całkowite oddanie, nie spuszczając z oczu ani rąk mężczyzny, ani prezerwatywy, kontrolując poziom rozkoszy i zgadując, w jaki sposób chciałby dziś osiągnąć orgazm. Po takiej akcji Hildie i ja niemal sobie gratulowałyśmy. Ani przez chwilę żadne oszałamiające doznanie nie odwróciło naszej uwagi od misji, panowałyśmy nad sobą zarówno przy wybuchach radości, jak i klapsach, które dawałyśmy sobie nawzajem. A przecież, gdy nurkowałam między jej nogi, by lizać ją z nie do końca udawanym apetytem, myślałam o tamtej banalnej pieszczocie i wyobrażałam sobie, jakby to mogło z nami być, czy byłabym w stanie sprawić, by doszła, i czy ona wiedziałaby, co robić ze mną, które miejsca dotykać, jaki wymyślić język, by tchnąć w nasze ciała ten nowy dreszcz życia.

– Ale to są problemy bogaczy – wzdycha Hildie, wysmarowana kremem od kości ogonowej po swoje wdzięczne ramiona, i wkłada kapelusz. – Mamy ten luksus, że możemy skarżyć się na brak doznań. Pomyśl tylko o babkach, które pracują w burdelach za dwa-

dzieścia euro od klienta. Nasz burdel jest burżujski. Tylko tu możesz usłyszeć panny, które skarżą się, że nie doszły.

I'm So Green, Can

Termin „burżujski burdel" implikuje tę niedogodność, że dziewczyny pokroju Victorii za każdym razem, gdy słyszą dzwonek, boją się, że przyszedł właśnie ktoś, kogo znają. Berlin ma trzy i pół miliona mieszkańców, ale za drzwiami zawsze może czekać twarz, którą widziała już Bóg wie gdzie, w pracy, w supermarkecie, twarz sąsiada albo ojca kolegi z klasy jej dziecka – jak gdyby Victoria rozsiewała feromony, na które łapią się wszyscy faceci, którzy chcieliby ją przelecieć, ale z różnych powodów nie mogą. Może to wina jej zdjęć – wystarczy kilka sekund, by dostrzec, kto się kryje pod tymi rysami, niechlujnie zmienionymi w Photoshopie. W ciągu czterech lat trzy razy zmieniła pseudonim, ale rzadko zdarza się, by choć raz w tygodniu nie wyszeptała z kanapy, pospiesznie się ubierając: „To kumpel mojego faceta…!".

Zmusza to Inge do wymyślania dziwacznych, choć bezlitosnych wymówek, „Victoria źle się czuje i wróciła do domu, Victoria jest jeszcze zajęta, nastąpiła pomyłka w rozpisce wizyt" – albo w skrajnych przypadkach: „Victoria już tu nie pracuje, kto pana z nią umówił?". Czasem rozlega się na korytarzu, zanim jeszcze zamkną się ciężkie drzwi, donośny lament klienta, który po raz kolejny odchodzi z kwitkiem, rzucając, niczym butelkę z prośbą o ratunek: „Wiem, że tam jesteś! Silke, dobrze wiem, że tam jesteś!". A my nie możemy ustalić, czy Victoria naprawdę ma na imię Silke, czy też to któryś z jej pseudonimów, wymyślonych wiele lat temu i zapomnianych przez wszystkich, poza tym jednym człowiekiem. Czy rzeczywiście przy-

chodzą zarzucić na nią sidła? Nawet gdy Victoria jest w cywilnych ciuchach, nietrudno domyślić się charakteru jej pracy – widać, że to coś związanego z mężczyznami. Z czasem mogłaby zminimalizować ryzyko szantażu, jasno informując o wykonywanym przez siebie zawodzie; jej wypowiedzi i dobry humor nie sprawiają wrażenia, że czuje jakiekolwiek związane z tym zakłopotanie. W końcu zaczęłam myśleć, że ci mężczyźni, którzy złoszczą się, gdy są odsyłani, ci młodzi ludzie, którzy niemal płaczą, gdy ktoś proponuje im inną dziewczynę, ci spryciarze zapisujący się pod fałszywym nazwiskiem (co nie działa, bo Victoria zawsze sprawdza przez dziurkę od klucza), choć wcale jej nie chcą przyszpilać, są pod wpływem jakiegoś czaru, który rzucała na nich w pokoju, jakichś tajemnych sztuczek, których nie zamieniliby na nic w świecie – jak ten typ, którego pewnego wieczoru doprowadziłam do drzwi i który w przypływie nagłej niezdarności przewrócił gerydon, a którego Victoria nie chciała już nigdy więcej widzieć. Kolejnym razem, drżąc z niecierpliwości, zakochany i podniecony jak prawiczek, przed którym całkiem nowy świat nagle stanął otworem, z braku laku wybrał Hildie, z daleka i we mgle – trochę podobną do Victorii. A Hildie opowiedziała mi, że włóczył się bez życia od pokoju do łazienki, od łazienki do Hildie, że nie chciał mu stanąć i że trudno mu było skończyć, że nie otwierał oczu. Wychodząc, wyjął z kieszeni pudełko drażetek przewiązane wstążką, z której zwisała etykietka z różowym napisem „VICTORIA" i serduszkami nad obiema literami I. Przeprosił i wciskając Hildie w dłoń dwadzieścia euro, wymusił na niej obietnicę, że ucałuje od niego wielką Victorię i upewni się, że dotarły do niej cukierki wraz z komplementami od Laszlo.

„Czasem zastanawiam się, o czym oni myślą podczas ruchania. Akurat w jego przypadku było to jasne" – warczała Hildie. Była trochę zła, jak tylko może być zła dwudziestoletnia młódka, od której

ktoś wolał czterdziestodwuletnią Victorię. Jednak w gruncie rzeczy Hildie trawiły te same pytania co nas, gdy chrupała wzgardzone przez Victorię drażetki: dlaczego właśnie ona? Za czym, do licha, oni gonią u tej Victorii/Silke/Yasmine? Osobiście przeleciałabym Hildie dziesięć razy, ani przez moment nie obdarzając spojrzeniem tej dużej, potężnej, grubo ciosanej walkirii o szerokim, niemal kwadratowym tyłku i przesadnie jasnych włosach; przedstawia się z naburmuszoną gnuśnością, z jaką zwykle kojarzy się kurwy, wyciąga miękką dłoń i mamrocze swój aktualny pseudonim. W żaden sposób nie sili się, by udawać zachwyt, poznając kogokolwiek – czasem zapomina zdjąć kapcie i wbiega w pośpiechu, ciągnąc za sobą wyziewy jedzenia, które pochłonęła, nie myśląc o bliźnich mających za chwilę wpijać się w jej usta. Jej ciuchy i perfumy śmierdzą kurwą na kilometr – ale nie bardziej i nie lepiej niż ciuchy i perfumy wielu tutejszych dziewczyn.

Odkąd widzę te bukiety, te drażetki, odkąd słyszałam, jak ci przystojniacy jęczą i uciekają z podkulonymi ogonami albo zamykają oczy, leżąc na pięknej Hildie, by wyobrażać sobie zad tej klępy Victorii, odkąd to wszystko widzę i słyszę, zżera mnie ciekawość. Może jej postawa, jej dezynwoltura budzą instynkty, które przy wdzięczących się młódkach pozostają uśpione. Może fakt, że zawsze wygląda tak, jakby nie chciała zostać wybrana, to jej spojrzenie, błagalne, jak u ucznia, który modli się, by nie zostać wyrwanym do odpowiedzi, wywołuje w mężczyznach, znużonych merkantylną dobrą wolą innych dziwek, chęć, by wziąć ją siłą. Być może po dziesięciu latach spędzonych w burdelu uczymy się właśnie tej ryzykownej, śmiałej techniki o nazwie „wszystko albo nic”?

Gdy nas mija – nawiasem mówiąc, im szerzej się do nas uśmiecha, tym surowiej traktuje swoich klientów – zaglądamy w myślach pod jej ultrakrótkie spódniczki; albo gdy jest goła, co się często zda-

rza, skonsternowane szukamy w jej fałdkach rozwiązania tej zagadki. Jest to prawdopodobnie coś, co czują mężczyźni, a co my traktujemy obojętnie, bo nasze zmysły przytłumione są zazdrością. Esmée wysłała jednego ze swoich klientów na misję – ale rzeczony mężczyzna, kierowany miłością, zdał jej rozczarowujący raport, zapewniając, że Victoria jest dla niego zbyt luźna. Zbyt luźna? Czyżby na tym polegał ten sekret?

Słyszałam raz krzyki Victorii za zamkniętymi drzwiami. Mój klient był pod prysznicem, więc poszłam po czyste ręczniki i słuchałam oczarowana, z uchem przyklejonym do ściany, wokaliz, zagłuszających słodkawą muzykę. Klient, który mnie na tym przyłapał, uśmiechnął się tylko. „To ta największa". I gdy spytałam, co jest w niej tak szczególnego, tak urzekającego, Hector tylko machnął ręką, twierdząc, że nie chce zdradzać specjalności innych dziewczyn. Jak gdyby, do cholery, Victoria była jego koleżanką z pracy, a nie moją! I ostatecznie udowodnił, że nawet mężczyźni są dyskretniejsi i delikatniejsi ode mnie; od tej pory w białowłosej Victorii w jedwabnym peniuarze w gwiazdki widzę czarownicę, dosiadającą łabędzia o zmierzchu, kiedy to diabeł przychodzi z wizytą do świata śmiertelników, zjawę, która zniknie, gdy mrugniemy okiem, i o której Marc Bolan mógłby zamiauczeć piosenkę.

If There Is Something, Roxy Music

Thibault spokojnie zdejmuje ubrania.

– Przepraszam, został tylko Liliowy, dom jest pełen.

– Och, nie przejmuj się. Lubię ten pokój.

– A mnie on dołuje.

Thibault to stary bywalec burdelu, był tu wcześniej niż ja. Przywykł do słuchania rozmów o klientach, do stukotu obcasów w sąsiednim pokoju. Nigdy nie onieśmielał go ten ordynarny, słabo oświetlony liliowymi neonówkami pokój, w którym pechowo lądujemy za każdym razem. Tak jak nie onieśmielają go wyziewy dezodorantu, spermy i prozaiczna rolka papierowego ręcznika na szafce nocnej. Thibault lubi przebywać wśród dziewczyn i ich śmiechów, lubi, gdy klepią go po ramieniu, mijając na korytarzach, i gdy jego regularne wybranki stroją udawane fochy, wyrzucając mu niewierność. Lubi podglądać przygotowania, z których nie roni ani kropelki, ręczniki rozkładane w poprzek narzuty, prezerwatywy, które wyłuskujemy ze swoich torebeczek, bezwstyd dziewczyn, które rozbierają się przed nim, nie przestając mówić, i pobieżnie wycierają części ciała ochlapane w bidecie.

– Jak się miewałeś przez cały ten czas?

– Dobrze.

– Myślałam, że już nie wrócisz.

– Miałem kłopoty ze zdrowiem.

– Wilma mi mówiła. Byłeś w szpitalu, tak?

– Wilma ci to powiedziała?

– Och, bo ci współczuła, wiesz. Rozmawiałyśmy o tym, że rzadziej przychodzisz. Martwiła się o ciebie.

– To miłe. Miałem operację serca. Musiałem leżeć przez dwa tygodnie.

– A teraz czujesz się lepiej? Wyzdrowiałeś?

– Tak, ale lekarz zalecił mi odstawienie imprez, prochów, dziewczynek. Przynajmniej na jakiś czas.

Siada nagi naprzeciw mnie, podciągnąwszy nogi. Widzę, że ma smutne oczy.

– Nie ukrywam, że jestem w lekkim dołku. Tak bardzo przywykłem do imprezek, do speedu, do braku snu… Zawsze miałem jakąś miłą perspektywę, na przykład przyjście tutaj. Ale odkąd jestem na bezrobociu, mam mniej pieniędzy, więc rzadziej przychodzę. Nudzę się.

– To zajmij się czymś innym. Poczytaj.

– Skończyłem właśnie cegłę Franzena. Niezła. Ale tęsknię za tym wszystkim.

– Odczekaj trochę. Poczytaj Philipa Rotha, spodoba ci się.

– Podejrzewam, że przeciągnąłem strunę. Dziesięć lat temu nie wyobrażałem sobie, że coś takiego mi się przytrafi. Pierdoliłem się bez przerwy, zbyt często się upijałem. Przypuszczam, że dziś za to płacę. Już nawet pomijając pieniądze, widzisz, przychodziłem tu cztery, pięć razy dziennie i zawsze bez problemu mi stawał. Teraz czuję, że gdybym nie odczekał trzech dni między wizytami, byłoby trudno. Byłbym upierdliwy. Nie mam już trzydziestu lat. – Thibault, który niedawno skończył czterdzieści jeden, uśmiecha się. – Moje życie nagle wydało mi się puste. Pół roku temu pochowałem ojca, nie wiem, czy Wilma ci mówiła.

– Nie. Przykro mi…

– Dziwnie jest chować własnego ojca. Może jeszcze dziwniej dla mężczyzny. Nie mam rodzeństwa, patrzyłem na opuszczaną trumnę i myślałem, wiem, że to dziwne, ale myślałem, że jestem kolejny na liście. W głowie mam nadal piętnaście lat, nadal jestem czyimś synem. A teraz mój ojciec nie żyje, nie mam żony ani dzieci… Gdybym chociaż mógł imprezować, miałbym jakąś rozrywkę.

– Czemu nie znajdziesz sobie jakiejś młodej, ładnej panienki?

– A kiedy przychodziłbym do was?

– Robiłbyś tak jak inni, i tak byś się z nami widywał. I miałoby to posmak występku.

– Kiedyś w końcu muszę dorosnąć.

– Jeszcze nikt nigdy czegoś takiego nie mówił.

Thibault wybucha śmiechem, przytula mnie. Czuję, jak w piersi bije jego serce, o którym nie powiedziałabym, że jest jakieś inne. Może powolniejsze niż zwykle?

– Nie, nie wydaje mi się, że ślub to coś dla mnie. Jestem poślubiony temu miejscu, to mi wystarczy. Mam kilka małżonek w tygodniu, nigdy się nie kłócimy.

– Nie martw się. Wszystko wróci. My też miewamy gówniane okresy.

– A ty? Jak się masz? Jak twoja książka?

– Do przodu, powoli. Nie bardzo mam teraz do tego głowę.

– Piszesz o mnie?

– Powinnam!

– Wiesz, jeśli chcesz więcej historii, możemy iść razem na drinka i opowiem ci o swoim wieloletnim doświadczeniu klienta.

– Mam twoją wizytówkę. Gdy wrócę do pisania, zadzwonię.

Jego wizytówka cały czas tkwi w wewnętrznej kieszonce mojej torebki. Czasem myślę, żeby do niego zadzwonić, przekonana, że znajdę być może w jego dezynwolturze sposób na odblokowanie pisar-

skiej weny – lecz w głębi duszy wiem, że oboje mamy ten sam problem, tę samą wiszącą nad głową książkę, tę samą obawę, że napiszemy ją źle, że pozbawimy blasku wszystkie te historie w nas, które w stanie dzikim przybierają postać przypowieści.

Z każdym innym czekałabym, żeby zacząć taką rozmowę „po". Ale Thibault nie potrzebuje żadnego szczególnego klimatu, by sobie przypomnieć, po co tu jest, nagie ciało w zupełności mu wystarczy. I już twardy, przygryzając mi wargę, patrzy na mnie poważnie i nie pamięta, o czym rozmawialiśmy przed chwilą i czy w ogóle rozmawialiśmy (gdyby Thibault był kobietą, byłby idealną kurwą).

– A tak w ogóle to opowiedz mi: masz tutaj duże branie? Opowiedz.

To samo pytanie zadaje Wilmie, Esmée, kobietom, które pracują tu od lat i ich dobry humor zależy wyłącznie od dużego brania; w tym pytaniu zawiera się przede wszystkim jego fantazja, złudzenie mężczyzn, którzy wyobrażają sobie, że nikt inny tutaj nie płaci. To jedyny moment, w którym chciałabym mu odpowiedzieć: „Co ty sobie wyobrażasz, stary?". Zresztą rozważam tę możliwość, lecz przypominam sobie jego smutne oczy i mruczę, zakleszczona między jego wargami:

– Dziś cztery razy.

Co jest nieprawdą, bo dopiero przyszłam – ale tego oczywiście Thibault nie chce usłyszeć.

Beware My Love, The Wings

Wreszcie Lotte, rzuciwszy ogólne „do widzenia", schodzi po schodach, pcha ogrodową furtkę i tam zasysa ją zgiełk handlowej ulicy. Trzyma w dłoni duże latte, a w głowie ma spokojny zamiar poczytania sobie w parku kilkaset metrów dalej. Zapachy z pobliskiej tureckiej knajpy, które przypominają jej o robocie, gdy zjawia się rano, po fajrancie stają się synonimem wolności; i w mgnieniu oka, ot tak, zapomina o swoich dzisiejszych klientach, jest zwykłą dziewczyną z pełnym portfelem, wyczerpaną tak, jak bywa wyczerpany nauczyciel WF-u albo masażystka. Jest to zresztą bardzo przyjemne zmęczenie, niemające nic wspólnego z cierpieniem, takim, jakie wyobraża sobie każdy, kto nigdy nawet nie zajrzał do burdelu. To znużenie mówi jej, że dziś się wyśpi, że dzień jest jeszcze młody i że pogoda zachęca do zanurzenia nóg w jeziorze. Lotte się napracowała, a teraz odzyskane miasto otwiera przed nią ramiona, jutro pojedzie do Wannsee, żeby się poopalać – zasłużyła sobie na to wyjście, po dwóch dniach spędzonych w ciemnym domu, w którym wszystkie ciała jak na komendę przybierają sinawy odcień grenadyny.

Lotte siada na trawie, tuż przy ulicy; lubi oglądać koleżanki, które wychodzą, i te, które dopiero przychodzą na wieczorną zmianę. Esmée, spłoszoną i skupioną, zaczynającą żmudny rowerowy podjazd w kierunku Domu; Thaïs, dźwigającą wielką sportową torbę, w której kotłują się dwie pary używanych przez nią codziennie szpilek oraz stroje na wszelkie możliwe humory. Patrzenie na ludzi, którzy nadal pracują, ściubią pieniądze, budują swój mały komfort, po-

syłanie dziewczynom dyskretnych uśmiechów, na które odpowiedzą lub nie, oto jedna z rozkoszy *Feierabend*. Tej rozkoszy nic nie jest w stanie jej zepsuć. Może z wyjątkiem jednej rzeczy, ale trzeba być kurwą, żeby to zrozumieć; idealnie byłoby przez godzinę, a przynajmniej przez chwilę, potrzebną na wypalenie pierwszego papierosa, nie słyszeć męskiego głosu. A już zwłaszcza głosu mężczyzny, który zwraca się do niej. Niestety, zawsze znajdzie się jakiś naiwniak; i gdy Lotte wyjmuje z torby książkę, niecierpliwie wracając do rozdziału, od którego kilka razy oderwali ją klienci, widzi, jak na jej cień nakłada się drugi cień, zasłaniając na chwilę słońce, a słabowita sylaba zagłusza śpiew ptaków i śmiech dzieci z pobliskiego przedszkola:

– Hej!

Lotte nieruchomieje na chwilę, gotuje się z wściekłości, rozpoznała głos, ciężar cienia oraz gęstość ciszy, jeszcze zanim podniosła wzrok. Oto Heiko z rękoma w kieszeniach, ze smutnym uśmiechem na ustach, zjawił się znikąd, a Lotte zbiera w sobie resztki serdeczności, całą uprzejmość zostawioną w szafce w Domu i uśmiecha się:

– Ach! Co tu robisz?

Doskonale wie, co on tu robi. Heiko pewnie czekał, aż wyjdzie, i dyskretnie ją śledził. Czekał pewnie, aż skończy dyżur, i szedł za nią krok w krok, wdychając jej zapach i wpatrując się w tyłek, który widział tylko półnagi, wciśnięty w pas do podwiązek; czekał pewnie, aż usiądzie na trawie, i zastanawiał się, jak ją zaczepić, bał się, że ją przerazi, a potem postawił wszystko na możliwość, że Lotte uwierzy w szczęśliwy zbieg okoliczności – jakby nie pamiętał, że mieszka wiele kilometrów stąd i że nikt nie ma w tej dzielnicy nic do roboty, kiedy już wyjdzie z Domu. I to właśnie dlatego zdobywa się na uczciwość, kucając obok niej, i wyjawia, nie przestając się uśmiechać:

– Powiedziałaś, że kiedyś pójdziemy na kawę, pomyślałem: dlaczego nie dziś?

Wyobrażam sobie nienawiść, jaka ogarnia wówczas Lotte; nienawiść do siebie samej, bo bardzo dobrze pamięta, jak rzuciła taką propozycję, gdy Heiko groził jej, że nie wyjdzie z pokoju. Nienawiść do niego – bo kto, jeśli nie klient, mógłby mieć nadzieję na coś takiego, na pójście z nią na kawę? Dlaczego nie dziś, Heiko? Serio, dlaczego nie dziś?

Zapomniała, że w każdym kliencie drzemie mężczyzna aspirujący do bycia kimś więcej niż panem, który zapłacił. Często myślała, że musi przestać przyjmować Heika; mniej więcej przy każdej jego wizycie, odkąd przyznał półsłówkiem, że jest w niej zakochany (czy w ogóle istnieje coś takiego jak półsłówka w ograniczonej przestrzeni burdelu?). Ale gdy tylko wchodziła do pokoju prezentacji, widok jego twarzy pojaśniałej nagle ze szczęścia i dyndającej w jego ręku torby z prezentami odbierał jej odwagę: odzywała się w niej jakaś dziecięca, miękka struna, gdy widziała tę radość z ponownego spotkania. To jednakże mógł być dobry moment, żeby mu odmówić, bo chwilę później z tego samego powodu dusiła ją wściekłość; kapryśną, łasą na komplementy dziewczynkę irytowały te zakochane spojrzenia, te starania, by się powstrzymać i by miała orgazm (płonna nadzieja, równie płonna jak ta, że spotkają się poza Domem). A rozdrażnienie zmieniało się w odrazę; spontaniczny, rozpaczliwy wzwód tego ładnego, niespełna trzydziestoletniego chłopca wywoływał w niej mdłości, budził poczucie, że się prostytuuje, poczucie, jakiego nigdy nie obudziły w niej całe miesiące sprzedawania się starcom, grubasom i brzydalom. Widziała kształt jego kutasa, zanim jeszcze się rozebrał, i od razu chwytała ją dławiąca ochota, by pobić Heika. Wściekła liczyła minuty, które spędzał pod prysznicem, a czas jednocześnie jej się dłużył i wydawał zbyt krótki, i miała cichą nadzieję, że klient wywinie kozła, wychodząc z łazienki. Co oczywiście nigdy się nie zdarzyło. Heiko nigdy by do czegoś takiego nie dopu-

ścił; a nawet gdyby, przychodziłby ze złamaną nogą. Zresztą coś podobnego przytrafiło mu się zeszłej zimy, spadł z roweru i zwichnął nadgarstek, po czym zjawił się ociekający roztopionym śniegiem i Lotte musiała na nim usiąść, i wykonać za niego całą robotę; włączyła Pixies na cały regulator, bo nie chciała słuchać, jak oscyluje między cierpieniem a ekstazą (zresztą każdy wydawany przez niego dźwięk już od jakiegoś czasu wydawał się jej nie do zniesienia), i jak za każdym razem uzbroiła się w cierpliwość, by doprowadzić do końca tę męczarnię, odbijając od siebie jego złą energię, odwrócona tyłem, starając się nawet nie musnąć jego przedramienia, które trzymał przed sobą niczym sztandar. To było zawsze bardzo żmudne, Heiko uwielbiał namiętne pocałunki, na które pozwalała mu, gdy jeszcze nie czuła do niego nienawiści, a których teraz nie mogła go pozbawić, by nie domyślił się degeneracji jej uczuć. Długo szorował językiem po jej cipce i nie obruszał się wcale, wyczuwając smak lubrykantu, który aplikowała, by nie podawać się mu całkiem „na sucho". I żeby wreszcie skrócić tę udrękę, Lotte udawała orgazm podlany jej zniecierpliwieniem, orgazm jak parsknięcie, mający tę zaletę, że doprowadzał go do wytrysku, ale i tę wadę, że Heiko wracał do niej. Lekki wyziew spermy, który unosił się, gdy ściągał wypełniony kondom, zapach, który Lotte kojarzyła zwykle z dobrze wykonaną robotą, budził w niej teraz poczucie intensywnego sprzeciwu. Czasem chwytały ją mdłości, które maskowała, pochylając się nad radiem, żeby zmienić muzykę (Lotte dbała, by nigdy nie włączać swojej playlisty; nie chciała, by którakolwiek piosenka szczególnie przypominała jej Heika); i gdy nareszcie się odwracała, kiedy widziała, jak leży z zamkniętymi oczami, z fiutem, który znów przybrał nieszkodliwe rozmiary, chwytało ją za gardło dziwne poczucie winy. Przestawała rozumieć, dlaczego aż tak bardzo go nienawidziła i dlaczego on tak bardzo wyobraża sobie co innego, że doprowadza go to

do orgazmu – i odczuwała rozdzierający żal z powodu głębokiej męskiej głupoty. Byli głupi, gdy im stał – to wiedział każdy, oni też – ale byli równie głupi, gdy już pozbawili się balastu, może nawet jeszcze głupsi. Potulni jak baranki. Promienni, ujarzmieni złudzeniem, że doprowadzili kobietę do orgazmu, i gotowi poprosić o dokładkę tego kłamstwa. Kiedy był taki bezbronny, Lotte mogłaby skorzystać z okazji i zasugerować mu, że nie chce go więcej widywać. Miała na końcu języka niezdarne tłumaczenia, zanim jeszcze Heiko odpakuje prezenty – zwykle pudełko czekoladek. Bo wtedy było za późno. Czekoladki, za które płacił majątek we francuskim butiku na Mitte i które dla Lotte były zbyt gorzkie, stanowiły kolejny pretekst, by przesunąć tę niemożliwą rozmowę na następny raz. Nie chciała wiedzieć, co by się stało, gdyby Heiko zostawił czekoladki albo je ze sobą zabrał (co w gruncie rzeczy było jej obojętne, ale wolała oszczędzić sobie tego pokazu hojności lub braku taktu), czy zacząłby płakać, czyby się wkurzył – a przede wszystkim czuła, zdawało jej się nieuniknione, że on bezkarnie weźmie sobie piętnaście minut jej czasu, by argumentować, by się bronić, piętnaście minut, których nie będzie mogła mu żałować, bo w głowie Heika spędzony z nią czas nie składał się z minut, wartych pewną kwotę euro każda, lecz z kawałków wieczności; a Lotte nie mogła zadać mu ciosu poniżej pasa, sugerując – choć przecież było to oczywiste – że czeka już na nią inny klient. Nie, gdyby odezwała się teraz, musiałaby wyganiać go z pokoju siłą i nie miałaby nawet czasu wypalić papierosa, by przed następnym klientem rozwiać wspomnienie o zrozpaczonym Heiku. Musiałaby wlec za sobą, od pokoju do pokoju, rozdrażnienie, które w niej wzbudził, i nakładać je na rozdrażnienie, które wzbudzą następni – bo takie sceny chodzą za człowiekiem przez cały dzień. Zatem Lotte brała jedną czekoladkę, dziękowała Heikowi i wypraszając go, obiecywała wspólną kawę na zewnątrz, tylko po to, żeby nie wystawał na

progu i nie wychylał się dwa, trzy razy zza drzwi, prosząc o przedostatniego buziaka, i jeszcze ostatniego, a potem już naprawdę ostatniego, i najwyraźniej licząc dni, które dzieliły go od Lotte, i spijając odrobinę jej ust na zapas, na każdy dzień bez niej. Czasem ta obietnica wywoływała zamierzony efekt; Heiko ochoczo kiwał głową, przekonany, że żaden inny klient przed nim nie słyszał tej obietnicy, danej przez doprowadzoną do ostateczności kurwę. I choć Lotte nigdy do niego nie dzwoniła, nigdy nawet nie miała takiego zamiaru, on uciekał zadowolony, najszybciej, jak mógł, unosząc tę obietnicę spotkania, jakby potrzebował jej, by nie zabiło go powietrze na zewnątrz.

Lotte miała cichą nadzieję, że zaspokojony tą perspektywą, będzie czekał na jej telefon i już nie wróci do burdelu; ale on wracał, zachowując się, jakby niczego nie miał jej za złe. Lotte mogła liczyć na jego obecność jak na nieuchronność śmierci, w każdy wtorek wczesnym popołudniem. Zazwyczaj to właśnie on zaklepywał ją pierwszy w niedzielę wieczorem, gdy na stronie internetowej pojawiał się odświeżony harmonogram dziewczyn.

Heiko stawał się coraz bardziej ponury, *Hausdamen* zaczęły nazywać go *Der Trauriger* – Smutaskiem. Gdy tylko Lotte zjawiała się w pokoju prezentacji, on wyskakiwał z fotela jak na sprężynie, zawsze uśmiechnięty, ale z melancholią w oczach, jeszcze bardziej wyczerpującą – jeśli to w ogóle możliwe – niż jego wcześniejszy entuzjazm. Tracił siły. Raz, pogrążony w jakimś wewnętrznym dramacie, postanowił więcej nie wracać – nie omieszkawszy wyłuszczyć Lotte przyczyn swojej rozpaczy: był nieszczęśliwy, nie wiedział, dokąd to ich doprowadzi, mniej zarabiał, chciał zachować dobre wspomnienia… i dwa tygodnie później, wyraźnie przestraszony, wrócił. Zapewne zrozumiał, że nie szkodził nikomu poza samym sobą, i ocierając się o histerię, wykazał wszelkie cechy mężczyzny skłonnego zadowo-

lić się swoją skromną działką. Znużony zbyt długim czekaniem na Lotte, obiecywał, że zacznie zachowywać się rozsądnie, że uszczęśliwią go nawet te rzucane mu przez nią okruszki (Heiko nie domyślał się, że te „okruszki" wydawałyby się olbrzymią porcją innym, mniej zadurzonym klientom).

Czas mądrości nie trwał długo. Dowód: rozsądny mężczyzna nigdy nie czekałby na Lotte po pracy. Prawdę mówiąc, nie zrobiłby tego nawet nierozsądny mężczyzna. Nawet kretyn zrozumiałby, że nie dostanie nic od kobiety, przystawiając jej nóż do gardła. Heiko najpierw zachowywał się jak upierdliwy adorator, a potem wskoczył w strój prześladowcy. Już wystarczająco przykra była dla Lotte myśl o jego wtorkowych wizytach, ale jeśli świat zewnętrzny też przestał być terenem chronionym, cóż jej pozostało?

Więc pomyślała sobie, że może to jest ten moment. Teraz, gdy stoi tu z kubkiem w dłoni, a ona ma w dłoni swój kubek, teraz, gdy są bliżej niż kiedykolwiek wspólnego picia kawy, nadarza się być może okazja, żeby go odesłać. Trudno określić, czy Heiko czuje to, czy nie, bo gada, jakby bał się, że najmniejsza przerwa w jego monologu skłoni Lotte do ucieczki. Opowiada o pracy, o zbliżającej się podróży… Za tę gadatliwość jest mu wdzięczna w pracy, bo czas płynie jej szybciej, bo zahipnotyzowana jego potokiem słów zapomina na chwilę, jak bardzo go nienawidzi, bo on jej za to zapłacił. Na zewnątrz, w ten idealny letni dzień, gdy czeka na nią książka z rogiem zagiętym na podniecającej stronie, Lotte nie widzi powodu, dla którego miałaby godzić się na rozmowę z Heiko bardziej niż z jakimkolwiek innym natrętem. I straszliwy sprzeciw dudni pod żebrami Lotte, która już nie nazywa się Lotte, odkąd zamknęła za sobą drzwi Domu. Heiko wspomina artykuł, który przeczytał w jakimś psychologicznym szmatławcu; najwyraźniej próbuje przekazać jej coś podprogowo, bo

tak się składa, że ten artykuł, napisany przez psycholożkę, której klientkami są przede wszystkim kurwy, wyjaśnia mężczyznom, że relacje, które, jak sądzą, nawiązują w burdelu, są sztucznie podtrzymywane przez profesjonalistki, by utrzymać klientów. Streszczając artykuł, Heiko zerka z ukosa na Lotte, przeczekuje kilka lękliwych chwil milczenia w nadziei, że ona wszystkiemu zaprzeczy i zapewni go, iż ich relacja jest autentyczna. Jeśli to nie jest podpucha, to co to niby ma być?

Lotte miałaby ochotę wyjaśnić tej pełnej dobrych intencji psycholożce, że zupełnie nie zrozumiała, czym jest burdel; nie zrozumiała, czego burdel taki jak Dom wymaga od swoich kobiet, i nie zrozumiała, czym są placówki, których pensjonariuszki pracują na kwadranse, obsługując ponad piętnastu klientów dziennie. Nawet wkładając w to całą empatię świata, ta psycholożka nie zrozumie, w jaki sposób skonstruowana jest czułość lub rozdrażnienie dziewczyn i mechanizmy obronne, które uruchamiają, by nie okazywać ani jednego, ani drugiego. Dziewczyny, które zasuwają w jednej z tych „zarabialni", gdzie faceci czekają w kolejce, nie muszą być w dobrym humorze; jeśli któremuś z klientów nie podejdzie rozmowa, na jego miejsce czeka dziesięciu innych, i tak jest codziennie, dwieście dziewczyn i trzy razy więcej mężczyzn, czyli niewyczerpywalna liczna kombinacji – zatem kogo to może obchodzić, czy któryś wróci, czy nie?

Heiko powinien usłyszeć: „Jestem miła, bo ty też jesteś. Zwierzam ci się, bo mam wrażenie, że trochę cię znam, wywołane prostym faktem, że regularnie ze sobą sypiamy. Traktuję cię tak, bo najwyraźniej nie jestem dobrą dziwką. Jestem złą dziwką, bo po wyjściu ode mnie nie nauczyłeś się pragmatyzmu, którym wykazują się wszyscy klienci moich koleżanek, a który unicestwia wszelką iluzję, że mógłbyś zostać moim przyjacielem. Jestem złą dziwką, bo wkładasz w moją rozkosz tyle samo wysiłku, ile w rozkosz jakiejkolwiek dziewczyny,

której nie płacisz, moja potulność budzi w tobie taką samą nadzieję – zatem źle wykonuję swój zawód. Zadaję ci ból jako kurwa, a kurwy nie powinny zadawać bólu".

Zmierzch zapada powoli, a Heiko i Lotte wyglądają jak para. Para, która nie ma sobie zbyt wiele do powiedzenia, para na tyle solidna, że nawet milczenie jest dla niej jak rozmowa. Wkrótce Lotte zbierze swoje rzeczy, zdecydowana, by pójść poczytać tam, gdzie nikt nie będzie miał szans jej rozpoznać; wymyśli, że wieczorem ma gości; Heiko będzie patrzył z namaszczeniem, jak otrzepuje spodnie, a potem powie: „Ja jeszcze trochę zostanę". Położy dłonie na wgnieceniu w trawie, pozostawionym przez tyłek Lotte. Nawet nie będzie sobie z tego zdawał sprawy. W metrze, w drodze do mieszkania, Lotte wyśle Inge wiadomość, szybko, zanim zmieni zdanie: „Nie umawiaj mnie więcej z Heiko, dziękuję". Pomyśli: naprawdę szkoda, że to musiało się tak skończyć, i jednocześnie poczuje, jak zrzuca z ramion ogromny ciężar – a w kolejny wtorek, w porze, o której zwykle przyjmowała Heika, będzie już atrakcją grupy prezentowanej hordzie Włochów, odwiedzających Dom co roku z okazji Grüne Woche.

Who Loves the Sun, The Velvet Underground

– Dziewczynki, ale miałam dzień!

Gita opada na sofę, owinięta w rdzawe kimono, które narzuciła na siebie między wizytami klientów, jak bokser. Ma za sobą dwa godzinne seanse w Studiu – biorąc rano prysznic, liczyłam suche trzaski jej pejcza – a teraz, wspaniała, zroszona potem, z błyszczącym okiem, zbiera swoją blond grzywę w studencki koński ogon. Zdejmuje szpilki, porusza zaczerwienionymi palcami.

– Tak go zlałam, że nie wiem, czy się ocknie – ćwierka jak turkaweczka, jak źle wychowana dziewczynka, która ma to gdzieś, bo faceci daliby się pokroić za wizytę u niej.

Wyrastają jak grzyby po deszczu, wystarczy otworzyć drzwi, a już któryś pojawia się z kwiatami w dłoni, ze spłoszonym uśmiechem na ustach, nie dają jej nawet chwili odetchnąć. Zresztą, gdy patrzę, jak skręca sobie papierosa obok filiżanki z kawą, mam ochotę jej powiedzieć, żeby się nie rozsiadała. Z bocianiego gniazda za kotarą dostrzegam Doktora. Gdy Inge uprzedza go, że Gita trochę się spóźni, on robi gest mający oznaczać, że mu się nie spieszy. I Inge nieśmiało wraca, kładzie rękę na nagim ramieniu Gity, która ze śmiechem opowiada, jak zmasakrowała poprzedniego klienta.

– Przyszedł dobry Doktor.

Gita przerywa, a Inge próbuje kuć żelazo, póki gorące:

– Ależ on jest elegancki! Zawsze jak spod igły. Gdyby wszyscy tak wyglądali, co nie?

Więc piękna Gita, przewracając wielkimi oczami, nakłada maskę dobrego, zawodowego humoru i znika w salonie, gdzie czeka na nią Doktor. Nie słyszymy nic, nawet wybuchu radości. Salon jest pewnie przepełniony tą sztywną, pełną miłości ciszą, którą Doktor wnosi ze sobą wraz z przekombinowanym zapachem swoich perfum. I pochłania Gitę wzrokiem i nozdrzami, każdym porem skóry. Nieświadomy licznika, który już włączył się w jej głowie. Nieświadomy myśli, jakie ją nachodzą, gdy on bierze prysznic i wkłada ubrania, by nie narzucać jej swojego bezwstydu, tak jak inni klienci, którzy wyłaniają się nadzy z łazienki, nadzy i ze wzwodem – jakże mógłby się domyślać, że właśnie ta delikatność odrzuca Gitę tak samo jak cała reszta, jak wszystko, co jest z nim związane? Gita nie ma wcale ochoty go rozbierać ani udawać, że właśnie zauważyła jego erekcję, zresztą często nawet w ogóle mu nie staje, tak wielki, tak potworny jest głód, który go trawi, gdy patrzy na Gitę; gdyby ten głód atakował jego żołądek, nie byłby w stanie jeść.

Był czas, gdy Gitę nawet trochę wzruszała jego delikatność i powolność, z jaką w nią wchodził, symptomatyczna dla tego głodu, który zmuszał go, by ją sobie zapobiegliwie przywłaszczać, kawałeczek po kawałeczku. Lubiła jego poważne milczenie, podniecało ją, że z takim zaangażowaniem się powstrzymuje. Nawet doszła dwa albo trzy razy. Teraz ma do siebie o to żal, bo jest przekonana, że to poczuł i że jak tylu mężczyzn pomylił ów spazm z początkiem romansu – nawet lekarz, gdy jest zakochany, nie może sobie wyobrazić kobiecego orgazmu pozbawionego choćby namiastki czułości.

Teraz stoi przed nią nagi, ma skrócony oddech. Ona czeka ułożona na łóżku. Majestatyczna. On boi się głośniej odetchnąć. Uszczęśliwiają go podejmowane przez nią inicjatywy, które ze spotkania na spotkanie nigdy się nie zmieniają. To adoracja wprowadza do ich spotkań iluzję nowości. Dostrzega, że ma na sobie mniej twarzowy

kolor, zieleń zbyt bladą dla jej cery blondynki – ale ten błąd w wyborze, zamiast ją oszpecać, czyni ją – wprost przeciwnie – jeszcze bardziej ludzką; wyobraża sobie, jak poprzedniego wieczoru, w piżamie, wybierała ów strój, przesuwając między palcami zieloną satynę, choć spieszno jej było do łóżka, jak myślała, że jeszcze nigdy tego na sobie nie miała i że byłoby szkoda, bo sporo kosztował. Zresztą, na okrągłą sumkę, jaką wydała, składają się również pieniądze od niego. To jeszcze bardziej przyspiesza bicie jego serca, które sama myśl o Gicie wystawia na ciężką próbę. Widzi, kiedy jest niewyspana. Kiedy imprezowała do późna. Kiedy za dużo paliła. Kiedy czymś się martwi. Kiedy ma okres. Czuje w niej tę gąbkę, którą wkłada głęboko, żeby wchłaniała krew. Widzi też, kiedy ma orgazm – jakże mógłby inaczej? To nie ma nic wspólnego z jego profesją lekarza, po prostu – jest zakochany. A gdy ona symuluje, nie uznaje tego za wybieg, lecz za delikatność kochanki, która z niezwykłych, choć sekretnych, powodów akurat nie ma ochoty dochodzić. Z czułością przyjmuje jej profesjonalizm, który Gita manifestuje, kiedy ma zły humor. Jak gdyby odgrywała kurwę; jak gdyby to wszystko było tylko komedią, w której on chętnie uczestniczy. Ciśnienie podnosi mu się, kiedy dostrzega nagle jej spokojne oczy spoglądające gdzie indziej, zaprzeczające płynnym ruchom jej wspaniałego zadka. Miałby wtedy ochotę złapać ją za włosy, gdyby tylko znalazł w sobie tę zuchwałość. Bo Doktor jest bardzo dobrze wychowanym Niemcem. Pochodzi z surowej protestanckiej rodziny – chodzenie do burdelu, niezależnie od tego, czy wynika to, czy nie, z jego wychowania, stanowi dla niego gwarancję, że prędzej czy później skończy w piekle – na ziemi albo gdzieś indziej. Więc wierzchem dłoni odsuwa pokusę, by potraktować dziewczynę tak, jak nigdy nie traktował swojej żony. Jest w tym mężczyźnie coś z hrabiego Muffata – wystarczająco dużo, by drażnić tę szczyptę Nany, którą Gita ma w sobie. Nie jest, dzięki Bogu, na tyle

głupi, żeby mieć nadzieję na doprowadzenie jej do orgazmu za każdym razem, ale zawsze wpatruje się w jej twarz, napierając na nią z góry – podczas gdy tylu innych zadowala się patrzeniem na jej piersi, tyłek i cipkę – tę trójcę zaprojektowaną do kochania, pełną prostoty i urody. Wygląda każdego, najmniejszego nawet lustra, najmniejszej szyby, mogącej powielić twarz Gity, gdy ta zgadza się położyć na plecach i zapleść nogi wokół jego ramion. A to się zdarza często; w przypływie wściekłości Gita zastanawia się, po co on w ogóle zdradza żonę, skoro i tak pieprzy się w pozycji misjonarskiej. I gdyby chodziło o kogoś innego, miałaby zapewne rację, ale cóż – miłość to miłość… Dając się ponieść nerwom, Gita zapomina, że ludziom zakochanym wystarczą do zaspokojenia pragnień nieistotne szczegóły. Dlatego męczą ją jego skromne wymagania, a sposób, w jaki szepcze: „Popatrz na mnie", działa na nią jak niemożliwa do spełnienia perwersja. Gdyby była z kimś, kogo kocha, albo przynajmniej pożąda, otwarcie oczu byłoby wyrazem żarliwego oddania. Ale będąc z Doktorem, obawia się, że ten dostrzeże w nich pogardę albo obojętność. Żenuje ją udawanie onieśmielonej, barykadowanie się za powiekami, jak gdyby ktoś nastawał na jej skromność, i gdy przewraca się na brzuch, postanawia już nigdy na niego nie patrzeć. Powiesić na tablicy kartkę z zakazem, by ktokolwiek ją z nim umawiał.

I trwa to już dwa lata.

Po tym wszystkim, co on uważa za akt miłosny, a ona – za najgorszą mękę, ulga, że to już koniec, jest tak wielka, że Gita mięknie w swoim postanowieniu, myśli o czasie, w którym on pomógł jej załatwiać sprawy administracyjne; o dniu, w którym, chora jak pies, zadzwoniła, a on przyjechał o siódmej rano z walizeczką antybiotyków i nie poprosił o nic w zamian, nawet o całusa w ramach zapłaty

za wymówkę, którą musiał wymyślić, by tak wcześnie zostawić żonę i dzieci.

Gita ścieli łóżko i myśli o tamtym poranku, w którym wlokła się z bolącym gardłem, by wpuścić go do swojego mieszkania; o nim, jak w garniturze, z oczami nieco podkrążonymi, lecz pełnymi światła, które rozpaliła jednym telefonem, mija przedpokój z walizeczką w jednej dłoni i z ciepłą czekoladą w drugiej. Denerwuje się na widok jej bosych stóp, każe jej wracać do łóżka i idzie umyć ręce. A Gita, otulając się kołdrą, myśli o tym, że zamiast płacić mu za wizytę, będzie musiała, nawet przy czterdziestostopniowej gorączce, odwdzięczyć mu się w ten czy w inny sposób… Ale on siada na brzegu łóżka, otwiera walizeczkę, zadaje jej pytania, jakie lekarz zwykle zadaje pacjentce, ogląda jej gardło w świetle lampki nocnej, doskonale neutralny, niezważający na jej nieświeży oddech, na pokryty osadem język i ropę spływającą po ściance gardła (za to Gita czuje zakłopotanie robotnika, który dopuścił, by jego narzędzia zardzewiały). Bez większego zaskoczenia diagnozuje anginę ropną, daje Gicie dwie tabletki, ustawia na szafce nocnej kilka flakonów. Gita czuje się lepiej już po przełknięciu pierwszego lekarstwa; i gdy patrzy na pakującego się Doktora, ogarnia ją nagła fala czułości. W tym dokładnie momencie uświadamia sobie zasięg tragedii, którą przeżywają oboje, choć na różnych poziomach. Może sprawił to fakt, że jest chora i skłonna do sentymentalizmu, a może słodka myśl, że po przebudzeniu będzie mniej cierpieć… Gita nagle dostrzega tego mężczyznę, który nie różni się niczym od innych, choć na pewno jest przystojniejszy niż większość z nich, a który teraz wodzi wzrokiem po pokoju, gdzie cisną się we dwoje – po norze Gity o ścianach zaklejonych plakatami, zdjęciami, po bałaganie Gity, jej rozrzuconych ubraniach, po jej półce z książkami i kolekcji butów. Dociera do niej, że i ona staje się dla niego kimś konkretnym, kimś, kim nigdy nie była poza

godzinami, które spędzał z nosem wtulonym w fałdki jej ciała; i domyśla się, że woli ją taką, ubraną w piżamę i prawie niemą, a nie wymalowaną, uczesaną i zakutą w podwiązki, bo jest w niej zakochany, a brudne majtki i puste butelki po coli zbliżają go do prawdy, którą, jak niezłomnie wierzy, chciałby dogłębnie poznać. Gita nie jest w tym momencie ani kurwą, ani pacjentką, tylko młodą kobietą, w której mógłby się zakochać, której towarzystwo ceniłby sobie przez kilka miesięcy, dziewczyną, dla której wahałby się, czy opłacić kosztowny rozwód, i którą w końcu by rzucił, bo tak się niemal zawsze dzieje. Ponieważ są u niej, a nie w burdelu, ona też mogłaby się w nim zakochać, zużyliby się do szczętu na ukradkowych spotkaniach w pokątnych restauracjach i podłych hotelach, wymyśliliby sobie namiastkę życia, balansującą zawsze na krawędzi frustracji, aż w końcu naprawdę by się sfrustrowali, a ona, dwudziestosześcioletnia i wolna jak ptak, zadurzyłaby się w jakimś innym i rozstaliby się w jeden z tysiąca możliwych sposobów. Widzi te wszystkie myśli, malujące się na jego twarzy; i sama przez krótką chwilę bawi się myślą, że on mógłby być kimś innym niż tylko klientem, że mógłby pachnieć inaczej niż burdelowe mydło i że ten zapach by się jej podobał. Żałuje pogardy, jaką wzbudza w niej zazwyczaj, mimowolnie i nieświadomie, tej nieodpartej pogardy, jaką budzą mężczyźni zakochani w dziewczynach, którym płacą właśnie po to, by nie musieć ich kochać.

Odwraca się na poduszce, wkładając resztki energii w odsłonięcie piersi – są małe i sterczące od gorączki; choć jej usta są nie do użytku, to on może chociaż wziąć ją szybko z boku, jest tak gorąco, że to na pewno nie potrwa długo. Znów jest po prostu gotowa się oddać, przelewając na niego nienawiść do wszystkich mężczyzn, którzy przelecieliby półmartwą laskę, jeśli tylko nie zaczyna stygnąć od strony tyłka… Ale Doktor zachowuje się tak, jakby nie widział jej

piersi, a jeśli nawet, to patrzy na nie z klinicznym chłodem, jaki przystoi jego profesji. Uśmiecha się i okrywa ją kocem, a ten uśmiech sprawia, że Gita czuje się wyuzdana i żałosna – czy naprawdę myślała, że jest aż tak zepsuty?

Doktor patrzy przez chwilę, jak Gita pije czekoladę, którą jej przyniósł. Niech pamięta, żeby nie pić zbyt gorących napojów, to tylko pogorszy sprawę. Niech się wyśpi. Niech odpocznie. Niech przez dziesięć dni nie chodzi do pracy.

– Dziękuję – wzdycha Gita, wkładając w spojrzenie całą wdzięczność, którą chciała mu okazać, leżąc na boku.

Przed wyjściem z jej pokoju Doktor jakby się waha, a potem rzuca z powagą, od której jego piękna kanciasta twarz pochmurnieje:

– Wiesz, ja od razu zapomnę twój adres. Nie musisz się martwić.

Gita uśmiecha się, odpowiada, że nigdy się o to nie martwiła, ale czuje zarazem gwałtowną ulgę i gwałtowny niepokój – bo wcześniej nie dotarło do niej, że on teraz zna jej adres, a przynajmniej nie zdawała sobie z tego sprawy. Jakaś część jej mózgu podsuwa jej wszystkie nieprzyjemne rozwiązania, na wypadek gdyby Doktor postanowił ją nachodzić – takie jak przeprowadzka czy telefon na policję. Kusi ją, by mu uwierzyć – ale czy można ufać zakochanemu mężczyźnie?

Prawda jest taka, że można. Można przyjąć obietnicę, że nigdy nie zapuka do jej drzwi. Ale raczej nie da się na komendę zapomnieć adresu kobiety, którą się kocha. Zwłaszcza jeśli kobieta, którą przywykło się widywać dwa razy w tygodniu, z dnia na dzień znika. To właśnie zrobiła Gita, przyszła w któryś wtorek, odpracowała swoje, powiedziała „do jutra” i już więcej jej nie widziałyśmy. *Hausdamen* dzwoniły do niej, żeby przyszła zabrać rzeczy, ale zawsze odpowiadał im standardowy głos automatycznej sekretarki, a po pewnym czasie inny, metaliczny głos poinformował je, że wybrany numer nie istnie-

je. Jej szafka pozostała pełna, zamknięta na klucz, nietknięta, z etykietką i imieniem wypisanym fioletowymi literami. To imię, znalezione w jakiejś książce, było pod każdym względem odległe od jej prawdziwego imienia, ale odwracała głowę na jego dźwięk, gdy zatopiona w myślach, paliła na balkonie i gdy wołano ją do klienta. Pewnego dnia jej zdjęcia zniknęły ze strony internetowej – ale jestem pewna, że jeden mężczyzna zachował na zrzutach ekranu te obrazki, które na pierwszy rzut oka można by nazwać kiczem – Gita leżąca, stojąca, tyłem, przodem, na czworakach w najśmielej ukwieconym pokoju Domu – lecz tak naprawdę fascynujące, ponieważ jej oczy, bez retuszu, dodają tej orgii róż i margerytek oraz pastelowej organdyny niemal bolesnego ciężaru. Nigdy, choć brakowało nam miejsca, nie śmiałyśmy sforsować kłódki na szafce, by przełożyć tam rzeczy jakiejś nowej dziewczyny; i w tej szafce na górze została cząstka Gity, pięknej Gity, która wyparowała z powierzchni świata.

Gdy Doktor wrócił, dwa dni po jej zniknięciu, o którym telefonicznie poinformowała go Marlene – Lotte, Birgit i ja, schowane za kotarą, podglądałyśmy, jak wchodzi do saloniku.

– Biedak – westchnęła Birgit, wracając do przerwanej lektury.

Lotte poszła porozmawiać z Doktorem. Wyglądał jak rozbitek, który uczepił się deski, by złapać kilka dodatkowych oddechów. Zapytał o wieści od Gity, a gdy Lotte odpowiedziała mu, że nikt nie ma żadnych wieści, zapadła śmiertelna cisza i trwała całą wieczność. Doktor ukrył twarz w dłoniach, i Lotte, która zaczęła przebierać nogami, kręcąc jednym biodrem, a potem drugim, by dodać sobie animuszu, i nie śmiąc wyrywać z zamyślenia potencjalnego klienta, dostrzegła, że wszystkie jego paznokcie, zazwyczaj niemal tak czyste jak u kobiety, były obgryzione do krwi; że w tym ponadczterdziestoletnim mężczyźnie drzemał nerwowy nastolatek, w którym zniknięcie Gity obudziło najgorsze nawyki. Lotte obawiała się, że wybuch-

nie i zagrozi zniszczeniem wszystkiego, jeśli nie powiedzą mu prawdy – że Gita nie życzy sobie go widzieć. Ale to nie było w stylu Doktora; wreszcie zdjęta litością Lotte poczuła, jak jej własna ręka oddala się od ciała, by spocząć na jego ramieniu; podniósł na nią dziki, szalony wzrok:

– Która jest do niej podobna?

Bluebird Is Dead, Electric Light Orchestra

„Wiesz, ja wystawałem przed jej domem. Przysięgałem, że nigdy tego nie zrobię, ale po tygodniu myślałem, że oszaleję. Pielęgniarki patrzyły na mnie, jakby mnie nie poznawały, a to widać od razu, gdy się spędza całe dnie wśród ludzi, którym widać tylko oczy. Mogłem uśmiercić pacjentów, tak bardzo o niej myślałem. Prawie to zresztą zrobiłem; omal nie zapomniałem gazika w żołądku jednego faceta. To się wydaje niemożliwe, mniej więcej tak, jakby któraś z was miała zapomnieć o kondomie, ale nie wyobrażasz sobie, jakie to łatwe. Gaza przyjmuje kolor tkanek i w dwie sekundy mamy na stole wstrząs septyczny i trupa. Szyłem ranę, myśląc o Gicie, o mieszkaniu Gity, gdy pielęgniarka położyła mi dłoń na ramieniu – a to się nigdy nie zdarza, nie podczas operacji.

Więc po wyjściu z pracy, zamiast wracać do domu, pojechałem na Mitte i zaparkowałem przed jej domem. Czekałem, aż wreszcie ją zobaczyłem. Był z nią jakiś facet. Facet w jej wieku. Taki, który jej nie płacił – to było widać, wystarczyło spojrzeć. Nigdy jeszcze się przed nim nie rozebrała – to też było widać. Oczywiście momentalnie znienawidziłem tego faceta, ale przede wszystkim ucieszyłem się, że wszystko z nią dobrze, bo się martwiłem. To idiotyczne, w głębi duszy powinienem domyślać się, że po prostu miała dość. Trzeba naprawdę być głupcem – takim, jakim tylko potrafią być mężczyźni – by wyobrażać sobie, że dziewczyna, która wyparowała, na pewno ma jakieś kłopoty – a jest przeciwnie. Promieniała. Myślałem, że tu oglądałem ją szczęśliwą, ale to było jak podziwianie zachodu słońca

w ciemnych okularach, nie ma innego porównania. Trzymała w ręku piwo, tamten facet upił łyk i po jej śmiechu, po tym, jak pożerała go wzrokiem, domyśliłem się, że pójdą do łóżka. Że miała na to ochotę. To niesamowite, nagle dostrzegałem wszystko, nawet podniecenie na jej twarzy. Była ciemna noc, ale ja to czułem. Każdy inny człowiek widziałby tyko kolejną ładną, lekko zawianą dziewczynę, która w piątkowy wieczór sprowadza do domu chłopaka. Usiadła na parapecie parterowego okna i zarzuciła ramiona na szyję tego faceta. Zacząłem się zastanawiać, czy to dla niego rzuciła tę robotę, ale nie sądzę. To był jakiś przypadkowy koleś, który prawdopodobnie nie miał pojęcia o jej przeszłości. Zrozumiałem, że byłem dla niej tylko klientem, bo inaczej się poruszała, emanowała czymś innym. Przy mnie reagowała wyłącznie na bodźce, nigdy nie przejmowała inicjatywy, nie wsuwała mi palców we włosy, nie oplatała nogami moich ud, nie odchylała głowy. To niesamowite, jak zderzenie z rzeczywistością może odebrać siły. Siedziałem w samochodzie, zbyt otumaniony, by pomyśleć o tym, żeby się schować, a w głowie kołatały mi się wszystkie te chwile, w których czułem się jej bliski, kiedy myślałem, że dostaję od niej więcej, niż daje innym. O tym, jak raz przyszedłem do niej, o tym spokojnym momencie w jej pokoju, gdy ona leżała pod kołdrą, a ja siedziałem na łóżku i oglądałem jej biedne zaropiałe gardło. O nic więcej wtedy jej nie poprosiłem, cieszyłem się tą bliskością. Tego dnia marzyłem, że mogłaby się we mnie zakochać.

I nagle, patrząc, jak namiętnie tuli się do tego gościa, zacząłem się zastanawiać, czy samochody wokół naprawdę są puste, czy nie zobaczę sylwetek innych klientów, zastygłych z przerażenia, dawnych klientów zasklepionych w tych samych złudzeniach, które teraz rozbiły się w drobny mak.

Już sam fakt, że mogła zniknąć, nie pomyślawszy nawet, żeby mnie uprzedzić, powinien był naprowadzić mnie na trop. Gdybym

nie był takim kretynem, wyczułbym na niej innych mężczyzn. Myślałem, że to jej zapach, i kochałem jak całą resztę.

Byłem tylko klientem; a gdy przytulona do tego swojego młodziana spojrzała w moim kierunku i mnie zobaczyła, zrozumiałem, że zostałem jej wrogiem. Te oczy! Widziałem tylko jej oczy, reszta była schowana za ramieniem tamtego, to było tuż przed ich pocałunkiem. Nawet nie mrugnęła, nie wykonała żadnego gestu, nie okazała zaskoczenia – tylko te oczy, wbite we mnie, ogromne, przerażone, nieruchome. Przerażone. Przerażone.

Wiesz, gdy się ma żonę, dzieci i kochankę, to najgorsze w tym wszystkim nie jest uczucie do kogoś, z kim nie można spędzić więcej niż dwie godziny za jednym razem. I nie fakt, że jest to uczucie jednostronne czy z góry skazane na porażkę. Najgorsze jest to, że trzeba wracać do domu, niosąc na ramionach zawalony świat, i żyć tak, żeby nikt tego nie zauważył. Znajdować siłę, Bóg jeden wie gdzie, by się uśmiechać i zachowywać normalnie, podczas gdy w każdej sekundzie tej komedii niestrudzenie unosi się pył po świecie, który runął. I najgorsze, że to jest możliwe. I do zrobienia. I że to robimy. Dniami, tygodniami, całymi miesiącami, z ziejącą dziurą w sercu”.

Mambo Sun, T. Rex

Hildie wraca na Kreuzberg innym autobusem. Chętnie pojechałabym z nią i napiłabym się kawy, ale chce mi się spać i mam oczy spuchnięte od płaczu. Odchodzi, uginając się pod ciężarem chandry i torby, do której opróżniła szafkę. W autobusie staruszki gapią się na nią z politowaniem pomieszanym z czułością, sądząc, że przeżywa straszliwy zawód miłosny i że za klika dni znajdzie sobie nowego kawalera. Wpatrują się w nią usmarkane dzieciaki. To mogłaby być żałoba, jakaś osobista tragedia – Hildie łka tak głośno, z takim zapamiętaniem. Ale nikt się do niej nie odzywa, nikt do niej nie podchodzi, co akurat jest dobre, bo Hildie nie byłaby w stanie wymyślić żadnego wytłumaczenia. Wygadałaby wszystko, i kto by ją zrozumiał? „Miejsce, w którym właziły na mnie setki mężczyzn, właśnie zamknęło podwoje". To mogą być tylko łzy radości albo…

W mieszkaniu kładzie się, nie zdejmując ubrań, i zapada w twardą drzemkę, z której budzi się po czterech godzinach. Głodna jak wilk – ona, która sądziła, że już nigdy nie będzie jej się chciało jeść. Głęboki sen rozdarł jej dzień na pół i oddalił poranek, jakby należał do innej epoki. I w związku z tym smutek też wydaje się jej bardziej odległy, mniej precyzyjny, smutek bez cierpienia, jakby to nie ona, lecz któryś z jej bliskich przyjaciół przeżywał stratę.

Gdy pochłania resztkę wczorajszego makaronu, przychodzi wiadomość: „Za godzinę?".

Nadawcą jest mężczyzna, którego nigdy nie widziała i z którym zaczęła rozmawiać tydzień wcześniej, gdy zrozumiała, że potrzebuje

odskoczni od swojego zmartwienia. Zaintrygowały ją fotki tego nieznajomego. Hildie wślizguje się w czarny lejący kombinezon; nie wkłada majtek. I z sercem bijącym głucho w piersi, z sutkami sterczącymi od pieszczoty popeliny, idzie w kierunku parku, w którym się umówili. Jest piękny czerwcowy wieczór, a ziemia tryska upałem, który wchłaniała przez cały dzień. Hildie miała tego ranka trzech klientów, można by pomyśleć, że perspektywa spotkania z mężczyzną wyda jej się nudna; ale ona z zachwytem stwierdza, że jest rozpalona i że choć spędziła trzy lata na dreptaniu od pokoju do pokoju, by pieprzyć nieznajomych facetów, ten nieznajomy – ponieważ jej nie płaci i ponieważ ją wybrał, podnieca ją w niespotykany sposób. Właściwie bardziej niż podniecenie odczuwa strach, który boleśnie ściska jej żołądek; strach, że w ciemności dostrzeże mężczyznę. Strach, że mu się nie spodoba. Strach, że nie będzie już umiała tego robić, że zaraziła się w burdelu skłonnością do załatwiania sprawy bez zbędnych ceregieli – że opuści kombinezon i odda mu się na stojąco, przy drzewie – już na samą myśl o tym w jej ustach zbierają się litry śliny. Bo jak wyjaśnić to nieznajomemu? Zwłaszcza że on nie jest facetem tego pokroju. Mimo że o tym rozmawiali, Hildie przeczuwa, że nie przystawi się do niej od razu i nie będzie chciał natychmiast jej całować. Na myśl o tym odwlekaniu, o tym oczekiwaniu, kolejny skurcz skręca jej wnętrzności – ale Hildie nie ma zamiaru zawracać. Kobieta, która bez krzty zawstydzenia chodziła nago po kilkuset metrach kwadratowych Domu, teraz zastanawia się gorączkowo, czy dobrze jej w ubraniu, jak wygląda jej tyłek w tym kombinezonie, czy widać w mroku, że sterczą jej piersi i że jej chód nabrał ospałej miękkości, charakteryzującej kobietę idącą ku możliwej rozkoszy – i w głębi duszy ma nadzieję, że tak.

Zanim opuściła ją pewność siebie, kiedy nie wiedziała jeszcze do końca, że przyjdzie na spotkanie, zdołowana przez zamknięcie

Domu i przez własne łzy, które mieszały się ze łzami innych dziewczyn, wyznaczyła mu zuchwale spotkanie w wyludnionym zakątku parku, istną zachętę do gwałtu. Idzie, a rozmowy ludzi skupionych wokół przenośnych grillów stopniowo się oddalają, spokojna wrzawa berlińskiego letniego wieczoru milknie jak we śnie; cisza, która zapada, obscenicznie wdziera się w wątek jej myśli. Nawet jeśli tak naprawdę Hildie nie myśli o niczym. Już od pięciuset metrów nie myśli o niczym, rozgląda się czujnie i drży, gdy tylko słyszy za sobą męskie kroki. Drży na myśl, że zobaczył ją ktoś, kogo ona nie widzi, w chwili kiedy na jej twarzy malował się lęk.

Gdy nadzwyczaj ostrożnie schodzi po kamiennych, omszałych schodach, od ciemności odkleja się olbrzymi cień, słusznej postury pies patrzy na nią i podbiega powąchać jej nogi. Hildie nie śmie się poruszyć, ledwo oddycha, przekonana, że mimo długiego prysznica pies wyczuł jej trzech klientów, jakieś resztki zapachów we włosach. Przez moment przeraża ją myśl, że nos psa zabłądzi, jak to często bywa, między jej uda, więc zasłania to miejsce ręką, udając niedbałość. Jeśli jest cokolwiek, co bez wątpienia mógł wyczuć pies, jest to zapach samicy gotowej do pokrycia. Ale ten pies, tak jak inni jego berlińscy pobratymcy, jest dobrze wychowany, więc oddala się, spokojnie poszczekując.

Znowu cisza. Nic poza odległym pluskiem sztucznego wodospadu. Hildie ma dziwne, trudne do określenia przeczucie.

– Obszedłem jezioro, czekając na ciebie – ktoś cicho odzywa się po angielsku za jej plecami.

Ten głos jest przesiąknięty akcentem z Liverpoolu, Hildie dostrzega w ciemności błysk białych zębów, a pomarańczowe światło latarni sączące się spomiędzy gałęzi kasztanowca oświetla oczy okolone bardzo ciemnymi rzęsami. Spod wysoko zapiętej koszuli wystają włosy porastające nawet szyję.

Każdy inny facet dałby jej na powitanie całusa. Amerykanin przytuliłby ją, unicestwiając zarazem wszelkie napięcie erotyczne. Ale on nie robi nic, patrzy na nią z uśmiechem, a Hildie czuje, jak jeżą się jej włoski na karku. Gdy idą obok siebie, Hildie myśli, że gdyby dotknęli się niechcący, jedno z nich odczułoby wyładowanie elektryczne, niebieską iskrę, i już nie mogliby udawać, że nie rozmawiali o jego palcach w jej cipce, że nie wysłał jej zdjęcia swojego wzwodu pod spodniami od piżamy i że nie umówili się w ciemności, by się dotykać, lecz się nie widzieć. Nie użył perfum. Gdyby zbliżyła się do niego, poczułaby zapach jego skóry, zapach, który nie kojarzyłby się jej z nikim innym.

Porośnięta chwastami droga za jeziorem wiedzie ku totalnej ciemności. To prześwit na skraju lasu, gdzie kończy się parkowa roślinność, a drzewa tworzą tunel o splątanym sklepieniu. Hildie nigdy tu nie była i w zwykłym stanie nie zapuściłaby się tam, ale to właśnie ona postanawia się tamtędy przebić. Choć rozmawiają lekkim tonem, Hildie wie, że on wie, że ona wie, na co się zgadza dziewczyna, która pozwala się tak prowadzić w letni wieczór, pod bezksiężycowym niebem. I prawda jest taka, że umiera z niecierpliwości, by ten młody facet, który idzie obok i przekomarza się z nią, po prostu wziął ją w krzakach. Ten facet, który prawdopodobnie myśli, że nie będzie łatwo, i spodziewa się piskliwych protestów, gdy tylko położy na niej dłoń. Facet, który wreszcie to zrobi, z poczuciem, że skacze w próżnię. Gdy siadają na trawie, nogi Hildie lekko drżą. Strach, który krąży w jej żyłach, jest słodki i w dziwny sposób trzyma ją na miejscu. Oto siedzą w odległości kilku centymetrów, rozmawiają jak w kawiarnianym ogródku. Hildie czuje, że on patrzy, jak ona niedbale wyrywa wysokie trawy. Kołysana jego głosem zastanawia się, czy mu staje, gdy tak siedzi obok niej, czy on, tak jak ona, wyobraża sobie ich wściekłe zespolenie w plątaninie ostów i dzikiej pszenicy i jej

nogi owinięte wokół jego pleców. Widzi swoje odbicie w jego ciemnych oczach – jest w nich nowa i świeża – i upaja się tym widokiem. Zapomniała już o tym dreszczu, odczuwanym, gdy patrzymy na mężczyznę, który patrzy na nas i nie wie, czy będzie nas miał. Który ma nadzieję. Który zbiera się w sobie, przyczajony w cieniu. Który nie zdaje sobie sprawy, że nieco wcześniej miał okazję znacznie szybciej przejść do czynu.

Tuż obok, we mchu, pełzają jakieś żyjątka. Maleńkie stworzenia, nieco zdezorientowane obecnością ludzi, wydają z siebie piski, cichutkie pomruki. Panuje w tym lesie wilgoć pachnąca torfem, nieuchwytne zapachy kwiatów, ukrytych w cierniach i pokrzywach, wyziewy tak zmysłowe, że Hildie jest oszołomiona. Osłabiona opada na trawę, szepcząc, że noc jest taka piękna. I właśnie wtedy on się nad nią pochyla.

– A teraz cię pocałuję – ostrzega, zanim poczuje jego usta zawieszone tuż nad swoimi.

„Gdy słuchamy Mozarta – mawiał Sacha Guitry – cisza, która następuje później, również jest dziełem Mozarta".

Nie całuje jej od razu; wkłada w to całą staranność, całą nieznośną powolność pierwszych, zawieszonych w powietrzu pocałunków. Najpierw muska ustami jej wargi, odsuwa się. Hildie w milczeniu wbija paznokcie w miękką ziemię, mieszankę piasku i sosnowych igieł. Całuje ją delikatnie, cierpliwie, oddychając płytko przez usta. Hildie wzdycha, drapie udo, które napiera na jej nogę. On przygryza jej dolną wargę, Hildie powstrzymuje ochrypły jęk, który ostatecznie wydobywa się z jej gardła, gdy on wciska język w jej usta – i natychmiast ma sobie to za złe, i wstydzi się straszliwego podniecenia, które nagle czuje. Pewnie bierze ją za dziewczynę, która od lat się nie pieprzyła – i trochę tak jest, dociera do niej, że klienci Domu przemknęli przez nią, nie wpłynąwszy ani na jej apetyt, ani na zdolność

odczuwania przyjemności, nawet gdy wracała do mieszkania połamana od wygibasów, z ogniem w dole brzucha, marząc o serialu i kebabie. Gdy traktowała swoją cipkę jak narzędzie, nachodziła ją czasem ochota, by uwodzić i być uwodzoną, i znów wziąć udział w tańcu godowym normalnych ludzi. To było jak przebudzenie Hildie w niej samej, na powrót stawała się Marthą, dwudziestosiedmioletnią Marthą o diabolicznym libido i słodkich oczach, jakie robiła zawsze, gdy mijała chłopca, który podobał jej się z wyglądu. I przez kolejne dni fantazja o nieznajomym towarzyszyła jej nawet w ramionach klientów; dla zabawy dźgała ich piętami, myśląc o tamtym chłopcu, którego już nigdy nie spotka.

Hildie mruczy z ustami pełnymi jego języka i szuka porównań: jest tak, jakby szła w ulewie pod parasolem na tyle szerokim, że pozostaje sucha aż po palce u stóp. Jest tak, jakby była malarzem pokojowym i nagle znalazła swoje powołanie, zachlapując farbą olejną monumentalne płótna.

„Ja to wszystko czuję" – zachwyca się Hildie, gdy on opuszcza jej kombinezon do pasa. „Jest tak, jakbym dotąd była w klatce" – myśli jeszcze, świadoma, że jej metafory tracą celność, w miarę jak on ją rozbiera. „Czuję zimno, czuję jego ręce".

Hildie czuje też, kiedy na nim siada, ekstremalną sztywność jego erekcji. To coś innego niż spokojna twardość kutasów, które wiedzą, że skończą w wygodnym ciepełku dziewczyny, bo po to się tu znalazły. To jest erekcja, która dojrzewała, odkąd opuścili świat, by ukryć się w zakątku lasu, nieoznaczonym nawet na planach Berlina, erekcja, która wbija jej się w brzuch, boleśnie ściśnięty paskiem. Hildie ociera się o nią wściekle, wywracając oczy, zwracając twarz ku niebu usianemu gwiazdami. Ma wrażenie, że wspina się na drzewo, żywe drzewo, które oddycha pod nią i wspomaga każdy jej ruch ciepłymi, reaktywnymi gałęziami. Teraz, gdy wypełzła z jaskini zobojętnienia,

informacje uderzają w nią ze wszystkich stron, prosto w twarz, zanim jeszcze mózg, przyzwyczajony do stanu permanentnej czujności, jest w stanie którąkolwiek przetworzyć, jest cała tu i teraz, głupia, zaślepiona podnieceniem, i dosiada udo, które zgiął tylko dla niej, i czuje wilgotną tkaninę między nogami i przenikliwe pulsowanie w łechtaczce. Resztka chłodu i wyrachowania w jej głowie podszeptuje jej, że ma pod sobą twardego kutasa, kutasa, którego prawdopodobnie będzie musiała ssać, ale mówiąc to, Hildie, tkwiąca jeszcze w Marcie, nie przybiera już obojętnego tonu profesjonalistki. Nachodzą ją reminiscencje z czasów sprzed Domu, wie, że on będzie oddychał głośniej, gdy uwolni go od spodni; że odpłynie i zamknie oczy, gdy zacznie pieścić go policzkiem, i otworzy je gwałtownie, czując jej zęby, muskające go lekko na całej długości – ze strachu przed ugryzieniem i z nierealnego pragnienia, by go połknęła. I gdy wysunie koniuszek języka, by przejechać nim wolno, bardzo powoli, po pulsującej żyle, biegnącej aż do koniuszka, on wyda z siebie rozdrażniony świst na myśl, że mógłby wytrysnąć za szybko; podnosząc ku niemu wzrok, Hildie zobaczy, jak on czeka na to, co jeszcze zgotują mu jej wargi. Gdy otworzy szeroko usta, żeby go wchłonąć w całości, a potem zaciśnie je na nim niczym ciepłe etui, on wyda z siebie pojedynczy dźwięk, jego plecy wygną się, a palce zanurzą w jej rozczochranych włosach, by nawinąć je na nadgarstki, choć nie będzie miał śmiałości, by za nie pociągnąć, jeszcze nie. Usłyszy jego westchnienie „*oh, fuck*", przesuwając po nim wargami, pochłaniając go gwałtownie aż do moszny, zdziwiona, że jest zdolna sięgnąć tak daleko i że poczucie dławienia i odruch wymiotny wcale nie są nieprzyjemne, przeciwnie – przypominają spazm cipki gotowej na orgazm – a towarzyszy im napływ śliny i łez i ciepło, które rozchodzi się po całej twarzy. A tam, między udami, uderza w jej ciało, jak w bęben, poczucie nieznośnej tęsknoty.

– Nie wzięłam prezerwatywy – czka Hildie w jego tors, myśląc o stosiku, który ma u siebie, a który zignorowała z powodów, jakie wówczas wydawały się jej uzasadnione – nie wyobrażała sobie, że przyjdą do Görli, nie wyobrażała sobie, że w Görli jest wystarczająco odosobnione miejsce, w którym można dyskretnie wymienić się nie tylko pieszczotami.

On był mniej subtelny albo bardziej przewidujący, wyjmuje z kieszeni gumkę, którą ona odpakowuje niezdarnie i szybko, jakby miały się z niej ulotnić wszystkie sekrety świata. Oddech ma śmiesznie krótki. Zakłada mu ją ustami, tak jak nauczył ją jeden ze znajomych, który odwiedzał autem pokątny zaułek Potsdamer Strasse, gdzie pewien transwestyta robił mu laskę, gdy jego chcica mieszała się z rozpaczą.

Hildie puściła jego fiuta, który wystawiony na chłód leśnego poszycia, nie stracił ani krzty swojej sztywności. Teraz obwąchuje go ze wszystkich stron, jak wykwintne danie. Długie uda, płaski brzuch, szeroki tors, z lekko wystającymi prążkami żeber, pachy, które ona odsłania władczym gestem, by zagłębić w nich nos, wilgotny meszek, który je porasta. Siedząc na nim okrakiem, wsparta na piętach, nadziewa się na niego powoli, zaciskając mięśnie wokół jego kutasa. Nakrapiane gwiazdami niebo rzuca cień na jego wywrócone oczy. Ona czuje, jak w jej gardle kotłuje się burza, katartyczna potrzeba, by krzyczeć, i że to jest prawdziwe, że coś oznacza. Po raz pierwszy od trzech lat, dwóch miesięcy, siedmiu dni i kilku godzin Hildie patrzy z uwagą na faceta pod sobą. On leży w plamie światła, a ona czuje, że pochłania ją ciemność, że jest całkiem bezkarna; ale księżyc wślizgnął się między gałęzie dużej lipy, która służy im za dach, i gdy ona wpatruje się w jego piękną, udręczoną twarz, w zaciśnięte szczęki mężczyzny, który cierpi, lecz nie będzie krzyczał, on widzi przenikliwe spojrzenie pijanej czarownicy, ciężkie powieki, opadające niemal

całkiem na rozszerzone źrenice. To jest świat czarno-biały, lecz on domyśla się, że w świetle dnia zęby w jej rozchylonych ustach są jak sznur pereł, a to kremowe ciało, które nad nim faluje, ma różowawy odcień, jak u bardzo młodej dziewczyny.

Już przy pierwszym pchnięciu Hildie wie, że będzie miała orgazm. To niewiarygodne i nie do pomyślenia, ale czuje w dolnej części kręgosłupa ten ciężar, który nie może być zmyłką. Zanim zdąży go uprzedzić, zanim sama zdąży przygotować się na ten widowiskowy odlot, czuje, jak przeszywa ją skurcz o takiej sile, że na chwilę zastyga, otwierając usta w bezgłośnym krzyku. Nieprawdopodobieństwo reakcji i jej natychmiastowość sprawiają, że do oczu napływają jej łzy zachwytu. Unosząc wzrok ku niebu, wbijając paznokcie w przedramię mężczyzny, który patrzy na nią, unieruchomiony pod jej ciałem, Hildie powoli opróżnia płuca, wydając z siebie rozdzierające ujadanie – ptaki siedzące tuż obok odlatują z furkotem skrzydeł; instynktownie boją się psa i być może wystrzału.

Opadając na niego, rozczochrana Hildie dostrzega, że jego uda i brzuch są mokre; kutas, który przesuwa się w niej, którego on nadal w nią wbija, wczepiwszy dłonie w jej biodra, wydaje plusk – i Hildie nagle zaczyna rozumieć. Rozumie, że naprawdę miała orgazm, że to się naprawdę zdarzyło, na tym mężczyźnie, w ciemności, na ściółce leśnej, usianej prawdopodobnie petami, i czuje dziwne zakłopotanie na myśl, że to może być takie proste, że łatwość, z jaką dochodzi z pierwszym lepszym, który jej nie zapłacił, ma w sobie coś z głupiej reakcji psa Pawłowa. I gdy on wygina plecy, by wejść w nią jeszcze głębiej, Hildie czuje, że zaraz wszystko zacznie się od nowa, ogarnia ją całkowite zaćmienie i może już tylko bełkotać niewyraźnie, że świat wokół nagle zgasł. Przyciąga go i wtulają się w siebie, kołysząc się w tym samym rytmie, w tej samej ciepłej ulewie, Hildie nie może powstrzymać orgazmów, trzy razy, cztery, nie dostrzega

nawet, że położył ją na paprociach i pieprzy ją szerokimi, wściekłymi pchnięciami.

– Musimy się jeszcze spotkać – charczy jej do ucha, łapie jej uda całymi dłońmi i też dochodzi, a jego jęk dociera do niej przez watę w uszach, niczym jedyny sygnał ze świata, który na jakiś czas został unicestwiony i kręcił się wyłącznie wokół jej krocza, wokół ich nierozerwalnie scalonych genitaliów.

Gdy się budzą, panuje całkowita cisza. Księżyc wyłonił się zza chmur i otacza ciała Hildie i Iana niebieskawą aureolą. Ziemia nie jest usiana petami, nie wala się na niej nawet jeden kapsel od piwa, przypominający o bliskości Görli, ale ściółka pod nimi jest mokra. Ian się uśmiecha; jest piękny, ma ładne zęby, nie tak młody, na jakiego wyglądał w ciemności, ale to nawet lepiej. Hildie uświadamia sobie, że mogłaby się w nim zakochać, że może już się zakochuje; trudno jej odróżnić miłość od skrajnej chcicy, która nadal, po tej lawinie orgazmów, ściska ją za gardło – jej cipka wysyła sygnały przypominające czułość, gorące fale wdzięczności. To samo upojenie, do którego doprowadza ją powolny i głęboki oddech ukochanego mężczyzny. Hildie szuka jego ust, a on podaje je ufnie, jak zasypiające dziecko. Palce, które ssie z oddaniem, pachną papierosami i piżmem, i lekko drzewną wonią jej cipki. Gdyby pospiesznie zapiął się i uciekł pod pretekstem porannego spotkania, Hildie nie czułaby tego niewyraźnego lęku przed nieuchronną katastrofą. Byłoby znacznie prościej, gdyby Ian był głupim gnojem, usatysfakcjonowanym faktem, że ją posiadł, i gdyby mogła wrócić do domu z niemal niezbitą pewnością, że doprowadziła się do tych orgazmów sama. Ale gdy idą w kierunku parku, nie mając śmiałości złapać się za ręce, za to w regularnych odstępach łapiąc się wzrokiem, Ian pyta:

– Jak ci jest?

– Z tym, co się wydarzyło?

– Tak.

– Sama nie wiem. Szczerze mówiąc, zdarzyło mi się to po raz pierwszy w życiu.

– Przestań!

– Nie musisz mi wierzyć, ale przysięgam.

Bo rzeczywiście, jak mógłby uwierzyć, że dziewczyna taka jak Hildie, wysyłająca takie wiadomości i tak przejmująca inicjatywę, doszła w ten sposób po raz pierwszy w życiu? Ale przecież – jak myśli Hildie, jednocześnie osądzając i poddając się osądowi – po co jakakolwiek kobieta miałaby to wymyślać? Naga prawda jest cudowna: doszła, bo było jej dobrze, bo sama go wybrała, bo właśnie ulotniła się część jej życia, a ona nie pieprzyła się od stu lat.

Docierają do centralnej części parku, gdzie pomarańczowe latarnie wywołują wrażenie dnia.

– Zaczekaj – mówi Ian i przyciąga ją do siebie. – Zaczekaj, daj mi na siebie popatrzeć.

Znów się do niej uśmiecha, a Hildie, która przez trzy lata chroniła moc swoich niebieskich oczu niczym ostatni, bezcenny skarb, instynktownie się odwraca. Ian chwyta ją za podbródek i zmusza, by na niego spojrzała, z gwałtowną czułością ludzi z normalnego świata – którzy zdecydowanie mają dziwne zwyczaje. Wolałaby nie dostrzec w tym świetle, w tym spojrzeniu, że mu się podoba i że jest przystojny.

– Muszę lecieć – szepcze, odchodząc, i oboje zawracają zaskoczeni, jakby już się za sobą stęsknili.

Chybotliwy, niekończący się pocałunek zapiera im dech, Hildie czuje, że Ian znów jest twardy. Z bólem wyrywa się z jego objęć i niemal biegnie w kierunku alejki prowadzącej do jej ulicy, do jej mieszkania, do narzeczonego, który myśli, że poszła na kolację z kumpel-

kami. Z ciemności wyłania się diler trawki i pozdrawia ją cicho; on i jego koledzy widzieli, w jaki sposób Ian trzymał Hildie za kark, z jaką zmysłową żarliwością, i mają z tego ubaw:

– Udany wieczór, proszę pani?

Hildie wie, że śmierdzi seksem. Że zapach Iana osiadł na niej wszędzie, w ciężkich włosach, w wilgotnych fałdkach, niemożliwy do usytuowania, lecz wszechobecny, jak wyziewy dymu.

– W co ty pogrywasz? – szepcze, biegnąc truchtem po swojej ulicy, zdyszana, jakby uciekała przed własną zgubą. – Co ty wyprawiasz, do kurwy nędzy?

I w lęku, który ją ogarnia, w rozkosznym rozleniwieniu zakochanej kobiety, czuje ponurą radość na myśl, że całe jej życie mogłoby za pięć minut runąć z powodu nieuchwytnego zapachu mężczyzny, o którym nie wie nic, nawet tego, jak ma na nazwisko.

Czerwiec 2014 roku

Na zachodzie, tuż za Schwarzes Cafe, gdzie radośnie rządzą moje siostry, biegnie Schlüterstrasse i szpalery jej pięknych, solidnych kamienic; lecz tylko komuś, kto naprawdę kocha Haussmanna, mogą się one podobać bardziej niż te paryskie. Le Manège zajmuje całe pierwsze piętro budynku oznaczonego numerem czterdzieści siedem na tej nobliwej ulicy. Mniej więcej dwieście pięćdziesiąt metrów kwadratowych, których istnienia nie domyśla się nikt, kto stoi na zewnątrz. Tylko wprawne oko dostrzeże z ulicy, że zasłony są tam stale zaciągnięte – i że z jedynego okna sączy się fioletowawe, nieco wulgarne światło, prawdziwe światło z burdelu.

Jedno, co trzeba docenić w Le Manège, to talent dekoratora. Ktoś, kto w dzieciństwie naczytał się Maupassanta i tych opisów burdeli, gdzie w mroku niedzielnych wieczorów zbierają się całe miasteczka, łatwo może popaść w zachwyt nad panującym tu pozornym przepychem. Mnie w każdym razie od razu ujął zapach: mieszanka białych kwiatów i piżma, od której kręci się w głowie. Trzeba wyobrazić sobie olbrzymie mieszkanie, sprytnie podzielone na mnóstwo pokoi, z których wszystkie w magiczny sposób prowadzą do któregoś z barów – i nawet w przedpokoju unosi się ten upojny zapach, ta mieszczańska wilgoć, docierająca do dyskretnych zakamarków, gdzie klienci i dziewczyny na stojąco omawiają stawki i możliwości. Połknęłam haczyk jak prowincjuszka, natychmiast. Dziewczyny były ładne; nie, nie ładne – były przepiękne, wszystkie na niebotycznie wysokich obcasach. Siedziałam cnotliwie na kanapie w małym salonie,

tym, w którym czeka się na klientów, siedziałam z głupim uśmiechem, który, jak wierzyłam przez całe życie, miał mi zjednywać przyjaciół, a najwyraźniej wywoływał odwrotny efekt. Nie czułam się onieśmielona przez dziewczyny ani przez wystrój, w każdym razie nie pokazywałam tego po sobie, bo cały czas gawędziłam z szefową przybytku, paląc fajkę za fajką; ale tego wieczoru, pierwszego z piętnastu przepracowanych w Le Manège, haniebnie dałam się wziąć na lep szczegółów, zasłaniających wszystkie klasyczne burdelowe dysfunkcje. Życie codzienne kurwy nie staje się lepsze ani nawet lżejsze dzięki ładnej tapecie czy sprytnie ulokowanej lampce punktowej; jednak czasem klatka jest tak przytulna, że wchodząc do niej, niemal zapominamy o reszcie. Usypiamy jak stare koty, które rozchodzą się leniwie do ciemnych zakątków, gdy właściciel jest w podejrzanym humorze.

Nawiasem mówiąc, to właśnie z właścicielem miałam się spotkać tego pierwszego wieczoru; był nim Milo, Albańczyk, o którym powiedziano mi z wahaniem, gdy jak idiotka spytałam, czy jest sympatyczny, że tak, czasami bywa. Ostatecznie nie spotkałam się z nim od razu; wcześniej miałam czas, by pięciokrotnie zadać pytanie pięciu różnym dziewczynom. Pamiętam Michę, tę najmłodszą, najwątlejszą, rozglądającą się na prawo i lewo przed udzieleniem odpowiedzi, niepewnie i bez większego entuzjazmu.

– Tak, w porządku.

– To dobre miejsce?

– Tak, tak. W porządku.

Wyprztykałam się w Le Manège ze wszystkich niewinnych pytań i otrzymałam odpowiedzi, które dziś wydawałyby mi się po prostu skandaliczne. Jak te zmarszczone brwi szefowej domu, gdy spytałam ją, czy niektórzy klienci mają jakieś szczególne fantazje.

– Ja się tylko upewniam, czy wszystko w porządku, czy klient nie przekracza czasu i czy zapłacił. Ale nie chcę wiedzieć, co się wyprawia w pokojach.

Machała w powietrzu rękami, by podkreślić, że wszelkie ewentualne zwierzenia uraziłyby ją równie mocno jak jakiś przykry zapach. Poza sprzątaniem i nadzorowaniem zadania tej młodej kobiety były następujące: przyjmowanie klientów, oprowadzanie ich po przybytku, zwoływanie rozproszonego haremu i przygotowywanie prezentacji. Następnie uwzględniała wybór klienta albo wysłuchawszy niezdarnego opisu, próbowała zgadnąć, która z sześciu lub dwudziestu panienek wpadła mu w oko. Zapamiętywała szczęśliwą wybrankę i skrupulatnie wpisywała do rejestru jej imię, czas spędzony z klientem i nazwę pokoju. I kasowała – gotówką lub kartą. Odprowadzała podwójnie ukojonego klienta, mierząc poziom jego satysfakcji, ale najpierw – przede wszystkim – gorliwie i punktualnie jak surowa guwernantka pukała do pokoju pięć minut przed zakończeniem wyznaczonego czasu.

Burdel nie może działać bez surowych zasad. Nie trzeba w nim pracować, by wyobrażać sobie, że trudniej jest ogarnąć dwadzieścia dziewczyn, zarabiających na chleb dzięki hormonom i urodzie, aniżeli pięćdziesiąt kelnerek. Opierając się na tych samych ogólnych przykazaniach, każdy burdel określa swój zakres swobód i ogranicza je wedle własnej fantazji, każdy burdel udoskonala swój wewnętrzny regulamin. I dziewczyny, i klienci wyczuwają szybko, czy stery trzyma mężczyzna, czy też kobieta. Od razu widać, czy chodzi o stado kur pod batem, czy o niezależne profesjonalistki, których nastroje należy szanować.

Dziewczyny nigdy nie przychodzą do Le Manège w cywilu; zdradza je mnóstwo krzykliwych szczegółów. Wyglądają zawsze, jakby właśnie wróciły z zakupów przy avenue de Montaigne – młodziutkie

Ukrainki obładowane sklepowymi torbami i prowadzące na brokatowych smyczach fikuśne maltańczyki, nazywane Bijou lub Chéri.

– Możesz tu sobie nieźle zarobić, jeśli nie jesteś rozrzutna – powiedziała mi pierwszego dnia *Hausdame*. – Jednak większość dziewczyn wszystko przepuszcza. Czasem mówią, że nie starcza im na wynajem! Nie rozumiem, jak to w ogóle możliwe.

Jedynym obowiązkowym elementem garderoby są w Le Manège szpilki. To właśnie po wzroście i po wypiętym tyłku można poznać kurwę. Co do reszty, dziewczyny swobodnie zdają się na własną odzieżową fantazję – dopóki grają *fair* i nie odsłaniają więcej ciała niż koleżanki. Nie uświadczysz tu koronkowej bielizny, za to ultrakrótkie sukienki, szorty, festiwal gołych nóg, podkręcany krajkami samoprzylepnych pończoch. Czy jednak można uznać, że dziewczyny z Le Manège są, jak głosi hasło na stronie internetowej i na wizytówkach, najpiękniejsze w Berlinie? Uwierzcie mi, gdy mówię, że na początku podobały mi się dosłownie wszystkie. To ten rodzaj panienek, których rozkołysany krok nawołuje do kosmatych myśli i nieprzewidzianych wydatków. Odziane w tanie fatałaszki, których nikt nie śmiałby nosić w najbardziej zapyziałej dyskotece Paryża, z grubą warstwą tapety, próbującą ukryć ziemistą, wymagającą cerę, w syntetycznych tkaninach obciskających tyłki tak mocno, że nikt nie zwraca uwagi na nieliczne fałdki, z przesadnymi przedłużkami, mającymi uzupełnić zbyt cienkie albo zbyt oklapnięte włosy... To coś gorącego i pełnego życia, przesiąkniętego zawieszoną na włosku iluzją urody, która się pruje, gdy przyjrzeć się jej z bliska, i pozostawia po sobie tylko woń nagiego mięsa.

Jest to być może właśnie ten zawód, w którym – i nikogo to nie zdziwi – człowiek najszybciej traci dziewictwo. Mówię tu o niewinności, z jaką myślimy, że łatwo jest siedzieć przez jedenaście godzin, oczekując na klienta, z perspektywą miesięcznego zarobku blisko pi-

ęciu tysięcy euro. Komuś, kto tak jak ja ma do napisania książkę i wolną ponad połowę z tych jedenastu godzin, ten układ wydaje się całkiem sprawiedliwy. Jednak Bóg mi świadkiem, że przez te dwa tygodnie orki w Le Manège nie zajmowałam się pisaniem. Pewien rodzaj powściągliwości – być może snobizm – powstrzymywał mnie przed wyjęciem zeszytu i notowaniem. A także strach... Niejasny lęk, że ktoś zobaczy, jak robię notatki, i przyłapie mnie na gorącym, śledczym uczynku. I wreszcie niezaprzeczalny fakt: siedząc w otoczeniu dziewczyn przykutych do telefonu, grających albo gadających, trudno nie dać się wessać tej spirali gnuśności, w cieple, wśród miękkich kanap Le Manège. Ile wypaliłam paczek papierosów? Ile wypiłam butelek Apfelschorle dla zabicia czasu? Zawód kurwy wymaga przede wszystkim cierpliwości.

Gdy dzień później Stéphane zadzwonił do mnie i gdy po raz pierwszy wspomniałam mu o Le Manège, prawdopodobnie przełknął coś na kształt poczucia winy. Pięć miesięcy wcześniej, gdy szliśmy Skalitzerstrasse, rozmawiając o prostytucji, przywołałam artykuł o paryskich kurwach; w niektórych dzielnicach, pod odpowiednim nadzorem, dziewczyny łowiły od ośmiu do dziesięciu klientów dziennie.

– Spokojnie! – wykrzyknęłam. – Jestem pewna, że byłabym w stanie temu sprostać.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz – westchnął Stéphane w odpowiedzi. – Dziesięciu facetów to bardzo dużo.

– Sprawdzę to, gdy będę pracować w burdelu.

– Przestań gadać bzdury – odparł surowym tonem, nadającym mu czasem wygląd srogiego tatuśka. – Wydaje ci się to zabawne, ale nie wytrzymałabyś nawet dwóch dni w burdelu.

Podobnie jak on, nie mam pojęcia, jak duży był element brawury, który pchnął mnie ku tej przygodzie. Już nie jestem tak naiwnie zu-

chwała jak w wieku dwudziestu lat. Tyle się od tego czasu zdarzyło. Ale dla Stéphane'a jestem i już zawsze będę tą młodą i nieprzewidywalną bestyjką, na wpół oszalałą od burzy hormonów właścicielką świeżutkich sutków. I domyślam się, co musiał sobie wyrzucać po odłożeniu słuchawki na wieść, że jego najmłodsza kochanka siedzi bez alfonsa w jakimś domu uciech, oddalona o tysiąc kilometrów.

Prostytucja jest w Niemczech legalna i podlega surowemu prawodawstwu – temu samemu, którego muszą przestrzegać tak zwani wolni strzelcy – *Selbstständig*. Nie jest to zawód, w ramach którego można pozwalać sobie na wszystko, niezależnie od zajmowanej pozycji. Dziewczyny, podobnie jak dom, muszą skrupulatnie deklarować swoje dochody – i nawet gdy są kryształowo uczciwe (co w tym środowisku zdarza się równie rzadko jak we wszystkich innych), często muszą znosić naloty Finanzamt, gotowego przewrócić dom do góry nogami i wstrzymać jego pracę w poszukiwaniu ukrytej gotówki albo niezgłoszonych pokoi. Trudno, by jakakolwiek dziewczyna – nawet ładna, nawet wykształcona – pracowała, nie będąc zapisaną do Bürgeramt i bez przyznanego numeru. Naiwniaczki mojego pokroju, wyobrażające sobie, że nigdy nie będą musiały męczyć się z księgowym ani stać w kolejce w Finanzamt tylko dlatego, że wykonują zawód, którego nikt inny nie chce wykonywać, bardzo szybko tracą złudzenia. Jeśli nie urzędują na ulicy i na rzecz jakiejś mafii, żadna z nich nie może się poszczycić tym, że inkasuje gotówkę, o której nie wie państwo.

Funkcję *Hausdame* w moim pierwszym przybytku sprawuje kobieta w wieku około sześćdziesięciu pięciu lat, mówiąca z trudnym do zrozumienia, szorstkim akcentem ze Wschodu i reagująca na imię Jana.

Czuję lekkie zdziwienie, że stoję naprzeciw tej siwiejącej osoby, która trzyma swój seraj w żelaznym uścisku, humorzastej jak stary

spaniel i mającej uroczą skłonność do palenia bez słowa w pustym, ciemnym saloniku. Jest siedemnasta, na razie siedzimy tu tylko ona i ja. Dwie inne dziewczyny mieszkają w burdelu, w dormitorium przeznaczonym dla pensjonariuszek w potrzebie, ale pozostają w swoim pokoju aż do dwudziestej i wychodzą tylko po to, by wziąć sobie coś do picia albo odbierać hipotetyczne telefony od klientów.

Wybrałam dla siebie imię Justine, natychmiast, bez zastanowienia; ten wybór zachwyciłby Valentine, gdybyśmy nadal ze sobą rozmawiały, bo tak brzmiał jej pseudonim, gdy w wieku osiemnastu lat bawiłyśmy się w *escort girls*. Justine – ze względu na łatwość i ze względu na Sade'a. Gdy wyjaśniam Janie tę aluzję, ona patrzy na mnie, szeroko otwierając oczy: „Nikt tego nie zna". Ale to początkowe „j", niemożliwe do wymówienia przez żadnego Niemca, zawiera w sobie egzotyzm, który już cieszy Janę, pewien nieuchwytny urok, przywodzący na myśl Pigalle – którego nigdy nie widziała – albo sezam Ali Baby: czyli pieniądze. Nie tylko ja uderzyłam we francuskie tony; ale wśród tych wszystkich Sophie, Michelle, Sylvie i Gabrielle jestem jedyną, która nie przestraszyła się głosek równie podstępnych jak to przeklęte „j". W Le Manège, podobnie jak w innych miejscach, moje pochodzenie bardzo mi się przydało; szef jeszcze nawet mnie nie widział, a już mnie zatrudnił, opierając się na prostym założeniu, jakoby Francuzki znały sztuczki alkowy, które inne kobiety na świecie tylko nieudolnie naśladują.

Pora na szybkie zestawienie stawek obowiązujących w Le Manège. Szczycąc się samozwańczym statusem burdelu „z wyższej półki", Le Manège oferuje najwyższe ceny spośród wszystkich domów uciech w Charlottenburgu – a jest ich mnóstwo. Cena zawiera penetrację, orgazm (w ciągu godziny klient ma prawo dojść maksymalnie dwa razy – jeśli się ośmieli); w Le Manège klient może kupić sobie również, jeśli go na to stać, słynny pocałunek w usta, o którym le-

genda głosi, że jest dla dziwek tabu (dwadzieścia euro), seks oralny bez prezerwatywy (dwadzieścia euro lub mniej), a także spełnić wszelkie, niewymienione przez dyrekcję fantazje, na które każda z dziewczyn ma prawo się zgodzić lub nie. Usługi dodatkowe to opcja, na których dom nie zarabia ani eurocenta, a mimo to, z nieznanych mi powodów, dziewczyny są zobowiązane zgłaszać je *Hausdame*.

Istnieje możliwość skorzystania z baru, jeśli tylko klient pija szampana i wypije go z dziewczyną. Nie wszystkie proponowane pokoje kosztują tyle samo. Stawki podane wyżej dotyczą tylko trzech pokoi o najniższym standardzie (nawet jeśli i one są już na swój sposób luksusowe – powiedzmy, że nie jest to najodpowiedniejsze słowo, ale to odpowiednie jakoś mi umknęło); cztery inne pokoje, ze względu na powierzchnię, jakość umeblowania czy wyposażenie high-tech (mam tu na myśli zepsute jacuzzi w piątce czy otwarty prysznic, gdzie zmieściłyby się trzy konie albo spory tłumek klientów i dziewczyn), podlegają dodatkowej opłacie w wysokości pięćdziesięciu euro, od której dziewczyny mają prowizję. Jeśli los ześle akurat klienta, który ma ochotę wypić butelkę szampana w pokoju z jacuzzi i sprezentować sobie kurwę, która pocałuje go w usta, zrobi mu laskę bez gumki i grzecznie pozwoli wyruchać się w tyłek – ten jeden klient może wystarczyć za całą dniówkę. Jednak nie ma mowy, by wyjść wcześniej niż po jedenastu godzinach przepisowego dyżuru – dniówka nie dniówka. W rzeczywistości to klienci decydują o zakończeniu nocnej zmiany. A ci, którzy piją albo piją i biorą kokę, mogą sprawić, że podwoje domu będą otwarte aż do południa.

Właśnie dlatego początkowo chciałam zaczynać pracę jak najwcześniej – zanim zdałam sobie sprawę, że w ciągu dnia miejsce to jest równie martwe jak całodobowe kasyna, których w Berlinie jest multum. Klienci wiedzą, że za dnia dostępne są tylko dwie lub trzy

dziewczyny, i to zazwyczaj nie te, na które mieliby ochotę. Wieczorny wysyp jest znacznie bardziej pociągający.

Pierwszego dnia o dwudziestej dołącza do mnie Gabrielle – wysoka Bułgarka z nosem nieustająco w telefonie; najwyraźniej nie jest pewna, czy będę tutaj pracować, czy też stać za barem, wreszcie rzuca w moją stronę niedbałe powitanie – i na tym rozmowa się kończy. Chwilę później zjawiają się Michelle i Nicola, siostry z Ukrainy wyglądające jak osiemnastki, choć mają już dwadzieścia siedem i dwadzieścia osiem lat. Michelle przyszła prosto z hotelowego pokoju klienta i ma ręce pełne cukierków oraz czekoladek. Wraz z siostrą mają kilku stałych gości – naprawdę niewielu – którzy nieustannie zachęcają je do jedzenia. Bo, w przeciwieństwie do tego, co można by myśleć, chudość jest bardzo słabo doceniana w burdelu; choć chudzinki robią wrażenie w sukienkach i na obcasach, które dodają im źrebięcego uroku, to gdy leżą nago, wywołują w klientach raczej lekkie politowanie i obawę, że złamią się na pół. Są tak delikatne w tej dziewczęcej szczupłości, że przeciętny klient ma większą ochotę nakarmić je niż zmuszać do piekielnej jazdy, do jakiej pobudzają go kurwy przy kości, o solidnych biodrach.

Ja, Gabrielle i dwie siostry tworzymy dość szeroką gamę, w zasadzie nie stanowiąc dla siebie konkurencji. W dodatku, wbrew moim przewidywaniom, dwie młódki zgadzają się odpowiedzieć na wszystkie moje pytania dotyczące funkcjonowania burdelu. Szykuję się właśnie do zadania jednego z mocniejszych, gdy odzywa się coś, co okaże się sygnałem startowym dla mojej kariery – pierwszy dzwonek tego wieczoru.

Mężczyzna o wyglądzie tak banalnym, że można zastanawiać się, czy to w ogóle legalne, koło czterdziestki, o włosach lekko przerzedzonych na czubku głowy – choć obiecałam sobie, że zapamiętam

wszystko, teraz nie mogę sobie nawet przypomnieć imienia swojego pierwszego klienta. Rick? David? Jak mógł mieć na imię ten podchmielony Kanadyjczyk, który nigdy wcześniej nie był w domu publicznym? Oboje byliśmy tak samo niezdarni w pokoju numer trzy, z łożem o teatralnym baldachimie i z marmurowym kominkiem. Bo to właśnie po złapaniu klienta zaczyna się najtrudniejsze – przynajmniej dla mnie.

Można stracić pięć minut na uprzejmości, a później? Skoro facet nigdy nie był z dziwką, płaci też, by nie wykonywać pierwszego kroku. To trochę dzięki temu opatrznościowemu Kanadyjczykowi opracowałam swoją strategię ataku – opowiadanie bzdur bez ładu i składu, przy czym, nie przerywając wywodu, wspinałam się nonszalancko na łóżko i odrzucałam sukienkę na drugi koniec pokoju. Ale to, że byłam goła, nie oznaczało, że wygrałam; nowicjusz był daleki od zachwytów nad tą nagością, która dosłownie napawała go lękiem. Nietrudno sobie wyobrazić jego korneliański dylemat: czy naprawdę ma ochotę się pieprzyć? Czy nie wystarczy sama myśl, że może to zrobić? Jak ma mu stanąć i po co? Każdy by się głupio poczuł, przepuszczając sto dwadzieścia euro na niedobry, pospieszny seks z dziewczyną, która zawodowo spuszcza majtki dziesięć razy dziennie.

I rzeczywiście, gdy facet już się rozebrał (prędko, chichocząc ze skrępowaniem), staję naprzeciw lękliwego wzwodu, na który trudno byłoby naciągnąć przepisowy kondom. Myśl o przespaniu się z facetem, który interesuje nas nie bardziej niż stłuczona neonówka, jest nieprzyjemna, a gdy w dodatku facet ten oddala przejście do czynu z powodu pewnej dysfunkcji, myśl ta jest nieprzyjemna podwójnie. Z kolei ten sam facet może obrócić sytuację na swoją korzyść, prezentując na wstępie solidną, entuzjastyczną erekcję. To jest doprawdy proste – leżąc u boku jakiegokolwiek mężczyzny, wystarczy zapomnieć o jego twarzy i widzieć tylko ten wspólny mianownik, dzięki

któremu wszyscy oni lądują w jednym olbrzymim koszu. Choć żaden kutas nie wygląda tak jak jego sąsiad, ten kawałek mięsa jest prawie zawsze tak samo sympatyczny i ugodowy. I wywołuje mniejsze przerażenie niż niektóre twarze. Uspokajająca jest również obrączka błyszcząca na palcu – skłania do relatywizmu. Jakkolwiek banalny i pozbawiony zmysłowości może być mężczyzna, myśl, że gdzieś na świecie okazał się dla jakiejś kobiety wystarczający – a może nawet zadowalający, i to za darmo – napawa nadzieją, że nie wszystko stracone.

Oto siedzimy na zbyt dużym łóżku, pośród krępującego milczenia, któremu wtóruje odgłos szczebiotu dziewczyn dobiegający z salonu. W mojej głowie wirują z zawrotną prędkością jeszcze niewyeksploatowane mechanizmy panienki lekkich obyczajów; nie spieszyć się za bardzo; nie kończyć zbyt szybko, choć jest to kuszące, ale przecież żadne z nas nie chce spędzić reszty czasu na unikaniu wzroku drugiej osoby. A przede wszystkim nikt nie chce być zmuszony do konsumpcji drugiego stosunku, wliczonego w opłatę, nie z lenistwa, lecz dlatego, że drugi raz jest zawsze żmudny, hamowany lękiem przed zbyt późnym lub niemożliwym wytryskiem, zagrożony bez przerwy „wypadkiem" ze względu na stres związany z doprowadzaniem się do orgazmu pod presją czasu.

Jednak nie tylko to sprawia, że praca bywa żmudna. W tym wypadku Kanadyjczyk tak dobrze próbuje się powstrzymywać, że nie jest w stanie dojść. Między pierwszym pocałunkiem a rozkazującym pukaniem Jany jest moment, w którym czuje się panem swojego wzwodu do tego stopnia, że przerywa sobie, by zapytać mnie, czy może mnie ruchać w tyłek. Niepewnie podaję mu cenę, przekonana, że będzie wolał pozostać przy fantazjowaniu. Ale – może dlatego, że sodomia jest czymś rzadkim nawet w małżeństwie, a może dlatego, że pieniądze przestają być problemem, gdy pod pępkiem sterczy

nam twardy kutas – facet nie wzdraga się przed wyciągnięciem dodatkowej setki, żeby wziąć mnie od tyłu. Natomiast fakt, że podałam mu cenę – i że się zgodziłam – sprawia, że to wszystko staje się dla niego zbyt realne. W czasie, gdy przyjmuję pozycję, jego młodzieńczy wzwód zdążył opaść. Bez większej nadziei robię wszystko, co w mojej mocy, z lekkim zniecierpliwieniem. Walczymy jeszcze, gdy Jana puka do drzwi.

Trudno jest powiedzieć mężczyźnie, że nie dojdzie, wbrew wszelkim oczekiwaniom. Gryzie mnie zawodowe sumienie debiutantki. Jednak Kanadyjczyk nie ma mi tego za złe. Wyobrażam sobie, że wraca nieco przybity do hotelowego pokoju, zagubionego gdzieś między Friedrichstrasse a Gendarmenmarkt, w złotym trójkącie biznesmenów, i może spokojnie dokończyć ręką to, co zaczęłam pełna najlepszej woli. I nie dostrzeże później niczego ciekawego w tej inwestycji i tym rozczarowującym wyskoku. Wróciwszy do Toronto albo do Bóg wie jakiego zakątka anglojęzycznej Kanady, będzie mógł opowiadać znajomym, że odwiedził dom uciech i dał sobie prawo dosiąść młodą, ładniutką Francuzkę, która nie nałożyła embarga na żaden ze swoich trzech otworów.

Wyobrażam sobie, że końcówka będzie nieco podkoloryzowana.

Zaczęłam zatem swoją karierę i tę książkę w Le Manège, w ciepełku ekstrawaganckiego luksusu tego olbrzymiego apartamentu, i nigdy nie wyzbyłam się poczucia, że powoli zamyka się nade mną pułapka. Szybko zaczęłam się bać i źle sypiać, trawiona lękiem, że porwałam się z motyką na słońce. Niemal wyłączna reprezentacja dawnego bloku wschodniego wśród szefostwa i wśród dziewczyn nie pomagała mi odnieść wrażenia legalności; niemal stale nawiedzały mnie wizje albańskiego burdelu, do którego mnie wyślą i zabiorą mi paszport. Niebezpieczeństwo mogło nadejść niemal zewsząd, ze strony szefów, dziewczyn, klientów, ze strony niewzruszonego przy-

dupasa o imieniu Maximilian. Żyłam w strachu, że ktoś kiedyś odkryje we mnie pisarkę albo dziennikarkę – i jak w niektórych koszmarach sennych powtarzałam sobie, że nic mi się nie stanie dopóty, dopóki nie pokażę po sobie przerażenia.

Nie potrzebowałam jednak wiele czasu, by przydarzyła mi się reakcja bliska histerii. Wszystko wskazywało na to, że po Kanadyjczyku już nic się nie wydarzy. Żadnego klienta na horyzoncie, ani jednego z dwóch lub trzech codziennych pewniaków. Wszystkie dziewczyny – około dwunastu – były rozsiane po salonie reprezentacyjnym. Małe, rozgadane grupki Ukrainek, Bułgarek i Rumunek zabijały nudę, gapiąc się w telefony i prowadząc niezrozumiałe dyskusje. Ja w każdym razie ich nie rozumiałam; siedziałam sama na kanapie, paląc fajkę za fajką.

Około drugiej, wydając ostatnie tchnienie, poinformowałam Michelle i Nicolę, że zaraz wychodzę. To niesamowite, jak czas zdawał się po nich spływać, nigdy ich nie nużąc, nie wywołując w nich niczego poza chęcią przemieszczenia się na inny koniec salonu.

Na korytarzu minęłam *Hausdame*, która układała ręczniki na półkach.

– Myślę, że będę się zbierać – rzuciłam tchórzliwie.

Zachichotała krótko.

– O, nie. To tak nie działa – odpowiedziała.

Natychmiast wypłynęły na wierzch, wyraźniejsze niż dotąd, moje myśli o wojskowym burdelu w Albanii, zabranym paszporcie i o tym, że nie zdołam poinformować zapłakanej, chorej z niepokoju rodziny. Tylko Arthur i Stéphane wiedzieli o tym, co robię – i to też bardzo pobieżnie; ten drugi musiałby postawić na nogi całą ambasadę w Londynie, by doprowadzić do mojej ekstradycji – i w jakim byłabym stanie? Czułam, że serce bije mi jak szalone. Wyjąkałam:

– Serio?

A ona ciągnęła:

– Dyżur trwa jedenaście godzin. Powinnaś siedzieć do czwartej.

– Ale nie ma żadnego klienta, jest za dużo dziewczyn.

– To nic. Tak to tutaj działa.

– Dobrze. Nie ma sprawy.

Musiałam jednak mieć zrozpaczoną minę, bo Jana dorwała mnie na korytarzu.

– Słuchaj, jeśli chcesz, zapytam szefa.

Nie zaprzeczyłam, chociaż jej chmurna twarz i głos wyraźnie zdradzały zakłopotanie na myśl, że będzie musiała prosić go o tę uprzejmość.

Nie wiem, czym zasłużyłam sobie na wcześniejsze wyjście. Nigdy nie widziałam, by Milo wyświadczał komukolwiek jakąkolwiek przysługę, co to, to nie. Nie liczę tych momentów, gdy jedna z *Hausdamen* wychodziła z saloniku, w którym Milo, jego wspólnik oraz zbiry wszelkiej maści pili i gawędzili do rana, paląc grube cygara. Przywoływała ruchem palca jedną z dziewczyn – zwykle te same, zwykle tę samą – bo Milo chciał z nią porozmawiać. Nie wiem, co działo się wówczas w głowie wybranej dziewczyny, ale z mojej perspektywy wyglądała jak więzień niesłusznie wysłany przed pluton egzekucyjny. Czasem Milo osobiście przychodził i brał na stronę którąś z dziewczyn. Z każdą z nich rozmawiał w tym samym języku. Nigdy zatem nie zrozumiałam z tego ani słowa, ale nie trzeba być poliglotą, by domyślić się, że je opieprzał. Uwaga Milo skupiała się głównie na Gabrielle i Michy. Micha: drobna, często osamotniona kruszynka z Rumunii, wyglądająca na szesnaście lat. Miała dziewiętnaście i rzeczywiście była najmłodsza w Le Manège. Kuląc się jak zbity szczeniak, nieufna, lecz grzeczna, prezentowała światu swój uśmiech i urocze dołeczki. Inne dziewczyny, również te z Rumunii, nigdy się do niej nie dosiadały. Przypuszczam, że szefostwo też nie ceniło jej

najwyżej, bo nawet podczas prezentacji Micha wyglądała jak pochmurna nastolatka, którą oderwano od rozmów na Facebooku (i prawdopodobnie tak właśnie było), a wieczorami, gdy mężczyźni schodzili się z myślą, że będą uwodzeni przy kieliszku szampana, wykazywała zaskakujący talent do znikania w ciemnych kątach i pojawiania się, gdy klient odchodził z jakąś inną. Krótko mówiąc, wykazywała umiarkowane zainteresowanie biznesem. Milo co wieczór przywoływał ją do porządku, a ona nigdy nie traciła swojej upartej miny, nigdy, nawet wtedy, gdy Sandor, jego wesołkowaty wspólnik, próbował rozmawiać z nią bardziej po dobroci.

Być może pozwolono mi wyjść, bo obsłużyłam jedynego klienta tego wieczoru. Albo dlatego, że byłam Francuzką i całe Le Manège szumiało, że to nieprawdopodobna gratka i że trzeba mnie oszczędzać. Może nie chcieli płoszyć mojej debiutanckiej dobrej woli, a w każdym razie tego, co z niej zostało.

W drodze do domu pojawił mi się w głowie cały katalog bardziej lub mniej uzasadnionych lęków, bardziej lub mniej racjonalnych. Wiedziałam już wystarczająco dużo, żeby nigdy tam nie wracać. A jednak wróciłam nazajutrz, i dzień później, i wracałam niemal codziennie przez dwa tygodnie. Bo w ciągu jednego wieczora zobaczyłam wszystko, co zainspirowało smutne książki o prostytucji. I kierowana dumą, bo nie było mowy, bym popełniła książkę naiwną i beznadziejną albo, co gorsza, książkę, która musnęłaby tylko jeden aspekt tej pracy, przekonałam sama siebie, że w tym pisaniu będzie coś pięknego i zabawnego, nawet jeśli będę musiała dotknąć dna. Miałam nadzieję, że mój głos uczłowieczy rzeczywistość prostytucji – bo książki mają tę moc – nawet jeśli ja sama walczyłam, by uwierzyć w to kłamstwo.

Gdybym nie poznała Le Manège, nie mogłabym później docenić wygody Domu, który rzucił na tę książkę całkiem inne światło.

A gdybym się uparła i została w Le Manège razem z Milo i jego haremem o smutnych oczach, napisałabym w beznadziejnej książce to, o czym czytano już tysiąc razy. I może pisałabym ją w Albanii?

– Wiele jest takich miejsc w Charlottenburgu – mówi mi Jana, która nigdy nie wymawia słowa „burdel". – Ale ten dom jest najlepszy. Gdzie indziej dziewczyny wołają o pomoc.

Zatem najwyraźniej są gorsze miejsca niż Le Manège, na tyle gorsze, że praca dla Milo jest traktowana jak wyzwolenie. U T... na przykład dyrekcja wprowadziła niedawno opłatę ryczałtową, która oznacza, że w ciągu godziny klient może dojść tyle razy, ile leży to w ludzkich możliwościach – a w każdym razie próbować. W porównaniu z tym reżimem twarda piąstka Jany wydaje się błogosławieństwem. Również u T... wywalano czasem dziewczyny, które odmawiały obciągania bez gumek. Każdy dom ma swoje specyficzne piekiełko. Powiedziałabym, że w Le Manège jest nim oczekiwanie, żrące oczekiwanie, bez końca. Nuda warunkuje znacznie więcej czynników, niż nam się zdaje. Zbierzcie razem dziesięć dziewczyn, traktujących się wzajemnie z serdeczną obojętnością, zamknijcie je bez choćby najniższej stałej pensji, a jedynym wspólnym mianownikiem ustanówcie poczucie, że w skandaliczny sposób tracą swoje najpiękniejsze dni – gdy pojawi się pierwszy klient, nieświadomy finansowego zastrzyku i nadziei, jakie ze sobą niesie, będziecie mieć do czynienia z bandą rozhisteryzowanych samic. W ten sposób rodzą się w Le Manège pretensje i zazdrość: przez wyjątkową rzadkość klientów. To irytuje szefa, który irytuje *Hausdamen*, które podtruwają markotne dziewczyny nieuchwytnym i podstępnym napięciem. W pewne dni – żeby nie powiedzieć: codziennie – lepiej nie wchodzić Janie w drogę i gdy miota się tam i z powrotem, burcząc i zrzędząc, z naręczami pustych butelek, wszystkie głowy pochylają się lekko, jak pod wpływem złego czaru. Z braku zajęć Jana zaczaja się z radyjkiem w pobli-

żu baru albo anektuje łóżko w szóstce, z widokiem na salon, żeby mieć nas na oku; bierze tablet i rozpuszcza zły humor przed jakimś niemieckim *talk-show*, otoczona trzema komórkami i telefonem stacjonarnym – bo co będzie, jeśli zadzwoni?

Gdy po wyjściu z kryjówki znów zaczyna czuć szarpiącą frustrację, dosiada się do nas na kanapy, by wypalić pięćdziesiątego dziewiątego pall malla i poinformować nas o niezliczonych przeszkodach, jakie czekają na nią w drodze powrotnej na Steglitz: autobus M49 często przyjeżdża za wcześnie i trzeba czekać dwadzieścia minut, jeśli się go nie złapie, i daj Boże, żeby nie padało jak wczoraj, bo nie mogła nocą zmrużyć oka, a mimo to była tu od rana, zmieniała pościel i równie dobrze mogła sobie oszczędzić tej męki, bo nie ma ani jednego klienta, ani jednego, do kurwy nędzy! Można by sądzić, że Jana pomimo stałej pensji cierpi z powodu tej bezczynności bardziej niż dziewczyny.

Tak jak w każdej innej pracy motywacja powoli zanika. Postanawiamy pobić w gierkach wszystkie wyniki i czujemy już tylko ogromne rozleniwienie, do tego stopnia, że pierwszy lepszy zesłany z nieba facet staje się intruzem, zakłócającym ten niezdrowy spokój. Widok, jaki zastają klienci, wchodząc do dużego salonu, każdego wieczoru jest taki sam: konglomerat dziewczyn zwracających ku niemu znużone lica, niczym rozbite stado surykatek. Armia iPhone'ów barwi ich twarze fluorescencyjnym błękitem. Muzyka house byłaby do zniesienia, gdyby tańczyły – ale nikt nie tańczy i klimat przywodzi na myśl prowincjonalną dyskotekę o zbyt wygórowanych ambicjach, której dyrekcja ma problem z motywowaniem ekipy. Kilka dziewczyn wypatruje niedbale klientów i w milczeniu odwraca się na pięcie – wiedzą, że dostaną później burę od Milo, który rozpaczliwie zaciąga się w saloniku cygarem, a mimo to widzi dosłownie wszystko. Jakże kręta droga wiedzie do zdobycia klienta w burdelu takim jak Le Ma-

nège: dziewczyna musi zaprezentować się w sposób na tyle zachęcający, by gość zechciał postawić jej drinka i by wygryźć w ten czy inny sposób piętnaście innych kandydatek. Nic jednak nie gwarantuje, że to właśnie ona wyląduje z klientem w pokoju. Nie zawsze łatwo odróżnić facetów, którzy przyszli się pieprzyć, od tych, którzy chcieliby napić się w miłym towarzystwie – od takiego dziewczyna wyciągnie nie więcej niż dwadzieścia euro. I nie jest to ryzyko, które rezydentki Le Manège chętnie podejmują. Utknięcie z gawędziarzem oznacza pozbawienie się szansy na dobicie targu z mniej flegmatycznym klientem. A jeśli jakimś szczęśliwym zbiegiem okoliczności uda się popracować, po wyjściu klienta oczekiwanie zaczyna się na nowo, tylko jeszcze gorsze, bo dochodzi do niego wyczerpanie po stosunku i chęć na regenerującą drzemkę.

Można by sądzić, że wolny czas zachęca do rozwoju intelektualnego lub rozmów. Ale zakładając wi-fi w miejscu takim jak Le Manège, należy stracić wszelką nadzieję na klimat przyjacielskiej serdeczności. Nawiasem mówiąc, nigdy nie przyszło mi do głowy, by otworzyć książkę, kiedy wegetowałyśmy w tym czy innym salonie. Jedyny raz, gdy się na to odważyłam, miałam ze sobą grubą antologię Paula Nizona, gwiazdkowy prezent od mojej niemieckiej babci; dotarło do mnie wtedy, że literatura może czasem być jeszcze gorsza niż bezczynność. Tego dnia oscylowałam między chęcią pogadania z dziewczynami a strachem, że nie będę wiedziała, jak się do tego zabrać; i wydawało mi się oczywiste, że odcięcie się od tej mikrospołeczności czymś równie pretensjonalnym jak książka nie pomoże mi nawiązać nici porozumienia. Nigdy nie potrafiłam uderzyć w odpowiedni ton, który skłoniłby je do zwierzeń. Pewnego wieczoru, gdy spytałam dwie siostry, czy niektórzy klienci nie próbowali skłonić ich do robienia sztuczek we dwie, odniosłam wrażenie, że niedokładnie mnie zrozumiały – Michelle odpowiedziała, że wszystko zależy od

opłaty; i nie było w jej oczach ani śladu odrazy, jaką u zwykłych śmiertelników budzi myśl o lizaniu własnej siostry czy nawet o całowaniu jej z języczkiem. Albo byłam zbyt perwersyjna jak na uproszczony i komercyjny erotyzm tego miejsca, albo, przeciwnie, występek był tak głęboko zakorzeniony w tych dziewczynach, że kazirodztwo przestawało być tabu, jeśli tylko ktoś zaproponował odpowiednią cenę – ale wątpię. Do pewnego stopnia można poprosić rezydentki Le Manège o wszystko, wywołując co najwyżej zmarszczenie brwi. Trzeba powiedzieć, że w przybytku, w którym wystarczy pstryknąć palcami, by dostać kokainę, dziewczyny przywykły do wszelkich ekstrawagancji. Nic tak naprawdę nie może zbić ich z tropu; już dawno nauczyły się nie oczekiwać żadnego wsparcia od szefów i *Hausdamen*, ani fizycznego, ani mentalnego. Mają w głowach zamknięty na cztery spusty pokoik, do którego wrzucają wspomnienia o klientach zbyt pijanych lub zbyt naćpanych, by byli w stanie z szacunkiem do nich mówić i je dotykać, pełne przemocy stosunki i degradujące zachcianki – zakątek ciemniejszy niż jakakolwiek alkowa w Le Manège, gdzie wietrzeją wyziewy kwaśnego potu, brudnych kutasów, języków sparaliżowanych od podłego szampana, by powrócić tylko w największych koszmarach i w chwilach samotności, gdy nie może się przez nie przebić żadna pogodna myśl.

Chętnie sama spenetrowałabym, choćby pobieżnie, te samotne, szorstkie umysły, te tajemnice alkowy, tak ciężkie, bo nikt ich nigdy nie wysłuchał. Ale nie zajęło mi wiele czasu, by wytrzebić już i tak homeopatyczne zainteresowanie moją osobą ze strony dziewczyn, czym zjednałam sobie pewien respekt u Milo i Sandora.

Czwartego dnia mojej służby Le Manège przeżyło nieoczekiwany i niespodziewany napływ klientów. Pierwszy ma wybór między mną a Gabrielle i nie może się powstrzymać od tęsknego przywoływania Francji. Później siedzę przy barze nad szklanką wody gazowanej, pa-

ląc pierwszą fajkę ze swojej drugiej paczki, i widzę, jak do salonu wchodzi dwóch onieśmielonych mężczyzn. Jeden z nich to wysoki, łysy okularnik – na estetycznej skali burdelu należy do tych, których dziewczyny uważają za nawet niezłych, o nieszkodliwym wyglądzie i najwyraźniej niepozbawiony inteligencji, ktoś w stylu Henry'ego Millera (albo Bruce'a Willisa). Nie ma nic, co mogłoby spowodować u mnie skok adrenaliny, potrzebny, by ruszyć dupę i się przedstawić.

Łapię natomiast spojrzenie jego kolegi i wtedy pojawia się coś jakby delikatny szmer, i nagle nie mam w sobie już nic z kurwy. Patrzymy na siebie z poczuciem, że czas stanął w miejscu, a on tak bardzo przypomina mężczyznę, którego lata temu kochałam do szaleństwa, że zastygam i zapominam się uśmiechać, lecz on podchodzi do mnie, tak jak chłopcy podchodzą do dziewczynek, wbijając we mnie wielkie oczy, pełne nieśmiałego zachwytu. Spuszczam wzrok na wodę gazowaną, próbując się nie czerwienić, i to pewnie podcina jego zuchwałość, bo gdy podnoszę oczy, on jest już w przeciwnym kącie baru ze swoim łysym kumplem i zamawia dżin z tonikiem. Zapalam kolejną fajkę i siedzę, przesuwając palcem po szwach sukienki; gdy tylko ośmielam się zerknąć w ich stronę, widzę, jak wbija we mnie ocienione długimi rzęsami oczy, które zajmują pół twarzy. I przysięgam, że dyskretnie się szukamy, jak w barze, jakby w ogóle nie chodziło o pieniądze, a ja byłabym tu przypadkiem – aż do chwili, gdy Selma, młoda Bułgarka, ciemnowłosa i długa jak liana, sadza jeden półdupek na moim taborecie. Pochyla się do mojego ucha i mruczy jak spostrzegawcza kumpelka:

– Idź z nim porozmawiać. Idź! Patrzy na ciebie.

– Naprawdę? A inne mu się przedstawiły?

– Ma gdzieś inne. Od przyjścia patrzy na ciebie.

Tak czy inaczej nie ma mowy, żebym tego nie zrobiła – chyba że chcę usłyszeć sportową zjebkę od Milo, którego inne dziewczyny

z przyjemnością poinformują. One albo barmanka Ronja, od początku obserwująca moją inercję z tępą miną buldoga.

Nogi uginają się pode mną, gdy wstaję – czuję, że ktoś na mnie patrzy; choć minęło już tyle lat, zawsze czuję się, jakbym była naga, gdy stoję naprzeciw mężczyzny, który z daleka lub z bliska wygląda jak Monsieur, i to mimo rozmaitych rozczarowań, jakich doznałam ze strony tego napalonego kundla.

Klient widzi, jak podchodzę, i na ustach zamiera mu zdanie, które miał właśnie rzucić w kierunku przyjaciela.

– Miło mi, nazywam się Justine i jestem z Paryża.

Jego dłoń jest miękka i bardzo ciepła. Pytam, czy są tu po raz pierwszy; mam wyostrzoną świadomość swoich włosów, wyciętej, krótkiej sukienki, kształtu ramion; żaden z tych elementów nie wydaje się robić na łysym oszałamiającego wrażenia, które wbija jego kumpla w taboret; i nie bez powodu – widać, kto kogo zaciągnął do domu publicznego. Obaj są z Bostonu, znają się z uczelni i od siedmiu lat mieszkają w Berlinie. Jeden jest singlem – i to widać, ale drugi, ten Monsieur, bez wątpienia ma u boku kobietę, której jest winien całą swoją nieśmiałość. Zbyt niezdarny, by postawić mi drinka, i prawdopodobnie nieświadomy finansowych korzyści, jakie bym z tego miała, czeka na odpowiedni moment – ale czy kiedykolwiek dla mężczyzny, który po raz pierwszy jest w burdelu, następuje odpowiedni moment, by przypomnieć kobiecie o jej statusie kurwy? Przypuszczam, że nie, nawet jeśli obie strony są tutaj właśnie po to, by o tym pamiętać. Gdy korzysta z chwili milczenia, by zapytać mnie, ile kosztuję, widzę w grymasie jego ust, że traktuje to jak nadużycie i że jest mu przykro. I ja sama nagle zaczynam czuć się zażenowana pracą tutaj. W obecności mężczyzn, którzy mi się podobają, chciałabym być tylko cesarzową.

Ale burdel niczego nie psuje. Wręcz przeciwnie. Burdel ze wszystkich dziwek robi cesarzowe. Zapraszam go, by ze mną poszedł, a on rusza, zachowując pełną szacunku odległość. Mam za duże szpilki i trochę mi wstyd, że widzi, jak kłapią mi na stopach przy każdym kroku. Czekamy w ciemniejszym zakamarku, aż *Hausdame* wskaże nam pokój.

– Jak panu na imię?

Rozmawiamy po angielsku, i to dużo, bo chcę, by zapomniał o chwili, w której wezmę od niego pieniądze; pieniądze mężczyzn zawsze skłaniały mnie do powściągliwości.

Ma na imię Mark. Skończył trzydzieści osiem lat, jest żonaty, niedawno urodził mu się syn. Pracuje w branży muzycznej, choć nie jest żadnym muzykiem – zajmuje się organizacją albo reklamą, albo czymś w tym rodzaju.

Gdy wchodzimy do pokoju, pyta mnie, dlaczego tu pracuję. Jestem taka cudowna. Tak bardzo przypominam sen. Nie może uwierzyć – jak wszyscy Niemcy i wielu Amerykanów – że prostytucja i burdele są we Francji zakazane; ten fakt również dla mnie jest trudny do przełknięcia, zwłaszcza gdy myślę o naszym słownictwie, naszpikowanym tymi wszystkimi *putain, pute, bordel*. Mówię mu, że jestem pisarką i piszę o burdelu, lecz nie uściślam, że przy okazji mam również do zapłacenia czynsz na koniec tygodnia i że tydzień to czas potrzebny ludziom z wydawnictwa, by zareagować na moje prośby o zaliczkę. Podkreślam natomiast, że to sekret, którego zwłaszcza tu nie należy zdradzać – i jest to zbytek ostrożności; bo mężczyźni odwiedzający burdel sami aż kipią od sekretów, które można odgadnąć, zanim nawet zechcą otworzyć usta. Mark należy do tych, którzy mają potrzebę je otwierać, albo być może czuje, że wymieniamy się sekretami. Odkąd urodziło się dziecko, jego małżeństwo przeżywa kryzys, którego nie jest w stanie złagodzić upojenie rodzicielstwem.

Tak, uwielbia swoją żonę, ale jego żona jest grzeczną dziewczynką, która spokojnie obywa się bez seksu, a w każdym razie nie odczuwa potrzeby – pół roku po porodzie – żeby się znowu pieprzyć. Kłócą się bez przerwy – i jest to ten moment pustki, przez który przechodzą zakochani ludzie, którzy wszystko postawili na dziecko. I dobrze widać, że Mark nie czuje się w burdelu swobodnie i nie czuje, że jego obecność tu jest uzasadniona, wręcz przeciwnie, przepełnia go poczucie winy i wstydu.

Jakie znaleźć rozwiązanie, gdy kochamy kogoś, ale potrzebujemy zmysłowości, potrzebujemy rozkoszy? Najrozsądniej jest nie brać sobie kochanki, w której siłą rzeczy się zadurzymy dzięki zastrzykowi hormonów i świeżości. W ten sposób można wdepnąć w niezłe gówno. Ponieważ chodzi wyłącznie o kutasa i cipkę, najskuteczniejszym wyjściem jest opłacenie kobiety, która będzie tymczasowym ciałem. Subtelnym i romantycznym mężczyznom, takim jak Mark, zapewne ciężko jest sprowadzić samych siebie do czegoś równie marnego jak para bolących jąder. I nawet to nie chroni przed zakochaniem.

Podobieństwo Marka do pierwszego mężczyzny w moim życiu kończy się na wyglądzie. Gdy tylko go dosiadam, kończy bez słowa, bez żadnego odgłosu, wgryzając się w moje ramię, i czuję to tylko dlatego, że robi się miękki. Prawdopodobnie Mark nic by nie powiedział, sparaliżowany wstydem za fiasko, które wcale nim nie było, był to raczej mechaniczny wytrysk, po prostu mu się przelało po pół roku abstynencji. Albo przeżylibyśmy żenujące chwile udawanych przeprosin, lecz dzięki Bogu zsunęła się gumka. Zwisa ze mnie bardzo estetycznie, nadal pełna spermy; nie przepuściła ani kropli, więc idealnie spełniła swoją funkcję. Ale wielu mężczyzn wierzy, tak jak Mark, że ten kawałek lateksu stanowi niemożliwą do przebicia zbroję, chroniącą nie tylko przed chorobami (ciąża to najmniejsze z ich

zmartwień), ale przede wszystkim przed oczywistością zdrady. Kontakt z błonami śluzowymi kobiety, która nie jest ich żoną, zwłaszcza gdy należy ona do wszystkich, ma w sobie coś z koszmaru, z którego nie uratuje ich żadne gwałtowne przebudzenie – i ze sprawiedliwej kary bożej. Po krótkiej chwili Mark blednie – wystarczy, że poczuł na fiucie powiew świeżego powietrza. Ledwo zaczynam wyciągać z siebie gumkę, gdy dostrzegam, że Markiem wstrząsają gorączkowe dreszcze. To dreszcze żonatego mężczyzny, który widzi, jak jego cesarstwo pęka niczym bańka mydlana, i już czuje na języku gorycz trójterapii.

– Przepraszam – bełkocze Mark jakieś dziesięć razy. – Przepraszam, ale jestem naprawdę...

Nigdy nie skończył tego zdania, więc sama dopisywałam w głowie zakończenia, siląc się, by nie było po mnie widać furii. Naprawdę co? Naprawdę zażenowany? Naprawdę nieprzytomny? Naprawdę beznadziejny?

Rozstaliśmy się w przyjaźni, Mark chciał się ze mną spotkać na zewnątrz, wypić drinka, dałam mu swój numer. Zdaje mi się też, że zdradziłam mu swoje prawdziwe imię i tytuł książki, bo jestem tchórzem i absolutnie chciałam być kimś więcej niż tylko kurwą – bo pomimo wszelkich swoich najlepszych intencji przypuszczam, że ceniłam się nieco wyżej. Nie spodziewałam się, że do mnie zadzwoni, zresztą długo tego nie robił, i choć zlewa mi się w pamięci z większością klientów (szybko zaczynamy ich ze sobą mylić), nigdy nie zapomnę, jak świat wokół nas stanął w miejscu, gdy go pocałowałam.

– Proszę, uważaj na siebie – powiedział na korytarzu, odsuwając się ode mnie i trzymając mnie już tylko jednym palcem.

– Nie martw się. To dobre miejsce – skłamałam, trochę jeszcze w to wierząc. (I dodałam półgłosem:) – Więc wrócisz?

– Oczywiście, że wrócę. To takie niesamowite.

Jednak przez dziesięć następnych dni, które spędziłam w Le Manège, Mark nie wrócił – i nie mogę go za to winić. Pomimo moich pobożnych kłamstw, które miały dodać pewności zarówno mnie, jak i jemu, nawet taki nowicjusz jak Mark musiał wyczuć, że byłam jedyną osobą o uśmiechu na tyle szczerym, że przysłaniał głęboki, ponury mrok, rzeczywistość tego miejsca.

Czas łaski zakończył się po jego wyjściu. Nosiłam medal najlepszej pracownicy wieczoru, by nie powiedzieć: tygodnia, bo złapałam dwóch klientów, i to niemal jednego po drugim; i gdy przeszłam do saloniku, by wrzucić do brudów swoje dwa przepisowe ręczniki, usłyszałam, jak Sandor w ożywionej rozmowie z Milo mówi po angielsku, że ta Francuzka dobrze pracuje. Mężczyźni nie bardzo znają się na tej robocie, jednak rozumieją ją na tyle dobrze, że potrafią rozpoznać kurę znoszącą złote jajka. I tak jak kilka razy musiałam znosić humory dziewczyn i *Hausdamen,* tak żaden z tych typów nigdy nie podniósł na mnie głosu, przeciwnie, obdarzali mnie spojrzeniami, w których widać było zaskoczenie, że mają u siebie laskę, która nie jest ani oporna, ani bezczelna, ani leniwa.

Milo starannie unikał wszelkich wybuchów sympatii. Maximilian, nazywany Duchem, wkładał energię wyłącznie w swoją robotę przydupasa, gotowego rozwiązać każdy problem oraz znaleźć wszystko i o każdej porze. Panny o najdłuższym stażu nabyły przez lata przywilej obsypywania go słodkimi przezwiskami i wyciągania od niego kilku zdań – a czasem uśmiechu, który zawsze wydawał się nieco wymuszony.

Sandor był facetem innego pokroju, jego wylewna jowialność mogła, jak przypuszczam, przeobrazić się w potężny gniew, straszliwszy niż wieczne nabzdyczenie Milo; ta pociągająca uprzejmość, skłonność do prawienia komplementów i rzucania żarcikami czyniły z Sandora wyjątkowo użytecznego pośrednika pomiędzy szefem a jego ha-

remem, zarówno w kwestii pouczeń, jak i w kwestii zachęt; zresztą właśnie ta uprzejmość kazała mi nie ufać mu jak psu. Pomimo że Sandor rzucał na mnie swój urok; mówił dobrą francuszczyzną, nieco przestarzałą, lecz pełną ujmujących lapsusów, i moja obecność była dla niego wymarzoną okazją do konwersacji. Gdy tylko mógł wyjechać ze swojego kraju, zaczął podróżować, mieszkał niemal wszędzie i spędził w Paryżu, przy boulevard Suchet, kilka lat, które wspominał z nostalgią, używając pochlebnych przymiotników. Prawie nigdy nie rozmawiał ze mną o pracy, a gdy czekałam na klienta, przychodził wypalić przy mnie cygaro, całował mnie delikatnie w rękę i wypytywał o Édith Piaf i o Jacques'a Brela. Dwa lata wcześniej rzuciła go żona, przypuszczam, że pocieszał się w ramionach coraz to nowych Bułgarek i Ukrainek – i jest to dość przyjemna metoda dla kogoś, kto dobija pięćdziesiątki i pochodzi ze stron, w których kobiety są piękne i zimne dla mężczyzn mówiących w ich języku. Co wieczór proponował, że mnie odwiezie, a ja zawsze robiłam uniki, z sercem bijącym na myśl, że domyśli się mojego strachu – irracjonalnego lub nie – przed wpadnięciem w fatalną pułapkę.

Po wyjściu Marka posprzątałam pokój i poszłam zagłębić się w fotelu. Nikt inny w tym czasie nie przyszedł i dziewczyny nie ruszyły się z miejsc. Michelle i Nicola ślęczały nad Candy Crush, Selma siedziała w barze z Ronją, Ukrainki i Bułgarki podzieliły się na dwie grupy w pokoiku przylegającym do dużego salonu.

Pod koniec mojego dyżuru na korytarz wpadło trzech facetów. Już prawie świtało, uprzedziłam właśnie Madeleine, że wychodzę. Ale pół godziny mija szybko, prawda? Dla sportu. Dla satysfakcji, że prześcignęłam całą resztę tuż przed metą.

To było grubymi nićmi szyte, równie dobrze mogłam po prostu się ubrać, ale udałam cwaniarę i popatrzyłam najwyższemu z nich prosto w oczy, nadając swojemu spojrzeniu głębię, która, jak zawsze

mi się zdawało, sprawia, że nie można mi się oprzeć. I chyba naprawdę tak było, bo w ten sposób naraiłam sobie najgorszego klienta w całej karierze. Pamiętam wszystko, a zwłaszcza jego oczy, gdy wyciągnął w moim kierunku palec i rzucił:

– Chcę iść z tobą. Ile?

Nieco oszołomiona podałam mu ceny, myśląc, że jest źle wychowany, ale przynajmniej sprawiał wrażenie stałego bywalca burdelu i miałam nadzieję, że nie będzie tak sflaczały jak Kanadyjczyk i wytrzyma dłużej niż Mark. Nie chciał iść na drinka, nie chciał tracić czasu – chciał się pierdolić, teraz, natychmiast.

Zrozumiałabym swój błąd, gdybym spojrzała na Ronję, zanim spojrzałam na niego, tego Greka; bo choć Ronja stale wyglądała na podminowaną bez żadnego wyraźnego powodu, to miała również w zwyczaju rzucać dziewczynom porozumiewawcze spojrzenia, radząc im, by nie zwracały na siebie uwagi tego czy innego klienta, którego zdążyła już poznać. I, podobnie jak Milo, znała tych trzech facetów. Lecz w gruncie rzeczy byli to przecież klienci i któraś dziewczyna musiała do nich podejść. Dyrekcja Le Manège nie rozróżnia klientów na złych i dobrych, jeżeli tylko płacą; „nikt nie chce wiedzieć, co się dzieje w pokojach".

A jednak to nie może być przypadek, że Renate daje nam trójkę, która przylega do małego saloniku mężczyzn.

Grek ma bez wątpienia jakieś imię, ale nie potrafię go sobie przypomnieć. Weszłam do pokoju z myślą, by skutecznie odbębnić robotę i jak strzała pomknąć do domu; ale ten padalec, który nie zna ani słowa po angielsku, ma w głowie inny plan. Zdejmuje ciuchy i kładzie się na łóżku z rękoma pod głową, swobodnie, jakby był u siebie. I gdy ze swoim mocnym postanowieniem podchodzę z gumką w ręku, on robi jakiś gest i wydaje z siebie niemiecko brzmiące

warknięcie, by dać mi do zrozumienia, że ten przedmiot nie będzie nam potrzebny. Zastygam osłupiała, z jednym udem na łóżku.

– Kokaina? – proponuje.

O czym w ogóle mówi ten świr? Nawet my, dziewczyny, nie mamy prawa niczego się tu napić, czekając na klienta, w dodatku obowiązuje tu zakaz palenia, więc na pewno nie będziemy tutaj wciągać koki, no nie, co ty sobie wyobrażasz…

– Chcę kokainę – oświadcza typ tonem podchmielonego mafiosa.

I sposób, w jaki się do mnie zwraca, wywołuje we mnie chęć, by przyłożyć mu w karczycho. Z trudem opanowuję pogardliwą minę, jaką robią nastolatki, kiedy myślą: „O nie, staruszku…", i oschle odpowiadam, że nie mamy koki.

– Idź i poproś szefa.

Wzruszam ramionami i wychodzę z pokoju w majtkach, przekonana, że Albańczycy zaraz wykopią Greka za tę bezczelność.

– Co się dzieje? – Milo odkłada cygaro, nagle zainteresowany.

– No bo… – Zbliżam się do ich wąskiego grona, a Renate odstawia gin z tonikiem. – On powiedział, że chce kokainę.

Wytrzeszczam oczy, by jasno podkreślić swoją zawodową uczciwość. Milo w zamyśleniu drapie się w podbródek. I nagle jego twarz się rozjaśnia. Przywołuje swojego przydupasa, jak zawsze przycupniętego w ciemnym kącie salonu. Rzuca mu półgłosem jakieś niemieckie zdanie. Maximilian wstaje i wychodzi z Le Manège z papierosem w ręku.

Grek nadal leży. Podaje mi dwa wymięte banknoty po sto euro.

– Jeden dla ciebie, jeden dla mnie.

Będę myślała o tym gramie jak o napiwku, gdy tylko pozbędę się typa. A to najwyraźniej nie nastąpi szybko. Grek wyciąga z dżinsów

działkę kupioną gdzie indziej; według moich standardów starczy nam to z nawiązką na czas, który nam wydzielono.

– Usyp nam dwie kreski.

Staram się zrozumieć jego metajęzyk, obciążony alkoholem. I ponieważ wyraźnie się zastanawiam, Grek szepcze mi prosto w szyję:

– Syp wszystko.

Okrasza to polecenie klapsem w tyłek, bardziej odrażającym niż jakikolwiek wytrysk na twarz – i ten jeden gest wystarczy, by wypaliły się pozory mojego dobrego humoru. Zmuszam się, by wykrzesać z siebie przerażający uśmiech, pod którym pulsuje niepohamowana chęć, by w ten czy inny sposób, gołymi rękami, nabić go na pal. Skręcam niestaranną rurkę z jednej z jego setek, a potem nieudolnie siekam kokę wizytówką Le Manège.

Złota zasada w przypadku klienta, który chce coś wciągnąć, brzmi: sama nigdy nie bierz. Podobnie jak w przypadku obcowania z nawalonym typem rozwiązaniem nie jest wspólne picie. Ale jeśli dopiero debiutujemy w tej branży, myślimy sobie, że przy takim skurwielu jedna kreska da nam siłę i cierpliwość, by zachowywać się w sposób cywilizowany. Jest jednak problem: jeśli dobrze odgrywasz komedię, a klient, przeglądając się w twoich oczach, nie widzi, jak płonie żywcem nabity na ostry pal, to sesja może się przedłużyć.

I oto haruję jak wół. Sypię kreski tak niezdarnie, że brzeg kominka wygląda jak stolnica ciastkarza. Według moich kryteriów dałoby się usypać z tego chaosu co najmniej cztery dodatkowe ścieżki, ale Grek zmiata wszystko ręką i oblizuje wnętrze dłoni. Potem znów kładzie się wygodnie na łóżku i wyciąga ramię w moim kierunku. W ten sposób w pokoju w Charlottenburgu zaczyna się piekło, przerwane na kilka sekund przez Renate, która podaje mi przez uchylone dwuskrzydłowe drzwi dwa gramy nierozkruszonej kokainy.

Szybko okazuje się, że nie należy czekać na jakikolwiek męski wyskok tego typa, który wymaga ode mnie wyłącznie, żebym siedziała obok i próbowała rozszyfrować jego niemieckie burknięcia z angielskimi naleciałościami i greckim akcentem. Początkowo czekam na cud i coraz bardziej mam ochotę zamknąć mu dziób, doprowadzając go do erekcji; miętolę jego miękkiego fiuta, żałośnie skurczonego od koki. W przeciwieństwie do tego, co można by myśleć, bardzo przykro jest spędzać czas z klientem, który nie chce albo nie może się pieprzyć. Z Francuzem jeszcze by uszło, jest dużo tematów do rozmów i można wyjść z tego z podniesioną głową. Ale spróbujcie z facetem tak naćpanym, że nie wie, w jakim mówi języku… Kokaina ma okropny wpływ na seks i na zmysłowość. Zawsze znajdą się ludzie – mężczyźni i kobiety – uparcie utrzymujący, że jest wręcz przeciwnie – że od koki bardziej staje, że zwiększa się libido. Jednak prawda jest taka, że choć można osiągnąć jako taki wzwód i żenującą skłonność do zwierzeń – między innymi na temat seksu – to po pierwszej kresce wytrysk jest już właściwie niemożliwy, a głód konwersacji kończy się zaraz po przejściu do czynów, gdy mają puścić hamulce. Uprawianie seksu czy zmysłowa przyjemność budzą zaledwie odpychającą obojętność. Gdy działanie narkotyku ustępuje, pożądanie nie wraca, wręcz przeciwnie – podobnie jak ochota na mówienie. Chcemy albo wciągnąć znowu, albo zniknąć. Jedyna „zaleta” kokainy w tym określonym przypadku okazała się taka, że pod jej wpływem człowiek powtarza w nieskończoność te same zdania, ledwo zmieniając szyk. Nawet najbardziej hermetyczny pidgin staje się mniej więcej zrozumiały.

Zdołałam zatem wychwycić, że ta rozmowa kręci się wokół prostej osi: jego żony. I pół tuzina wariacji na ten temat, choć nie byłam w stanie określić, czy chodzi o realne anegdoty, czy o fantazje: najlepsza przyjaciółka żony maca go pod stolikiem w restauracji, a po-

tem kończą we trójkę w hotelowym pokoju; żona durzy się na urlopie w młodym kelnerze i kończą we trójkę w hotelowym pokoju; w Grecji, na jachcie, jego żona rozmyślnie dotyka się na oczach jakiegoś majtka i – niespodzianka! – kończą we trójkę w kajucie. Z tych perypetii wynika prawdopodobnie jeden morał: jego żona (albo fantazja o niej) to zdzira. A on, zamiast się wkurzać, zachęca ją do zaspokajania wszystkich zachcianek. Oto temat, na który mogę dywagować do zbawiennego pukania Renate! Trudno jednak zaangażować się w scenę, w której prawa rozumu już nie obowiązują. Spójność wydaje się wyczerpującym zbytkiem. Szybko przechodzę na tryb odpoczynek, a moje słownictwo ogranicza się do ochów i achów. On regularnie siada na łóżku, zwleka się z niego i chwiejnie podchodzi do krzesła, na którym zostawił ubrania. A ja drżę z nadzieją, że nagle odechciało mu się opowiadać głupoty lasce, która kompletnie nic nie rozumie i która uparcie próbując, przywołuje go przed oblicze jego własnej impotencji; ale nie, jest mu dobrze. On tylko szuka banknotu, żeby zrobić rurkę.

– Usypiesz jeszcze po jednej?

Gdy ja walczę z ochotą, by skoczyć mu do gardła, on zagląda mi przez ramię, by sprawdzić, czy robię dwie kreski.

(Później młoda Hiszpanka, ekspertka w tej dziedzinie, powie mi, że istnieje tysiąc i jeden sposobów, by nie wciągać koki, wykorzystując przytępienie naćpanego klienta; na przykład ten, bardzo prosty, polegający na przełożeniu rozpuszczonych włosów na odpowiednią stronę ścieżki i zmieceniu jej. Tak czy inaczej nigdy nie jest dobrze, gdy dziwka straci kontrolę, nawet w tak skutecznie nadzorowanym burdelu jak Le Manège. Ważne, by dziewczyny były gotowe wciągać, ale powinny też znać swoje granice i się ich trzymać, bo żaden członek dyrekcji nie będzie wysłuchiwać ich płaczów, gdy pozwolą wydy-

mać się bez gumki pod wpływem niezdrowej chwilowej euforii albo dostaną w gębę, bo czegoś odmówią).

Wolałabym usłyszeć te alkowiane mądrości, zanim niezmordowany Grek stanął na mojej drodze, bo gdy Renate puka, jestem na najlepszej drodze, by doścignąć swojego klienta na skali naćpania. Z ulgą przygotowuję w głowie treść pożegnania, serdeczniejszego niż ja sama. Ale żwawy Grek wstaje, by przedłużyć sesję, z banknotami w dłoni. Z tonu, jaki przybiera, wnioskuję, że raczej nie mam wyboru.

Omal nie dochodzi do bójki, gdy Renate wyjaśnia mu, że będzie musiał zapłacić cenę dodatkowych trzydziestu minut, a nie bardziej korzystną stawkę godzinną, bo to właśnie wbił sobie do głowy ten obrzydliwy skąpiec. Najwyraźniej nie ma zamiaru odpuścić; muszę na golasa wrócić do salonu i poinformować Milo, że klient chce z nim rozmawiać – a to rzadko jest dobry znak. Podczas gdy rozmawiają za zamkniętymi drzwiami, dociera do mnie, że tutejsze powietrze, nawet zasmrodzone cygarem, jest tysiąc razy czystsze niż to w moim pokoju, przesiąknięte niezdrowym potem. Nie słychać stamtąd kompletnie nic i w każdej chwili spodziewam się odgłosów bijatyki, zakończonej głośnym, przerywanym charczeniem. Sandor próbuje zabawić mnie rozmową, żeby jakoś zapełnić ciszę:

– Ach, ta Francja!

Wreszcie Milo wychodzi, ciągnąc za sobą ciężki wyziew gorącego, kwaśnego potu. I natychmiast wysyła do pokoju Renate z terminalem do kart płatniczych.

Ona wychodzi z niego, krzywiąc się z odrazą, i zaczyna oddychać dopiero po zamknięciu dwuskrzydłowych drzwi. Jest mimo wszystko odrobina litości w ruchu jej palca, gdy odsyła mnie z powrotem do pracy. Milo i Sandor udają, że patrzą w inną stronę.

Gdy nareszcie się poddaję, nie mogę patrzeć na kogokolwiek z Le Manège. Zażyłam prawie cały gram i znam na pamięć każdy szczegół bajek dla dorosłych wciskanych przez Greka – po którym koka spływa jak po kaczce. Oczywiście, choć jestem podatna na tę substancję, choć moje talenty towarzyskie rozwijają się pod jej wpływem, w żadnym momencie wciągnięte przeze mnie kreski nie zwiększyły mojej ochoty na mówienie; nie, wylądowałam od razu na polu „więzienie", by przeżyć długi i przykry zjazd, bez chwili wytchnienia. Do spokoju najbardziej zbliżają mnie bardzo krótkie przebłyski chłodnego myślenia, podczas których sama sobie przemawiam do rozsądku: „No weź, uspokój się, kretynko, ogarnij tego skurwiela, niedługo będziesz na zewnątrz, na Savigny Platz, i pójdziesz na drinka do Schwarzes razem z Madeleine, a póki co nikt nie chce zrobić ci krzywdy, wszystko w porządku, po prostu się naćpałaś. I to bardzo. Ekstremalnie".

Nie licząc tych monologów wewnętrznych, które nie niosą mi żadnego ratunku, sam fakt, że istnieję, sprawia mi problem. Wszystkie moje uczucia zmutowały w nienawiść i klaps w tyłek, jakim obdarza mnie Grek, zanim zacznę sypać kreski, doprowadza mnie do wymuszonego uśmiechu, z zaciśniętymi do bólu zębami. Nadal coś gadam, choć wolałabym nie móc tego robić; przerażam sama siebie.

Renate puka i – w drodze wyjątku – wsuwa głowę przez uchylone drzwi, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Grek natychmiast się zrywa, ściskając w drżących palcach kartę kredytową: „O, kurwa – myślę sobie – ten potwór chce jeszcze". Czyż nie jest to forma nadmiernie wymyślnej tortury? On demontuje czas, nie bierze od razu dwóch godzin (bo, konkretnie, ale tak konkretnie, co Grek ma do roboty do jutrzejszego wieczora?), by perwersyjnie patrzeć, jak nadzieja pączkuje we mnie, rozkwita i gwałtownie więdnie? Może delektuje

się moim przerażeniem, mocno prześwitującym przez maskę zawodowej uprzejmości i słodko nadwyrężonego dobrego humoru. Ten potwór.

Natychmiast, gdy Renate z pewnym politowaniem pyta, czy zechciałabym jeszcze zostać, wywijam się:

– Nie, naprawdę muszę już iść, moje siostry czekają.

Grek ledwo zauważa, że wychodzę z ubraniami pod pachą; już żąda, żeby przysłano mu inną dziewczynę.

W domu zostały już tylko trzy, w tym dwie akurat zajęte. Ubierając się, widzę, jak Diana, czterdziestotrzyletnia Turczynka (na stronie w sieci podają, że ma trzydzieści jeden lat) o olbrzymich piersiach, czesze się, by zająć moje miejsce. Diana, nieco szorstka w obyciu, lecz jednocześnie pogodna i cicha, jest już gotowa, by wstąpić do tego śmierdzącego piekła – i nie ma pojęcia, co ją tam czeka, kreatura z miękką fają, pięć opowieści i obleśne klapsy w tyłek. Diana ma czternastoletniego syna, który śpi gdzieś w ich mieszkaniu i ma nadzieję zobaczyć matkę tuż po przebudzeniu – i widać, że nie spodziewała się, że przypadnie jej ostatni klient. Po którym może się tylko spodziewać…

Gdy pochyla się w moją stronę, by spytać, jaki on jest, wiem, że Milo i Sandor są blisko, i słyszę swój własny głos, wypowiadający obowiązkowe w Le Manège kłamstwo: „Jest w porządku”. Choć kusi mnie, by miną dać jej znać, że jest inaczej, ostatecznie mówię sobie: niby po co? Już za późno. Tylko ona jest wolna.

Diana nie daje nic po sobie poznać, wchodząc do pokoju, ale czuję, jak serce podchodzi jej do gardła w chwili, gdy dociera do niej, że to nie ja tak śmierdziałam w małym salonie – to ten typ, ten, który połknął mnie radosną, a wypluł przeoraną, pragnącą zwiać stąd jak najszybciej, bez prysznica, który przecież mógłby podziałać zbawiennie. A on już przyszedł ją sobie wziąć.

Dziś tym bardziej martwię się o nią, że piszę sobie spokojnie na południu Francji. Tamtego świtu los Diany ledwo tylko musnął moją świadomość. Każdy ma swoje problemy, ja skończyłam i spadam, kochani, przestaję istnieć, nie ma sensu wypowiadać nawet mojego imienia.

Renate omal nie przyprawiła mnie o zawał, pytając z miną, jakby naprawdę na to liczyła, czy nie chcę iść do innego pokoju z inną dziewczyną; i jak w złym śnie ta dziewczyna już tutaj jest, owinięta w ręcznik, to jedna z pięciu tureckich blondyn, które nie odezwały się do mnie słowem – i ona też błagalnie na mnie patrzy. Powstrzymuję się, żeby nie wrzasnąć.

– Nie, naprawdę, przepraszam… moje siostry… czekają…

Całą tę scenę obserwują Milo i Sandor. Ale, co dziwne, nikt mnie nie wyrzuca. Wprost przeciwnie, Sandor jak sprężyna zrywa się ze swojej kanapy i proponuje, że odwiezie mnie do domu, na Wedding. Boże, jaka byłam durna, mówiąc mu, że mieszkam na Wedding, niezła ze mnie dziennikarka wcieleniowa… Jeszcze tego brakowało, żebym wpadła w jego sieć dokładnie w momencie, w którym mam ochotę powiedzieć im wszystkim, żeby spierdalali…

Bełkoczę ledwo słyszalną wymówkę, wyjąkaną w niemczyźnie uchodźczyni, i zabieram się jak najdalej stąd, z dala od Le Manège, z dala od Schlüterstrasse, jak najdalej od tego fioletowego okna, za którym Diana zaczyna rozumieć, w co wdepnęła.

Powiedziałabym, że najbardziej przykra w kokainowym zjeździe jest nagła bezużyteczność muzyki. Wyobrażam sobie, że podczas wszelkich bad tripów – tych po marihuanie, LSD czy amfie – dobra muzyka może pomóc i uczynić pewne parametry bardziej znośnymi. Ale koka nie nabiera się na takie sztuczki. Koka jest pragmatyczna, potrzebuje środków uspokajających albo kilku jointów – a jeśli ich nie dostanie, niestrudzenie działa dalej. To zresztą dziwne, że po tak

krótkiej euforii następuje tak głębokie przygnębienie, tak mocno związane ze swoim zadaniem. Nie pomagają ani Beatlesi, ani Nina Simone, ani White Stripes (zwłaszcza nie oni, nawiasem mówiąc) – ani nawet coś tak delikatnego i neutralnego jak Mozart czy niektóre kołysanki Velvet Underground.

Myśl, że cokolwiek może mnie wybić z ciągu ultraszybkich myśli, wydaje mi się aberracją. Mózg działa o wiele za szybko: gdy w wieku dwudziestu jeden lat, i w tym samym stanie, słuchałam *Atom Heart Mother*, piosenka kończyła się w mojej głowie, zanim w ogóle zabrzmiała. Zatem dziś wieczorem nawet tego nie próbuję.

Spory kawałek dzieli Schlüterstrasse od stacji Zoo, ale mam o czym myśleć. Po pierwsze, czy nie wygadałam się również, że mieszkam przy Amrumer Strasse? O, kurwa! Co ty masz w tej głowie? Co zrobisz, gdy któregoś dnia wejdziesz do domu i spotkasz Sandora, palącego cygaro na klatce schodowej pod numerem trzydzieści cztery z tym swoim przerażającym uśmiechem dobrze wychowanego alfonsa, i dwóch, trzech przydupasów, opartych o skrzynki na listy? Zgoda, byłam na tyle inteligentna, że nikomu nie podałam swojego prawdziwego imienia. Tak, ale co będzie, jak nie wrócę? Ile czasu będą potrzebować, by odnaleźć kartkę, na której – najprawdopodobniej – zapisali moje dane i numer paszportu, właśnie, tego paszportu, który jak debilka zostawiłam w „szatni", czyli w małym pokoiku, gdzie wszyscy krążą jak na dworcu i gdzie nasze rzeczy tworzą stos na kanapie, a jedyne zamykane na kluczyk szafki należą do *Hausdamen*? Wedding pełne jest podejrzanych Turków, którzy mogliby rzucić się na mnie, gdy w środku nocy idę kupić paczkę bibułek w Späti na Müllerstrasse. A jeśli mnie nie będzie, jeśli będę gdzieś pisać albo pójdę się przejść, jeśli Anaïs i Madeleine będą w domu i otworzą, nie odbierając nawet domofonu, bo nie znają niemieckiego? W realnym świecie wydaje się to niemożliwe, ale

ludzie, którzy wrócili do domu, by zastać w nim zakneblowaną rodzinę, myśleliby zapewne tak samo. Gruby Sandor wejdzie do mieszkania z tym swoim kurewskim cygarem, udając zakłopotanie swoim wtargnięciem, i zanim utnie mi palec, zada dokładnie to samo pytanie co zapłakana matka: czy ja naprawdę myślałam, że to zabawa? Że mogłam wejść do Le Manège i wyjść z niego ot tak, i że nikt się nie będzie martwił? A teraz – czy wolę grzecznie pojechać do ślicznego burdeliku w Albanii, gdzie żołnierze i rolnicy na pewno chętnie nawiążą ze mną znajomość, czy też wolę dziś pomóc siostrom w zbieraniu zębów, a jutro – odciętych piersi? Wybór jest raczej prosty, nie? Świeże powietrze, wieś, serdeczne kontakty międzyludzkie, nauka tuzina nowych języków i dialektów...

W połowie drogi z Zoo widzę wszystko w barwach czarniejszych niż kiedykolwiek i jedynym sposobem, którego czepiam się, by wyrugować z głowy Greka, Milo, Sandora i gburowate *Hausdamen*, jest książka. Ja to wszystko opiszę, robię to właśnie po to, pozwalam siebie nadużywać i tłumaczę sobie, że to nie moje życie. Moim życiem jest pisanie, zatem jeszcze przez kilka miesięcy mogę udawać, że jestem kurwą – i skoro wierzą w to typy takie jak Grek, to oznacza, że mam talent aktorski.

Stąd tylko krok do myśli o innych dziewczynach. W stylu Diany. O czym one mogą myśleć, gdy tak jak ja teraz idą czasem w górę Schlüterstrasse naćpane i śmierdzące potem jakiegoś bezrozumnego palanta, który zachowywał się tak, jakby rozmawiał z Szalonym Kapelusznikiem i Białym Królikiem – o czym one mogą myśleć? Jakie ponure myśli spadają na nie niczym ciężka narzuta – bo przecież to ich życie, skoro nie piszą książki o Le Manège? Jaką muszą mieć siłę, by powiedzieć sobie, że ich życie jest w Le Manège? Czy wszystkie inne nadzieje, wszystkie marzenia znikają? Może tak jest lepiej. Może lepiej znoszą wszystkie narkotykowe zjazdy i brudnych face-

tów, mając świadomość, że to tylko kolejny dzień w pracy? Może mówią sobie: „Co za gówniany dzień", a jednak są w stanie włączyć iPoda, a muzyka stwarza im świat równoległy, w którym myślą o dobrych rzeczach i z którego czerpią moc, by wszystko zaczynać od nowa. Mam nadzieję.

Naprawdę mam nadzieję.

W domu robię sobie kąpiel z mnóstwem piany. Spędzam w wannie całą wieczność, zastanawiając się, czy policja może mi przyjść z jakąkolwiek pomocą. W stanie paranoi, w jakim obecnie się znajduję, mam wrażenie, że już sam fakt, iż myślę o policji, mógłby włączyć alarm w głowie Milo. Gram koki w krwiobiegu potęguje tylko moje przekonanie, że nie wypuszczą tak chętnie Francuzki o długich naturalnych włosach, która zaliczyła jedynych trzech klientów w pustym burdelu. Nie pozwolą mi odejść.

Nie pozwolą mi odejść!

Gdy wreszcie leżę w łóżku, oddech moich śpiących sióstr powinien mnie uspokoić, ale nie. Myśl, że spłakane zadzwonią do rodziców, by powiedzieć im, że od trzech dni nie ma mnie w domu, że nie odbieram komórki, myśl o matce, która natychmiast zalewa się łzami i pyta, gdzie jestem, i o zasmarkanej Madeleine, bełkoczącej, że jestem w burdelu, w burdelu – a ja tymczasem miotam się w bagażniku niemieckiego berlingo – te myśli sprawiają, że drżę w łóżku jak suchy liść. Nie powinnam była nigdy przekraczać progu Le Manège – co mnie napadło? Jestem w Berlinie sama z siostrami – co mi strzeliło do głowy?

O świcie stoję na tarasie, otulona w dwie kurtki, i nie mogę powiedzieć, że mam się lepiej. Choć powtarzam sobie, że żaden z tych katastroficznych scenariuszy nie może się spełnić, ponieważ prostytucja jest w Niemczech legalna, pomysł pisania książki o burdelach

widzianych od środka wydaje mi się nie do zrealizowania. Ale nie wiem, jak się z tego teraz wycofać, po wszystkich tych brawurowych przemowach, którymi częstowałam siostry, samą siebie i Stéphane'a. Nie wiem, jak zrezygnować z tej nowej książki, która w mojej głowie szybko nabiera kształtów, do której notatki zajmują już w moim życiu szalenie ważne miejsce. To wszystko przez żałosnego typa, który mnie nawet nie dotknął? Pamiętam znacznie gorsze wieczory w Paryżu, i to za darmo.

O dziewiątej nadal nie śpię, ale dobrą stroną tej pory jest fakt, że reszta już się budzi.

„Wstałeś?" – piszę do Stéphane'a.

I czytam: „Stéphane pisze wiadomość". Niemal wyobrażam go sobie, jak siedzi na sofie w Londynie, świeżo spod prysznica, jeszcze wilgotny, paląc papierosa i stukając w telefon. Za oknami szara delikatna mżawka spryskuje miasto.

„Yes. Wracasz z roboty?"

„Mogę zadzwonić?"

„Nie bardzo. Zadzwonię, jak dotrę do biura".

Pewnie gdzieś blisko kręci się jego żona. Wzdycham.

„Dobrze".

I niemal natychmiast potem:

„Szkoda, chętnie usłyszałabym głos przyjaciela. Trudno, do usłyszenia".

I gdy zaczynam mieć do siebie żal o tę pasywno-agresywną wiadomość, Stéphane do mnie dzwoni. W słuchawce brzmi jego zdyszany głos i spokojny zgiełk londyńskich ulic. Odzywam się, niemal łkając:

– Nie chciałam wyjść na bidulkę, jeśli Nathalie jest w pobliżu, to…

– Nie, skąd, po prostu jadę rowerem!

Stéphane, który czekał na pięćdziesiąte szóste urodziny i Anglię, by wskoczyć na rower.

– Wszystko gra? Dobrze ci poszło w pracy?

Będę zmuszona przyznać mu się, że są rzeczy, których się boję, że odkryłam swoje granice, i to nie pozwalając się brutalnie pieprzyć, tylko rozmawiając z greckim kokainistą. Ale jeśli Stéphane, od którego dzieli mnie jakieś tysiąc kilometrów, to usłyszy, będzie się zamartwiał i błagał mnie, żebym nigdy więcej nie wracała do Le Manège, żebym już nigdy nie postawiła stopy ani żadnej innej części ciała w jakimkolwiek domu publicznym. A jeśli stracę Stéphane'a, jeśli uwierzy, nawet podświadomie, w moje wynaturzone fantazje, wtedy naprawdę zacznę się bać: on pracuje w ambasadzie i wie więcej niż ja o ładnych Europejkach, które znikają z dnia na dzień, i gdy dobrze poszukać, okazuje się, że świadczą płatne usługi lokalnej ludności. Jedno załamanie w jego głosie wystarczyłoby, żeby unicestwić resztki mojego uporu – muszę robić wszystko, by nie spłoszyć jedynej osoby zdolnej rozmawiać o burdelu jak o każdej innej pracy. Nie mówiąc już o śmiechu, jakim punktuje każdą moją anegdotę.

– Spoko, strasznie mi się dłużyło…

Zapalam papierosa; krótki oddech Stéphane'a, pedałującego gdzieś po Londynie, sprawia, że życie nagle staje się lżejsze. I opowiadam mu swoje historyjki, wzbogacone o szczegóły na tyle urocze i zabawne, by w jego kosmatej wyobraźni pozostać wykształconą kurewką, rządzącą całym burdelem, który ujarzmiła dzięki swoim zdolnościom. I właśnie to w magiczny sposób wskrzesza całą moją odwagę oraz motywację. Muszę pisać, żeby Stéphane dowiedział się o wszystkim, o czym mu nie powiedziałam w obawie, że będzie się martwił. I ten Grek, przeklęty Grek, stanie się mały i niepozorny, kiedy umieszczę go na którejś ze stron.

Gdy kładę się do łóżka, czuję się znacznie lepiej na myśl, że w Londynie Stéphane zaczyna swój dzień radcy w ambasadzie. Dziękuję sobie, że udało mi się między wierszami przemycić informację o poważnym handlu kokainą, który odbywa się w Le Manège. Nigdy nic nie wiadomo; jeśli zniknę w ten czy inny sposób, on na pewno będzie wiedział, gdzie mnie szukać.

W pierwsze dni wytoczyłam ciężkie działa i pomalowałam usta na jaskrawą czerwień; nigdy tego nie robię, bo moje usta wydają mi się wówczas niezdarne i kalekie – ale okazja ku temu nigdy nie wydawała mi się lepsza. A jednak – jeśli istnieje miejsce, w którym za nic nie należy się tak pacykować, to jest nim właśnie burdel.

I gdy się nad tym zastanowić, to oczywiste, bo wszelkie retusze świata nie są w stanie uchronić nas przed katastrofą; i poczułam falę smutku, widząc pewnego wieczoru, jak Irina, owinięta w ręcznik, wychodzi z pokoju, by wysłać do niego *Hausdame* z terminalem, a cały dół jej małej dumnej twarzyczki jest umazany czerwienią. Nie lubiłam Iriny, która z kolei zachowywała się, jakby mnie nie widziała, i uważałam jej zachowanie za niewiarygodnie pretensjonalne i głupie. Ale ta szminka rozmazana na jej brodzie niczym znak pohańbienia, aż po zęby, które ledwo odsłoniła, przywołując Janę, nadawała jej wygląd lalki porzuconej w rynsztoku na łaskę i niełaskę deszczu oraz wiatru – porażka sztuczności, po której pozostał już tylko ten mały blady pyszczek, ani uśmiechnięty, ani w sumie zbyt ładny. To odebrało mi wszelką ochotę na malowanie ust i w ogóle na robienie makijażu.

Wystarczy spojrzeć na szkody, jakie wyrządza skromne obciąganko dwóm warstwom tuszu do rzęs, rzekomo wodoodpornego… Jeszcze bardziej zdumiewające jest spojrzenie w lustro po przejażdżce na kliencie, z którym się nawet nie całowałaś. Jakby makijaż czuł, że się pieprzysz, i to mu wystarcza, żeby spłynąć.

Gdy dziewczyny rozsiadają się po salonie w oczekiwaniu na klientelę, Le Manège może poszczycić się różnorodną i niezwykle zadbaną

ekipą. A mimo to miejsce świeci pustkami, z powodów, których nikt nie może zrozumieć. (Siedzący w mojej głowie klient trąca mnie łokciem: „Dziwi cię to? W dniu, w którym postawię stopę albo – Boże uchowaj – chuja w takiej norze…"). To prawda, że trudno mi określić, która z dziewczyn wydałaby mi się najmniej nieprzyjemna, gdybym miała jaja i sto dwadzieścia euro na zbyciu. I choć nie jestem facetem, ten duży, rozpaczliwie pusty salon stanowi potwierdzenie, że mężczyźni myślą tak jak ja.

Przedsiębiorstwo bez klientów przeprowadzałoby redukcje – natomiast burdel, który wypłaca stałą pensję jedynie *Hausdamen,* rekrutuje w takiej sytuacji jeszcze więcej dziewczyn. Normalny burdel zatrudniłby jakieś seksbomby, natomiast Milo zatrudnia Paulette; i ten wybór wprawia nas wszystkie w zdumienie. Paulette pojawiła się pod koniec szczególnie fantomowego tygodnia. Podczas gdy większość stada stroiła się, czekając na otwarcie salonu, nadchodzi ta duża Niemka, masywna jak kariatyda – nie, po prostu ogromna! – i przedstawia się nieśmiało: „Nazywam się Paulette". Chyba nikt w to nie wierzy. Paulette ma jakieś trzydzieści pięć lat, pochodzi z Poczdamu, ale wygląda, jakby przyjechała z bardziej odległych miejsc, z jakiejś zapadłej wiochy w Szlezwiku-Holsztynie, zapomnianej przez internet i telefon. Czy trzeba widzieć w tym dupkowate założenie Milo, który posiadając kilkanaście pięknych dziewczyn, snujących się niczym zombie po jego pustym burdelu, uznał, że kreatura taka jak Paulette przyciągnie nowy typ klientów albo – w najgorszym razie – wprowadzi kontrast i przywróci nadwyrężoną świetność jego dotychczasowemu haremowi?

Paulette jest jak wieża: przy każdym jej kroku czuję, jak obcas jej szpilki wyje z bólu, a ciało trzęsie się przy najmniejszym ruchu. Zaczesuje wysoko swoje tlenione włosy, a lichy kok odkrywa jej kark z tatuażem w kształcie motyla, którego czerń już zaczyna zielenieć.

Pończochy z siateczki z trudem sięgają połowy ud, ściskając je w grubą, ziarnistą oponkę. Tylko wprawne oko dostrzegłoby talię u Paulette, która ma bzika na punkcie ultraobciskających tkanin; i tylko nieliczne majtki nie odznaczają się na jej imponującym tyłku. A całości dopełnia twarz – cwana jak u więziennej strażniczki, uśmiech – rzadki i zaciśnięty, i choć nie widać w jej oczach ani śladu erotycznych predyspozycji, błyszczy w nich determinacja, która powinna inspirować wiele dziewczyn.

Tak, Paulette ma talent, którego brakuje wielu dziewczynom: jest grzeczna. W dodatku chyba naprawdę czeka na odpowiedź, gdy pyta kogoś o samopoczucie. Paulette nie pracuje po to, by kupować torby od Vuittona czy kurteczki dla chihuahuy; niezależnie od powodów, które przywiodły ją tu, do Le Manège, z daleka czuć od niej instynktem samozachowawczym. A ten bodziec robi więcej dla zarobków aniżeli nagła ochota na luksus. Mimowolnie jednak zastanawiam się, jak to wszystko mogło zadziałać w twardym łbie Milo. Milo to nie Henry Miller. Zdziwiłabym się, gdyby mu stawał na myśl o obscenicznej poezji nieforemnego ciała. I gdyby przeżywał euforię, nie mogąc rozróżnić w ciemności piersi od pośladka albo od oponki. Z pewnego dystansu widać, że Paulette jest tu jedyną dziwką, która mogłaby, ewentualnie, przywodzić na myśl opisywane przez Maupassanta burdele, gdzie zajmowano się ciałem i erotyzmem, nie zaś błyskotkami. Owszem, wyobrażam sobie, że w pieprzeniu jej musi być coś złowieszczego. W zmutowanym zwyrodnialcu mogłoby to wywołać bez wątpienia jakiś nieznany dotąd dreszcz – może o tym właśnie pomyślał Milo. Chociaż zdziwiłoby mnie to. Milo reaguje wyłącznie na to, co atakuje oko tak, jak smród atakuje dupę: na szpilki, na grubą warstwę tapety, na sztuczne piersi, na włosy spływające artystycznie do połowy ud, na złote kółka w uszach i na kwiatowe lub słodkie wody toaletowe, których opary na długo wsiąkają w wykłada-

ne pluszem ściany. Na wszystko, co na kilometr czuć samicą – może Milo powiedział sobie, że taka góra sadła, wystrojona w dobre buty i obcisłe fatałaszki, będzie jaskrawo przypominać klientom, że są tu także kobiety, mnóstwo kobiet, tak wiele kobiet, że dyrekcja pozwala sobie na wybryk w postaci takiej Paulette.

Na razie jednak nikt z ulicy nie domyśla się tej obfitości; w dodatku wyobrażam sobie, że poczta pantoflowa jest skuteczniejsza niż marketingowe olśnienia Milo – i zamiast piętnastu jest nas teraz szesnaście, i wszystkie ziewamy jak krokodyle w dużym salonie. Mogą się zjawić autokary turystów, jesteśmy na to gotowe.

Jest kilka dziewczyn takich jak Paulette i ich obecność budzi wiele pytań.

Większość z nich mieszka na miejscu albo wynajmują mieszkania gdzieś w pobliżu, ale w obu przypadkach czuć, że na wszystkim trzyma łapę Milo. Bo, w rzeczy samej, jak samodzielnie wynająć mieszkanie, gdy się nie mówi słowa po niemiecku i nie można udowodnić stałych zarobków? Co robić, gdy nie da się tego wyjaśnić księgowemu? Zawsze można wymyślić jakąś pracę i wpisać ją do formularza na wypadek, gdyby ktoś poprosił nas o wyjaśnienie, co rozumiemy przez pojęcie „wolny zawód" (mało kto miałby ochotę wynająć mieszkanie dziwce, osobie o niestałej motywacji zawodowej i zmieniającej miejsce pobytu w sposób równie kapryśny, co nieprzewidywalny), ale wtedy trzeba znaleźć coś wiarygodnego. To dlatego spotkacie w Berlinie tak wiele wizażystek, niepotrafiących rozmawiać z niemieckimi klientkami.

Większość z tych dziewczyn przywiózł Milo albo jego znajomi. Gniły w krajach Europy Wschodniej, odbębniając za głodowe stawki rozmaite fuchy, na przykład nocki w klubach ze striptizem, gdy wielki pan z Zachodu, uśmiechnięty jak Sandor, przyjeżdżał, by z nimi pogadać. Berlin, duże, piękne miasto pełne możliwości, faceci gotowi słono zapłacić za kilkuminutowy kontakt ze słowiańską urodą, czczoną na całym świecie. Zastanów się, piękna: to taka sama praca jak tu, no, mniej więcej, lecz w nieporównywalnie lepszym miejscu, gdzie będziesz sobie siedzieć w ciepełku, traktowana jak księżniczka i chroniona przez panów, którzy długo negocjują, by wreszcie niechętnie zgodzić się na płacenie ci dwa, trzy razy mniej niż to, ile jesteś warta. Bo tam zatrudnia się ludzi, którzy mają cię bronić i tobie

służyć, nikt nie będzie mógł cię obmacać na korytarzu ani skorzystać z twojego osamotnienia, by odmówić ci zapłacenia nadgodzin. Tam będziesz ustalać własne kryteria – i wierz mi, żaden Niemiec nie cofnie się przed wyskoczeniem z kaski, gdy najdzie go chęć na przytulenie kogoś innego niż jego osobista Gretchen. Mówię o tym, że będziesz trzymać miasto między udami; mówię o pracy takiej samej jak tu, co do tego zgoda, ale za worki pieniędzy, zarobisz tyle pieniędzy, że nie będziesz już nawet wiedziała, co sobie kupić – a gdy wrócisz do swojego kraju, będziesz obsypana złotem i już wszystko będzie możliwe. Musisz tylko pracować, i to ciężko, i musisz mi zaufać. To nic, że na jakiś czas zostawisz bliskich, skoro będziesz mogła wysyłać im pieniądze, a potem wrócić do nich tak nadziana, że już nigdy o nic nie będą musieli się martwić. Potrzebujesz tylko śmiałości. Nie bądź taka głupia jak te wszystkie gąski, które wolą wypruwać sobie żyły w podrzędnych knajpach, zamiast proponować mężczyznom prawdziwy towar, taki, który naprawdę ich interesuje, jedyny, za który płacą i nie liczą. Czy ty wiesz, ile kosztuje rzekome dziewictwo kobiety? Oczywiście możesz też uczepić się tej swojej cnoty, już i tak nadgryzionej przez półprostytucję, jakieś macanki w kiblu czy szemrane biznesy na parkingu, możesz zostać tutaj i zachować całą siebie dla narzeczonego, ale ten twój narzeczony to biedny wieśniak bez ambicji i nigdy nie da ci życia, na jakie zasługujesz, źle cię rucha, i to za darmo, a jego największym wyczynem będzie ślub z tobą, kiedyś, być może – i to będzie koniec, staniesz się grubą babą z brzuchem pooranym rozstępami, otoczoną wianuszkiem smarkaczy, które wyniszczą cię, zanim dobijesz trzydziestki. A wtedy twoje stopy nie zmieszczą się już w ładne szpilki, ślicznotko, będzie za późno i nigdy już nie wyrwiesz się z tej dziury. Twój wybór.

Tak, właśnie tego typu gadką skuszono prawdopodobnie większość dziewczyn w Le Manège, choć dziś widać wyraźnie, że się zawio-

dły. Trudno jednak powiedzieć, że nie mają wyboru, że utknęły tu na zawsze… Wierzę *Hausdame,* gdy mówi, że dziewczyny nie odkładają nigdy ani grosza. Bo co można robić, czym się zajmować, gdy się nie ma tutaj rodziny, przyjaciół ani żadnych innych znajomości poza koleżankami z pracy? Można tylko kupować. Pieniądze nie wydają się prawdziwe, dopóki nie zostaną ostentacyjnie wydane w luksusowych butikach na Kurfürstendamm. O ucieczce można pomyśleć później. Poza tym w Le Manège jest jedzenie, jest picie i jest koka; zły humor dziewczyn wynika również z tego, że mają nosy zasypane koką, a gdy są na głodzie, wystarczy, że wyślą po nią Maximiliana. Jeśli pracowały. Jeśli pracują. A ponieważ przez większość czasu nie pracujemy, długie wieczory w Le Manège mogą być tylko obrzydliwym zjazdem, nie tyle gwałtownym, ile ponurym, od którego uwolnić mógłby jeden zesłany przez opatrzność klient. Dość powiedzieć, że dziewczyny z tym, co zarobią, stać jedynie na zabójczy luksus, w którym rzeczy takie jak czynsz albo jedzenie wydają się nieistotnymi dodatkami.

Paulette, Loretta, Sylvie to inna para kaloszy… klan starych Niemek stanowi żywe, ludzkie jądro burdelu, cichy seraj, aż nabrzmiały od chcicy. To ich śmiech i rozmowy rozbrzmiewają w saloniku, bo od dwudziestej drugiej salonik, towarzystwo szefów i *Hausdamen* staje się przywilejem najstarszych pracownic. Gdy przychodzi klient, nie muszą chodzić mu się przedstawiać ani nawet podnosić się z fotela. Mają zresztą prawo zamawiać alkohol i gdy przychodzą do dużego salonu, to niemal zawsze ze zmrożoną wódką, częstując przymilnymi przydomkami Maximiliana i Ronję, z którymi są w wielkiej przyjaźni.

Loretta twierdzi, że ma trzydzieści pięć lat, choć tak naprawdę ma czterdzieści sześć, a wygląda na czterdzieści osiem, jest trochę stuknięta, ale przychodzi co wieczór i najwyraźniej jej się to opłaca, bo

nigdy nie bierze wolnego. Diana ma czternastoletnie dziecko. Sylvie, Paulette. Są tu, by zarobić na lepsze życie, niezależnie od tego, co to dla nich znaczy, żeby złapać oddech po opłaceniu rachunków. Ale gdzie są ich klienci?

Jedynym wyjaśnieniem na obecność tych matek, które miałyby do roboty inne rzeczy niż czekanie na kaprys okolicznego patałacha, wzgardzonego przez piętnaście przyklejonych do telefonów bułgarskich nastolatek, są usługi pań do towarzystwa, proponowane przez Milo. Ceny są wyższe, ale obsługa bez wątpienia lepsza niż na miejscu.

Selma opowiada mi o tym pewnego dnia, a ja pytam, czy nie byłoby szybciej i taniej zrobić sobie własną, niezależną reklamę. W Paryżu jest to zresztą jedyne rozwiązanie i dla dziewczyn, które wiedzą, jak się do tego zabrać, stanowi to bardzo lukratywny biznes. Ale w Niemczech oczywiście ze względu na niepokojącą legalność profesji bardzo trudno jest samotnie wejść w ten biznes. Dziewczyna musi się przemieszczać albo być gotowa na wpuszczanie do siebie nieznajomych mężczyzn, a nikt nie może być pewien, czy nie mają w kieszeni noża albo Bóg wie czego jeszcze – nie mówiąc już o sąsiadach, którzy w Niemczech lubią wiedzieć, co robią ich bliźni. Dziewczyna musi dostosować się do bardzo surowych zasad; nigdy dwa razy w tym samym hotelu w ciągu jednego tygodnia, by nie rozpoznali jej portierzy (Finanzamt uwielbia przerywać „randki" nieodnotowane w rocznych zeznaniach podatkowych). Zawsze z góry brać zapłatę, niezależnie od tego, jaką sympatię i zaufanie budzi w niej ten czy inny klient. Pilnować zegarka i umieć postawić się facetom, którzy narzekają na długość spotkania. Pozostać nieugiętą w kwestii gumek, chyba że szanowny pan jest gotów dopłacić – i niezależnie od proponowanych usług dodatkowych inkasować z góry, zawsze. Nieważne, że gość zdecyduje się na seks analny, gdy robicie to w pozycji

na pieska, i że w czasie potrzebnym do otworzenia portfela wszystko mu opadnie. Inklinacje klienta nie są w końcu inklinacjami dziwki, nigdy: jedyną rzeczą, która tutaj rządzi, jest czas.

Ale zanim będzie można dojść do tych wniosków, trzeba wykonać pracę u podstaw, która jest jeszcze bardziej żmudna. Dziewczyna musi kupić sobie drugi telefon, bo inaczej będą ją nękać, dzwoniąc pod numer prywatny. Poświęcić długie godziny na rozmowy telefoniczne i niezmordowanie powtarzać te same korzystne opisy, te same wygórowane stawki, odpowiadać cierpliwie na te same debilne pytania i odróżnić facetów, którzy dzwonią z fiutami w ręku, żeby się za darmo rozgrzać, od hipotetycznych klientów. Odpisywać na wszystkie maile, skrupulatnie odsiewając te, które można ogarnąć opcją „kopiuj-wklej", od tych, które zasługują na osobistą odpowiedź (zresztą często podczas odsiewu dochodzi do pomyłek). A jeszcze przed tym wszystkim znaleźć w barbarzyńskiej plątaninie niemieckich portali odpowiedni serwis ogłoszeniowy, taki, który oferuje rozsądną cenę i optymalne warunki ekspozycji. Znaleźć fotografa, zdolnego popełnić fotki sugestywne, a zarazem z odrobiną klasy; nikt nie może liczyć na niezależną karierę, prezentując zdjęcia robione pospiesznie we własnym pokoju, przy użyciu aplikacji Photo Booth. Totalnie niezależna działalność to poświęcenie w każdej sekundzie, taka dziewczyna musi wykazać się talentem sekretarki, księgowej, organizatorki i twórczyni reklam. Jak gdyby nie wystarczyło, że musi być wiecznie atrakcyjna i uśmiechnięta, wydepilowana, umalowana, uczesana i z manikiurem.

Czy nie lepiej, żeby to Milo brał na siebie brudną robotę? Nawet dwa nudne wieczory tygodniowo, choćby dłużyły się w nieskończoność, nie stanowią jednej dziesiątej wolnego czasu, który niezależna dziwka musi poświęcić na zarządzanie własnym biznesem. Niewielka liczba niezależnych dziwek wynika z faktu, że prostytucja to za-

wód, który z wielu wspaniałych powodów sprzyja rozleniwieniu. Żadna panienka nie zapomina, że sprzedaje coś, czego kobiece pospólstwo zazdrośnie strzeże i nawet nie myśli, by tym handlować: i ta rozwiązłość wymaga, prócz odpowiedniej zapłaty, kilku innych korzyści, takich jak czas wolny i brak zaangażowania w zdobywanie klientów. Wszystkie formy prostytucji istniejące w Berlinie skupiają się na maksymalnym ograniczaniu nagabywania klientów, bo to wyczerpuje dziewczyny. Nawet te, które przez cały rok drobią po Oranienburgerstrasse, śnieg nie śnieg, grad nie grad, wiatr nie wiatr, w nieśmiertelnych kozakach z lakierowanego skaju, zaczepiają mężczyzn w sposób, łagodnie mówiąc, ślamazarny. Jeśli w ogóle. Zazwyczaj stoją sobie na chodniku, dobrze widoczne – i możesz mijać je tysiąc razy, a – nie licząc rzadkich wyjątków – zawsze będą w tym samym miejscu, zajęte klikaniem w telefony i plotkowaniem. A gdy je miniesz, wolno powiodą za tobą wzrokiem, jakby mówiły: „Wiesz, po co tu stoję, idioto, a ja wiem, czego ty chcesz".

Jeszcze najwyżej usłyszysz szept, śmiesznie małą sumę wypowiedzianą w niemczyźnie naznaczonej wschodnim akcentem. I zaprowadzą cię w głąb jakiegoś podwórka na Auguststrasse, w jakąś wiecznie uchyloną bramę – albo do twojego auta, jeśli akurat masz auto. Nie należy od nich oczekiwać niczego poza szybkim i ściśle powierzchownym numerkiem; wyobraź sobie, ile straciłyby czasu, gdyby za każdym razem musiały zsunąć spodnie, kozaki, ryzykować, rzucając saszetkę z kasą na tylne siedzenie (chociaż w sumie chyba można zostawić saszetkę na pasku?), zdjąć sweter, kurtkę, bieliznę... Nie, naprawdę, dzięki. Przeprowadziwszy krótkie, choć niezbyt dyskretne śledztwo, dowiedziałam się, że wachlarz usług oferowanych na tej czcigodnej ulicy ogranicza się do robótek ręcznych i do obciąganka. Nie kasują za godzinę, Boże uchowaj; pracują aż do szybkiego i prostackiego wytrysku po kilku rytmicznych ruchach nadgarstkiem

albo głową – żadnej rozmowy, żadnej penetracji, a za kilka dodatkowych monet klient ma prawo musnąć cycki panienki, obrabiającej go w życzliwym cieniu samochodowego schowka.

Powiedziano mi, że na Potsdamerstrasse, innym znanym miejscu ulicznej prostytucji, dziewczyny mogą się pieprzyć. Wystarczy, że podadzą cenę, żeby dobić targu, i dorzucą równie wysoki dodatek za pokój – jedno z dwóch pomieszczeń syfiastego, oświetlonego neonówką mieszkania, w którym klient odkrywa, że jego wybranka nie jest taka świeża, zniewalająca i ładna jak pod latarnią. Cenę pokoju podaje się generalnie w drzwiach mieszkania, gdy klient jest już twardy i dojrzał do opróżnienia portfela. I tu też nie postawiłabym swojego tygodnia w Le Manège przeciwko ich rozlicznym talentom w doprowadzaniu klienta do orgazmu, co pozostawia im w ustach intensywny niesmak wobec samych siebie.

Te dziwki schodzą się wieczorami do noclegowni, w której cisną się po piętnaście, po dwadzieścia, nie bacząc na różniące je często mordercze tarcia i życiowe wyzwania. Chociaż Le Manège w porównaniu z ulicą wydaje się rodzinną firmą realizującą postępowe teorie w trosce o dobrostan personelu, jedna wizyta, nawet w roli klienta, wystarczy, by poczuć, że dyrekcja budzi tutaj respekt i że sporo dziewczyn nie miałoby nic przeciwko pracy w restauracji, gdyby tylko ich życie nie wyglądało tak, jak wygląda.

Gdybym lepiej znała niemiecki, powiedziałabym Paulette, że nie znajdzie tu tego, czego szuka. Klientela Le Manège składa się głównie z nadzianych biznesmenów i facetów, którzy wpadli z kolegami: mężczyźni tego pokroju chcą marzyć i skłonić do marzeń kumpli, którzy ostatecznie wybiorą bardzo szczupłą laskę o długich włosach i piersiach niemal zachodzących na brodę. Faceci skłonni zrobić dla Paulette miejsce w swoich fantazjach przychodzą sami i wcześnie,

podczas przerwy obiadowej. Zrozumiałam to w dniu, w którym Gabrielle, Michelle, Nicola i ja zostałyśmy zdystansowane przez Paulette. Klient niemrawo ściska nam dłonie i zachowuje się tak, jakby nas nie dostrzegał. Tylko Paulette, zmotywowana po czterech jałowych wieczorach, przedstawia się miękko, używając niemczyzny, jaką nie może pochwalić się żadna z nas. Mówi tym samym szorstkim, gwarowym językiem, którego używa ów pięćdziesięciopięcioletni taksówkarz, i co więcej, wie, jak z nim rozmawiać. Szybciej niż my domyśliła się, jak znużony musi być ten facet, który nareszcie usiadł przy zimnym piwie po dziesięciu godzinach jazdy ulicami Berlina. Taksówkarze są niezależni, podobnie jak kurwy, ale w ich pracę wpisane jest masowe nagabywanie i znacznie mniej pieniędzy. Jednak zmęczenie jest porównywalne, trzeba wozić mniej lub bardziej uprzejmych i przyzwoitych ludzi, uśmiechać się do nich, gdy krzyczą i oblepiają zagłówki gumami do żucia, tolerować ich, gdy są pijani, i to tak, że nie pamiętają swojego adresu. Warto zapytać taksówkarza, czy kurs z facetem, który drze się przez telefon, nie jest porównywalny ze stosunkiem, na który godzimy się z odrazą, i to wyłącznie dla pieniędzy. W każdym razie istnieje namacalny i silny związek między tymi dwoma zawodami, które współistnieją na ulicy; i choć my, młódki, małe księżniczki nawykłe do ciepełka burdelu, jesteśmy na to niewrażliwe, stara wyjadaczka taka jak Paulette widzi w tym przydeptanym mężczyźnie wyborną zwierzynę.

Patrzę zafascynowana, jak przeplatają chwile milczenia z chwilami leniwej rozmowy; siedzą oboje w tej samej, ociężałej i znużonej pozycji wyczerpanego robotnika i jak na komendę popijają razem piwo. Bez trudu udaje się jej go rozchmurzyć i wcale nie gaworzy jak szalona, bo to nie jest w jej stylu ani w stylu jej klienta – wyczuła to od razu (może Paulette też jest taksówkarką?). Pozwala sobie postawić piwo i szampana, a później bierze klienta za rękę, jak dziecko,

które przekonała do okazywania posłuszeństwa. Zawiadamia Renate o swoim farcie, a Renate nieco podejrzliwie (jest to jak dotąd jedyny klient i to właśnie Paulette kładzie na nim łapę) otwiera jej pokój numer dwa. Kilka chwil później Paulette wychodzi z niego, dzierżąc zapłatę za półtorej godziny i z sześćdziesiątką napiwku, o którym natychmiast informuje Renate; ale ja też to dosłyszałam. Sześćdziesiąt! Bogowie, co trzyma w zanadrzu Paulette, że wyciąga dodatkowe sześćdziesiąt euro od taksówkarza? Dwadzieścia za pocałunek, zgoda, dwadzieścia za obciąganie bez gumki, niech będzie, ale reszta? Jaki dodatkowy sprytny myk opracowała Paulette? Czy wykazała się tupetem i kazała sobie zapłacić za lizanie cipki? A może wyceniła na dwadzieścia euro palec włożony do dupy? To byłoby małostkowe, a jednocześnie – genialne.

Widząc, jak bierze w łazience dwa ręczniki i przywołuje do porządku swoje olbrzymie cyce, na próżno szukam w jej twarzy czy zachowaniu gorączkowego przestrachu nowicjuszek; Paulette jest uzbrojona w dziką determinację i na mój zachęcający uśmiech odpowiada uśmiechem, który nieco łagodzi jej surowe rysy – i czyni ją ładniejszą.

Wreszcie wracam do domu, nie kiwnąwszy palcem przez cały dzień, a tymczasem Paulette zgarnęła trzech z czterech klientów, którzy się pokazali, i dziewczyny, które najpierw się z tego nabijały, zaczęły uznawać to za osobisty afront.

Oczywiście zastanawiam się, co robi Paulette. Tak jak zastanawiam się, co robią wszystkie inne. Chciałabym wiedzieć, co dzieje się w pokojach. I jestem co najmniej jedną taką osobą w Le Manège.

Ale na swoje pełne złudzeń i haczyków pytanie: „Jak było?", otrzymuję zawsze tę samą odpowiedź: powłóczyste spojrzenie, które mówi, że to nie moja sprawa, i jednocześnie się dziwi, dlaczego w ogóle chcę to wiedzieć. Czy jestem zboczona? Czy opowiadam

wszystko Milo? Jeśli dziewczyny są w nie najgorszym nastroju, mogę ewentualnie wynegocjować lapidarne, podejrzliwe zdanie: „Dobrze, był w porządku". Lecz od epizodu z Grekiem wiem, że te cztery słowa mogą oznaczać absolutnie cokolwiek.

Nie potrafię określić, co jest przyczyną tej złej atmosfery: one czy dyrekcja? A może na przykład *Hausdamen,* które łączą szorstki przymus zarabiania z niewyraźnym poczuciem winy. Łatwo zrozumieć, że nie czują się w żaden sposób związane z dziewczynami, nad którymi mają pieczę; nie chcą nic wiedzieć, bo wyobrażają sobie, że ich uparta głuchota uchroni je przed rozbryzgami występku, w którym ostatecznie i tak się nurzają, jak wszyscy tutaj. Podporządkowałam się Janie na długo przed tym, nim młoda Hiszpanka, ta, która udzieliła mi rad na temat zastosowania koki w środowisku zawodowym, przypomniała mi nieoczekiwaną prawdę: to one pracują dla nas, a nie my dla nich. To dziewczyny trzepią kasę, nie one. One tylko sprzątają i inkasują forsę od klientów, nic nie upoważnia ich do biegania za nami jak stróżujące suki.

Ta prawda wydaje się nie do obalenia, gdy wypowie się ją na głos; ale nie przeszkadza ona Janie roztaczać nad naszym małym światkiem swojej władzy w sposób, którego mogą jej pozazdrościć niektóre więzienia o zaostrzonym rygorze. I tak jak każdy klawisz ma swoje faworytki i swoje kozły ofiarne, które zmieniają się zależnie od jej humoru. Czasem, myśląc, że sprawimy jej przyjemność, działamy jej tylko na nerwy – jedyną stałą zasadą jest to, by nie plątać jej się pod nogami, a zwłaszcza – nigdy jej nie zmuszać do mówienia po angielsku. Lepiej powtórzyć jej coś dwa lub trzy razy po niemiecku, co i tak zresztą wprawi ją w rodzaj transu, ale dojdzie do tego później i zostawi nam czas na ucieczkę.

Następnego dnia jestem sama z Janą przez całe sześć godzin. Sześć godzin. I mogę tylko robić małostkowe kalkulacje, obliczać swój tygodniowy przychód, który z ledwością sięga stu pięćdziesięciu euro za trzydzieści godzin nieprzebranej nicości. Wczoraj, wypłacając mi moją działkę, pomniejszoną o trzydzieści pięć euro dziennie, które pobiera Le Manège w zamian za mój *Steuernummer*, Jana, jeszcze bardziej przygnębiona ode mnie, powiedziała: „Mimo wszystko jest to jakiś pieniądz, Justine. Musisz to załatwić".

A fakt jest taki, że mam na ten temat swój pogląd, lecz ten pogląd dryfuje na razie w mojej głowie pośród tysiąca innych dziwacznych planów. W ciągu dwóch tygodni miałam mnóstwo czasu, by iść do Finanzamt i by przyznano mi numer. Nie zrobiłam tego, nie dlatego, że mi się nie chciało – choć kusi mnie, by tak myśleć – ale dlatego, że nie spieszy mi się z ostateczną rejestracją w Le Manège. Kwota, którą codziennie mi odpalają, wydaje mi się okupem za wolność, która w moim pojęciu już i tak kuleje. Owszem, mając *Steuernummer*, zarobiłabym więcej; ale czy zyskałabym więcej na wszystkich poziomach, w miejscu, do którego naprawdę przychodzą klienci?

Skulona na kanapie rozważam „za" i „przeciw"; nie było tutaj dnia, w którym nie zastanawiałam się, czy nie powinnam odejść, złożyć wymówienia. W świetle prawa to pytanie wydaje się niedorzeczne, jednak zmarszczone brwi Milo najwyraźniej kpią sobie z prawa. Zastanawiam się, czy nie poczytać o tym jakichś artykułów, ale nie chcę, by jakiś stronniczy dziennikarzyna wystraszył mnie jeszcze bardziej.

Czy ja podałam im swój adres?

Załóżmy, że nikt mnie nie będzie szukał – co już byłoby cudowne. Czy mogę godnie stawić się w innym burdelu? To musi być bardzo mały światek, który bez przerwy się ze sobą komunikuje. Ile czasu zajmie puszczenie w obieg nowiny, że jakaś Francuzka pojawiła się u konkurencji – pod warunkiem że zainteresuje Milo, ale jak taka wiadomość mogłaby go nie interesować? W ciągu dwóch tygodni miałam więcej klientów niż niektóre dziewczyny w ciągu miesiąca. Czy Milo pozwoli mi tak po prostu zarabiać na inny burdel i kolportować wszędzie informację o totalnej dysfunkcyjności Le Manège? Ciekawie byłoby to sprawdzić.

Te stwierdzenia skłaniają mnie do zastanowienia się nad rentownością całego przedsięwzięcia, mojej książki, zakładu z samą sobą – i to tchórzostwo, ta letniość, które zupełnie nie są w moim stylu, budzą mój respekt i nienawiść wobec Le Manège. Przecież nie mogę porzucić pasjonującego projektu tylko dlatego, że pierwszy burdel, w którym spróbowałam swoich sił, jest zarządzany przez bandę kretynów, którym zmysłowość i erotyzm kojarzą się mniej więcej z tym, z czym mnie kojarzy się termodynamika.

Zresztą problemem nie są tak naprawdę klienci – jeśli nie liczyć ludzi takich jak Grek czy młodzi traderzy, przysypiający na ramionach dziewczyn, najlepiej w jakichś kompromitujących czapkach. Z wieprzami zawsze można sobie poradzić. Wstrętne natomiast jest tutaj to, że jedyne osoby generujące zyski są poniewierane przez baby pełniące funkcję kasjerek, nadzorczyń i odźwiernych. Nie należy w ten sposób traktować kobiet, które dla dobra publicznego używają tej części swoich ciał, którymi dziunie takie jak Jana najwyżej mogą sikać. Dlaczego w zamian za tę abnegację mam znosić wściekłe miny *Hausdamen* i opary odświeżacza, którym pryskają, gdy tylko opuszczę jakiś pokój? To one powinny nam służyć, te stare kozy. W końcu kto im płaci?

To nie praca jest w tym miejscu wyjątkowo trudna, lecz relacje międzyludzkie. Trzymają mnie tu dziewczyny, ich historie, ich pochodzenie. Czepiam się pragnienia, by widzieć w nich – a właściwie w Michelle i Nicoli – dwie siostry. W jakim innym burdelu spotkałabym dwie siostry – okoliczności wydają mi się wyjątkowe. Czy ktokolwiek słyszał o czymś równie chorym? A ich pokrewieństwo nie jest nawet chwytem marketingowym. Tylko ja mogę nadać temu jakąś bluźnierczą wartość dodaną i być może tylko ja mogę w ogóle o tym mówić.

Interesują mnie też te stare, interesują mnie wszystkie. Jeśli istnieje choćby najmniejsza szansa, że wyciągnę je na zwierzenia, to czy muszę za to zapłacić i zostać tu, gdzie jestem, nie burząc się, nie skarżąc i nie wychylając? Tak, ale przez dwa tygodnie sumiennej obecności moje pobożne życzenie konformizmu doprowadziło wyłącznie do wydrążenia między nimi a mną szczeliny, takiej jak ta, która dzieli sklepikarzy z tej samej ulicy, nie uniknęłam konkurowania z innymi towarami. Sądziłam, że pracując tyle co one, zyskam przychylność dyrekcji i zdobędę sympatię dziewczyn, a przynajmniej ich solidarność, i że skłoni je to do rozwiązania worka z anegdotami. Byłam totalnie naiwna; wszystko wydawało się po nich spływać, albo przechodzić przez nie bez śladu – rozkosz i jej brak, wszystkie emocje, które ogół śmiertelników kojarzy z seksem, u nich rozpuszczały się w forsie. Początkowo wzbudziłam pewne zainteresowanie, bo byłam jak biedne jagniątko, zależne od rad, których uprzejmie udzielały mi lub nie. Trwało to jeden wieczór, dopóki nie zagrzałam miejsca, i teraz jestem wrogiem numer jeden, odrzucanym niczym parias i bez towarzystwa; trójkolorową klątwą, która kradnie im klientów i chowa się pod spódnicą Sandora niczym córka marnotrawna. Mogłyby zmienić o mnie zdanie tylko wówczas, gdyby wydarł się na mnie Milo, ale ta opcja trochę mnie przeraża, a przede

wszystkim nie jestem pewna, czy jeszcze bardziej by się ode mnie nie odsunęły – tym razem z uzasadnionych powodów.

Więc po co to wszystko? Jak mogę pisać rzeczy ludzkie, zabawne lub czułe o tym zawodzie, będąc w domu, w którym odarto seks z wszelkiej zmysłowości, sprowadzając go do czysto mechanicznych ruchów? Te dziewczyny są częścią prawdy, ale nie jest to prawda najciekawsza. Skoro jestem w stanie podejść do tej branży z nastawieniem neutralnym, a nawet pozytywnym, to znaczy, że inne też to potrafią.

Być może mam w sobie za dużo życia jak na to miejsce. Być może nie rozumiem, jak seks, który jest wielką ciemną i jasną radością ludzkiego życia, może być taki obleśny, gdy się za niego płaci. Co stanie się z moim entuzjazmem, jeśli tu zostanę? I w ogóle – co się stanie ze mną? Nie mogę chodzić do pracy z kulą w żołądku i wracać co noc do domu, modląc się, żeby Stéphane był już w Londynie na nogach. Nie mogę pracować w miejscu, gdzie żadna z przygód, które przeżywam, nie nadaje się do opowiedzenia moim siostrom. W tym także leży problem z Le Manège; nie mam najmniejszej ochoty, by Anaïs, Madeleine i Marguerite wiedziały, jak jestem traktowana, ale tajemnice, które trzymam w sobie, w końcu zaczynają mnie dusić. Już teraz boję się, że przejęłam werbalny tik z Le Manège, polegający na opowiadaniu zawsze, że „wszystko dobrze" (pisząc to, dostrzegam defetyzm tego sformułowania). Anaïs, Madeleine i Marguerite mają we krwi niezawodny instynkt, który pozwala im wyczuć, że nie jestem szczęśliwa; mogę odgrywać komedię przez kilka dni, ale nieuchronnie zbliżam się do momentu, w którym i tak zaczyna być to widoczne. A sam fakt, że ich siostra pracuje w burdelu, jest problemem wystarczająco złożonym, by nie podlewać go jeszcze smutkiem.

Cały czas jestem sama w Le Manège, tylko z Janą i Gabrielle, która nie wyściubiła nosa ze swojej klitki. Wieczór dopiero się zaczyna. Zarobiłam jakieś trzydzieści euro – w porównaniu z tym Schwarzes Cafe, gdzie pracują Anaïs i Madeleine, wygląda co najmniej jak maszynka do zarabiania pieniędzy. Co mnie tu trzyma? Zresztą, czy Le Manège to rzeczywiście miejsce, z którego odchodzi się w sposób przyzwoity? Nic nie jestem im winna. Oni natomiast wiszą mi jeszcze sto pięćdziesiąt euro za Greka, lecz nie mogą mi ich przelać, nawet gdyby chcieli, bo nie podałam im numeru konta. Nie mówiąc już o trzydziestu pięciu euro dziennie, które też powinni mi oddać. W sumie wychodzi z tego astronomiczna kwota, którą chętnie bym przytuliła, ale być może to jest cena mojego nagłego zniechęcenia: nie będą mieli czelności, by mnie niepokoić, mając w kieszeni blisko tysiąc trzysta euro, które należą do mnie. Jeśli odejdę, będzie to podróż w jedną stronę.

Mam to gdzieś.

– Jano?

Leniwie przekręca głowę w moim kierunku, unosząc brew.

– Zejdę kupić coś do jedzenia, dobrze?

– Idź.

Wraca do swojego serialu i niczego nie podejrzewa – nie okazuje choćby najmniejszej oznaki zainteresowania. No proszę, jakie to łatwe.

Wkradam się do pustej szatni. Ostatnie wahanie i fala rozczarowania samą sobą sprawiają, że przez dłuższą chwilę sterczę przed dużym lustrem. „Nie jest ci tu dobrze, co?" „Niezbyt" – odpowiadam sobie. I wkładam cywilne ubrania. Przezornie wrzucam buty i sukienkę do torebki, żeby nie wzbudzić czujności Jany, wychodząc z dwiema torbami. Zbytek ostrożności. Gdy przechodzę przez mały

salon i po raz ostatni kładę dłoń na klamce drzwi wejściowych, Jana nie odrywa oczu od ekranu. Jest to detal, którego bez wątpienia pożałuje, gdy będzie musiała oświadczyć Milo, że zwiałam.

– Na razie! – rzucam, wychodząc na klatkę, i zamykając ciężkie drzwi, słyszę, jak Jana mamrocze to samo. Ta stara kretynka jest przekonana, że zaraz wrócę z kanapką w dłoni.

Na zewnątrz jest jeszcze jasno, jeszcze pięknie, nigdy wcześniej powietrze nie wydawało mi się tak świeże i jak gdyby cały świat wspierał mnie w mojej ucieczce, autobus w kierunku zoo nadjeżdża natychmiast. Siedząc z tyłu, patrzę, jak znika numer czterdzieści siedem, liliowe zasłony.

Ludzie w autobusie wyglądają doskonale normalnie. Nie jest to okolica, która komukolwiek kojarzy się z czymkolwiek, Schlüterstrasse, zwykła ulica, łącząca Olivaer Platz i zoo. Nikt dziwnie na mnie nie patrzy, nikt nie może domyślać się, że jestem wolna.

Wolna. Tak, to jeszcze jeden mój zarzut wobec Le Manège. Jeszcze nigdy nie poczułam się wolna, rzuciwszy pracę. Spokojna, tak, ale nie – wolna.

The Hell of It, Paul Williams

„Podniecają mnie Francuzi. Uwielbiam, gdy mówią w trakcie. Nie rozumiem ani słowa, ale mnie to podnieca. Typ mógłby mi recytować listę swoich zakupów, żadna różnica. Jak Jamie Lee Curtis w tym takim filmie".

Tak wiele mogłabym powiedzieć Bobbie, która wychodzi z sesji w Studiu z jednym z moich rodaków. Francuzi w burdelu są dla mnie jak epidemia jelitówki. Przypuszczam, że może być coś wzruszającego w próbach maskowania zdumienia, iż żaden gliniarz, ukryty za kamerą monitoringu, nie naskoczył na nich w drzwiach łazienki. Czy traktują to jak cud, czy jak zwykłe wypaczenie prawa, którego nadużywają tak samo jak którejś z tych biednych dziewczyn? Trzeba by o tym z nimi porozmawiać, jednak Francuzi, w burdelu i wszędzie indziej, rzadko mają smykałkę do języków.

I to oszczędza moim koleżankom wielu mimowolnych, choć chamskich odzywek, które rozumiem tylko ja – bo w obecności samicy ze swojego kraju Francuz staje się gadatliwy, często za bardzo. A nie mogę zrzucić jego nietaktu na karb bariery językowej, jak w przypadku faceta z drugiego brzegu Renu, przy którym zawahałabym się, zanim skatalogowałabym go jako skurwiela. Jest w tym pewna korzyść; rozumiem tylko sześćdziesiąt procent konwersacji, co stabilizuje mój nastrój – jestem tolerancyjna, dopóki rozmawiamy. Połączeni milczącym porozumieniem, produkujemy we dwoje ścieżkę dźwiękową, by nadać konsystencję temu romansowi, rozpisanemu na poszczególne kroki. Jest to zło konieczne, które może

okazać się bardzo przyjemne, co potwierdzą bez wątpienia aptekarze, którzy rzadko sprzedają pudełko aspiryny staruszkom, nie wysłuchawszy przedtem ich długich tyrad.

Ale Francuzi! Nie obwiniam ich – ktoś, kto od urodzenia nurza się w kulturze skazującej dziwki na ognie piekielne (a jeszcze wcześniej na społeczne odium), nie może domyślać się, że w burdelu, tak jak wszędzie, obowiązują zasady przyzwoitości. Mogłabym zilustrować swoją wypowiedź sporą garścią przykładów. Ty, agencie nieruchomości w średnim wieku, gdy pytam cię o zawód, odpowiadasz: „Tak jak ty, korzystam z cudzych pieniędzy!" (agent nieruchomości, w rzeczy samej, to zawód w swym pasożytnictwie górujący nad innymi). A ty, staruchu, mieszkający w Berlinie od trzydziestu lat, na to samo pytanie, wyraz podstawowej uprzejmości, parskasz z pogardliwym uśmieszkiem: „Czy to przesłuchanie?" (okazuje się, że byłeś księgowym. Dzięki, że oszczędziłeś mi w rozmowie tego ślepego zaułka).

Zamiast tworzyć listę pechowców, których ciekawość albo nieznajomość języków obcych zagnała w moje sieci, lepiej będzie, jeśli przypomnę tylko tego grubego, pijanego wieprza, rzuconego mi przez figlarny los, bo już sama jego obecność potwierdza fundamentalną konieczność ponownego otwarcia burdeli we Francji.

Gdzie teraz jesteś, gruby, zagubiony wieprzu, którego niekompetencja rezonuje w mojej pamięci jeszcze mocniej niż talent któregokolwiek z przystojniaków? Pojawiłeś się wraz z wiosną – jak na ironię. Czekałam na umówionego klienta, gdy Inge przyszła po mnie z prośbą o pilne tłumaczenie: w salonie mężczyzn znajdował się Francuz – i zgadnijcie co? Nie mówił ani po angielsku, ani po niemiecku!

Generalnie odpowiada mi rola rzeczniczki tego pięknego przybytku, lubię podawać rodakom ceny, wyjaśniać zasady, podsuwać im dziewczyny, które mogłyby im wpaść w oko – jestem rzeczniczką

tym bardziej uprzejmą, że zawsze mam dobrą wymówkę, by z nimi nie iść. Uwielbiam wywijać się Francuzom. Tamtego dnia miałam czas, ale postanowiłam udawać, że jest inaczej, gdy tylko zobaczyłam ciebie, boleśnie wciśniętego w skórzany fotel. Wyciągnąłeś do mnie wilgotną małą dłoń, a ja ci się przedstawiłam.

– Nareszcie ktoś, kto zna francuski! – wykrzyknąłeś w swoim bezwstydzie turysty, który myśli, że wszędzie jest u siebie.

Ledwo zdążyłam podać cenę, a ty już zniecierpliwiony potrząsnąłeś głową:

– Widziałem, że proponujecie lekcje.

– Jakie lekcje?

– Nie wiem. Widziałem na stronie. *Liebesschule* – wydukałeś bez wdzięku.

– Ach, tak. A czego chciałby się pan dowiedzieć?

– No, ja nie wiem, jak to działa. Bo na przykład pani…

– Nie, bardzo mi przykro, ale ja już jestem umówiona.

Znów zacząłeś krzyczeć, unosząc ramiona ku niebu, jakbym już oskarżała cię o gwałt.

– Ale przecież ja się tylko pytam!

Bałeś się może, że jakiś serbski ochroniarz, obserwujący nas przez kamerkę w moich majtkach, wyskoczy nagle i połamie ci palce, gdy tylko podniosę głos. Zarażona twoim popłochem, odpowiedziałam tym samym tonem:

– Nie ma problemu, ja tylko mówię!

– Ach, nie ma sprawy, nie ma sprawy.

– No to dobrze.

– Wszystko dlatego, że nie mówię po angielsku…

– Rozumiem. Przykro mi.

I ponieważ ręce trzęsły ci się na myśl, że mogłeś okazać się nieprzyzwoity, wróciłam do tematu:

– Bez wątpienia spodobała się panu któraś z pań.

– Chyba taka blondynka. Dorothée?

– Pójdę po nią.

– A z panią naprawdę nie ma możliwości?

– Naprawdę nie ma, przykro mi.

Jakąż ulgę czułam, zamykając za sobą drzwi! Zazwyczaj nie zwracam zbytnio uwagi na wygląd klientów, wydaje mi się, że jest to właściwość tego zawodu – ale widząc ciebie, byłam gotowa zdradzić wszelkie swoje zasady i stworzyć całkiem nowe. I gdy drobiłam korytarzem, by pójść po Dorothée i zamknąć całą sprawę, poczułam, jak moja pierś uwalnia się od niewysłowionego ciężaru – twojego ciężaru. Unikałam patrzenia na skrzywioną minę Dorothée, w jej krótkim i posępnym „Ach!" usłyszałam mnóstwo pretensji. Doskonale rozumiałam jej ból. Brzydcy i głupi klienci jeszcze jakoś uchodzą; prawdziwe piekło zaczyna się, gdy zjawiają się tutaj, by się czegoś nauczyć, i trzeba mentalnie przy nich być, nie można zamknąć oczu i wyobrażać sobie kogoś innego. „Dobra, nie myśl już o nim" – powiedziałam sobie, biegnąc do swojego klienta z pewnością, że niezależnie od tego, jak bardzo nieforemny potwór czeka na mnie w pokoju prezentacji, los obejdzie się ze mną łagodniej.

Dzień później truchtałam radośnie do pierwszego klienta – tego, który nadaje ton całemu dyżurowi. Byłam daleka, powiedzmy, że w dwukrotnej odległości dzielącej Paryż i Sydney, naprawdę daleka od wyobrażania sobie, kto kryje się za Stefanem albo Hansem, albo Michaelem czy jakimkolwiek innym niemieckim imieniem, pod którym umówiono spotkanie. To byłeś ty, gruby Francuzie o wilgotnych dłoniach, już odesłany na dno mej pamięci, bo byłam pewna, że wróciłeś do kraju; złośliwy los.

– To znowu ja! – zaszczebiotałeś, co wcale nie sprawiło, że wydałeś mi się milszy.

Myślałam, że dzień wcześniej byłam wystarczająco nieuprzejma. A jednak wróciłeś do tematu, jakby spotkanie z Dorothée było tylko krótką przerwą w naszej rozmowie, z której niczego nie wyniosłeś.

– Zatem, tak jak mówiłem, interesują mnie lekcje.

Pomyślałam, że w tym może leży moja szansa.

– Mój drogi panie, jestem bardzo złym pedagogiem.

Ułożyłeś niespokojne rączki w znanej mi już pozie.

– Ale przecież ja tylko pytam.

– A ja wyjaśniam.

– Bo mnie do pani odesłano, powiedzieli mi, że mam iść do Justine…

– To miłe, ale…

Prawdopodobnie była to całkiem zrozumiała zemsta Dorothée. Przygnębiona stłumiłam westchnienie.

– A czego chciałby się pan nauczyć?

– Interesuje mnie cunnilingus – wyszeptałeś.

– Cunnilingus?

– Tak, myślę że opanowałem palcówkę, ale cóż, chciałbym na ten temat wiedzieć jeszcze więcej.

„Bogowie! – zakrzyknęła Emma ukryta w Justine – ile ty możesz mieć lat?" Nigdy nie zdobyłam tej informacji, sam widzisz, jak bardzo miałam to gdzieś, ale na pewno dawno już skończyłeś trzydzieści pięć, co oznacza, że są jeszcze na ziemi mężczyźni w tym wieku, którzy czują się na tyle bezbronni wobec kobiecego krocza, że przychodzą do burdelu z prośbą o radę, używając tego typu określeń. Dlaczego ja? Ale ponieważ byłeś tu, ponieważ cała już się zaangażowałam, by wydostać się z tego bagna, ponieważ wbijałeś we mnie uparte, bawole spojrzenie, które tylko podkreślało język twojego ciała, uznałam, że lepiej będzie to dokończyć.

– Jak długo chce pan zostać?

– No, co najmniej godzinę.

– Godzina to już sporo.

– Albo półtorej godziny.

– Godzina wystarczy. Niech będzie godzina.

„Godzina czystego szczęścia" – myślałam, idąc korytarzem, by wybrać pokój, Czerwony, najciemniejszy. Owszem, trudno na pierwszy rzut oka o mniej sympatycznego klienta. Nigdy nie spotkałam się z tak przeciętnym wyglądem połączonym z równie upartą postawą – to wyraźny znak, że utrudnianie każdej procedury leży w twojej naturze. Byłeś tłusty i łysiałeś na czubku głowy – zaczesałeś resztki czarnych włosów, żałośnie próbując udawać, że tak nie jest – wciśnięty w za mały garnitur, spięty paskiem o dyskusyjnej przydatności; tworzyliśmy razem wspaniałą załogę.

Oczywiście nie chciałeś wziąć prysznica. Umyłeś się w hotelu, to powinno wystarczyć. Musiałam wykonać przy tobie rutynowe czynności – rozłożyć pościel, wyjąć lubrykant, gumki, płyn do dezynfekcji rąk – cały czas zabawiając cię konwersacją. Dzięki Bogu, pytałeś za nas dwoje i były to dobre pytania, nie myśl sobie, nie takie, od których się można wywinąć głupim śmiechem.

– Wykonywała pani ten zawód również w Paryżu?

– Nie, raczej nie.

– W Paryżu zarabiałaby pani znacznie więcej.

– W Paryżu jest bardzo niebezpiecznie.

– Oj tam – próbowałeś relatywizować, ty, który wiedziałeś o temacie tyle, ile zobaczyłeś na stronach z ogłoszeniami.

– To bardzo niebezpieczne – powtórzyłam, marszcząc brew i zmuszając cię, żebyś odpowiedział mi swoim foczym westchnieniem.

– Ale naprawdę zarabiałaby pani lepiej.

– Tak, wiem.

Dobrze wiem, teraz, po czasie, że osiemdziesiąt euro za godzinę spędzoną z tobą było naprawdę śmieszną sumą.

– Zresztą nie robię tego dla pieniędzy.

– Akurat – parsknąłeś z miną gościa, z którym nie takie numery.

– Robię to, by zdobyć doświadczenie – szarżowałam ze złością, bo choć rzeczywiście był to mój główny powód, to nie dla doświadczeń związanych z włażeniem na facetów twojego pokroju zarywałam noce.

W twoim wypadku, muszę to przyznać, nie było nic, tylko kasa i moja durna uprzejmość. Zwykłe miłosierdzie; trudno nazwać to inaczej za niecałe sto euro.

Z niedowierzaniem uniosłeś brwi, zdejmując ubranie. Siliłam się na zachowanie neutralnego wyrazu twarzy, półuśmiechu najwyższej kurtuazji. I gdy tak patrzyłam, jak, nagle bardzo poważny, pozbywasz się slipów i układasz je skromnie na kupce swoich łachów, poczułam, jak przeszywa mnie dreszcz lęku: co mam zrobić, by odmienić sytuację? Stałeś świętoszkowato i nie wyglądałeś jak ktoś, kto mi pomoże, rzucając się na mnie jak szaleniec. To było wypisane wielkimi literami na twoim francuskim czole, nie mogłam oczekiwać od ciebie luzu Niemców, którzy przychodzą po to, by położyć się koło mnie na golasa i głaskać mnie po żebrach. Powiedzieliśmy sobie już wszystko, ani ty, ani ja nie znajdziemy już żadnego, nawet beznadziejnego, tematu do rozmowy; nic z tego, co o tobie wiedziałam, nie dawało mi podstawy, by się odbić. Byłeś adwokatem imigrantów; przyjęłam tę informację z fałszywym entuzjazmem, zanim do mnie dotarło, że jest mi obojętna. Nie miałam pojęcia, czym możesz się zajmować, ale nie interesowało mnie to na tyle, bym chciała cię o to spytać. Słysząc słowo „adwokat", uznałam, że nie możesz być totalnym debilem, zanim do mnie dotarło, że przecież można być adwokatem, a jednocześnie debilem; wystarczy wykuć kilometry jałowe-

go metajęzyka prawniczego i go stosować – zawód ten nie przeszkadzał w byciu dupkiem, wręcz przeciwnie.

Miejsce, w którym mieszkałeś, gdzieś w regionie Beauce, wprowadzało mnie w stan apatii: brak choćby jednej linii kolejki podmiejskiej przekreślał je w całości. I nie darzyłeś Berlina historyczną ani kulturalną namiętnością, powód twojego pobytu nie był tajemnicą: od dwóch dni chodziłeś na kurwy. Przyjechałeś sam, kolejny seksturysta, nawet nie ze znajomym, innym seksturystą, któremu mógłbyś zdać raport przy drinku.

I pomijając fakt, że nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego, ja nie interesowałam cię wcale, bo byłam dziwką. Nie przyszło ci do głowy, że jestem osobą, która ma do powiedzenia to co wszyscy inni – a może nawet więcej niż średnia. Ukradkiem ściągnęłam majtki.

– Zatem, krótko mówiąc, chce się pan nauczyć seksu oralnego.

Na twojej twarzy nie dojrzałam ani śladu entuzjazmu.

– Próbował pan tego już kiedyś?

– Tak, to znaczy nie całkiem, no, połowicznie.

– Połowicznie? To znaczy?

– Powiedzmy, że to było dawno.

– Aha.

– Z palcówką chyba sobie radzę. Co do reszty, nie jestem pewny.

– Palcówka to już coś – udałam, że dodaję ci pewności siebie, jakbyś był jednym z rzadkich okazów, który zrozumiał zasadę wkładania palców do cipki.

Tak naprawdę jednak wszystko, co mówiłeś, wprawiało mnie w konsternację i popłoch. Nie będzie żadnego sposobu, by zapomnieć o twojej obecności, ty nic nie umiałeś, a ja już wiedziałam, że aby cię uczyć, będę musiała czuć i cię informować o tym, co czuję. Będę musiała wyjaśniać ci rzeczy, których wyjaśnić się nie da, używać naukowych terminów, by nazwać coś, co nie powinno potrzebo-

wać nazwy, a przede wszystkim – udawać rozkosz, żebyś się przykładał. Próbowałam uspokoić bicie swojego serca:

– Ale widział pan już film porno, prawda? Wie pan mniej więcej, w którym miejscu jest łechtaczka, to znaczy, chciałam powiedzieć, mniejsze i większe wargi sromowe, przypuszczam, że coś to panu mówi?

– Tak, tak, mimo wszystko.

– Dobrze. Cóż, nie jest to bardzo trudne.

Powoli rozłożyłam nogi.

– Proszę zacząć od palców i zrobić to, co już umie pan robić.

– Jak to? Już?

Zrobiłeś wielkie oczy! Czyżbyś spodziewał się tańca godowego?

– Tak. Już. W tego typu sprawach nie ma nic lepszego niż praktyka.

Wyglądałeś, jakbyś pochylał się nad stołem warsztatowym. Fakt, że i ja musiałam głupio wyglądać z rękoma założonymi za głowę.

– Więc mam zacząć od palców.

– Proszę robić to, co pan czuje, to, co przychodzi panu do głowy – odparłam niecierpliwie.

Mój Boże, zatem byli na świecie mężczyźni, którzy stojąc dziesięć centymetrów od rozłożonych nóg, nadal myśleli, że istnieje jakiś niezmienny etap, jakaś wstępna rozgrzewka, której procedura nie zmienia się zależnie od dnia, nastroju, partnerki i stopnia pożądania?

Chciałabym, żeby ciąg dalszy okazał się snem albo żeby chodziło o kogoś innego. Zalała mnie fala rozpaczy, gdy zobaczyłam, jak wsuwasz palec wskazujący do swoich ust, a potem we mnie, jakbyś mierzył temperaturę trupowi. Ze zmarszczonym czołem zacząłeś poruszać nim, trochę tam i trochę z powrotem – był to bezlitosny, nie-

zmienny rytm kropli wody, spadającej na czoło męczennika, by doprowadzić go do szaleństwa.

Opadłam dyskretnie na poduszkę, spanikowana na myśl, że poczujesz mój ruch i zapytasz mnie o zdanie. W tym leżał wówczas cały mój dylemat – pytanie, jak się zachować. Mogłabym symulować, ale to by ci nie pomogło, prawda, i bałam się, że adwokat od imigracji dostrzeże moją słabą komedyjkę. Nie mogłam też zacząć wszystkiego od nowa i przejść na wyższy poziom, mówiąc ci, że jest źle, że nie może być dobrze. Ryzykowałabym, że się obrazisz. Tylko że niestety głębiny twojej ignorancji, twój brak zmysłowości, twój brak chęci budziły mój strach. Nawet komuś całkowicie pozbawionemu doświadczenia nie przyszłoby do głowy to, co tu teraz robiłeś. Z jakiego krateru, z jakiej planety głowonogów przybyłeś, że na widok cipki wykonujesz zabiegi rodem z dziewiętnastowiecznego podręcznika dla małżonków? Obserwowałam twoje milczenie z rosnącym niepokojem, stwierdzając, że nic, nawet moja inercja, nie wybija cię z tej trajektorii. Żaden odgłos, żadna rozkoszna mina nie wywołałaby na twym ciele choćby najmniejszego widocznego dreszczu – nic nie było tu wynikiem przyciągania czy chemii ani też kreatywności, za to wszystko: czasu; w swojej twardej czaszce odwracałeś klepsydrę przy każdym żmudnym etapie mającym prowadzić do stosunku. I nie miałam bladego pojęcia, co wskazywała ta klepsydra ani – co jeszcze ważniejsze – co tak naprawdę odmierzała. Czyż nie powierzyłeś mi, jak wszyscy inni, czytelnej misji doprowadzenia cię do orgazmu? Tym razem to ja miałam mieć orgazm, ot tak, od grubego palca, który budził we mnie tęsknotę za ginekologiem – chociażby dlatego, że on przynajmniej rozmawia ze mną podczas badania. Myśl, że powinnam wić się na tym palcu, bliska żałosnego omdlenia, stanowiła wyzwanie porównywalne z egzaminem ustnym w Instytucie Nauk Politycznych. Bałam się nawet zakasłać, żebyś tego we

mnie nie poczuł, bałam się, że się przestraszysz, gdy dotrze do ciebie, że moje ciało żyje. A ponieważ nie wpadłam na żaden inny sposób, by odzyskać wolność, uniosłam się na łokciach:

– No dobrze, zrozumiał pan zasadę palcówki.

Bo co mogłam powiedzieć? Ruch posuwisty czegoś o kształcie mniej więcej fallicznym w otworze pochwy jest w rzeczy samej kamieniem węgielnym gry wstępnej.

– Mam przestać? – spytałeś.

– Niekoniecznie, ale chciał się pan nauczyć lizać, prawda?

– Tak.

– Zatem myślę, że kiedyś trzeba zacząć.

– Więc mam zacząć?

– Proszę.

O, kurwa! Widząc cię między swoimi nogami, miałam wrażenie, że stoi tam talerz surowych flaków i że przyłapałam cię na niechętnym grzebaniu w nim końcem widelca. Apoteoza zmysłowości nastąpiła, gdy bojaźliwie wysunąłeś koniuszek języka. Przypatrywałam ci się spomiędzy rzęs; nie spodziewałeś się włosów, chyba nie wydało ci się to zbyt czyste. Patrząc na pełną skupienia zmarszczkę na twoim czole, gdy próbowałeś dotknąć mnie, omijając włosy, pomyślałam, że żałujesz, iż to wszystko nie stoi przed tobą otworem, że musisz zgadywać, w którym miejscu masz wiercić. Czułam też, że jesteś podejrzliwy: a więc nie wszystkie dziwki są wygolone? Więc nie wszystkie są zmiennokształtnymi projekcjami męskich fantazji? A może ja po prostu byłam zaniedbana? Założę się o dniówkę, że nawet nie wpadłeś na pomysł, by zerknąć na mój opis w sieci, choć dzięki temu uniknąłbyś takich rozczarowań. Bo rezultat był taki, że nie czułam niczego. Ale wreszcie znalazłeś łechtaczkę, trzeba by cię było wołami odciągać, żebyś zrezygnował. Moje westchnienie rozpa-

czy przeszło w niewyraźny pisk, który natychmiast zamilkł, onieśmielony efektem, jaki wywołał w tej ciszy.

Zostało jeszcze czterdzieści pięć minut! Pomyśl, ile może się zdarzyć w ciągu czterdziestu pięciu minut! Taki na przykład III koncert fortepianowy Rachmaninowa: mieści się w nich cały i zostaje nawet jeszcze trochę miejsca. W trzech kwadransach mogą się zmieścić trzy orgazmy. Mogą minąć bardzo szybko, nawet się nie spostrzeżemy kiedy. Z drugiej strony jest to aż trzy razy po piętnaście minut, rzadko o tym myślimy. A myśl o tym, teraz, w tym momencie, doprowadzała mnie do płaczu nad niesprawiedliwym światem i miałam wrażenie, że podaję ci gwoździe do swojej własnej trumny. Uniosłam podbródek.

– Szkopuł w tym, że chodzi nie tylko o łechtaczkę.

Wbiłeś we mnie nierozumiejący wzrok.

– To ważne, ale wokół też jest mnóstwo rzeczy.

Twojej twarzy nie rozjaśniła ani jedna iskierka zrozumienia.

– Wargi sromowe mniejsze.

Nadal nic.

– Wargi sromowe większe… w każdym razie jest co robić.

Ponieważ widać było, że nie masz najmniejszego pojęcia, jak wykorzystać ten nadmiar ciała, służący zapewne tylko do ozdoby, dodałam:

– Chodzi mi o to, że nie musi pan ograniczać się wyłącznie do łechtaczki. Może pan lizać wszędzie. Na przykład trochę niżej – zasugerowałam, unosząc brwi, co, jak sądziłam, mogło oszczędzić mi wypowiadania słowa „pochwa”.

Spojrzałeś na mnie spłoszony.

– Ale niżej… jest coś innego!

– Tak, no i co?

Czułam, jak rozdrażnienie bierze powoli górę.

– Nie zajmujemy się tutaj kolorowaniem. Nikt nie będzie miał żalu, gdy wyjdzie pan trochę za linię.

Pobladła patrzyłam, jak pochylasz pysk i dzielnie wracasz do zadania, nie bacząc na moje szorstkie rady. Nie było mowy, żebyś zszedł niżej, bo bałeś się, że trafisz na coś innego, ale ponieważ najwyraźniej miałeś do czynienia z kapryśną paniusią, której nie wystarcza sama łechtaczka, pomogłeś sobie palcem, który wcześniej włożyłeś do ust. Rozkosz, spadająca na mnie z każdej strony, powinna wówczas ogarnąć mnie całą. Ale odgłos ssania irytował mnie jak wizg noża po talerzu – to był właśnie ten typ tortury, którego nie wymieniała żadna książka o burdelu: całkowita beznadziejność niektórych mężczyzn. Odgłos ssania i muzyka z głośników, jak afront. Gdy zobaczyłam, że zostały jeszcze czterdzieści dwie minuty, puściły we mnie wszystkie tamy. Usiadłam skulona, wyrywając ci z ust ten niezrozumiały skórny galimatias.

– Proszę powiedzieć uczciwie: nudzi się pan, prawda?

Rzuciłeś mi niemal zaszokowane spojrzenie.

– Nie, dlaczego?

– Nie wiem. Tak to wygląda.

– Nie.

– Cóż.

– A co, pani się nudzi?

– Nie tyle się nudzę, ile mam raczej poczucie, że…

A, raz kozie śmierć!

– Przede wszystkim, skoro musi pan ssać swój palec, to znaczy, że coś poszło nie tak. Zazwyczaj tam jest już mokro. Robi pan wszystko na odwrót, najpierw trzeba lizać, a potem wkładać palec.

– Aha.

– Tak.

Zapadła pełna zakłopotania cisza.

– Dlaczego chce się pan tego nauczyć?

– No, jak już będę miał dziewczynę…

Już widzę, jak ją masz!

– To ważny, lecz niewystarczający powód. Przede wszystkim musi pan to lubić. Jeśli pan tego nie czuje, to nie ma sensu.

Spuściłeś wzrok.

– Chyba się to panu niezbyt podoba. To chciałam powiedzieć. Podnieca to pana czy nie?

– Och, ja robię to, żeby sprawiać przyjemność komuś.

– Właśnie. I w tym leży problem. Musi zrozumieć pan jedną rzecz na temat kobiet, i tu wyjawiam panu najważniejszą prawdę: jeśli panu nie staje, to nam też nie staje. Często zdarza się, że nie możemy dojść, bo zastanawiamy się, czy wy się nie nudzicie. Trzeba być trochę bardziej komunikatywnym. Mówi to panu coś?

– Sam nie wiem.

– Tak, ale jeśli naprawdę chce pan wylizać dziewczynę i zależy panu, żeby jej się podobało, nawet jeśli nie podoba się to panu, to trzeba się zmusić! A jak nie, to już lepiej wysmarować się lubrykantem i od razu przejść do tematu. Mam wrażenie, że to pana brzydzi, że nie jest to przyjemna sytuacja. Ja w sumie mam to gdzieś, ale nie uważam, że są to dobrze wydane pieniądze.

– Jasne.

– Dobrze rozumiem, że nie ma pan ochoty robić tego z dziewczyną pracującą w burdelu.

– Jasne.

– Ale niczego się pan nie nauczy, nie praktykując.

– Tak, wiadomo.

– Cipka, do jasnej cholery, nienawidzi braku apetytu. Powinno się czuć pana uniesienie, a jeśli nie, to niech pan udaje, ale proszę robić to dobrze. Bo teraz, przykro mi to mówić, ale zasypiam.

– Aha. Ale przecież łechtaczka…

– Tak, łechtaczka. Dobrze jest znać koncept, to się panu chwali. Ale ja nic nie czuję, gdy pracuje pan językiem tak, jakby nie chciał się pan ubrudzić. Jakby… o właśnie! Jest dokładnie tak, jakbym chwyciła pana w dwa palce i ślamazarnie miętosiła – wyjaśniłam, podpierając słowa odpowiednim gestem.

– Tak.

– Powie mi pan, że po godzinie może udałoby mi się doprowadzić pana do wytrysku. Ale to nie będą żadne fajerwerki. Będzie to tak zwane męczenie miękkiej fai. – Coś mi mówiło, że to pojęcie nie było ci nieznane. – Być może dla mężczyzn nie jest to aż tak przykre. Ale dziewczyna, mój drogi panie, potrzebuje czuć pańską chęć. A to objawia się w wielu drobnych gestach, na przykład ręki, która nie robi nic: niech pan ją na mnie położy. Albo na sobie. Gdzie pan chce, byle tylko czuł pan, że lubi pan to, co pan robi.

– Dobrze.

– Czy mówię zrozumiale, czy może brzmi to jak chińszczyzna?

– Nie. Rozumiem.

– A gdy mnie pan liże, do cholery… Niech pan użyje też brody, całej twarzy, niech się pan zachowuje jak zwierzę, na pewno drzemie w panu jakiś zwierzak.

– Bez wątpienia.

– No to już, niech pan liże, gryzie, ssie, wącha, niech pan puści wodze fantazji. Żadna inicjatywa nie jest zła.

Twoja mina wyrażała taki brak zrozumienia, że zrobiło mi się ciebie trochę żal.

– Mówię to, żeby panu pomóc, wie pan? Poza tym nie należy zmuszać się do czegoś, na co się nie ma ochoty, tylko po to, by sprawić komuś przyjemność.

Mruknąłeś coś.

– Cały czas trzeba mieć w głowie myśl o entuzjazmie, dobrze? Właśnie to jest podniecające.

Właśnie wtedy, dokładnie w tamtym momencie, objawiło mi się rozwiązanie w całej swej jaskrawości.

– Weźmy na przykład mnie. Mogę pana zapewnić, że gdybym teraz zaczęła robić to samo, tak z marszu, nie odniósłby pan wrażenia, że nie mam na to ochoty. Mam pokazać?

– Tak. Dobrze.

Oczywiście niczego nie zrozumiałeś, bo doszedłeś w całkowitym bezruchu, bez słowa, bez dreszczu, który wstrząsa nawet psami, kopulującymi na ulicy – zbyt cywilizowany, by pozwolić sobie na jęki, a niewystarczająco, by z kochania uczynić sztukę. Utknąłeś, biedaku, między bestią a urzędniczyną.

– Widzi pan – podjęłam temat, wkładając majtki – na tym polega cały problem. Niech pan nie szuka dalej.

– Czego?

– Tego.

– Ale ja nic nie zrobiłem.

– Właśnie. Nic pan nie zrobił, jakby był pan martwy. Miał pan wytrysk, ale dowiedziałam się o tym tylko dlatego, że prezerwatywa zrobiła się ciepła.

– Myślę, że nie jestem człowiekiem zbyt wylewnym.

– Tak. Zgoda… ale przydałoby się trochę wysiłku, stary. I mówi to panu profesjonalistka.

Patrzyłam w milczeniu, jak się ubierasz, zdjęta litością na widok twoich smutnych slipów, anachronicznego podkoszulka, sposobu, w jaki wkładasz skarpetki i całą resztę – oferując mi obraz, którego sam Houellebecq, mistrz odrazy, nie chciałby namalować. Wyobrażałam sobie, jak każdego ranka robisz to samo w swoim domu w Beauce, pozbawiony spojrzenia kobiety, dla której chciałoby ci się wło-

żyć koszulę do spodni – tak samotny i zrezygnowany, że wyjątkowa obecność dziewczyny nie skłoniła cię, by wsuwając stopy w nogawki, odwrócić się do niej przodem i ukryć nieładny tłuszcz na pośladkach. Wiedziałam już, dlaczego Dorothée wysłała cię do mnie – uważała, że rodaczka zrozumie cię lepiej niż ona. Ale by cię zrozumieć, nie trzeba było rozmawiać, twój przypadek był uniwersalny; jedną rzecz, którą Francuzka rozumiała szybciej niż Niemka, Rosjanka albo Rumunka, stanowił fakt, że pozbawiając cię burdelu w twoim własnym kraju, pozbawiono cię życia erotycznego. Gdyby prostytucja była legalna i zinstytucjonalizowana, gdyby jej nie zdelegalizowano, w wieku siedemnastu lat poszedłbyś, jak wszyscy twoi kumple, przeżyć pierwszy pocałunek i całą resztę z profesjonalistką. Wtedy byłbyś jeszcze na tyle chłonny, że zapamiętałbyś podstawy pożądania. Zapłaciłbyś jakiejś młódce, w której byś się zakochał, tak jak to bywa, gdy się ma siedemnaście lat, i ta miłość wzbudziłaby w tobie ochotę, by zrozumieć; albo jakieś starej, trochę szorstkiej, która by cię sztorcowała: „No, no, kochaniutki, jak tak dalej pójdzie, nigdy nie będziesz robił tego za darmo, wierz mi, bo mam doświadczenie".

Czy niemoralny był mój żal, że doświadczeń seksualnych nie zbierałeś dzięki kurwom, lecz bzykając pijane dziewczyny, które oddawały ci się przez pomyłkę pod koniec studenckiej imprezy? Czego można życzyć mężczyznom brzydkim i niemiłym, zamkniętym w sobie i przesiąkniętym pogardą wobec kobiet, jeśli nie uprzejmości i uśmiechu rezydentek domów rozkoszy? Byłeś antypatyczny i wynikało to z długich lat nieśmiałości, odrzucenia, afrontów, okresu dojrzewania, przez który przeszedłeś niewidoczny dla dziewczyn – jeszcze jeden facet z rosnącej hordy tych, którzy pieprzyli się tylko za cenę nadludzkich wysiłków, którzy walczyli o najmizerniejszy uśmiech i w wieku trzydziestu pięciu lat przestawali już nawet pró-

bować. Niezdarny i pełen dobrej woli dzieciak usechł w ciele zdziadziałego adwokata.

Gdy kończyłeś się ubierać i trochę udobruchany prowadziłeś ze mną niemrawą rozmowę, niczym skrupulatny skarbnik spytałeś mnie, ile w Paryżu brałam za godzinę.

– Pięćset euro – odparłam skromnie, a ty zrobiłeś wielkie oczy, po czym wydałeś z siebie pełen niedowierzania gulgot.

– Och… oooo…

– Co?

– To zdzierstwo!

Nie ma dla was nadziei, co, francuskie chamy? Litujemy się nad waszą samotnością i niekompetencją, ale wy i tak zawsze znajdziecie sposób, by pokazać nam, jakimi jesteście wieprzami – można by przypuszczać, że tak jest zabawniej. Uśmiechnęłam się do ciebie. W moich oczach było tak wiele pogardy, że nie byłbyś w stanie jej przetrawić, przez chwilę miałam ochotę ci wyjaśnić, jak bezcenne są dla niektórych mężczyzn wybryki panienek z dobrych domów, które mają ochotę napędzić sobie stracha. Miałam ochotę ci wyjaśnić, jak mężczyźni tracą rozsądek, gdy im staje i pojawia się możliwość, by powierzyć swój wzwód perłowemu wnętrzu dziewczyny, która na ulicy nie podałaby im nawet ręki.

Miałam ochotę ci wyjaśnić, że choć zapłaciłeś niecałe sto euro, to właśnie ty padłeś ofiarą zdzierstwa. Z własnej winy. Gdybyś był uśmiechnięty i uprzejmy, ja też bym taka była. Prostaku. Nie potrafiłbyś odróżnić mokrego oka chcicy od silnika tłokowego.

Odchodząc, uścisnąłeś mi dłoń.

Come on, The Rolling Stones

Sierpień 2014 roku. Jestem w Domu już od sześciu miesięcy, a sumienie zawodowe ogranicza do zera moje życie towarzyskie i uczuciowe. Naładowana ciepłem, zgromadzonym podczas miesięcznego pobytu na południu, znajduję się w stanie przeczulicy, która nigdy nie wróży niczego dobrego. Chociaż haruję jak wół, klienci nie robią na mnie żadnego wrażenia. Gdy mam wolne, szukam wakacyjnych miłości, pasujących do rozleniwiającej pogody, lekkich porywów serca, będących uatrakcyjnieniem sjesty. Bez skutku. Sprowadziłam tę sentymentalną fantazję do ochoty na dobre bzykanko, takie z głową, takie z prawdziwą chcicą i ta chcica krystalizuje się w całości na jednym mężczyźnie. To trudniejsze, niż myślałam. I zastanawiam się ostrożnie, czy aby burdel mnie z czegoś nie leczy; podniecenie stało się dla mnie ważniejsze niż rozkosz.

Oto jestem z powrotem w Berlinie, zachwycona własną opalenizną i jasnymi włosami, i gorączkowo szukam kogoś, komu będę mogła je pokazać, delektując się tą obietnicą jak wyśmienitą potrawą. Pozbawiony gustu los podsuwa mi esemesa od Marka. Pewnie spędził lato, rozpaczając nad pustotą własnej egzystencji, i poczuł lekkie poruszenie, widząc moje imię na swojej liście kontaktów. Obietnica odnowy dla tego młodego, próżnującego ojca spoczywa w niewierności. A ja nie należę do kobiet, które nie zgodzą się na bycie symbolem.

Równiutko o piętnastej Mark i jego rower dzwonią do moich drzwi. Wyraźnie wzruszony, straszliwie onieśmielony, Mark wchodzi do mojego mieszkania, posprzątanego pobieżnie na tę okazję. Gdy idę w kierunku salonu, a Mark depcze mi po piętach, dociera do mnie, że absolutnie nie wiem, po co on tu przyjechał. Z trudem zbieram się po epickiej popijawie i siedząc przy stole naprzeciw niego, zastanawiam się, kiedy wróci do siebie, a ja znowu będę sama.

Nie jest mi dane zastanawiać się długo. Po dziesięciu minutach dychawicznych żarcików Mark szepcze, patrząc bardzo znacząco na moją sypialnię:

– Masz ochotę troszeczkę się zbliżyć?

Ani przez moment nie brałam pod uwagę tej opcji: przespania się z Markiem. A jeśli nawet, to po to, by poczuć, jak narasta we mnie niewiarygodna obojętność; nigdy choćby najmniejszej ochoty na seks, nawet sama ze sobą. Uparcie wpatruję się w paznokcie, robię to zawsze, gdy nie potrafię zamaskować pogardy w spojrzeniu. I mamroczę, zasłonięta włosami:

– Co masz na myśli, mówiąc „zbliżyć”? Jakoś na kanapie?

– Na przykład, to znaczy, jak chcesz – jąka się Mark, przyduszony własną zuchwałością.

Dzięki Bogu, mam kanapę, na której opadnie każde podniecenie. Prawdziwa ikeowska kanapa dla spłukanych studentów, z twardego drewna, lekko tylko zmiękczona wąskimi poduszkami. Każda para, która na niej siądzie, wygląda jak dwoje pacjentów terapeuty rodzinnego. To wszystko jest tak wymuszone, że pytam Marka:

– Co tak naprawdę tu robisz?

– Masz na myśli: w Berlinie?

– Nie. Mam na myśli „tutaj”. U mnie.

Mark wije się, czuje się niezręcznie. Powód jego obecności był oczywisty, zanim jeszcze zadałam mu to pytanie. I – o ile nie będzie

uczciwy, nie zachowa się jak dorosły człowiek i w ten sposób również mnie potraktuje – wszystko, co od tej pory wyjdzie z jego ust, będzie jednym wielkim tchórzostwem. Słucham zniesmaczona, jak ośmiesza nas oboje, i nabieram pewności, że nie ma już żadnego sposobu, by grzecznie wywalić go za drzwi.

– Po prostu chciałem, żebyśmy pogadali, poznali się lepiej, porozmawiali o książkach, o muzyce, uprawiali seks, opowiadali sobie o nawzajem o swoim życiu…

Trudno stwierdzić, czy myślał, że „uprawiali seks" zleje się z masą innych dziwacznych propozycji, ale ta ewentualność tylko pogarsza mój i tak już straszny humor. Ponieważ nigdy nie nauczyłam się, jak być nieprzyjemną, pozwalam mu zatapiać się w coraz gorszych replikach i rzucam cierpko:

– Porozmawiajmy o książkach, skoro po to tu jesteś.

Zapada ciężka cisza, którą Mark przerywa, jąkając się z zawstydzenia:

– Mogę cię pocałować?

W jego ogromnych oczach trzepocze hipoteza, że uda mu się mnie przekonać – co się stało z tą Justine, do diaska? Dlaczego w burdelu było tak łatwo, tak naturalnie, a tutaj – tak żmudnie? Nie odpowiadam. Jego wargi, które na krótko dotknęły moich, pozostawiają mnie równie obojętną co szturchnięcie łokciem przez współpasażera w metrze. Mam nadzieję, że to czuć. Więcej – mam nadzieję, że czuć moje rozdrażnienie.

– Zdajesz sobie sprawę, że właśnie w tej chwili ładujesz się w niezłe gówno?

– Jak to?

Tego rodzaju pytanie sprawia zazwyczaj, że żonaci mężczyźni zaczynają drżeć w posadach, i Mark jako pierwszy powinien zacząć zdradzać objawy lęku na samo wspomnienie o fatalnym losie, jaki

czeka niewiernych ojców rodzin. Ale on ma jedno w głowie, a to czyni go nieczułym na głos rozsądku (zaś fakt, że to ja jestem jego uosobieniem, bez wątpienia czyni ten rozsądek mało wiarygodnym).

– Masz żonę, dziecko i żadnej ochoty na romans. Dopóki widywałeś mnie w burdelu, było dobrze, utrzymywałeś to wszystko w pewnej strefie bezpieczeństwa. Ale tutaj, teraz, tracisz kontrolę.

– Tak, wiem.

Ledwo słucham żałosnego gaworzenia Marka, który wygląda trochę jak Monsieur, ale nie ma jego zapierającego dech w piersi tupetu i nie wmawia mi, że oto rodzi się między nami zakazany romans. Niewiele można wyciągnąć z tego gaworzenia, nie licząc nagiej prawdy, widocznej w drżeniu jego palców: biedny Mark ma ochotę się pierdolić. Po to tu jest. To oczywiście źle, ale w pełni zda sobie z tego sprawę dopiero, gdy wyrzuci z siebie ten nasienny balast, który odebrał mu zdrowy rozsądek.

– Ja nie chcę żadnych romansów w czasie, gdy piszę książkę i pracuję w Domu. Już próbowałam, ale to się nie sprawdza. Nie mogę pozwolić sobie na ten luksus i szczerze mówiąc, nie mam na to ochoty. Jestem zbyt zajęta. Romans nie leży ani w moim, ani w twoim interesie.

Mark bełkocze, że wie, on wie. Tysiąc razy przerabiał ten problem w głowie i oczywiście jest to zły pomysł, ale cóż:

– Tak bardzo mnie pociągasz – wzdycha, kładąc rękę na moim udzie, na moim zimnym i napiętym udzie, przy którym nawet obojętne podłokietniki kanapy wyglądają zmysłowo. – Nic na to nie poradzę, to silniejsze ode mnie.

Jasne, to bardzo kuszące pieprzyć się z kurwą i nie wydać ani centa. Nie mówię, że nie. Zrywam się na równe nogi, zapalam papierosa i nie wydaję z siebie żadnego dźwięku. Mark wykręca palce i wzdycha.

– Nie wiem, nie umiem wyrzucić cię z głowy.

Wstaje i błaga:

– Waliłem konia, myśląc o tobie.

To dziwne, jak bardzo nic mi nie robi słuchanie o tym. Nie wzbudza to we mnie niczego.

– Jeśli chcesz wiedzieć, w robocie mam dziesięć razy więcej seksu, niż potrzebuję. Zazwyczaj jest to seks gówniany, ale mimo wszystko seks. Zatem nie bardzo wiem, co mogę zyskać w tej sprawie.

Mark też nie bardzo wie, zresztą skąd miałby wiedzieć? Już i tak musi mu być trudno wyznać, dlaczego tu jest tak naprawdę, bo ochota na rozmowę gdzieś mu się ulotniła. I wpatruje się we mnie w milczeniu, tak bardzo wyczekująco, że zaczynają mi puszczać nerwy.

– Skoro już do mnie przyszedłeś, mógłbyś przynajmniej mieć tę przyzwoitość…

– Przyzwoitość?

– I powiedzieć mi wprost, że interesuje cię tylko dupa. Nic więcej.

Bo nie jestem aż taka głupia, frajerze, nawet jeśli moja naiwność aż prosiła się o lanie – a tak naprawdę aż prosiła się o to, by mnie przelecieć. Czy naprawdę muszę być idiotką, by wyobrażać sobie, że będziemy rozmawiać?

Mark brnie w jakiś porypany słowotok, w którym jedynym uczciwym niuansem jest ostateczne wyznanie, że brakuje mu właśnie „fizyczności", innymi słowy, tej gorącej puszeczki między dziewczęcymi nogami, do której mógłby złożyć własne lęki i pretensje do swojej nieskalanej żony, matki jego dziecka, brakuje mu ciepłej i wilgotnej przystani, do której mógłby zawinąć, by czerpać z niej siły do bycia dobrym i kochającym, i skąd wracałby wieczorami, zdjęty wyrzutami sumienia.

– Tak. Tak właśnie myślałam. Chodzi o dupę.

I choć wykazuję zapał martwej kozy, Mark nadal siedzi, chwyta mnie za ręce i bełkocze jakieś bzdury, przetykane błagalnymi kawałkami. To byłby dobry moment, żeby z hukiem wyrzucić go za drzwi. Ale jedyne słowa, na jakie się zdobywam, są niezrozumiałe:

– Zatem tylko tego chcesz. Dupy i nic więcej. Bez myślenia, bez niczego. *Brainless sex.*

A ponieważ Mark wydaje z siebie jedynie mizerny chichot, charakterystyczny dla bojaźliwych mężczyzn, niepotrafiących powiedzieć „tak", ruszam, nie odwracając się, w kierunku otwartej sypialni, wprost do łóżka, które – jak sądzę – nie było świadkiem ani jednego aktu miłosnego z prawdziwego zdarzenia.

– No to chodź.

Nic już nie zatrzymuje Marka na skraju kanapy, nawet mój lodowaty głos, jeszcze bardziej profesjonalny niż zwykle. Słyszę, że biegnie jak pies, od sufitu odbija się echo jego kroków. I gdy przylega do moich pleców, uświadamiam sobie w przypływie złośliwej satysfakcji, że nie mam prezerwatyw. I mogę założyć się o całe swoje królestwo, że on też ich nie ma.

– Masz, co trzeba?

Tak jak przewidywałam, Mark zastyga, wtulony we mnie.

– Hmmm… nie.

Odwracam się.

– Wytłumacz mi, w jaki sposób chcesz zdradzić żonę bez prezerwatywy.

Znów ten chichot. Tak, to głupie z jego strony. Z mojej strony brak gumek jest dość jasnym sygnałem: nie mam nikogo i najwyraźniej przywykłam już do tej myśli.

– To jak robimy?

– No… ja… ale ja…

„No… no, no…" Dupek.

– No to nic z tego.

– Może moglibyśmy tylko…

– Tylko co?

– Tylko się dotykać.

– Chcesz, żebym ci zwaliła?

– Na przykład. Nie wiem.

Unoszę brew. Mark otwiera usta, zamyka, otwiera jeszcze z dziesięć razy. Biedny Mark. Kilka minut temu rozmawialiśmy o jego dziecku, a on wygłosił smutną i jednoznaczną przemowę, starając się mnie przekonać, że ojcostwo to najlepsze, co mu się w życiu zdarzyło. Że ja tego nie mogę zrozumieć, ale że to wszystko zmienia. Nic ani nikt nie dał mu tyle, nawet gdy się starał, ile to niemowlę, które po prostu było i leżało w łóżeczku. Został ojcem i nagle wszystko inne przestało mieć znaczenie, ta mała, całkowicie zależna od niego istotka sprawiła, że cała reszta straciła ważność, zarówno obowiązki, jak i rozrywki, z których, jak sądził, nigdy nie będzie potrafił zrezygnować. Bo nie potrafisz, Mark – może to jest druga strona tego cudownego ojcowskiego medalu. Lądujesz w mieszkaniu jakiejś dziewczyny i żebrzesz, by zacisnęła pięć palców na twoim kutasie. Znamy to, ten cud ojcostwa, bez którego perspektywa robótek ręcznych wywołałaby szyderczy śmiech każdego faceta. Jeszcze nie tak dawno Mark był młodym bostończykiem, szprycującym się po kokardę niedozwolonymi substancjami i pieprzącym na prawo i lewo panny, w których mógł się zakochiwać. A potem urodziło się dziecko i nagle robótki ręczne stały się wybornym daniem. Nic tak nie budzi w czterdziestoletnim mężczyźnie drzemiącego w nim mało wybrednego nastolatka jak właśnie narodziny dziecka. Marzyłabym o młodym ojcu, który najpierw przeleciałby mnie jak recydywista tuż po wyjściu z paki, a później powiedziałby mi, że od narodzin dziecka jego małżeństwo to jedno wielkie rumowisko i że nie należy wierzyć

w bzdury, które powtarza się innym, by zachować twarz: ojcostwo jest cudowne, ale ma też swoją gównianą stronę, i choć kocha swojego dzieciaka najbardziej na świecie, to już nie kocha się z żoną i nic nie jest w stanie zastąpić mu tej miłości. Czyż nie byłoby ci potem lżej? Czy nie byłoby lżej nam obojgu? Zresztą jaka choć trochę rozgarnięta dziewczyna łyknęłaby wywody o ojcostwie, wygłaszane przez Marka, któremu bolesna erekcja deformuje spodnie?

Bezbrzeżnie znużona, postanawiam dociągnąć do końca ten koszmar na jawie, pcham Marka na łóżko, nie napotykając oporu z jego strony. Opuszczam mu dżinsy do kostek. I w milczeniu opadam, obdarzając go mechanicznym obciąganiem, odartym z wszelkich emocji, jednak niebezpiecznie skutecznym, bo po niecałych dwóch minutach Mark zaczyna krzyczeć, że dochodzi. Początkowo nie mogę w to uwierzyć, wiem, jaki wkładam w to zapał; ale on mówi prawdę. Od jak dawna ten biedny chłopak się nie ruchał? Oto pytanie, które stawia tę scenę w wyjątkowo ponurym świetle: był to naprawdę pilny przypadek, przy pierwszym kichnięciu mimowolnie spuściłby się w spodnie.

Głaszczę go lekko po udzie, na skraju lekko tylko pogniecionych dżinsów. Mark wstaje; wkładając koszulę do spodni, wbija we mnie wielkie sarnie oczy.

– Było cudownie. Naprawdę.

Parskam śmiechem. Nigdy w życiu nie zrobiłam smutniejszego loda – chociaż nie, „smutny" to nie jest odpowiednie słowo, robiłam już smutne lody, które nie miały nic wspólnego z tym wściekłym, pełnym zaangażowania tarciem. Robiłam już lody obleśne – ale to też nie to. Nie, słowo, którego szukam, jest poważniejsze, ciągnie za sobą ciężkie, cierpkie rozczarowanie. A jednak, patrząc ma Marka, widzę, że wpuściłam w niego światło. Jak we wszystkich facetów, którzy przychodzą do Domu, ale w Domu uprawiam swój zawód.

Właśnie, to, co zrobiłam, było dziwkarskim obciągankiem. Takim, które udałoby się w samochodzie, zaparkowanym w ciemnej alejce Lasku Bulońskiego, szybkim, skutecznym, z obowiązkowym błotem i żwirem na kolanach – tylko że zrobiłam to w swoim mieszkaniu!

Pokazuję Markowi łazienkę, prawdopodobnie po to, by mógł umyć sobie pałę tak, jak go uczyłam, wodą, ale nie mydłem, palancie. Skoro żona nie uprawia z nim seksu, to jak mogłaby zauważyć, że jego kutasa czuć spermą? Oto pytanie, które bardzo chciałabym zadać wszystkim żonatym mężczyznom, których burdel stawia na mojej drodze.

Stoję oparta o regał z książkami, z papierosem w ustach, przypuszczam, że Mark mimowolnie rejestruje w łazience przejawy mnie – mydła, kosmetyki do makijażu, kolor ręczników, żałosne plakaty, zrywane na ulicach przez Madeleine, wszystkie te szczególiki podsuwające mu niezdarne opowieści o prawdziwej Justine i fałszywej Emmie, która jest prawdziwą dziewczyną z prawdziwym życiem, i sądzę, że nawet bez tego wszystkiego czuje się wystarczająco niezręcznie.

Z nudów zaczynam oglądać grzbiety własnych książek, gdy Mark wraca, przyskakuje do mnie i zaczynamy brnąć w bezcelową rozmowę. Nie wie, jak powiedzieć, że wychodzi, a ja oświadczam neutralnym głosem, że muszę iść na zakupy. Już drugi raz ratuję nam dzisiaj życie. Wieki całe nie patrzyłam mu w oczy i Mark pyta nagle:

– Wszystko w porządku? Dobrze się czujesz?

Bo może zaraz się rozpłaczę, kto wie? Kto wie, czy nie zacznę szlochać i tarzać się po ziemi, biorąc Marka na zakładnika, by opowiedzieć mu, że jestem tylko biedną dziewczyną, która daje się namówić żonatym facetom, by obciągnęła im po raz pierwszy od narodzin potomka? Gdybym chciała mu zrobić na złość, miałam już przepis w głowie.

– Wszystko w porządku.

Nie jestem w stanie odtworzyć rozmowy, która nastąpiła później, bo Mark szybko wypowiada coś tak potwornego, że przysłania tym wszystkie inne gafy:

– Słuchaj, nie wiem, czy powinienem o to pytać…

Od razu czuję, że coś tu śmierdzi.

– Czy ja powinienem ci coś dać?

Jestem oburzona, jednak czuję pewną satysfakcję, patrząc, jak się pogrąża.

– Co mi dać? Pieniądze?

– Hmm, tak, nie wiem…

Odwracam wzrok, a Mark natychmiast rozpływa się w żałosnych przeprosinach. I tak naprawdę nie mogę go potępiać. Byłam tak lodowata, tak mechaniczna, że nie widzi innego wyjścia, jak tylko mi zapłacić. To było dziwkarskie obciąganko – zatem muszę być dziwką.

On nie może tego zauważyć, ale dziwka nigdy by się tak nie zachowała. Dziwka nie ma czasu na takie pierdoły. W ten sposób zachowują się tylko desperatki. Propozycja Marka tłucze mi się po głowie jeszcze przez dwa, trzy dni, tych kilka niezręcznych słów, by odkupić winę pieniędzmi. Jest naprawdę niezła; po sześciu miesiącach w burdelu, po tym, jak świetnie radziłam sobie w sytuacjach, które doprowadziłyby do łez mnóstwo innych dziewczyn, właśnie nadszedł moment, w którym czuję się jak dziwka. Przede wszystkim jednak oto nadszedł moment, w którym ten stan rzeczy mnie przygniata. Najwyraźniej i ja mam granice – to fascynujące. I dotarłam do nich sama! Mark nie ma tu nic do rzeczy, doprowadziłam się do tego sama, a z naszego wspólnego braku godności narodziła się ta wzorcowa scenka współczesnego *qui pro quo*, żałosna do bólu.

Gdy odprowadzam Marka do drzwi, on ryzykuje:

– Czy możemy uznać to za rodzaj… rozgrzewki? Przed kolejnym razem?

Fakt, że ten pomysł mógł w ogóle zakiełkować w jego głowie, wprawia mnie w potężną konsternację, ale będę miała czas, by poświęcić mu resztę popołudnia, leżąc na kanapie i paląc fajkę za fajką – sama.

– Wracaj bezpiecznie. – Uśmiecham się do niego, zamykając ciężkie drzwi kamienicy, a Mark macha do mnie, dopóki całkiem nie zniknę.

Podciąga się nawet do okna mojej sypialni, by po raz kolejny spytać, czy wszystko w porządku, a ponieważ dobrze widzi, że zastanawiam się nad ewentualnością przytrzaśnięcia mu palców okiennicami, odjeżdża na rowerze, bełkocząc kolejne pożegnanie.

I gdy spokojnie pedałuje w kierunku Mitte, gdzie mieszka wraz z piękną rodzinką, wyobrażam sobie, że fizyczna ulga ustępuje miejsca ziejącej pustce, odrazie wobec samego siebie i poczuciu winy, którego żaden prysznic, nawet taki z dużą ilością mydła, nie będzie w stanie zmyć. I by dodać sobie animuszu, leżąc w łóżku żony, Mark pomyśli, że w gruncie rzeczy nie ma się do czego przyznawać. To tak, jakby pojechał zwalić konia do Friedrichshain – kto mu niby zabroni? Myśl, że jego życie erotyczne sprowadza się teraz do tego, do plugawej pieszczoty z rąk pogubionej młodej dziewczyny, której zawsze będzie miał ochotę dać pieniądze, wprawi go w drżenie i nie pozwoli mu zasnąć – i to będzie sprawiedliwe. Jest to, w każdym razie, dowód, że ojcostwo ma swoją cenę.

Is She Weird, The Pixies

Nie bardzo wiem, co robić z okruchami codzienności w burdelu. Nie bardzo wiem, do jakiej je włączyć historii, jeśli nie do swojej. Musi być w życiu pisarza taki moment, w którym chciałby umieć rysować. Te obrazy miałyby większy ciężar gatunkowy, naniesione ot tak, na białą kartkę, precyzyjnymi, ulotnymi ruchami piórek i pędzli. W życiu ludzkim bywają minuty tak lekkie, olśnienia tak krótkie, że słowa mogłyby tylko je obciążyć. Czasem trzeba by być Reiserem, Manarą, to byłoby idealne.

Moja głowa pełna jest takich cacuszek; i nie mogę opowiadać o nich inaczej niż właśnie tak, chaotycznie nakładając je na siebie z nadzieją, że ten obraz odda ich urodę. Próżny trud.

Jest październikowe popołudnie, przyszłam za wcześnie i – co chętnie robię, odkąd mam pracę – idę na kawę do pobliskiego Włocha. Przynajmniej taki mam plan, który jednak zmieniam nagle, widząc Birgit siedzącą w ogródku, na moim ulubionym miejscu.

Rozmawia przez telefon; przemykam jak lis do piekarni obok, gdzie podają mi jakąś rozwodnioną lurę na kulawym stoliku. Bazgrzę jakieś bzdury na marginesach książki, poruszona obecnością koleżanki w cywilu, siedzącej nie tak przecież daleko i pijącej kawę po fajrancie. Słyszę między podmuchami jesiennego wiatru jej berliński akcent, tak hermetyczny i tak znajomy. Patrzy w moją stronę; tchórzliwie biorę telefon i udaję rozmowę po francusku, którą przeciągam, dopóki nie wypalę papierosa. Birgit na pewno mnie rozpo-

znała, a ja za nic w świecie nie chcę, by pomyślała, że jej unikam. Powtarzam w duchu świetny argument, dlaczego dziewczyny z burdelu nie mają ochoty, by je rozpoznano; dwie ładne dziewczyny razem, kilka kroków od Domu, to już trochę za wiele. Ale bądźmy szczerzy, chodzi przede wszystkim o to, że nie mam ochoty gadać – i dobrze wiem, że Birgit też to wie. Pracuje tu od dziesięciu lat.

Nie zmienia to faktu, że czuję się głupio. I mijając ją, rzucam jej dyskretne powitanie, stłumione zwojami szalika.

– O, hej, Justine. – Birgit się uśmiecha; widziała mnie od początku, teraz jestem tego pewna, i nie zamierza mieć mi tego za złe.

Wymieniamy banalne zdania, „Jak ci minął dyżur, o której skończyłaś?". Jest środa, jej córka została dziś w domu. Birgit czeka na jedzenie, które zamówiła dla nich obu.

Dom byłby trochę smutny bez Birgit, bez jej śmiechu i porad wtajemniczonej pensjonariuszki, która znała to miejsce, gdy jeszcze składało się z czterech pokoi. Niewiele jest w stanie zadziwić tę kobietę i owa zaleta jest pocieszająca dla nowych. To Birgit, która nieuchronnie wyprzedza nas w kolejce do prezentacji, zgina pod kątem prostym swoje metr osiemdziesiąt i patrzy przez dziurkę od klucza, kto siedzi w pokoju. I często zawraca, oznajmiając: „Nie idę", i po królewsku rozsiada się na kanapie w salonie. „Dlaczego?" – zastanawia się drżące stadko, pewne, że może polegać na Birgit, żeby oddzielić zwyrodnialców od fajnych chłopów, prostych od skomplikowanych.

„To nie mój typ" – odpowiada skromnie Birgit, pogrążona już w lekturze niemieckiego wydania „Marie Claire". „Nie mój typ" – oto słowa, których nie spodziewalibyśmy się usłyszeć z ust kurwy, zwłaszcza takiej, która musi utrzymać czternastoletnią córkę – ale Birgit kieruje się swoimi zasadami. Pieniądze nie mają z tym nic wspólnego. Birgit nigdy nie rzuca się do prezentacji, zresztą ma sta-

łych klientów – takich jak Berthold – którzy spędzają z nią całe poranki w Złocistym, jej ulubionym pokoju. I to jej w zupełności wystarczy, bo widać od razu, że nie jest przekupna, że przychodzi tu po odrobinę dodatkowego komfortu, pięć razy w tygodniu od dziesiątej do szesnastej, deszcz, grad czy jeźdźcy Apokalipsy. A jeśli zdarza się jej bezczynność, Birgit, w przeciwieństwie do innych dziewczyn, nie narzeka, zawsze ma coś do zrobienia, papierkową robotę, pedikiur, fryzurę albo ploteczki z koleżankami – do których generalnie nie należę, bo mój niemiecki, choć coraz lepszy, czyni mnie głuchą na subtelności ich rozmów. Nie rozumiem, ale słucham. I słowa, które znam, połączone z tymi, które zgaduję, mówią mi, że Birgit matkuje temu stadku. Można powiedzieć jej wszystko, nie powtórzy nikomu. W pracy daje z siebie wszystko, a gdy wychodzi, tutejsze życie ustępuje miejsca innemu, przez które idzie z tym samym imieniem. Wszystko w jej głowie jest doskonale od siebie oddzielone, nie licząc być może momentu tuż po dyżurze, gdy wypuszczone na świeże powietrze segregujemy nasze myśli; wtedy wszystko jeszcze jest trochę płynne i ciepławe – wszystko to jeszcze jest żywe.

I dokładnie w tym momencie ją przyłapałam, bo wygląda na smutną. Widać to pod jej uśmiechem, jest jak matka, która ociera łzy, zanim dzieci wrócą ze szkoły. I jeśli czuję potrzebę, by udawać, że nic nie zauważyłam, to dlatego, że nie chcę otwierać puszki Pandory, bo to pociągnęłoby za sobą wiele konsekwencji. I jak miałabym zareagować na to, co ją dręczy? Jest w niej tak wiele przemilczeń, kobiecych i matczynych przemilczeń, które są mi obce i z którymi nie potrafię sobie radzić, jestem na to zbyt tchórzliwa. Siedzi w niej dziesięć lat nauki, jak zachować zimną krew i czarny humor, by chronić się przed bólem, dziesięć lat usprawiedliwiania swoich ciągłych nieobecności, dziesięć lat rezygnacji, której nienawidzimy nazywać po imieniu. Dziesięć lat mówienia sobie, że w sumie są gorsze rzeczy

niż prostytucja, na przykład śmierć głodowa albo śmierć głodowa z dzieckiem u boku, albo comiesięczna groźba eksmisji, albo bezsenność, żebranie u znajomych, rodziców, znoszenie niezbędnego minimum, by nie umrzeć z nudów, poczucie, że jedno po drugim porzucamy młodzieńcze marzenia, z niskich, lecz bezlitosnych pobudek materialnych. Można to wszystko przemilczeć, ale zawsze znajdzie się moment, w którym ta fala rozpaczy zalewa każdą kurwę, nawet mnie, choć wykręcam się pisaniem książki, zbieraniem doświadczeń, choć mam dwadzieścia pięć lat i całe życie przed sobą – w burdelu albo gdzie indziej.

I to bywa czasem trudne do zniesienia. Do tego stopnia, że egoistycznie nie chcę wyobrażać sobie udręk czterdziestosześcioletniej prostytutki ani ciężaru tego pytania bez odpowiedzi: co za dwa lata, za pięć? Co zrobię? Ja zdecyduję czy może upływ czasu? Zawsze przychodzi wiek, w którym chęć albo rezygnacja nie mają już nic do powiedzenia: już nikt nie chce cię przelecieć. Przychodzi moment, w którym nawet prostytucja staje się niedostępnym luksusem.

„*C'est la vie*" – powiedziałaby Birgit w moim języku.

– Muszę lecieć do roboty – jąkam się i robię krok w tył.

– Leć, piękna, sio, sio! – odpowiada Birgit, robiąc gest, jakby mnie odganiała, z tym swoim smutnym i – mój Boże! – jakże zmęczonym uśmiechem, z takim zaśpiewem, jakby wyprawiała mnie do liceum, a przecież wiadomo, że idę oddawać się facetom, których nigdy przedtem nie widziałam. Mina Birgit mówi: „Jak trzeba, to trzeba, taką mamy pracę, i kto powie, że jest to praca nieuczciwa?". *C'est la vie!*

Birgit w czarnym płaszczu, z blond końskim ogonem, ołowiane niebo i wiatr, który gasił mi wszystkie papierosy, dołująca końcówka dnia. Zapomniałam wszystko, co działo się wcześniej i później – i nie

wiem też, co powiedzieć o tej scenie. A jednak kryje się w niej ważne przesłanie. Mam niejasne przeczucie, że jeśli ja nie powiem o tych kobietach, to nikt inny tego nie zrobi. Nikt nie pójdzie sprawdzić, jakie kobiety kryją się w dziwkach. A należy ich wysłuchać. W tej pustej skorupie, którą jest dziwka, w kilku metrach kwadratowych wynajętej skóry, od której nikt nie wymaga, by miała jakiś sens, kryje się prawda, bardziej jaskrawa niż w jakiejkolwiek kobiecie, której nie można kupić. Jest jakaś prawda w dziwce, w pełnionej przez nią funkcji, w bezcelowej próbie przekształcenia istoty ludzkiej w towar, zawierający podstawowe parametry człowieczeństwa.

I niech wybaczy mi Calaferte, że zrozumiałam go źle, czytając jego książki w wieku piętnastu lat; pisanie o kurwach nie jest kaprysem ani wymysłem, jest koniecznością. To początek wszystkiego. Trzeba pisać o kurwach, żeby móc opowiadać o kobietach albo o miłości, o życiu albo o przetrwaniu.

Au cœur de la nuit, Téléphone

– Wiesz, że w Domu jest nowa Francuzka?

Egon zapina pasek, rzucając mi roziskrzone spojrzenie spod ładnych brwi. Przekroczyliśmy już wyznaczony czas i mimowolnie daję mu to do zrozumienia; lecz trzeba przyznać, że jeśli chciał wzbudzić moją ciekawość, by ukraść cenne minuty, to mu się udało.

– Jak to?

– Widziałem w internecie. Dołączyła chyba kilka dni temu. Znasz ją?

– Nie znam wszystkich Francuzek, wiesz?

Ale interesuje mnie to, więc siadam na skraju łóżka.

– Widziałeś ją już?

– Nie. Dobrze wiesz, że jestem wierny.

– To miłe, przyjacielu. Ale jak długo oprzesz się francuskiej pokusie?

Egon na pewno dostrzegł ironię i zazdrość, nieprawdopodobną zazdrość, w moim uniesieniu brwi, bo parsknął:

– Czyżbyś obawiała się o swoje imperium?

Słowo „imperium" poprawia mi humor, więc przybieram pozę odaliski rozłożonej na poduszkach, z włosami spływającymi na ramiona:

– Myślisz, że mam powody do obaw?

– Nie masz.

– Zwyciężając bez oporu, triumfujemy bez chwały.

Podsuwam Egonowi beznadziejne niemieckie, a potem angielskie tłumaczenie tej szlachetnej sentencji, która mówi więcej, niżbym chciała, o trudnym do określenia niepokoju, który mnie ogarnął – bo po raz pierwszy wspominam o wojnie w burdelu.

Dziewczyny rozmawiają tylko o tym, o nowej Francuzce. Zastanawiają się, podobnie jak ja, czy przybycie konkurentki oznacza koniec mojego niepodzielnego panowania. I choć staram się zachować spokój, a raczej piękną obojętność władczyni, pierwszym, co robię, gdy wchodzę do salonu, jest zerkanie na notkę przypiętą do listy dziewczyn i opisującą tę nową jako „wysoką, zmysłową, długowłosą brunetkę o czarnych oczach i dużych piersiach (95D)". Oczywiście Pauline jest oblegana.

Dwa dni później po przyjściu do pracy czuję zapach, którego nie znam. Podążam za nim gorączkowo aż do łazienki, i ona tam jest, Pauline, tak inna ode mnie, jak tylko to możliwe, wysoka, posągowa, paryski szyk, który nie potrzebuje słów. Podchodzę jak pies obwąchujący innego przedstawiciela swojego gatunku.

– Pauline?

– Justine?

Do czego to podobne? Rozlegają się dwa francuskie głosy i nagle objawia się całe terytorium, wśród innych dziewczyn wyrasta nasz własny buduar. Przyjaźń wynikająca z faktu, że obie jesteśmy Francuzkami, wyobrażam sobie, że ten argument nie ma żadnej siły w normalnym życiu. Ale w berlińskim burdelu jest to dość wiarygodne spoiwo. Do tego stopnia, że nigdy nie zastanawiałam się, czy poza tym ja i Pauline mamy w ogóle ze sobą coś wspólnego. Być może nie mamy. W nieodparty sposób przyciągnął mnie po prostu język, którym mówiła, gdy zdawałam się już pogodzona z tym, że nigdy nie zrozumiem do końca ludzi rozmawiających dookoła. Oczywiście ta mgła, która – mimo wszystko – rozwiewa się każdego dnia nieco bar-

dziej, ma swój niezaprzeczalny urok. Jednak gdy rodak coś mówi, a my to słyszymy, mózg nagle się budzi, i to gwałtownie!

Z dnia, w którym poznałam Pauline, nie pamiętam nic więcej poza tą ekscytacją. Zawsze, gdy wychodziłam z pokoju, szukałam jej we wspólnej sali albo w kuchni – mijałyśmy się tylko w locie, i przez to ciągle przerywałam lekturę *Germinala*. Łaziłam za nią do łazienki, zachwycona, gnana palącą potrzebą, by ją poznać, nie mając innego wytłumaczenia niż radość płynąca z rozmów po francusku. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności czytałam właśnie w *Germinalu* fragment o biednym koniu Trompette, którego zwożono pod ziemię; na dole inny koń, nestor Bataille, czuje jego zapach i doprowadza go to do szaleństwa, jego chrapy bezustannie drżą. Wdycha zapach pól, wiatru i słońca, które przywiózł ze sobą z góry towarzysz niedoli, i to nieuchwytne wspomnienie budzi w nim czułość wobec nowego, przestraszonego przybysza. Gdy tylko ten dociera pod ziemię, Bataille obwąchuje go, jakby chciał podtrzymać go na duchu. Nie muszę chyba dodawać, że paralela, choć ładna, kończy się w tym miejscu, a to dlatego, że nie ma u Zoli ani jednego czułego ustępu, który prędzej czy później nie zostaje opłacony tragedią: dwa konie, zdane na ten sam zgubny los, na koniec, o ile dobrze pamiętam, topią się jak szczury. To mój dramatyczny temperament każe mi porównywać nas – Pauline i mnie – do dwóch końskich męczenników w fikcyjnej kopalni. W tej metaforze mieści się jedynie poczucie, że gdy pojawia się ktoś podobny do nas, mówiący tym samym językiem, wywołuje w nas nieodpartą potrzebę dodania mu otuchy, nawet bezużytecznej, wytłumaczenia mu wszystkiego jeszcze raz, tak by poczuł się jak u siebie. Pauline pachniała nowością; a ja zawsze, gdy widziałam jakąś nową, myślałam o sobie w Le Manège. Również dlatego Pauline tak nieodparcie mnie przyciągała. Wybrała najprostszą opcję, otworzyła pierwsze drzwi podsunięte jej przez wyszukiwarkę Google, nie

męczyła się, by znaleźć coś z większą klasą, większym nadęciem, coś droższego. Nie wiedziała, czego uniknęła, chodziła sobie po Domu zadowolona, nie zdając sobie sprawy, jaki raj na ziemi znalazła przez przypadek. Dobrze się tutaj czuła i nic w tym dziwnego, było tak, jak obiecywała strona w sieci; przypuszczam, że leczyłam za jej pośrednictwem własne koszmary, nawroty lęków z Le Manège, gdy nic nie rozumiałam, gdy nikt ze mną nie rozmawiał i gdy bez wątpienia tak było lepiej.

Nie wszystkie miały takie szczęście jak Pauline i nie stawiały pierwszych kroków w zawodzie dziwki w tak przyjaznym otoczeniu. To właśnie w świetle nowo przybyłych nestorki Domu i ja też czujemy, że dobrze wybrałyśmy. To jest jak nagłe przebudzenie, kiedy widzimy, jak zadają mnóstwo pytań, nie śmiąc nawet nalać sobie kawy, podczas gdy my opychamy się herbatnikami, śmiejemy się z otwartą buzią i podciągamy sukienki pod brzuch. Pamiętam dziewczynę, która snuła się po wąskich korytarzach jak potępiona dusza, z telefonem w dłoni, z talią ściśniętą ciemnoróżową saszetką na pasku: ten atrybut jak żaden inny zdradza przejście z burdelu takiego jak Le Manège, gdzie nikt nigdy nie zostawiłby swoich rzeczy bez nadzoru. Gdy odezwałam się do niej, rzuciła mi spłoszone spojrzenie znad ekranu komórki. Podoba jej się tutaj? „Średnio. Za mało pieniędzy, za mało napiwków. Za mało klientów". Ze sposobu, w jaki unikała rozmowy, wnioskowałam, że nie nauczono jej spędzania czasu z koleżankami. Chyba że zaczynała karierę w jednym z tych burdeli, w których dziewczyny drepczą wokół baru w poszukiwaniu klientów, i być może cierpiała z powodu braku ruchu w Domu, w którym nikt nie przemieszcza się, gdy nie jest to konieczne.

Sądziłam, że uda się nam ją zmienić mimo wszystko. Podczas swojej zmiany Nadine, która miała trochę czasu przed kolejnym klientem, ubrała się, by iść po klementynki do warzywniaka tuż

obok. Zaproponowała nowej, że coś może jej kupić; ta zrobiła wielkie oczy i wypuszczając z rąk telefon, szepnęła, zerkając znacząco na gabinet *Hausdame*:

– To my możemy wychodzić?

Przykre wspomnienie z Le Manège, gdzie było to źle widziane. Nadine powstrzymała odruch przerażenia:

– Jak to, oczywiście, że możemy wychodzić, skarbie. Wszystkie jesteśmy tutaj wolne i niezależne.

Najwyraźniej jednak wolność nie kompensowała braku napiwków, które tak hojnie płacono gdzie indziej, a które tu są najczęściej wynikiem wzajemnej sympatii. Kilka dni później nikt już nie zobaczył tu tamtej nowej; po kilku kolejnych dniach nikt nie mógł przypomnieć sobie jej imienia.

Potrzeba czegoś więcej niż taka sama narodowość, żeby się z kimś zaprzyjaźnić. Uprawianie tego samego zawodu również nie wystarczy. To rozmowa – tak, rozmowa – jest treścią naszej przyjaźni z Pauline; mówimy w tym samym języku, nie musimy upraszczać ani wygładzać swych myśli, by wyrazić je jak najdokładniej. Dotykamy sedna od razu, instynktownie.

I często trzyma nas to w takim napięciu, że zapominamy o pracy. Nasza trójkolorowa koalicja z rozmachem anektuje kuchnię, płosząc niemieckojęzyczne koleżanki, które nie mają śmiałości prosić, żebyśmy chociaż mówiły po angielsku (i jaką subtelną przyjemność po kilku miesiącach wysiłków sprawia odgrywanie imigrantek, które nie robią nic, by się zintegrować!). Reszta słucha naszych gadek jak muzyki, uśmiechając się do bezeceństw, które wypowiadamy neutralnym tonem – a czemu nie, i tak nikt nie rozumie! Dziewczyny powtarzają kilka naszych słówek z łakomą nieudolnością, zachwycone, że mogą wydukać coś po francusku. A my, nieposkromione, peroru-

jemy, wybuchając śmiechem, wrzeszcząc jak w zadymionej kawiarni, wypijamy hektolitry kawy i filozofujemy o byłych i przyszłych klientach; pławimy się we własnych analizach, korygujemy wzajemnie swoje spostrzeżenia, delektujemy się niuansami, które we francuszczyźnie są dla nas takie naturalne. Zmieniamy świat, wprowadzamy nowe normy, upaja nas ten tytaniczny wysiłek do tego stopnia, że na wieść o każdym nowym kliencie wzdychamy jak zmęczone bezczynnością rozpustnice. I gdy Inge uchyla drzwi, by zapowiedzieć nieumówionego typa, idę na prezentację, modląc się w duchu, by żadna z nas dwóch nie została wybrana. Niemrawo ściskam klientowi dłoń i mamroczę swoje imię – przecież jesteśmy zajęte, mój Boże, czy naprawdę tego nie widać? Jakiż to gbur bez czci i wiary śmie zakłócać semantyczną dyskusję na temat słowa „kutas" i jego – ubogich – niemieckich ekwiwalentów? Kto, jeśli nie dwóch burdelowych Barthes'ów, w których się zmieniłyśmy, lepiej doceni poezję francuszczyzny, odróżniającej „kutasa" od „chuja", „cipkę" od „pizdy", podczas gdy sąsiadka zza Renu brnie w nieuniknioną redundancję słów *Schwanz* i *Muschi*? Na pewno nie rzeczony sąsiad zza Renu, który wybrał Pauline i czeka, umościwszy gruby tyłek na fotelu w salonie, zadowolony na myśl, że przeleci paryżankę. Przeklęty Germanin. Więc ta wojna nigdy się nie skończy?

– Możesz szukać, ile chcesz, jedynym trafnym wyborem pozostaje dla nich *Schwanz*.

– Jest jeszcze *Pimmel*. Ale kto w łóżku powie *Pimmel*? *Pimmel* to słowo dobre dla małego chłopca, gdy trzeba mu wytłumaczyć, że nie może dotykać się przy ludziach.

– Tak naprawdę, mówię ci, jest *Schwanz*, a potem nic. Nieco większy wybór mają, gdy chodzi o „cipkę", ale z doświadczenia wiem, że są często zbyt nieśmiali lub zbyt dobrze wychowani, żeby mówić *Votze*, co jest dokładnym odpowiednikiem naszej „pizdy".

– Podoba mi się *Votze*. Jest w nim brud.

– *Schwanz* to słowo w najwyższym stopniu zmiennokształtne. Dostosowuje znaczenie do kontekstu. Może oni mają tylko jedno słowo, ponieważ jest ono symbolem?

– Komu potrzeba więcej niż jednego słowa? A jeśli chodzi o magiczny potencjał…

Dzwonek do łazienki brutalnie przerywa pasjonującą rozmowę, musimy ją przełożyć – ale przez ten czas wydarzy się tyle, że prawdopodobnie zapomnimy o owym wierzchołku lingwistycznej góry lodowej. Być może znajdzie się klient, bardziej lub mniej francuskojęzyczny, który rzuciwszy słówko „broszka", ponownie wznieci debatę, kierując ją na inne tory: do jakiego stopnia francuszczyzna pełna jest czarownych gaf, właśnie takich jak „broszka", i jak bardzo język ten w całej swojej elegancji jest zdradliwy dla wszystkich poza niekwestionowanymi mistrzami erotycznego dialogu: Francuzami, do cholery!

Próbuję nie pamiętać, że znam jej prawdziwe imię. Zresztą dla mnie jest ona bardziej Pauline niż Léą; Pauline, jej rozmyślny wybór, opisuje ją lepiej, mówi o niej więcej niż Léa, którą jest dla reszty świata. Pozostaje Pauline nawet na tych krótkich trasach, które pokonujemy z metra do burdelu, z burdelu do Yorckstrasse, gdzie ja wysiadam, a ona jedzie dalej. Ale to właśnie w tych momentach czuję, jak wypływa na powierzchnię inny świat, gdy spotykamy się w piekarni przed dyżurem, a wokół każdej z nas unosi się w powietrzu zapach życia pozaburdelowego, albo gdy wychodzimy o północy w cywilnych ubraniach. Może dlatego, że mówimy tym samym językiem, bez większego trudu wyobrażam sobie, jak Pauline mieszka, co robi w wolnym czasie, co jada, i trochę też to, o czym myśli; nie byłabym zdziwiona, spotykając ją na rowerze w parku albo z przyjaciółkami w kawiarnianym ogródku – podczas gdy po kilku miesi-

ących bliskich kontaktów z innymi dziewczynami popadam w pełne zachwytu zdumienie zawsze, gdy okazuje się, że one i ja żyjemy na tym samym świecie. Jakież poetyckie wydają mi się te zbiegi okoliczności, kiedy któraś z nich objawia mi się na ulicy! Thaïs mijająca mój stolik na Krossenerstrasse, bez makijażu, w luźnym swetrze zsuniętym na ramiona. Albo – tamtego ranka, zbyt wczesnego dla kogokolwiek – rozchełstana Lotte, z rozpuszczonymi ciemnymi włosami tańczącymi wokół bioder; przechodzi przez ulicę i nie widząc mnie, przykuca tuż obok, by zawiązać tenisówki… Za każdym razem jest to jak szczelina, która otwiera się w półśnie, zaludnianym przez nie wszystkie. Nawet jeśli wszystko wskazuje na to, że Lotte wyszła właśnie z imprezy, po amfie, a Thaïs po prostu wyskoczyła odebrać zamówienie z tajskiej knajpy, ja wykazuję się złą wolą poety, który nie uznaje istnienia bezsensownych przypadków ani banalnej rzeczywistości, o nie, upieram się, że ktoś postawił je tu rozmyślnie, jakaś świadoma siła, i że ich chwilowa obecność jest treścią kolejnej zwrotki poematu, który piszę, choć nie znam zakończenia.

Ale gdy dostrzegam przed piekarnią Pauline, czuję coś ciepłego i znajomego, jakbym rozpoznała przyjaciela w tłumie. Fakt, że nie widujemy się na zewnątrz, nie licząc tych kawiarni przed dyżurem lub po nim, ale zawsze w bardziej lub mniej wyraźnym kontekście pracy, wiele mówi o wartości, jaką nadajemy życiu poza burdelem, i o tym, jak zażarcie bronimy wstępu do tego świata; nie z powodu nieufności czy strachu – ale w odruchu nabytym pod presją, jaką znoszą dziwki. Czy to, że dobrze czujemy się w roli dziwek – i Pauline, i ja – że dzielimy się spostrzeżeniami związanymi z tą kwestią, musi oznaczać, że chcemy się czuć dziwkami na zewnątrz, gdy jesteśmy razem? Na ulicy nikt nie podejrzewa nas o bycie córami Korynu, ale my o tym wiemy. Bo znamy się tylko w tym kontekście i wykonując taki zawód, nie możemy o nim nie rozmawiać. To tak, jakby

zawsze było w nim jeszcze coś do omówienia, prawdziwa beczka Danaid, a my, im więcej rozmawiamy, tym bardziej się rozkręcamy. Fakt, że jest to zajęcie pasjonujące i zabawne, czego nie można powiedzieć o wielu zawodach, a Pauline i ja jesteśmy na tyle młode i sprytne, że możemy je traktować jak grę, w której za każdym razem wygrywamy. Ale ta praca ma też swoje gorsze strony, a my jesteśmy zbyt inteligentne, by je ignorować; i być może obawiamy się, że ostatecznie nie będziemy w stanie się już okłamywać i nie będziemy umiały zwierzać się sobie ze swojego chwilowego przygnębienia, nie przygnębiając się nawzajem.

W kwietniu spędziłam tydzień w łóżku z anginą. Nie mogłam ani jeść, ani pić, ani, rzecz jasna, palić – co do tej pory wydawało mi się moim niezbywalnym prawem – a ponieważ łatwo popadam w rozpacz, ta porażka organizmu podłamała mnie psychicznie. Dużo rozmyślałam w łóżku między przełykaniem flegmy a okładami z grubej soli, aplikowanymi przez Marguerite, której współczucie doprowadzało mnie do łez – i osiągnęłam zerowy poziom samooceny, taki, który popycha człowieka do samobójstwa albo do gnicia przed otumaniającymi serialami; ledwo na nie zerkałam, bo zżerały mnie czarne myśli. Jak niepewna wydawała mi się wówczas moja sytuacja! Moje szlachetne zamiary, moje pomysły na wywyższenie burdelu jakby stopniały, odsłaniając nagą prawdę, od której ani ja, ani nikt z mojego otoczenia nie mógł ostatecznie uciec: pracowałam w domu publicznym. Możesz sobie pisać tyle książek, ile zechcesz, ludzie zapamiętają tylko tę jedną rzecz z twojego CV, głupia cwaniaro. Wracając do Domu, potrzebowałam uśmiechów Pauline i jej entuzjazmu, jej niezachwianej motywacji kokietki, której płacą za bycie seksowną; i sposobu, w jaki nakręcałyśmy się wzajemnie: „Oczywiście, że uszczęśliwiamy mężczyzn. Oczywiście, że jesteśmy królowymi

Domu. Oczywiście, że ten zawód pozwala nam żyć lepiej, niż żyje ogół śmiertelników".

To był ładny dzień; drzewa zazieleniły się podczas mojej nieobecności, w ciepłym powietrzu unosiły się pyłki, leniwe trzmiele, zapach spóźniającej się wiosny. A ja już opróżniałam żartobliwym tonem swój worek zażaleń: musimy znaleźć sobie inną pracę, chociaż na pół etatu, chociaż po to, by mieć co mówić ludziom, gdy pytają nas o zawód. Bawi nas to teraz, w tym momencie, bo jesteśmy młode, ale nie możemy być dziwkami do końca życia, nawet gdybyśmy chciały – a obiektywnie przecież nie chcemy. Wystarczy spojrzeć na te, które pracują tu od dziesięciu lat, odkąd tylko osiągnęły wiek uprawniający do wykonywania zawodu, by się domyślić, że to nie fatalne zrządzenie losu trzyma je w burdelu: po prostu przywykły do takiego trybu życia, do cieplutkiego komfortu, który pozwala im wszystko odkładać na jutro, do łatwych pieniędzy. Zdaję sobie sprawę, że to bardzo względne pojęcie: „łatwe", słowo używane przez innych, takich, którzy nie wiedzą, czy jest łatwo ruchać się sześć razy dziennie, ssać tyle samo pał, i robić to dobrze, z uśmiechem, bez niezdarnego zaciskania zębów, bez niecierpliwych westchnień; ale obie dobrze wiemy, że dopóki jesteśmy ładne i krzepkie, dopóki nas to bawi i nam pochlebia, te pieniądze wymagają od nas niewielkiego wysiłku – właśnie dlatego nazywam je „łatwymi", ja mam prawo używać tego słowa. Dopóki znacząca część nas samych karmi się uwagą mężczyzn, ich pożądaniem, dopóty czujemy, że płacą nam za urodę i inteligencję, a te pieniądze wydają się łatwe. Tak jest, dopóki lubimy się bzykać, a Bóg jeden wie, że to może trwać długo, tak jest nawet, gdy to nas nudzi, sama wiesz, że do wszystkiego można przywyknąć, wystarczy spojrzeć, ilu jest kretynów, którzy zmuszają się do biegania, by w końcu to polubić. I właśnie na tym polega problem, na tym nawyku, którym staje się seks – oto rdzeń problemu.

W ten sposób bzykanko staje się sportem, treningiem – i nawet jeśli jest to najbardziej skomplikowany i najbardziej odprężający ze sportów, z biegiem czasu przestajemy rozróżniać, kiedy się bawimy, a kiedy bierzemy udział w zawodach.

Ta praca wykorzystuje zdolność kobiet do porzucania punktów odniesienia i odnajdywania ich potem w tym samym miejscu. Inaczej mówiąc – mogą pieprzyć się bez duszy i bez serca, gdy się im za to płaci, ale poza burdelem potrafią sprawić, by seks odzyskał swoją magiczną moc, a erotyczne słowa cały swój potencjał, jak gdyby żadna transakcja nigdy nie zakłóciła pojęcia sacrum. Totalne oddzielenie. Nie można być tą samą osobą w burdelu i poza nim. Oczywiście wiemy, i ty, i ja, jak bardzo kutas mężczyzny, którego kochamy (albo jakiegokolwiek darmowego gościa), jest inny niż wszystkie – jak bardzo się liczy. Cała reszta zlewa się w jednego neutralnego fallusa, a ten ma swój zapach, smak i wyjątkowe zwyczaje. Wiemy, jak bardzo odgłosy wydawane podczas seksu brzmią prawdziwie, jak bardzo nas to rusza. I przez pewien czas to my decydujemy, czy chcemy, czy nie chcemy czuć czegoś więcej niż tylko tarcia. Ale to nie ma związku z mózgiem; to ma związek z tą częścią nas, która z czasem zaczyna się męczyć otwieraniem i zamykaniem zaworów co godzinę. Bo zdarza się często, że wracamy do siebie i nie odczuwamy żadnej ochoty na seks. Siłą rzeczy. Znasz to; już w metrze dociera do nas, jak przyjemnie jest usiąść. Jak dobrze jest nic nie robić. Układasz w głowie program: po powrocie do domu pochłoniesz falafel przed ostatnim sezonem *Gry o tron*, uwalona na kanapie w grubych skarpetach i okropnym szlafroku. Tak byłoby idealnie. Jednak nie należy zbytnio hołubić tego pomysłu, bo twój chłopak też jest w domu. Przyznaj, że bywają wieczory, kiedy cię to wnerwia. Samo gadanie; bo czasem również spędzamy dni na gadaniu, i to niemal wyłącznie na tym, dosłownie kłapiemy dziobami. I choć ten uśmiechnięty

mężczyzna, który na ciebie czeka, jest twoim facetem i całkiem legalnie ma na ciebie ochotę, to czasem również chce z tobą porozmawiać. Ma ci tak wiele do powiedzenia, tak wiele, i są to bez wątpienia ciekawe rzeczy; ale przecież w kombinacji falafel-serial-szlafrok najbardziej kuszące było właśnie milczenie. I gdy przychodzi pora spania, a on zaczyna szeptać ci do ucha fantazje, których jesteś główną bohaterką, ty flegmatycznie mierzysz stopień swojego entuzjazmu na myśl o seksie tu i teraz, na myśl o otwieraniu się na kolejną penetrację: Waterloo, smutna równina, mój chłopcze. Wybór między tym a sprawdzeniem, czy Tyrion Lannister obetnie sobie głowę, to, jak mawiają po angielsku, *no-brainer*.

Nie jest łatwo przyznać się do tego swojemu facetowi, a na pewno nie w takich słowach. W przypadku każdej innej dziewczyny można zrozumieć, że nie bardzo jej się chce, że jest zmęczona, boli ją brzuch – można łyknąć każdą z tych wymówek, wypowiedzianą tonem konającej spryciary. Sprawa jest delikatniejsza, gdy spędzasz całe dnie, zaspokajając za pieniądze innych mężczyzn. Lubię przykład hydraulika, tak, niech będzie hydraulik: nikt nie miałby za złe hydraulikowi, że wieczorami chce pogadać o czymś innym niż praca, choćby nie wiem jaką darzył ją pasją. A przecież w domu też ciekną krany, są uszczelki, które trzeba wymienić, i czy hydraulik jest potworem bez serca? Czy odpowie żonie, że to może, do cholery, zaczekać, że przez cały dzień obmacywał rurki, że to się chyba nigdy nie skończy, że świat nie jest przecież jednym wielkim cieknącym kranem? Oczywiście, że nie! Żona grzecznie go prosi, to przecież nie jej wina: co mu szkodzi po raz ostatni pokręcić kluczem francuskim, raz-dwa, skoro stawką jest spokój w małżeństwie? Być może właśnie ruch tego klucza usprawiedliwia wszystkie inne ruchy.

Z tą tylko różnicą, że hydraulik być może ma ochotę się pieprzyć, gdy wraca do domu. Są wieczory, kiedy szczerze wolałabym przety-

kać syfony odpływowe.

To nie jest żaden dramat, tego nie powiedziałam. Ale czy zanim zaczęłaś tę robotę, nie zdarzało ci się mówić: „Dobra, skończmy z tym i zacznijmy się pieprzyć”? Po prostu mu dawałaś, zaskakiwałaś sama siebie, widząc, że chcesz jak najszybciej sprawić, by doszedł, czyż nie to jest często ostatecznym celem, by gwałtownie opadło napięcie? Nie mówiąc już o tym, że sama też dochodziłaś – właśnie na tym to wszystko polega. Pieniądze nie wchodzą w grę, gdy określa się tak prosty cel, wystarczy mieć ochotę. Choć rzeczywiście jest to twój facet, bywają wieczory, gdy seks to wysiłek, i ten mężczyzna potrzebuje od ciebie takiej samej cierpliwości, takiej samej stałości i takiej samej kontroli nad ciałem jak klienci. I jego pożądanie, jego czułość też emanują wymaganiami, które należy zaspokoić. Czasem nie jestem w stanie znieść ich zapachu na swoich włosach, obowiązkowego uśmiechu, tego, że muszę o nich myśleć, i potrzebuję czasu, by dotarło do mnie, że mężczyznę, który stoi naprzeciwko, wybrałam sama – ale właściwie dlaczego? Czasem nocą wystarczyłoby mi wyłącznie własne towarzystwo.

Jednak problem pozostaje, w towarzystwie i w samotności, z tą różnicą, że samemu można sobie płakać do woli. O czym myśli ktoś, kto przez cały dzień uprawiał seks, kiedy leży w łóżku i musi liczyć barany? Tak wiele razy zaskoczyłam sama siebie, rozmyślając, jakich słów kluczy powinnam używać na oglądanych przeze mnie masowo stronkach porno – serio, to była istna tortura dla szarych komórek. Wszystkie warianty seksu uprawianego przez istoty ludzkie przepływają mi przed oczami, nie wywołując niczego poza ziewaniem, jestem jak stary, zużyty libertyn. Długie minuty mijają w pełnym wyczekiwania zawieszeniu, docieram do granic swojej pokręconej wyobraźni, wierząc, że istnieje na tej palecie wściekłych kopulacji jakiś szczegół, który wzbudzi moją ciekawość i sprawi, że znów stanę się

sobą. Wszystko to stek kłamstw! Jak można kochać kobietę, jak można nie gardzić mężczyzną, który łyka to wszystko jak leci i domaga się więcej? I w gruncie rzeczy bardziej niż ten orgazm, który oddala się ode mnie w podskokach, opłakuję wewnętrznie swoją zdolność do łatwowierności na zawołanie – właśnie teraz, w tym momencie, wolałabym nic nie wiedzieć na temat ciężkiej pracy, jaką okupione są te niedobre filmy. Wolałabym, tak jak wszyscy, zrzucić wewnętrzne napięcie i zasnąć jak kamień, bez cienia myśli.

Od kiedy mówię o tym wszystkim w ten sposób? Od kiedy mogę oglądać dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści scen podwójnej penetracji i powtarzać sobie, że potrzebowałabym tego teraz mniej więcej tak samo jak rzeżączki – zresztą, kto powiedział, że nie mam rzeżączki? Skoro myślę o seksie w ten sposób, jak o długodystansowym biegu, który mogę zakończyć z pleśniawkami w gardle oraz na innych częściach ciała, to co mi pozostaje, nie licząc sztuki (książka, której nie piszę), zeznań podatkowych i rodzinnego coming outu? To znaczy – o czym jeszcze mogę myśleć, by nie doprowadzać się na skraj zawału?

W tym momencie dociera do mnie, że może właśnie to jest prawdziwy postęp. Może Arthur ma rację, celem tego doświadczenia mogłoby być uwolnienie mnie od jarzma seksu, że przecież, żeby łatwiej zasnąć, mogę poczytać albo porobić na drutach, jak normalni ludzie (czyli starzy). To mogłoby stać się moim nawykiem, nie bardziej chorym niż wszystkie inne. W tym właśnie leży moja szansa – podpowiadają mi dwie zamówione w sieci i zbierające kurz książki Foucaulta – mogę nauczyć się równie wiele w dziedzinie filozofii jak na temat funkcjonowania ludzkich genitaliów. Gdy pomyślę o nieskończonej liczbie filmów, muzyków, gdy pomyślę o oszałamiającej masie pisarzy, czekających, aż czytelnicy oddadzą im sprawiedliwość, to widzę, że jeszcze długo mogłabym być szczęśliwa, nie ściągając

majtek. Przecież podjęłam szlachetne postanowienie, że – w bliżej nieokreślonej przyszłości – przeczytam całego Hugo, całego Prousta, całego Joyce'a, i oto przyszedł wymarzony moment, by wynieść swą duszę ponad te obsesyjne palcówki, te brzydkie nawyki. Co z tego, że Hugo nigdy nie będzie tak podniecający jak wilgotne krocze; grzesznik, wygrzebawszy się z ciepłego bagienka, pełen pogardy dla własnego ciała, jest przekonany, że będzie już tylko lepiej: teraz, gdy zaspokoiliśmy brudną część swojego ja, zajmijmy się karmieniem nieśmiertelnej duszy.

Ale moja dusza w oddzieleniu od reszty wydaje mi się pozbawiona wyrazu i apetytu, możliwość nieśmiertelności w tych warunkach niesie ze sobą jakąś beznadzieję. W pewne wieczory tęsknię za swoją duszą taką, jaka jest naprawdę, sprośną, robaczywą, a jednak kierującą się własną moralnością, skupioną – zarówno na jawie, jak i we śnie – na nauce rozkoszy i sposobach dorzucenia własnego kamyczka do tej pięknej, nabrzmiałej budowli – w pewne wieczory tęsknię za potworem, którym jestem. To ja ciągnę sama siebie na dno i sama sobie znakomicie w tym towarzyszę. Gdzie się podział ów głosik, który po przeczytaniu kilku stron Aragona podszeptuje mi, że orgazm byłby najbardziej płomiennym hołdem, jaki można złożyć tej piękności? Rzadko się gubię, ale kiedy już tak się zdarzy, nie potrafię się odnaleźć.

Problemem tej roboty nie jest to, co myślą o niej inni, lecz to, co dzieje się w nas. Całkiem zresztą możliwe, że jedno zależy od drugiego. Jesteśmy przekonane, że czynimy dobro, jednak to nie łagodzi wcale wydźwięku słowa „dziwka" ani nawet „prostytutka", kojarzącego się z całkowitą biernością w zawodzie, który przecież wymaga od nas ciągłego ruchu. Pozostajemy bezradne wobec ciężaru dwóch tysięcy lat religii, nawet w Niemczech, gdzie mamy prawa obywatelskie tak jak wszyscy inni. Wynajmowanie tej części ciała, razem z ol-

brzymim i trudnym do określenia kawałkiem intymności, nie może się równać z innymi zawodami. Wystarczy wyobrazić sobie zażenowaną minę pracownika banku, któremu odpowiadamy: „Jestem dziwką", na pytanie: „Czym się pani zajmuje?". Możemy być silne i wierzyć w to, co robimy, ale nie jest nam łatwo trwać ciągle na marginesie. Nie potrzebujemy innych, żeby to odczuć, lecz inni nie omieszkują nam tego okazywać. I nie mówię tu ani o bankierze, ani o właścicielu mieszkania, ani nawet o ginekologu, mam gdzieś porozumiewawcze uśmiechy panienek z salonu fryzjerskiego pod Domem, gdy widzą, jak przechodzimy, albo ciężkie od znaczeń milczenie lokatorów kamienicy, kiedy mijamy ich na schodach z klientem starszym od nas o dwa pokolenia. Prawdziwym problemem są faceci. Faceci z zewnątrz i chwile, kiedy nas pociągają. Bo próbowałam, owszem, jednego wieczoru, gdy Bóg wie jak to się stało, że miałam ochotę na seks; weszłam na Tindera, gdzie praktycznie nie ma szans, by dziewczyna odeszła z kwitkiem. Chyba że jest naprawdę brzydka albo bardzo wybredna – albo gdy widać, że jest kurwą. Nie wiem dlaczego, ale nie chciałam kłamać. To znaczy – wiem dlaczego – moja ciekawość była silniejsza niż podniecenie, chciałam tylko sprawdzić możliwości. Ciekawość, ale także, do cholery, fakt, że trzeba zachować pewną kindersztubę, nawet jeśli chodzi nam tylko o seks, a nie ma lepszego, choć i bardziej banalnego, pytania niż: „Czym się zajmujesz w życiu?". Typ zadaje mi to pytanie, a mnie męczy wymyślanie zawodu, nie mam ochoty wyjść na snobkę, odpowiadając, że jestem pisarką. Wolę, by brano mnie za dziwkę niż za pretensjonalną pannę (oto jest moralne rozdarcie), mówię zatem, że piszę obecnie trzecią książkę o burdelach – jak dotąd świetnie sobie z tym radzę – i w związku z tym pracuję w domu publicznym.

To tyle. „A ty?"

I może to dziwić lub nie, ale nadal czekam na odpowiedź. I nie potępiam tego biednego chłopaka. Owszem, na pewno znajdą się na Tinderze mężczyźni na tyle cyniczni, że chętnie skorzystają z tej niewiarygodnej okazji i prześpią się z profesjonalistką, nie płacąc ani grosza. Lecz tak naprawdę – czego ja szukam? Czy naprawdę chcę spędzić wolny czas, uspokajając burzę hormonów z kimś, kto w rzeczy samej jest kolejnym klientem, którego przed wizytą w burdelu powstrzymują jedynie względy finansowe albo moralne? Bo tak naprawdę zawsze chodzi tylko o seks. Chcemy szanować drugą osobę i chcemy, by ona szanowała nas, chcemy się poznać, bo może to prawda, że seks jest lepszy, jeśli się znamy; i gdzieś tam, z tyłu głowy, nie wykluczamy możliwości, że się sobie spodobamy, próbujemy wyszukać, nawet na tak trywialnej aplikacji, coś, co byłoby czymś więcej niż anonimową dupą. Nigdy nie tracimy nadziei na miłość, bo – co do tego wszyscy są zgodni – jej szukanie jest żmudne. Skorą są pary, które poznały się w Späti, to dlaczego nie na Tinderze?

Spędzenie nocy z kurwą jest dopuszczalne, ale co jeśli przypadkiem nam się to spodoba?

Na obronę tego chłopaka powiem, że mogłam być mniej bezpośrednia. Czyż ten zalążek konwersacji nie jest przykładem irracjonalnego lęku mężczyzn przed złożoną i żarłoczną seksualnością kobiet? Czy nie istnieje nieznany kontynent, jeszcze bardziej niepokojący niż zwykły fakt kupczenia własnym ciałem i własnym czasem? Czyż dziwka, która wieczorami buszuje po Tinderze, nie jest po prostu nimfomanką? Dziwka i jednocześnie nimfomanka to zdecydowanie za dużo, by przyznać się bliskim. I nie można nic na to poradzić, dziewczyna, która się prostytuuje, jest w oczach całego świata jak transparent, na którym wypisano wielkimi literami: „Zbłądziłam". Całkiem możliwe, że za pośrednictwem kurwy osądzamy i skazujemy mężczyzn, ich małość, ich moralną nędzę, tak, to możliwe; ale

kobiety są idealnym kozłem ofiarnym, i to od tak dawna, że już tego nie zauważamy, i ten stan rzeczy raczej prędko się nie zmieni. A ja chcę uprawiać seks, z kim tylko mam ochotę, ale nie mam zamiaru kłamać ani się tłumaczyć, nie chcę odstraszać mężczyzn, których mijam na ulicy, a którzy mnie pociągają. Nie można wyedukować ich wszystkich, przymusowo – więc, moja biedna Pauline, kiedy zaczynamy szukać sobie pracy?

Wszystkie te piękne dywagacje nie powstrzymały nas przed wejściem do kamienicy, choć czuję, że teraz obie międlimy w głowach moje wątpliwości. Ale wyżej, na klatce schodowej, słyszymy już Rosie, która śmiejąc się perliście, żegna klienta. Jednocześnie w odpowiedzi na nasz dzwonek Sonja otwiera nam drzwi, szczebiocząc sceniczne imiona gwiazd, za jakie tu uchodzimy. Ledwo weszłyśmy, a już Bobbie, jak zawsze nieco uszczypliwa, rusza do ataku: „Justine, dziesięciu facetów się o ciebie pytało!". Dzień Pauline również jest wypełniony po brzegi. Dziewczyny z porannej zmiany ubierają się niespiesznie, bo czyż jest coś przyjemniejszego niż podpatrywanie tych, które zaczynają, gdy się samemu skończyło? Lotte, już w słuchawkach na uszach, częstuje truskawkami ze swojego ogródka. Margaret szczotkuje swoją blond perukę, klient dzwoni z łazienki, „Serio, już!?" – wykrzykuje Marianne i szybko kończy jogurt, cedząc szeptem inwektywy pod adresem typa, który pewnie tylko umył sobie ręce. Pauline i ja w tym nieprzerwanym strumieniu słów zaczynamy rozsznurowywać buty, a na dole dwukrotnie rozlega się dzwonek, słychać też telefon, Sonja nie wie, czym zająć się najpierw, Delilah zajmuje najlepsze miejsce za zasłoną, by obserwować wchodzących klientów, i pomimo zgiełku słyszymy, jak rzuca radośnie:

– Są Francuzki, będą i faceci!

Uśmiechamy się z Pauline, choć tak naprawdę nie jest to żart, nie do końca. Przyznajmy bez fałszywej skromności, że jeśli jest na świe-

cie miejsce, w którym się nas uwielbia, pożąda, pragnie i się nam pochlebia jak uwielbianym despotkom, miejsce, gdzie wyczuwa się nas i rozumie, gdzie zazdrości się nam, a jednocześnie się nas akceptuje, to jest nim właśnie Dom.

I widzisz, może dokładnie w tym leży sedno problemu.

Twist and Shout, The Mamas and the Papas

Brakuje mi Domu. Porannego słońca padającego na stary parkiet, dziewczyn widocznych zza uchylonych drzwi; może przesadzam, pisząc o pięknie ich ciał, o ich śpiewnych śmiechach, o lekkości wczesnych wieczorów, o nieuchwytnej magii, którą czułam, gdy przystawałam w progu salonu, by na nie popatrzeć. Może to po prostu oddalenie czyni mnie sentymentalną; ale pamiętam to krótkie upojenie, tę radość na myśl, że otaczają mnie dziewczyny w podwiązkach, jak w raju, choć nie musiałam umierać. To zapierało mi dech. Nawet gdy mnie wkurzały, gdy gadały za głośno albo gdy były głupie, nie w humorze, brutalne, uparte, przewrotne, nawet gdy miałam ochotę udusić jedne z nich, a naubliżać innym, uważałam, że są piękne. Jak teatr roztaczający swe uroki tylko dla mnie, jednego widza, jedynej publiczności zdolnej kochać je wszystkie. Nikt nie patrzył na nie z taką rozkoszą, z taką spokojną zmysłowością. Często zastanawiam się, czy nie znalazłam się w Domu właśnie dla nich. Och, teraz, gdy o tym piszę, wydaje mi się to oczywiste: mężczyźni, ciągle ci mężczyźni, spotykamy ich na ulicach, na imprezach, niemal wszędzie. Ale dziwki, te bohaterki mojej erotycznej wyobraźni, można było spotkać tylko w jednym miejscu – i myśl, że mogłam je przegapić, ale nie przegapiłam, wydaje mi się niemal boskim błogosławieństwem.

Zawsze myślałam, że piszę o mężczyznach. Ale gdy wracam do swoich książek, widzę za każdym razem, że nie pisałam nigdy o niczym innym – wyłącznie o kobietach. O tym, że sama nią jestem,

o tysiącach form, jakie przybiera ten fakt. I będzie to prawdopodobnie dzieło mojego życia, będę wykańczać się, próbując opisać to zjawisko, aż wreszcie pogodzę się z faktem, że po setce zapisanych stron posunęłam się o pół centymetra. I będę zmuszać się do satysfakcji z tej połowy centymetra jak z jakiegoś epokowego odkrycia. Pisanie o dziwkach, będących karykaturą kobiet, schematyczną nagością tego stanu – bycia kobietą i pobierania za to pieniędzy – jest jak oglądanie własnej płci pod mikroskopem. I robię to z taką samą fascynacją jak laborant obserwujący komórki – podstawę wszystkich form życia – mnożące się między szklanymi płytkami.

To wtedy zdaję sobie sprawę, do jakiego stopnia zachowywałam granicę między dziennikarstwem a literaturą. I że tak naprawdę nie jestem stworzona do dziennikarstwa. Choć zawód ten wymaga egocentryzmu, to nie dorasta on do pięt narcyzmowi, który rozpiera pisarza takiego jak ja, niezdolnego pisać o czymkolwiek innym poza samym sobą. Czasem próbuję. Gdy byłam w Domu, a dokładniej: gdy z niego wychodziłam, miałam głowę pełną ich powiedzonek, ich śmiechów, istotnych fraz, którymi mimowolnie rzucały; czułam je, były takie żywe, miałam wrażenie, że uchwyciłam kawałki ich duszy. I nie jest to bez znaczenia, bo może ich głos jest ostatecznie wyłącznie moim głosem. Pomiędzy chwilą, gdy do mnie mówią, a tą, w której przenoszę to wszystko na papier, ich blask wydaje się zagubiony w tłumaczeniu, jakbym była kimś totalnie z zewnątrz. Opowiadam o nich ze zbyt dużą miłością, zbyt dużym respektem, zbyt rozważnie, gubię gdzieś ich głupie śmiechy, w których jest tyle prawdy, mało znaczące szczegóły, dni spędzone w ich ciepełku. Pewna część mnie, wychodząca poza postać pisarki, chce je przedstawić jako posągi, ikony. Chciałabym, by każda była wyjątkowa na tych kartach, żeby każda była wspaniała – ale skończyłyśmy zlepione w jedną Kobietę, ich wypowiedzi brzmią jak moje własne. Ta przychylność unicestwia

wszelką obiektywność, kobieca solidarność, zakorzeniona tak głęboko, że już jej nawet nie czuję.

Przy mężczyznach mój zmysł krytyczny był zawsze słodko uśpiony. Wykazywałam w ich obecności omdlewającą potulność wierzących. Moja skarbonka pełna jest takich żarliwych wspomnień, zawsze blisko związanych z poczuciem szczęścia i żalu. Uderzyło mnie to pewnego wieczoru, kiedy słuchałam *I'm Sticking with You* Velvet Underground; choć kroiłam w kuchni warzywa, w myślach cofałam się w czasie o kilka lat i jechałam rowerem przez Steglitz; było piękne lato, kwitnące kasztany pachniały oszałamiająco, a ja gnałam w słuchawkach na uszach, myśląc o tamtym mężczyźnie tak mocno, że omal nie doprowadzałam do kolizji na każdym zakręcie, do kawiarni dotarłam wykończona, pijana Berlinem i rozpalona namiętnością. Byłam wtedy taka młoda. Od tamtego czasu kochałam już innych, którzy uszczęśliwili mnie bardziej, więc dlaczego ta piosenka, której nigdy nie przestałam słuchać, kojarzy mi się z tamtym mężczyzną, i wyłącznie z nim? Dlaczego gdy myślałam o pojmowaniu miłości, pojawiał się on? To na mnie bardzo wpłynęło; choć byłam w tej miłości tak bardzo nieszczęśliwa i samotna, jak tylko się da, dwudziesty rok życia pozostał dla mnie złotą epoką, do której odtąd niestrudzenie próbowałam wracać, i rozpaczliwie pragnęłam znowu poczuć w sobie tamto życie i taką pełnię. Nigdy nie odwzajemnił mojego uczucia, a wszystkich mężczyzn, których stać było na ten wysiłek, darzyłam znacznie mniej destrukcyjną miłością; miłosne zapamiętanie i namiętność budziły się we mnie tylko w sytuacjach jednostronnych. I jestem pewna, że gdy przyjdzie mi wydać ostatnie tchnienie, stanie mi przed oczami twarz tego właśnie mężczyzny, jako symbol najbardziej kształtującej miłości, którą zarezerwował dla mnie ten świat.

Nie wiadomo, kim bym była, gdyby nie stanął na mojej drodze. Dyplomatką? Lekarką? Psychologiem? Profesorem zwyczajnym na jakiejś uczelni? Może nie byłabym melancholijną, skupioną na sobie pisarką, pracującą w burdelu, dobijającą do brzegów, których nie powinny odwiedzać osoby o jej pochodzeniu i poziomie wykształcenia. Ile rzeczy mogłabym robić, a ilu nigdy bym nie poznała! Lecz ta kwestia pozostaje dla niego czymś całkiem nieznanym, przypuszczam, że jego egzystencja posuwa się naprzód równym, bezlitosnym krokiem, tymczasem moja, pozbawiona jakiejkolwiek organizacji, jest kapryśna jak niemożliwa do opanowania katastrofa naturalna. Gdy myślę o nim, widzę rzekę, która wypływa z jego łóżka i pochłania, zupełnie bezwiednie, całe połacie kontynentu, wioski, domy, inne rzeki – i nie wiem, kto jest kim w tej metaforze; czy ta brudna, wściekła woda to jest on, czy może ja?

Dead Leaves and the Dirty Ground, The White Stripes

Owszem, najłatwiej jest robić z dziwek maszynki do seksu, pozbawione wszelkich uczuć, wrzucające wszystkich klientów do jednego koszyka pogardy i nienawiści i zakochujące się cudownym sposobem zawsze po wyściubieniu nosa z burdelu – bo takie właśnie są kobiety, prawda? A raczej – takie właśnie powinny być. Znacznie trudniej byłoby oddać dziwkom głos, zobaczyć, kim są naprawdę – a są kobietami, jak wszystkie inne. Żeby się prostytuować, nie trzeba cierpieć nędzy ani być wariatką, ani seksualną histeryczką czy osobą upośledzoną uczuciowo. Wystarczy po prostu mieć dość zasuwania, żeby kupić niezbędne minimum. Jeśli ktoś powinien odpowiedzieć za długowieczność tego zawodu, to prawdopodobnie właśnie całe społeczeństwo i obsesja konsumpcji – a nie mężczyźni czy kobiety. Kobiety i mężczyźni cierpią razem pod tym samym jarzmem. I myślę o mężczyznach, którzy nie mają grosza przy duszy, ale też – możliwości sprzedawania swoich ciał. Co wtedy robią? Oczywiście seks za pieniądze jest mniej dramatycznym rozwiązaniem niż siedzenie na ulicy z wyciągniętą ręką. Niecierpliwie czekam na kretyna, który będzie utrzymywał, że jest inaczej. Oczywiście mniejszą tragedią jest praca w Domu aniżeli zasuwanie w Lidlu za nędzne grosze; jedyne, w czym kasjerka przewyższa dziwkę, to fakt, że może mówić bez wstydu, jak spędza dni. Chociaż, ja wiem, czy bez wstydu? Być może w dniu, w którym kobiety będą miały dostęp do pracy za godne pieniądze, już żadna nie zachce ściągać majtek, by dorobić pod koniec

miesiąca – i wówczas świat będzie miał się lepiej, czyż nie? Świat czy moralność?

– Każdy po swojemu interpretuje najgorsze – mówi Birgit podczas pierwszej przerwy na kawę.

Tak ja to rozumiem, ona prawdopodobnie formułuje to nieco inaczej. Może to były całkiem inne słowa. Ale sens wypowiedzi jest czytelny między wierszami, a ja go wychwytuję.

– Dla mnie był to brak czasu dla córki. Przez dwa lata ciągnęłam dwa etaty, jeden rano i jeden wieczorem, przez sześć dni w tygodniu. Niania odrabiała z małą lekcje i kładła ją spać. W nocy wracałam z pracy do mieszkania cichego jak grobowiec. Zamieniałam kilka słów z nianią, która opowiadała mi, jak minął dzień. Zostawałam w salonie sama, z tym, co zostało z kolacji, i mówiłam sobie: „Cholera, więc to wszystko po to?". Wiesz, o co mi chodzi? Nie możesz wiedzieć, nie masz dzieci, ale zapewniam cię, że nieraz płakałam tak, jakbym nigdy nie miała przestać. Mówiłam sobie: „I jutro znów to samo, i pojutrze, i kolejnego dnia też, i potem znowu...". Byłam wykończona.

Birgit zaciąga się długo swoim vogiem, Paula, która też ma dwoje dzieci, przytakuje jej w milczeniu, pudrując policzki.

– Nawiązałam kontakt z jej ojcem. Bierze ją do siebie na trzy dni w tygodniu. Przychodzę tutaj rano, mam też kilka godzin gdzie indziej, wysypiam się.

Birgit uroczyście odstawia filiżankę.

– Każdy po swojemu interpretuje najgorsze. Ale nikt tak naprawdę nie wie, czym ono jest, zanim nie urodzi. Najlepsze wymówki znajdujemy, gdy trzeba wykarmić dzieci.

I muska ramię Pauli:

– Chcesz te kwiaty od Bertholda? Ładne, ale nie w moich kolorach, niedawno przemalowałam pokój.

Love Me or Leave Me, Nina Simone

Lorna. Zastanawiam się, czy wybrała to imię po przeczytaniu *Druuny* Serpieriego. W wieku ośmiu lat cała czerwona pochłaniałam pornograficzne komiksy wuja, gdy reszta rodziny siedziała w ogrodzie, i zawsze z pewnym zakłopotaniem przyznaję się, że znam te książki i imiona wszystkich najważniejszych bohaterów. Lorna: te dwie sylaby utkwiły w mojej pamięci i już zawsze kojarzyć mi się będą ze sceną, w której grubą i niemrawą Druunę bierze gwałtem rodzina szalonych humanoidów, a matka, zarządzająca całą akcją, ma właśnie na imię Lorna; to imię kojarzy mi się wyłącznie z obrzydliwą praktyką seksualną. Trzy narysowane w złym guście sceny, ociekające płynami ustrojowymi! Gdy zamknę oczy, staranne kreski i wyblakłe kolory wracają do mnie wyraźnie, jak to wspomnienia z dzieciństwa, i wiem, jak silne piętno odcisnął na mnie widok ogromnych piersi Lorny i sposób, w jaki chwytała Druunę za ramię, by wstrzyknąć jej coś, co zmieni ją w sukę.

Lorna, moja Lorna, to całkowite przeciwieństwo swojej imienniczki. Elegancka blondynka o cienkich przegubach, zawsze w nienagannym koku, lekko tylko naruszonym po wyjściu z pokoju, koku, który po pracy przeczesuje na koński ogon. Przestała rozpuszczać imponującą grzywę, gdy zauważyła, że mężczyźni nie mogą się powstrzymać i zawsze za nią ciągną, poza tym, spędziwszy dzień nad podbrzuszami dziesięciu mężczyzn, miała na głowie wylęgarnię bakterii liczniejszych niż same włosy.

Dziś Lorna jest w kiepskim nastroju; leżę na materacu, wygrzewam się w słońcu i słucham jej narzekań, otwierając szeroko oczy za ciemnymi okularami.

– Od razu czułam, że nie powinnam przychodzić. Bywają momenty takie jak ten, kiedy energia jest do dupy. No, ale wiesz, nie pracowałam już dwa tygodnie i mam do opłacenia niezły stos rachunków. Przez cały ranek nie miałam ani jednego klienta – i już zaczęłam myśleć, że w sumie mogłam zostać w domu, ale przyszła Sonja i powiedziała, że zarezerwował mnie Klaus. Najwyraźniej się znaliśmy, ale ona mówi to tak, jakbym miała pamiętać kilkuset Klausów, których tutaj poznałam, albo Hansów, albo Peterów… zresztą nieważne, przychodzi ten Klaus, stary brodacz, i nagle wszystko mi się przypomina, i mówię sobie: „O, nie, szlag, tylko nie on…”.

No, ale był to mój jedyny klient tego dnia i musiałam z nim iść. Pamiętałam jak przez mgłę, że był upierdliwy, ale byłam przekonana, że w razie czego będę mogła go odesłać. Już w salonie mężczyzn zaczął mnie zamęczać, mówił, że to miło znów się widzieć, że nie wiedział, co się ze mną działo, bla, bla, bla… No to mu powiedziałam, że urodziłam dziecko. Chlapnęłam to tak szybko, bez zastanowienia. A ten jak się nie zerwie! Wytrzeszcza oczy i twierdzi, że tak właśnie przypuszczał: „Domyśliłem się, jak tylko cię zobaczyłem!”.

Czułam się jak idiotka, a ten dalej swoje: „Widzę, że mam przed sobą inną kobietę, prawdziwą kobietę. Już nie dziewczynkę”.

Dzięki, dupku. Później było jeszcze gorzej. On jest psychiatrą – przynajmniej tak mówi, może kłamie, ale jest tak stuknięty, że mogłabym mu wierzyć – gada do siebie, to musi być dla niego niezła odmiana po konsultacjach. Leżałam sobie w Tropikalnym i patrzyłam na to ciało starca, w sumie nie takie złe, nawet pulchniejsze niż dawniej, i myślałam o tym, jak przyszedł do mnie po raz pierwszy. Był późny wieczór, kończyłam dyżur i miałam już trochę dość – ale w tej

robocie człowiek zyskuje zdumiewające zasoby cierpliwości. Fascynowało mnie, że jest psychiatrą. A właściwie fascynowało mnie do momentu, w którym zaczął mówić tym przenikliwym tonem, jakiego używają w tym zawodzie wszyscy. Te obsesyjne próby zgadywania, kim jesteś, dlaczego wykonujesz taką, a nie inną pracę, skąd pochodzisz. Grałam w tę jego debilną gierkę, opowiadałam mu różne rzeczy, by sprawdzić, jakie freudowskie łajno wyciągnie z głowy, by przykryć nim moje wspomnienia z dzieciństwa – i prawdę mówiąc, byłam zaszokowana jego brakiem wyczucia granic. Nie obawiał się ani obciachu, ani tego, że przerwę mu nagle i powiem: „To zupełnie nie to, mylisz się na całej linii". Nie zrobiłam tak, po pierwsze dlatego, że nawet w swoim entuzjazmie debiutantki nie miałam ochoty, by gadał dalej, a po drugie, to było jak z horoskopami, wiele z tego, co mówił, pasowało. Wiesz, kiedy w burdelu zaczynasz mówić dziwce o jej ojcu, jej stosunku do mężczyzn, o tym, w jaki sposób postrzega własną kobiecość i kobiecość w ogóle… cholera, jest osiemdziesiąt procent szans, że to się sprawdzi. Niepotrzebny psychiatra ani nawet lektura Freuda. Leżałam tak i na nas patrzyłam, byłam wykończona i już nie tak zaczepna, bezwiednie rozgrzebywałam na głos koncepcję porzucenia, kompleks Edypa, kwestię miłości i nienawiści do ojca i nagle zaczęłam płakać jak bóbr. Trudno mi teraz przypomnieć sobie, z jakiego powodu, ale musiałam dotknąć czegoś tak ważnego, że łkałam wtulona w tors tego starucha – to mu musiało przypominać gabinet i pewnie mu się nawet podobało: wreszcie mógł pieprzyć pacjentkę. Było mi wstyd, że spędzam w ten sposób godzinę, za którą mi zapłacił, więc po pewnym czasie z trudem, ale wzięłam się w garść. Byłam wykończona. Więc uznałam, że zrobię to, co potrafię najlepiej, poza użalaniem się nad sobą i nad swoim dysfunkcyjnym ojcem – pomyślałam, że mu obciągnę. Miałam zamiar mu obciągnąć, przelecieć go, a później wywalić za drzwi, posprzątać po-

kój, słuchając Can albo czegoś równie uspokajającego, co pomogłoby mi wziąć się w garść, i miałam nadzieję, że będzie grzeczny, że szybko mu stanie i że szybko dojdzie; ale on miał już siedemdziesiąt lat i oczywiście mu nie stawał. Moja ówczesna delikatność tylko mu zaszkodziła – bo dziś w podobnej sytuacji wzięłabym go do ręki i szybko byłoby po sprawie. Ale wtedy patrzyłam na wszystkich klientów jak na mężczyzn i bałam się, co sobie pomyślą, chciałam być kurwą, która czułością okupi chłód wszystkich innych kobiet. Drażniło mnie, że mu nie stawał, strategie, których musiałabym użyć, nie były na moje nerwy, lecz myśl, że miałabym mu zwalić z profesjonalnym zamiarem doprowadzenia do wzwodu umożliwiającego naciągnięcie gumki, wprawiała mnie w zakłopotanie. Zawstydzała tę część mnie, która nie jest prostytutką. Ale gdybym miała naciągać gumkę na jego miękką fajęâ€¦ No więc tak, obciągnęłam mu bez gumki. Miałam jedną pod ręką, ale gdy zaczął mu stawać, poczułam, że bardzo szybko dojdzie, i bałam się, że zanim rozedrę opakowanie i rozwinę prezerwatywę, on znowu opadnie. Więc robiłam to dalej. Spuścił mi się do ust, nawet nie pomyślałam, żeby pobiec i wypluć to do umywalki, zwłaszcza że przy tych wszystkich mikrouszkodzeniach śluzówki lepiej wszystko przełknąć niż biec przez cały pokój z buzią pełną spermy. Hop. Łykamy, i po wszystkim. Z praktycznego punktu widzenia nie oznaczało to dla mnie nic więcej i nie myślałam o tym aż do dzisiaj.

Wrócił tydzień później, cały chętny; wkurzył mnie jego widok. Za pierwszym razem miałam przez niego chandrę przez cały wieczór i nie chciałam, żeby znów mnie dobijał. Dobrze się składało, bo nie przyszedł się pieprzyć ani sondować mnie za pomocą pytań, przyszedł powiedzieć, że nie może się więcej ze mną widywać. Do dziś pamiętam ulgę i wysiłek, jaki włożyłam w przybranie wyglądu porzucanej kochanki. Mówił, że nie chce się angażować; że jest żonaty,

że nie ma zamiaru ani ochoty się zakochiwać, a ja jestem kobietą zbyt pełną życia, by starzec taki jak on prędzej czy później nie stracił dla mnie głowy. A ja myślałam: „Weź już spierdalaj, kretynie".

Dwa tygodnie później stałam za zasłoną, wypatrując klienta, który właśnie zadzwonił, kiedy pojawił się Klaus. Poczułam rozdrażnienie na myśl, że zmienił zdanie – ale on przyszedł do Gity. Miał akurat fazę na Gitę.

Tak czy inaczej, dzisiaj w pokoju słucham, jak karmi się własnymi słowami, i wyobrażam sobie, jak biorę karteczkę i kaligrafuję na niej „Nie umawiać mnie z Klausem!", gdy nagle on zaczyna opowiadać mi o Gicie. O tym, jak Gita przestała go przyjmować po kilku spotkaniach, nie wyjaśniwszy mu nawet dlaczego; to *Hausdame* poinformowała go o tej decyzji. A ja dokładnie pamiętam, jak Gita mówiła Sonji, że nie chce więcej o nim słyszeć, że to ponad jej siły, że chętnie by jej to wytłumaczyła, ale to może źle się skończyć. Sonja rozmawiała z Klausem, ale on wrócił pod innym imieniem, by sprawdzić, czy nie doszło do pomyłki. Potem musiał przerzucić się na inny burdel. Klaus opowiada mi o tym jak o najgorszym afroncie i wysnuwa teorię, że niby Gita i on za bardzo się zaangażowali i to dlatego ona uznała, że będzie unikać jego towarzystwa. Zauważ, ani przez moment nie pomyślał, że mógł być po prostu upierdliwy.

„Widzisz, w gruncie rzeczy tak było lepiej i dla mnie – ciągnie – bo to by się źle skończyło. Gita, cóż, tak naprawdę nazywa się Julia, ale nikomu nie mów (myślisz, że zdradzasz mi jakiś sekret, dupku?)... I mógłbym zrobić jej dziecko".

Mówi mi to tak po prostu, myślałam, że padnę. W dodatku on użył słowa „zapłodnić", jakby uważał, że jego misją jest przedłużenie niemieckiej rasy, czy sama już nie wiem czego, i dostrzegł u niej pragnienie – bardziej lub mniej świadome, lecz w każdym razie bardzo silne – by zostać zapłodnioną, więc, ma się rozumieć... Patrzę na

niego z góry i próbuję się nie odzywać, nie wiem, czy bardziej chciałabym roześmiać mu się w twarz, czy mu tę twarz obić, a on nagle zaczyna gadać, że zresztą przecież mnie też przestał widywać, o ile dobrze pamięta. I że nie musiał korzystać z pośrednictwa *Hausdame* – nie, była to inicjatywa, którą sam podjął. Moje milczenie musi brzmieć pytająco, bo on zaczyna pierdolić – nie ma na to innego słowa – do jakiego stopnia wydawałam mu się „podatna". Z osłupieniem stwierdzam, że słowo „podatna" oznacza dla niego gotowa na „inseminację". Teraz ja mam ochotę przeprowadzić dziką psychoanalizę, chcę sprawdzić, czy on jest gotów ciągnąć tę aberrację bez jednego choćby sygnału zachęty z mojej strony, i proszę go, by rozwinął pojęcie „inseminacja". Słysząc to słowo z jego ust, mam wrażenie, że leżę na klacie doktora Mengele. A on kreśli szalony portret mnie samej sprzed dwóch lat – młodej, pełnej życia, kipiącej od hormonów – pierwszą oznaką przyzwolenia z mojej strony był, jego zdaniem, płacz na jego ramieniu po rozmowie o ojcu. Drugim – i tu mnie dosłownie zatkało – połknięcie jego nasienia. *Donnerwetter!* Wtedy zrozumiałam, że obciągając facetom bez gumki, możesz złapać gorsze rzeczy niż chlamydia i choć nie wywołują one upławów ani swędzenia, to dają o sobie znać kilka lat później, gdy już przestajemy o nich myśleć. Zatem połknęłam nasienie i nie poprosiłam go o nic w zamian, składając mu całkowity dar z samej siebie i powierzając mu swoje gwałtowne pragnienie macierzyństwa. Chociaż jestem w szoku, postanawiam udawać głupią, by uświadomić mu bezmiar jego własnej pustoty, i odpowiadam, że w ten sposób na pewno nie mogłam zajść w ciążę. On robi uczoną minę i oświadcza, że na pewno wiem, iż te usta są w psychoanalizie odpowiednikiem tamtych drugich i że w obu przypadkach dochodzi do absorpcji męskiego nasienia. Mam ochotę się roześmiać, ale tak aż do posikania, chcę, żeby on wreszcie wyszedł, trzasnąwszy drzwiami – ale nie zmienia to fak-

tu, że nadal czuję niezdrową fascynację na myśl o tym, co dzieje się w jego głowie. Muszę wiedzieć, czy naprawdę wierzy w to, co opowiada, i myślę o minie, jaką musiała zrobić Gita, słysząc takie pierdoły... Oczywiście wyobrażam sobie, z jaką radością rzuciłabym mu w twarz: „Nie, nie, grubasku, obciągnęłam ci bez gumki tylko dlatego, że ci nie stawał, a ja miałam cię już tak dosyć, że nie chciało mi się robić żadnych sztuczek z twoim chujem, miałam ochotę wrócić do domu i wypalić jointa wielkości głowicy jądrowej. A skoro już tak bardzo chcesz mówić o psychologii, to ja też ją studiowałam na uniwersytecie, i czy wydaje ci się logiczne, że kobieta woli zostać zapłodniona przez ciebie bardziej niż przez rówieśnika o wyglądzie i aurze dobrego dawcy genów, skoro już ma być zapłodniona w burdelu? Bardzo ci dziękuję, ale co najmniej cztery razy dziennie bzykam facetów, którzy byliby dawcami lepszej spermy niż ty i twoja zakurzona pała".

Czemu nic nie powiedziałam? Bo nie dał mi dojść do słowa! Wrócił już na swoją planetę Klaus, pełną szalonych teorii i semantycznych szczelin – gadał, że teraz, gdy jestem już matką, on czuje się mniej zagrożony, a ja miałam ochotę powiedzieć mu: „Klaus, posłuchaj, chyba właśnie po raz drugi zachodzę w ciążę za sprawą demiurgicznej mocy twych słów, musimy przestać się widywać".

I jakby tego było mało, zaczął psuć mi dyżur, opowiadając, że po urodzeniu dziecka dziwki tracą wielu klientów. Co, po pierwsze, nie jest prawdą, a po drugie, spierdalaj, gnoju. Tak, bo władza bardzo młodych dziewczyn nad mężczyznami jest absolutnie nieporównywalna. A ponieważ czułam, że ma trochę racji, miałam ochotę mu przywalić – ale patrzyłam na zegar i widziałam, że na gadaniu pierdół zeszła mu już niemal cała godzina, nie licząc pięciu minut na obowiązkowy prysznic. Poczułam przebłysk radości i zabierając się do wkładania majtek, powiedziałam, że tak, zgoda, mężczyźni uwiel-

biają młódki, jednak moim zdaniem lubią w nich całkowity brak pewności siebie, bardzo łatwo jest zaimponować młodej, świeżej lasce, nie trzeba nawet na niczym się znać. Faceci zafiksowani na młodych dziewczynach mają małe fiutki albo są impotentami, albo i to, i to, tak myślę. A prawdziwe kobiety mają gdzieś palantów, którzy potrzebują dziewiczych ciał i piersi patrzących w niebo. Oczywiście osaczony Klaus, który chce zawsze mieć ostatnie słowo, brnie w niezdarny monolog, by mi wyjaśnić, że on oczywiście wcale nie jest taki, no skąd, przecież wiesz – ale widząc, że się ubieram, robi niepewną minę, jakby zapomniał, po co się tu znalazł i na jak długo. Dawniej przerwałabym mu, żeby zrobić swoje, kwestia sumienia zawodowego, ale to w końcu jego problem, że dużo gada. Spytał, czy może przedłużyć o godzinę, a ja poczułam, jak pod moimi stopami otwiera się piekło – więc spojrzałam na niego – na jego gatki równie sfatygowane jak on sam, na brodę jak u doktora Biegunki, na tego biednego starca, wyobrażającego sobie, że jego nasienie jest przedmiotem żarliwego pożądania dziewczyn, które próbują po prostu pracować i pozostać uprzejme, i odpowiedziałam: „Przykro mi, jestem zajęta aż do przyszłego tygodnia".

Lorna odpala fajkę od fajki i wydycha pierwszy kłąb dymu z pełnym furii westchnieniem.

– Wiesz, ten facet ma siedemdziesiąt trzy lata, jego żona jest poważnie chora i od dziesięciu lat nie chce słyszeć o seksie. Nie trzeba długo myśleć, żeby zrozumieć, po co przychodzi do burdelu. Ma wrażenie, że powoli dogasa. Było mi go żal – przez chwilę. A potem uznałam, że, do cholery, moje życie też nie zawsze jest łatwe, mam małe dziecko i mnóstwo innych problemów niezwiązanych z forsą, dlatego nie potrzebuję, by jakiś psychiatra bez uprzedzenia przychodził mówić mi, że się postarzałam, że moi klienci zaczną uciekać w ramiona młódek, że szukam substytutu ojca czy symbolicznego

dawcy genów, nie chcę, żeby ktoś przychodził i mnie załamywał, podczas gdy tysiąc innych facetów z radością płaci mi za tę robotę.

W tym momencie wpada Gita, wezwana przez ten czy inny obowiązek, i Lorna chwyta ją w locie:

– Gita! Klaus – mówi ci to coś?

Gita delikatnie zwalnia, marszczy ładny nosek, jakby poczuła smród ze ścieku:

– Chcesz mi popsuć humor?

– Widzisz – ciągnie Lorna – gdy tak banalne imię jak Klaus kojarzy ci się natychmiast z jednym klientem, to zły znak. Zresztą, chciałam mu powiedzieć tyle rzeczy, mogłabym go ustawić jednym pstryknięciem palców. Nie jemu jednemu. Cała armia typów inspiruje mnie do wymyślania genialnych odpowiedzi po fakcie. W tej robocie zabija mnie to, że mam możliwość jako kobieta jednym ruchem palca unicestwić męską dumę, która puchnie od wszystkiego, niepoparta niczym, ale z tej możliwości nie korzystam. Są takie, które to potrafią, ja nie. Nie chce mi się spędzać godziny, ani nawet trzydziestu minut, nawet dziesięciu, z mężczyzną, któremu powiedziałam właśnie, że nie, jego kutas nie jest taki wielki, jak mu się wydaje, i że choć on sam jest ładniutki, to i tak musi płacić dziewczynkom, więc lepiej niech się zachowuje… Wszyscy ci goście, którzy wracają do domu przekonani, że doprowadzili laskę do orgazmu. Ci, którzy biorą ze sobą do łazienki pełną gumkę, bo słyszeli – ciekawe, od kogo – że niektóre dziewczyny wstrzykują sobie spermę klientów, których chcą szantażować. Wyobrażasz sobie, co można by im powiedzieć? Wszystkie te riposty kumulują się z biegiem lat, są jak cysta, która pulsuje we mnie, w moim brzuchu. I ja nigdy nie mogłabym o tym napisać, nie mam do tego talentu i wyglądałoby to na zemstę, ale, kurwa, trzeba z tego zrobić książkę. Śmiałabym się przy takiej lektu-

rze. Wszystkie dziwki by się śmiały. I wszystkie inne babki, bo burdel w gruncie rzeczy jest jak lustro powiększające wszelkie wady, wszelkie przywary mężczyzn; przytępione przez codzienność, tu nabierają niesłychanych rozmiarów.

Na początku rozumiałam Lornę jeszcze mniej niż resztę, bo zawsze dyskutowała w berlińskim dialekcie z innymi Niemkami, które nie dbały o to, czy ktoś wie, o czym mówią. A Lorna nie postanowiła w przypływie skrupułów mówić wyraźniej, gdy widziała, że wytrzeszczam oczy, wodząc nimi między nią a Birgit, jak na meczu tenisowym – ale jakoś przywykłam. Im dłużej mierzyłam się z tym dziwnym dialektem, zjadającym większość słów i wymyślającym na nowo resztę, tym bardziej głos Lorny i jej intonacja stawały się częścią ulubionych melodii – i z zachwytem zdałam sobie sprawę, że ją rozumiem. Rozumiałam ją, lecz przede wszystkim znałam ją na tyle dobrze, że mogłam ją prosić, by powtarzała te kawałki zdań, które mi umykały, i pewnego ranka zaskoczyłam sama siebie, gdy odpowiedziałam: „*Allet Jut*", klientowi, który zapytał, jak się mam, przybierając ton Lorny, gdy się z nami wita. *Allet Jut, Schnecke.*

Niemiecki, którym mówię, szalony język sklecony z berlińskiej gwary i źle odmienianych uczonych słów, to jedyne, czym mogę się pochwalić przed zdumioną rodziną – i uważam, że to zabawne, iż nauczyłam się go w burdelu, od Niemców przybyłych z różnych części kraju, a przede wszystkim – od Lorny, od Birgit, które, chcąc nie chcąc, pozwoliły mi się odszyfrować jak te grube księgi, zwykle niedoczytywane przez nas do końca na studiach po jednym semestrze z zasuszonym profesorem. One są moim monologiem Molly Blum – tak, gdy już w niego wejdę, gdy przebrnę przez wszelkie niedogodności, daje mi on rzadko spotykaną satysfakcję i sprawia bezgraniczną radość.

Summertime, Janis Joplin

Dziś rano pośrodku listy spotkań zobaczyłam małą notkę dopiętą do grafiku: „Svetlana skończyła". Nie jest na urlopie, nie chodzi o przerwę – nie, ona skończyła. Przypuszczam, że zwykły pracodawca napisałby: „zwolniła się". „Skończyła" nie jest słowem takim jak wszystkie. Natychmiast odruchowo uzupełniamy: skończyła z tym gównem. Albo nawet nie, nie trzeba w jakikolwiek sposób precyzować – po prostu skończyła. Już nie jest tego pokroju. Już nie jest kurwą. Może to nadinterpretacja, ale po wyborze czasownika wnioskuję, że doszło do niepisanej umowy między Domem a Svetlaną i już nigdy nie będzie się po nią dzwonić, nawet do okazyjnego towarzystwa, nie będzie się jej nagabywać co dwa miesiące, jak to się zdarza z dziewczynami, które z niewiadomych powodów zaczynają pojawiać się rzadziej, ale którym chce się zakomunikować, że nadal są mile widziane. Jej zdjęcia zniknęły ze strony internetowej. Na jej szafce nie ma etykietki; ze środka zieje pustką opuszczonych pokoi, w których zawsze zaplącze się jakaś wsuwka.

Dziwka, która znika; siłą rzeczy to daje do myślenia reszcie. Birgit powiedziała kiedyś – i był to chyba pierwszy niemiecki żart, który zrozumiałam – że za każdym razem, gdy żeni się jakiś mężczyzna, na świat przychodzi jedna dziwka. Na próżno szukam odpowiedniego żartu, by wyjaśnić ich zniknięcia.

Nikt nie wie, dokąd idą – świat je po prostu odzyskał. Kim się stają? Zwyczajnymi osobami – tak przypuszczam. Ale zastanawiam się: teraz, gdy Svetlana już „skończyła", teraz, gdy seks z nią nie jest już

wyceniany, czy chodzi po ulicach jak wszystkie inne kobiety, które nigdy się nie prostytuowały? Czy porzucając burdel, tracimy z dnia na dzień tę najwyższą świadomość własnej kobiecości? Czy pozbywamy się nawyku, który włącza się za każdym razem, gdy spojrzy na nas jakiś mężczyzna, a my zastanawiamy się, czy jest to były klient, czy też może przyszły? A w kawiarnianym ogródku, siedząc w pobliżu stolika dziesięciu mężczyzn, którzy są zbyt nieśmiali na podryw, więc udają, że klikają w telefony, czy już zawsze będziemy się obawiać, że może właśnie porównują nas z fotkami na stronie internetowej?

Jak izoluje się kawałek swojego życia od reszty? Dziwka to właściwie nie tyle zawód, ile umowa, którą pewnego dnia zawieramy same ze sobą: decyzja o oddzieleniu od seksu wszelkich pojęć związanych z emocjami i zobojętnieniu na nie. Każdy, kto choć raz pracował w burdelu, nie może zrobić kroku w tył, nie może udawać, że seks nigdy nie był biznesem. Inni nadal mogą to ignorować – nie jest to wypisane na czole dziewczyny – ale my to wiemy.

Czy kiedykolwiek naprawdę kończymy? Co dzieje się ze skurczem w okolicy żołądka, który pojawia się, gdy słyszymy słowo „kurwa" wypowiedziane z tego lub innego powodu? Nie możemy już obiektywnie rozmawiać o prostytucji – powinnyśmy zresztą unikać tego tematu, jeśli nie chcemy, by zdradziła nas niepohamowana zajadłość.

Svetlana skończyła. A w burdelu, tak jak wszędzie, życie toczy się dalej, jej brak będzie odczuwalny dla przyjaciółek, które szybko zastąpią ją sobie kimś innym; nie ma to nic wspólnego z żałobą, nikt raczej nie patrzy na to w ten sposób – a może jest to również jeden z wymogów tej pracy: nie przywiązywać się. I pomyśleć, że była przez jakiś czas królową wieczornych dyżurów, że z daleka rozpoznawałyśmy jej głos, że po zapachu wiedziałyśmy, który przed chwilą

zajmowała pokój, znałyśmy brzmienie jej śmiechu, jej krzyków – a odchodząc, zostawia za sobą tylko ledwo widoczny ślad, zacierany przez potrzebę pracy, życia; ten sam schemat stosujemy, gdy polubimy któregoś z klientów, a po pół roku uświadamiamy sobie, że on już być może nie wróci. I co potem? Będą inni. Dziwka to zawód, który sprawdza się wyłącznie w parze z zapomnieniem: klienci zamazują obraz swoich poprzedników, dziewczyny zacierają ślady po innych dziewczynach.

Myślę, że wszystkie mają – że my wszystkie mamy – miejsce w sobie, zarezerwowane dla dziewczyn i dla klientów. Ale nie żal wypełnia to miejsce schowane na dnie duszy; byłoby niestosowne żałować, że któraś z nas zmieniła życie, czyli przeszła na drugą stronę lustra. Wszystkie wiemy, dlaczego z tym kończymy.

Być może nie powinnam nawet wspominać o Svetlanie: odeszła i prawdopodobnie ma się dobrze, pewnie nie chciałaby wypływać z mroków pamięci tylko dlatego, że ją pamiętam, bo była ładna i zabawna, a jej przygody uczyniły moje ciekawszymi. Ale obawiam się, że nie na darmo nazywa się nasze domy „publicznymi". Jeśli jesteśmy różnymi osobami w różnych momentach życia, to Svetlana, ta określona część niej (równie teatralna jak Justine dla mnie), będzie już na zawsze osobą publiczną. Svetlana istnieje na zawsze w tym wymiarze wszechświata, w którym ma dziewiętnaście lat, ciężkie jasne włosy i najpiękniejsze piersi, jakie kiedykolwiek dane mi było oglądać (i niech wybaczą mi kochanki, którym szeptałam ten komplement).

Ależ to były piersi! Zapominałam, że jestem o nie zazdrosna, i mamrotałam czasem pod nosem: „No tak, ale ona ma dziewiętnaście lat, co nie?". Svetlana wracała od klientów w całym majestacie, naga – jak wszystkie inne: a ja w tym życzliwym lesie cycków natychmiast potrafiłam rozpoznać jej piersi. Należały do tej błogosławionej

rasy piersi małych, lecz dużych, ciężkich i urągających przy tym wszelkim prawom fizyki, uniesionych bezczelnie jak pełen wzgardy podbródek, trzęsących się leciutko w ruchu i – o, tak, wyobrażam to sobie – smakowicie podskakujących w purpurowej ciemności pokoju. Były miękkie jak dwie porcje budyniu, z różowymi sutkami, niewiele ciemniejszymi od białej skóry, a ich spód wraz z wypukłością żeber tworzył wzruszający łuk, który uwydatniał się lekko, gdy pochylała się nad rejestrem, by zadziwiająco surowym pismem zanotować godzinę wyjścia klienta. Klienta, który każdą minutę swojej wizyty spędził w stanie niemego zachwytu. Wszyscy o nią dbali; czasem widziałyśmy, jak wychodzi ze Studia z zaczerwienionymi od klapsów udami i tyłkiem, jednak jakaś boska ręka zdawała się chronić jej piersi przed aktami przepisowej przemocy. To były impregnowane, mlecznobiałe, obdarzone leniwymi sutkami, nieczułe piersi Dziewicy, które można wielbić jedynie oczami.

A jednak jeden klient zdołał doprowadzić ją do łez w dniu, w którym akurat mnie nie było, i już nie wróciła nazajutrz. Delilah szepnęła mi o tym w kuchni. Żadna nie zapamiętała, jak wyglądał ów klient, mimo że to akurat ważna informacja; ale *Hausdame* wściekła się i cała czerwona oświadczyła mu, że jeśli będzie zachowywał się w ten sposób, inne dziewczyny też nie będą chciały z nim iść. Zachowywał się w ten sposób? Nikt nie wiedział, co zrobił Svetlanie, że zaczęła płakać i przed czasem jak tornado wybiegła z pokoju. Debata nadal budziła emocje we wspólnej sali, każda szukała wśród własnych klientów tego, który mógł to zrobić, który uśpił czujność *Hausdamen* – jest ich zbyt wielu! Poza tym to, co budzi odrazę w jednej, może być przez inną traktowane z obojętnością – zatem jak odróżnić jednego świra od drugiego? Choć Svetlana była młoda i świeża w zawodzie, nie jest łatwo doprowadzić dziwkę do łez, zwłaszcza tutaj: aby to zrobić, trzeba ją wystraszyć, czyli sprawić, by zapomniała na

moment, że tu nic się nie może wydarzyć, jeśli tego nie zechce. Trzeba wyprzedzić nieustający strumień myśli, przepływający przez głowę dziwki, trzeba zdusić w zarodku zamiar wyjścia z pokoju i zawołania pomocy.

Ta myśl przypomina mi, że nad głowami stale wisi nam miecz Damoklesa, i zapytałam o to Pauline, by rozłożyć ten ciężar na dwie osoby: gdyby jutro zjawił się tu jakiś szaleniec z żyletką w kieszeni i uznałby, że „ozdobi" nieco buzię którejś z dziewczyn, to nic nie mogłoby go powstrzymać. Nie mamy ochroniarzy, ale nawet gdyby, niewiele by to zmieniło: zanim dotarliby na pierwsze piętro, dziewczyna już miałaby poderżnięte gardło. A nawet gdybyśmy zapomnieli o żyletce, wtrąciła się Rosamund, która słuchała nas, siedząc półdupkiem na kuchennym blacie, gdyby jutro jednemu ze stałych klientów, takich, którym już ufamy, zaczęło odbijać – załóżmy, że przechodzi załamanie i zjawia się tu ze spluwą pod płaszczem, zdecydowany, że nie wyjdzie ani spokojnie, ani sam… Rosamund mnoży przypuszczenia, krojąc imbir, nie podnosząc wzroku na nas, a tymczasem my spijamy każde jej słowo i czujemy lekkie dreszcze. Wyobraźmy sobie, że dziewczyna ma trochę szczęścia i dociera na parter, w pobliże wspólnej sali, gdzie może już kogoś zaalarmować; gdzie jest powiedziane, że gorączkowe wtargnięcie *Hausdame*, spadająca pięść czy jakikolwiek odgłos z zewnątrz nie skłoniłby zdesperowanego klienta do naciśnięcia spustu? Ot tak, bez ostrzeżenia.

– PAM! – rzuca Rosamund obojętnym tonem, celując palcem w stół, przy którym palimy z Pauline.

Ale nawet jeśli nie strzeli, nie od razu; nawet jeśli tylko chwyci dziewczynę za włosy, wodząc błędnym wzrokiem i krzycząc, że jego życie nie ma sensu i że mogą sobie dzwonić po policję; jeśli zacznie się cofać w kierunku otwartych okien, ciągnąc za sobą drżącą ze strachu dziwkę, przyklejony do niej niczym kopulujący doryforos…

czy istnieje jakikolwiek podręcznik, w którym wyjaśniono personelowi, jak należy się zachować w obecności szaleńca? Nie, w razie czego będzie po nas; jeśli jakiś szaleniec postanowi uszczuplić naszą gromadkę, pozostaje nam tylko nadzieja, że Pan Bóg swoich rozpozna.

Ten incydent wzmaga naszą ostrożność przez tydzień, ale czas płynie, jak to ma w zwyczaju, i zapominamy (choć od tamtego dnia, gdy tylko jakiś klient sięga po portfel w wewnętrznej kieszeni, staje mi przed oczami imbir i Rosamund z naprężonym kciukiem i palcem wskazującym, przerażająco spokojna – PAM!). Nie możemy wiecznie tłoczyć się na dole i nikt nie ma takiego zamiaru – dopóki sprawdza się powiedzenie, że nieszczęścia zawsze przytrafiają się innym.

Przez wiele dni zastanawiałam się, co czeka Svetlanę na zewnątrz, wyobrażałam ją sobie uczepioną ramienia chłopaka jej pokroju, dla którego przeszłość nie ma znaczenia – gdy się ma dziewiętnaście lat, przeszłość jest tylko maleńką bańką pełną odczuć, niczym więcej. Nie myślałam, że przepłoszył ją stąd brutalny klient, przecież służyłyśmy sobie nawzajem za pogotowie psychologiczne – ale może to dlatego, że mam dwadzieścia pięć lat i jeśli któregoś dnia jakiś klient doprowadzi mnie do łez, będę mogła zwinąć się w kłębek i umrzeć.

Nie zmienia to faktu, że sama też dałam się wrobić. Początkowo facet wyglądał nieszkodliwie – nie traktowałam go nieufnie. Był przystojny; ale tak jak nieszczęścia nie zawsze przytrafiają się wyłącznie innym, tak szaleńcy rzadko mają wypisane na czole, że są szaleńcami. Z wiekiem powinnam była się tego nauczyć i to stwierdzenie wyrywa mnie z letargu. Czułam pewne napięcie, gdy dotarliśmy do Białego Pokoju. Ten mężczyzna wypełniał przestrzeń w dziwny sposób, nie taki, do jakiego przywykłam. Ale przecież tyle już tutaj widziałam; nie ma bardziej infantylnego i niewinnego pokoju niż

Biały, tu zawsze najbardziej banalni mężczyźni czują, że rosną im kły i szpony – jakby wtargnięcie do dziewczęcego świata budziło w nich destrukcyjne instynkty.

Stałam, paliłam, patrzyłam na niego i zastanawiałam się, co go tu przywiodło. Takiego przystojniaka. Jego ciężkie powieki przypominały mi świat nieodwracalnie pochłonięty przez odmęty czasu, zaginioną Atlantydę. Musiał wyczuć we mnie tę iskierkę żądzy i pewnie był z tych, którzy lubią u dziwki cichą rezygnację – a może nawet z tych, których podnieca niemal namacalna odraza nowicjuszek.

– Wyglądasz tak młodo – westchnął, przyciskając swój nos do mojego. – Ile masz lat?

A ponieważ widać było, że chcę powiedzieć prawdę, położył mi dłoń na ustach.

– Nie mów. Wyglądasz, jakbyś dopiero co skończyła osiemnastkę. Cholera, może nawet jeszcze jej nie skończyłaś?

– Może jeszcze nie – zaszczebiotałam, zsuwając ramiączka kombinezonu, zapodając mu jedno z tych bezwstydnych kłamstw, które są wiarygodne wyłącznie w alkowie i które on łyknie wyłącznie dlatego, że ma na to ochotę.

– Nie, zaczekaj. Nie rozbieraj się. To bardzo ładny ciuszek.

Miał piękny nos; powoli sunął nim po mojej szyi i głębokim głosem wypowiadał słowa, od których niemal niedostrzegalnie wyłaniała się z odmętów Atlantyda.

– Lubię młode dziewczyny, wiesz.

Złapał mnie za rękę i położył ją na swoim udzie.

– Czujesz, jak na mnie działasz?

Siedziałam na nim okrakiem, a jego oddech pachniał mężczyznami z zewnątrz, czułam, jak budzi się we mnie chore pragnienie, by jego ręce wędrowały po moim zazwyczaj uśpionym ciele, czułam w dole pleców to straszne, to rozkoszne mrowienie, tę potrzebę,

żeby mnie wziął, za chwilę, nie od razu, nie tak; to uczucie, że jestem żywa, mój Boże, nagle naprawdę żywa, bez zegara w głowie, bez najmniejszego pojęcia, gdzie i jak to się skończy – ta scena mogła trwać, ale gdy pokornie pieściłam jego kutasa policzkiem, powstrzymując jęki pożądania, usłyszałam jego głos, pełen przemocy głos mężczyzny, któremu staje:

– Obciągnij mi tak, bez gumki.

I w ten prosty sposób na powrót stałam się kurwą. Poczułam na plecach wiadro kostek lodu, próbowałam zachować zimną uprzejmość gejszy, aby wyjaśnić mu, że nie ma mowy – nagle spadł ma mnie deszcz zawodowych detali: nie znam go, nie poszedł pod prysznic, jest jakiś dziwny.

Nie było nic zaskakującego w tym, że chciał bez gumki. To jego twarz wyglądała inaczej. Sposób, w jaki nalegał, jeszcze i jeszcze, do tego stopnia, że z mojej żądzy została już tylko chęć, by go podrapać – i ta myśl niepokoiła mnie samą. I instynkt, który nie miał nic wspólnego z tym, czego uczymy się w burdelu – zwyczajny kobiecy instynkt – podpowiadał mi, że już nie można mu ufać. Nie wiem dokładnie, kiedy i po czym poznałam, że to on. Prawdopodobnie po wszystkim, po jego obsesji wieku i brutalności jego klapsów, jak gdyby się powstrzymywał, by nie walnąć pięścią.

Byłam zafascynowana tym, co czasem malowało się na jego twarzy, zafascynowana i przerażona. Mówiłam sobie, że moment, w którym nie będę mogła go dłużej znieść, nadchodzi wielkimi krokami, był jak pies gotowy zagryźć, gotowy roznieść na strzępy – a ja czułam głupią radość, że się nie nudzę. Z zewnątrz wyglądaliśmy bardziej, jakbyśmy się bili, a nie uprawiali seks: rzucał mną na wszystkie strony, ciągnął za włosy, miażdżył swoim ciężarem, jeszcze się kontrolował, ale byłam przekonana, że już niedługo – jak fala pochłaniająca

groblę, i choć cofałam się i cofałam, to wiedziałam, że mnie również zaleje.

Popełniłam błąd, sądząc, że mogę go utrzymać w ryzach dzięki temu, co wydawało się tak bardzo go podniecać – czyli mojej rzekomej młodości. Sposób, w jaki powtarzał, oscylując między zachwytem a gniewem: „Jesteś taka młoda, wyglądasz tak młodo, jak mała dziewczynka". Śmiałam się w duchu, speszona tą obsesją młodości u mężczyzn, którzy sami już powoli przekwitają, ten kaprys wydawał mi się niewinnie oczywisty – gdy nagle z zamyślenia wyrwał mnie mocny policzek. Ogłuszona podniosłam się na łokciach, chciałam zaprotestować, ale drugi cios przygwoździł mnie do poduszki; tkwiłam pod nim, a on patrzył na mnie, z twarzą przy mojej twarzy, wdychając opary mojej wściekłości:

– Chcesz uciec, tak? No, spróbuj. Spróbuj, kurewko, spróbuj.

Nie dałam mu tej satysfakcji i nie próbowałam, to było niemożliwe. Typ, którego mogłabym przewrócić jednym pchnięciem, gdy jeszcze byliśmy w ubraniach, teraz czerpał nie wiem skąd nadludzką siłę. Lizał mi policzek, długo – znienawidziłam go w tym momencie, i nie mogłam pozbyć się tej nienawiści.

– Nie możesz uciec – wrócił do tematu – bo jesteś malutka. Mógłbym zrobić z tobą, co zechcę.

Roześmiałam mu się prosto w twarz, ale go to nie wzruszyło. Leżał na mnie jak kłoda, jego gałki oczne skakały między powiekami.

– Wyglądasz na szesnaście lat. Powiedz, że masz szesnaście lat.

Ponieważ przerażona nie odpowiadałam, znów wymierzył mi policzek; przyskoczyłabym do niego z wyszczerzonymi kłami, gdybym tylko mogła się poruszyć. Musiał to poczuć, bo chwycił mnie za podbródek, a jego twarz przybrała wyraz nieopisanego smutku:

– Możesz się mścić, wiesz. Też możesz mnie uderzyć. Wiem, że jestem chory, dobrze o tym wiem. Powiedz, że masz szesnaście lat –

wyjęczał błagalnie.

Widziałam w nim już tylko żałosnego typa pod pięćdziesiątkę, który mógłby wyglądać na trzydzieści pięć lat, gdyby jego piękne włosy nie były już przyprószone siwizną i gdyby nie miał tej żenującej potrzeby egzekwowania autorytetu na bardzo młodej dziewczynie, bo kobiety były silniejsze i inteligentniejsze niż on. Moją rolą nie było wychowywanie tego mężczyzny – mogłam tylko grać w jego grę, i dopóki mnie nie bił, nie było w tym nic trudnego. Przygryzłam wargi i powtarzałam tuż przy jego uchu:

– Mam szesnaście lat.

Czułam, jak drży między moimi udami, już nie mściwy, lecz rozmiękczony upojeniem, z jakim słuchał tej aberracji, łagodny jak mężczyzna, który uprawia miłość – a ja, powodowana sprytem, ale też ciekawością, brnęłam dalej:

– Mam piętnaście lat…

Jęknął, jakbym dotknęła wyjątkowo wrażliwego miejsca w jego mózgu, a ja, wahając się nieco, podjęłam swoją leniwą wyliczankę:

– Mam czternaście lat…

Zobaczyłam siebie w tym wieku, pulchną i naiwną, z aparatem na zębach – i zobaczyłam też tego typa, w tłumie rodziców czekających na gimnazjalistów wychodzących z lekcji, z nabrzmiałym kroczem i zakłopotaną miną człowieka, który przed chwilą narobił w gacie:

– Mam trzynaście lat…

Dotarłam do jedenastu lat, zanim poczułam, że szokuję sama siebie – bo było oczywiste, że mogę dociągnąć do sześciu, zanim mu nie opadnie; a i co do tego nie byłam pewna. Pewne było jedynie to, że tchnęłam w jego pożądanie dodatkowy sadyzm. Wyprostował się nagle, złapał mnie za gardło, a ponieważ przeraziły mnie jego oczy, chciałam sturlać się z łóżka. Ale on złapał mnie za włosy, nieczuły na kopniaki, którymi częstowałam go na oślep. Słyszałam, jak charczy

w moje włosy, że jestem tylko kurwą, brudną kurwą, że zrobi ze mną, co zechce. I zanim wpadłam na pomysł wycelowania nogą w to miejsce, tam, gdzie ból powstrzymałby go siłą rzeczy, spadł na mnie deszcz ciosów w twarz. Spuściłam wzrok na swój podarty jedwabny kombinezon i przed oczami stanęła mi Svetlana, wybiegająca z płaczem z pokoju, jakbym naprawdę była świadkiem tej sceny; wyobraziłam sobie skruszoną minę tego typa, wysłuchującego pretensji *Hausdame,* ta wizja była tak jasna, że to mógł być tylko on. Nie miałam co do tego żadnych wątpliwości, sama też czułam, że jestem bliska łez; łez wściekłości, czystej, morderczej wściekłości, oscylującej pomiędzy faktem, że mnie pobił, a tym, że wypłoszył dziewczynę z najbezpieczniejszego burdelu w Berlinie i że czuje się na tyle bezkarny, iż wraca na miejsce zbrodni niecały tydzień później. I że coś takiego przytrafiło się właśnie mnie! Przecież zdecydowanie wyglądałam na więcej niż dziewiętnaście lat i miałam zbyt duże doświadczenie, by dać się doprowadzić do płaczu przez sytuację taką jak ta. Skoro ja tak się czułam, to aż bałam się przypuszczać, co działo się w głowie Svetlany. Wyobrażałam sobie, jak Svetlana bierze się w garść, tak jak to tylko było możliwe, a potem stopniowo uświadamia sobie, że nie ma żadnego „bezpiecznego słowa", zdolnego skanalizować ten typ chuci, tak jak nie ma obopólnej zgody na bicie i ten niezdrowy klimat zwiastujący morderstwo. Nie był to łatwy do opanowania klient komediant, ale dzikie zwierzę, ogłupiałe od ciężaru własnych łańcuchów. Pomyślałam, że powtarzając słowo „kurwa", zdołał przekonać Svetlanę, wciągnąć ją w swoją fantazję wbrew jej woli – a ona pod gradem ciosów musiała czuć się bardzo samotna, bezradna wobec stwierdzenia, że również tak wygląda burdel i prostytucja; że coś takiego być może nigdy by jej nie spotkało w normalnym świecie. Słowo „kurwa" generalnie należy w pełni do nas; nie słyszymy go z ust klientów, a jeśli już, to bardzo rzadko, w najwy-

ższym uniesieniu, dla mężczyzn ma ono w sobie coś z bluźnierstwa i trywialnie za nie przepraszają, gdy już dojdą. Z nim było inaczej. W sposobie, w jaki wymawiał to słowo, odbijało się moje własne położenie, i było to położenie niezbyt godne pozazdroszczenia, bo dopuszczało tego typu stosunki. Nagle odniosłam wrażenie, że zapisałam już całe strony kłamstw – i ten mężczyzna przybywał jak anioł śmierci, by ustanowić prawdę: „Pisz, co chcesz, upiększaj wszystko, jak tylko to możliwe, ale kurwa pozostanie kurwą, a ty wiesz, kim jest kurwa? Twoja praca wymaga, byś milczała tam, gdzie normalna dziewczyna wymagałaby szacunku. Normalna dziewczyna wywaliłaby mnie stąd kopniakami, ale nie ty; ty grzecznie zamkniesz gębę i dasz mi się pierdolić, dasz mi się bić, a gdy z tobą skończę, podziękujesz mi za przyjście i zaczniesz jęczeć, tak jak wszystkie inne, bo masz kilka siniaków, a to wymaga małej dopłaty – i czemu nie, jeśli będę miał humor? Co innego możesz zrobić? Powiesz swoim koleżankom kurwom, żeby mnie nie przyjmowały, ale co mnie to obchodzi? Jest tyle burdeli w Berlinie i nikt mnie jeszcze tam nie zna, mogę wmawiać dziewczynom młodszym od ciebie, że same wybrały takie życie, że na tym polega bycie kurwą".

Myślałam o Le Manège, myślę o wszystkim, co przysłowiowe sumienie zawodowe kazało mi dotąd robić z uśmiechem, lecz zawsze nocą pozwalało mi spać spokojnie, myślałam o tym, co znosiłam, powtarzając sobie, że to tylko uczyni moją książkę zabawniejszą lub ciekawszą; myślałam o wszystkim, czego zaznałam poza burdelem i czego dziś już nie byłabym w stanie znieść – wszystko, na co godziłam się, bo byłam młoda, miła i chciałam się podobać. Wróciły do mnie wspomnienia o opresji ze strony wszystkich mężczyzn, których kochałam, choćby przez chwilę, do tego stopnia, że zapominałam, jak wielkim bywali ciężarem. Myślałam, co by zrobił Jules, mój nowy chłopak, gdyby mnie teraz widział. Pomyślałam o godzinach spędzo-

nych w Domu, by zapełnić konto przed podróżą do Nowej Zelandii, i o nędznej sumie, na którą zostanie wyceniona moja dzisiejsza cierpliwość. Myślałam o Stéphanie i o tym, jak mu to opowiedzieć – opowiedzieć, że pozwoliłam temu mężczyźnie się krzywdzić, bo mi zapłacił i nie mogłam się bronić. Oto anegdota podsumowująca całe położenie dziwek, i ja również byłam jedną z nich, ponieważ w tym uczestniczyłam, i to wcale nie było śmieszne. Zastanawiałam się, ile był wart, w ujęciu finansowym, fakt, że nie mogłam opowiedzieć tego najlepszemu przyjacielowi i że musiałam przemilczeć to złe doświadczenie w rozmowach z chłopakiem, który czekał na mnie tysiące kilometrów stąd. Pomyślałam, że gdybym opowiedziała o tym Stéphane'owi, zacząłby się o mnie bać, wyczułby mój strach, i że nie jest to ani inteligentne, ani seksowne, ani zabawne – że nie można wiecznie bawić się w bycie dziwką, w pewnym momencie trzeba się nią stać, akceptując związaną z tym zawodem abnegację i poświęcenie. Ale, do kurwy nędzy – nie! Nie ma mowy!

Jego ostatni cios uderza w próżnię, wydostałam się z jego objęć, ślizgając się po parkiecie w jedwabnym kombinezonie, i wrzeszczałam:

– Nie! Nie! Do cholery!

A on natychmiast się skulił z miną wyrażającą trudną do zniesienia skruchę. Wstałam na nieco chwiejnych nogach, patrząc na kwiecisty pokój, na swój ulubiony kombinezon cały w strzępach, usłyszałam słodką muzykę dobiegającą z głośników.

– Za kogo ty się właściwie uważasz?

Zawstydzone milczenie dziecka, które ugryzło swojego kolegę.

– Na klapsy się zgadzam, policzki jeszcze ujdą, ale bić dziewczynę w ten sposób? Naprawdę ci odbiło?

Mój gniew nabrał innej głębi, gdy zdałam sobie sprawę, że naprawdę mam ochotę się rozpłakać – mimo że teraz stałam, że wyra-

żałam swoje oburzenie, pozostawałam w jego oczach tylko kurwą, która nagle uświadomiła sobie, że zarobi za mało za obicie gęby. Nie kobietą, którą obrażono, lecz dziwką, która obawia się o swoje narzędzia pracy. I w gruncie rzeczy to też była prawda.

Był tu, klęczał z rozpiętym rozporkiem, z chujem sterczącym pod brzuchem, i pożerał wzrokiem zbitą małą dziewczynkę, która buntowała się przeciwko wszechmocy tatusia. Rozkoszował się łzami, które powstrzymywałam. I rzucił się do moich stóp:

– Nie chciałem cię skrzywdzić, nie wiedziałem, że cię krzywdzę…

– A kiedy mówiłam, żebyś przestał? A kiedy próbowałam uciekać?

– Nie mówiłaś, żebym przestał.

– Nie dotykaj mnie! Jeszcze raz mnie tkniesz, a rozkwaszę ci gębę, zrozumiano?

Zapaliłam papierosa, a on wstał chwiejnie i usiadł na drugim krańcu kanapy. Niesamowite, jak bardzo przypominał pierwszego mężczyznę, którego kochałam, któremu nigdy nie śmiałabym odmówić, nie tym tonem, nie tak.

– Przepraszam – westchnął zawstydzony. – Mogę zrobić coś, żebyś mi wybaczyła?

– Możesz wyjść.

– Wyjdę.

– Świetnie.

Zapiął rozporek, włożył buty, długi płaszcz. Zanim zamknęłam za nim drzwi:

– Mogę jeszcze do ciebie wrócić?

Już nie czułam tamtej furii, potulnie wróciłam na swoje miejsce, poza ciało, a mój mechanizm działał pełną parą.

– Obiecuję, że będę grzeczny.

– Nie zmuszaj mnie, bo będę naprawdę niedobra.

– Możesz być. Wiem, że na to zasługuję.

I poszedł; w jego oczach był smutek, jakaś niesamowita rozpacz; wiedziałam, że jeśli wróci, przyjmę go – bo teraz już byłam pewna, że to On.

Na dole o niczym nie wspomniałam dziewczynom. Thaïs na widok moich czerwonych policzków i krótkiego oddechu zapytała, chichocząc, czy doszłam – ona prawdopodobnie tak, bo właśnie skończyła spotkanie ze stałym klientem, który rezerwował ją na godzinę, by spędzić ten czas z twarzą między jej udami. Nie potrafiłabym wyjaśnić, co wówczas czułam, nie czułam zbyt wiele, już byłam w trakcie pisania. Obrazy z ostatnich godzin przesuwały się w mojej głowie z irytującą precyzją; miałam ochotę zawołać szefową i obłożyć tego typa starym, dobrym *Hausverbot* – chciałam pozwolić mu wrócić, pozwolić mu fantazjować o laniu, jakie mi sprawi, a potem powiedzieć mu „nie". „Nie, jeśli chodzi o mnie, ale także o inne dziewczyny, stary, nigdy tu więcej nie przychodź". A wcześniej poinformowałabym o wszystkim dziewczyny, może powiesiłabym w salonie wyczerpujący opis typa, żeby już nigdy, niezależnie od zaproponowanej sumy, nie położył swoich łap na jakiejkolwiek rezydentce Domu. Podkreśliłabym, że to właśnie on był klientem Svetlany. Rozpowszechniłabym tę wiadomość we wszystkich okolicznych domach, w których na pewno próbowałby szczęścia; o ile już tego nie zrobił. O ile już nie doprowadził się do orgazmu frustrata między posiniaczonymi nogami jakiejś półlegalnej młodziutkiej Polki.

Teraz, gdy się uspokoiłam, dostrzegam, że były klient Svetlany jest moim pierwszym prawdziwym burdelowym dylematem. Podjęcie decyzji, czy taki klient jest do ogarnięcia, czy też nie, to nowa, znacznie bardziej złożona udręka w porównaniu z dylematami, z jakimi zmagam się zazwyczaj, takimi jak decyzja, czy nadal chcę widywać Waltera, który próbuje wsadzić mi palec w dupę, mimo że się na to

nie zgadzam, albo Petera, którego bezustanne odgrywanie ról rozbija mnie na tysiąc rozproszonych kawałków. Ci dwaj, podobnie jak większość, nie są dla mnie żadnym problemem moralnym, nie robią nic, co mogłoby w sposób uzasadniony spłoszyć porządną kobietę – a Peter, choć tego nie chce, powinien swoimi fantazjami podzielić się z żoną, wtedy nie musiałby już wydawać pensji w burdelu. Podobnie Walter, który przychodzi z nudy i prawdopodobnie z lenistwa: to nie takim mężczyznom najbardziej potrzebny jest burdel. W każdym razie nie tak to sobie wyobrażam. Burdel to miejsce, które wymyślono w czasach, w których istniały wyłącznie dziwki i porządne kobiety, i można w nim było domagać się rzeczy, prowadzących w normalnym życiu do rozpadu małżeństwa albo do stryczka na publicznym placu. Zgoda, wdowcy zagłuszali w nich swoją samotność – ale było to przede wszystkim miejsce, w którym chroniono małżonki przed dziwacznymi wymysłami mężczyzn, ponieważ sądzono, że wyprężony kutas ma wpływ na pracę innych ich narządów wewnętrznych. Wystarczy poczytać de Sade'a… W tysiącach anegdot, które przytacza albo wymyśla – nieważne – odnaleźć można fantazje, przy których opowiastki mojego klienta wydają się szczytem bigoterii. W *Stu dwudziestu dniach Sodomy* jedna z opowiadaczek (o, proszę, jakie ładne słowo) wspomina wizytę, jaką złożyła pewnemu wielmoży, gdy była bardzo młoda: nikt ją o niczym nie uprzedził, zamknięto ją w ciemnym pomieszczeniu, gdzie po długich godzinach zjawili się słudzy przebrani za duchy uzbrojone w szpicruty; w tym czasie pan domu gorączkowo robił sobie dobrze, słuchając, jak dziewczyna obija się o ściany i wrzeszczy ze strachu – dostała za to sowitą zapłatę. Zauważmy, że w chwili opowiadania tej historii kobieta ma pięćdziesiąt lat i brakuje jej kilku palców oraz kilku zębów, wyrwanych przez klienta, który za ten kaprys zapłacił jej jeszcze więcej. Nie ma wątpliwości, że narratorem jest tu bardziej bezczynność de Sade'a niż sam

de Sade; trudno wyobrazić sobie, jak lata więzienia kształtują wyobraźnię człowieka. Tak czy inaczej, jest w tym ziarno prawdy; burdel zawsze miał być przestrzenią wolności, choć może się to wydawać obelżywe. A rezygnacja i cierpliwość zawsze sprawiały, że dziwki tłumiły oburzenie, podwyższając rachunek. Tak jest do dziś, nawet jeśli teraz traktuje się dziwki niemalże jak zwykłe obywatelki, mające niezbywalne prawo do mówienia „nie".

On nie domaga się niemożliwego: chce bardzo młodej dziewczyny, albo takiej, która wygląda na młodą – to nie zdziwi żadnej prostytutki, chyba że jest stara albo w złym humorze. Jednak przeciąganie struny, wybranie dwudziestopięcioletniej dziewczyny i szeptanie jej, że ma jedenaście lat, to już skrajność i działanie moralnie nie do przyjęcia, jednak by to ustalić, potrzebna by była rozmowa, na którą nie ma miejsca w pragmatycznym umyśle dziwki na dyżurze. Okraszenie fantazji kilkoma policzkami – jeszcze ujdzie. Oczywiście my, rezydentki Domu, jesteśmy jak ładne, tłuściutkie przepiórki i trudno by mu było znaleźć chętną. Ale przypuszczam, że jest gdzieś miejsce, gdzie za okrągłą sumkę można sponiewierać dziewczynę, nazwać ją kurwą, kazać jej udawać dziewczynkę, a w bonusie – dać sobie obciągnąć bez gumki. Pewnie można nawet ją sprać, i to mocno, ale najpierw trzeba to uzgodnić.

Jednak czyż obyczaj uzgadniania wszystkiego wcześniej, na mocy ustaleń, że dziwka pozostaje kobietą i istotą ludzką, mającą swoje prawa, których nie może naruszyć żadne wynagrodzenie, nie jest burdelową perwersją, wprowadzoną w XX wieku, na fali szacunku do wszystkiego, co się rusza, oddycha i komunikuje swoje potrzeby?

Mężczyzna podnieca się wtedy, gdy może wziąć dziewczynę z zaskoczenia – i tu właśnie leży dylemat: rozumiem go. Czerpie rozkosz z faktu, że wygląda jak normalny facet, który przyszedł dorzucić swój nasienny pieniążek do tej zbiorowej kasy, i widzi, jak stopniowo

w oczach kobiety pojawia się strach, obserwuje tę profesjonalną maskę, która się zsuwa, odsłaniając prawdziwą twarz dziwki; dziwki, która zawsze była tylko dziewczyną pełną obaw i awersji takich samych jak u reszty świata. Zaspokajanie się przy użyciu pięści, choć bardzo prymitywne, jest tylko próbą uczłowieczenia maszynek do seksu, którymi dla wielu są dziwki.

Tylko że nie chodzi już o pieniądze; żadna dziewczyna nie zgodziłaby się iść z klientem, nie wiedząc, do czego jest zdolny; zawieszenie w teraźniejszości to najgorsze, co może przytrafić się dziwce. Brak możliwości wyobrażenia sobie końca – jakikolwiek miałby być. Nawet gdyby klient posunął się do jasnego sformułowania żądań: „Chcę ci obić gębę pięścią", i otrzymałby pozwolenie – byłoby to, owszem, dość niepokojące, ale przynajmniej wiadomo by było, czego się trzymać. Tylko że ten mężczyzna całkiem traci kontrolę, kiedy mu staje, dlatego nawet nie wpada na to, by uprzedzić dziewczynę, sam nie wie, co się wydarzy. Nie wiadomo, jak rozplątać chaotyczny kłębek jego erotycznej wyobraźni, w której młode, bardzo młode dziewczyny są jednocześnie zdzirami i dziewicami, są podporządkowane, lecz zdolne się zbuntować, powinny się mścić, ale mają się go bać, i to bardzo, z prostego powodu: skończą skatowane… Być może on sam czuje, uprawiając seks, jak bardzo jego ideał jest niejasny i nieosiągalny, jak frustrująca jest ta bezkształtna żądza, której jedyne dostrzegalne ucieleśnienie ma zapach i kolor krwi. W głowie takiego faceta istnieje mnóstwo scenariuszy, których wspólnym elementem są ciosy, zakazy, krzyki, przyduszanie – i nie wiadomo, czy jest to wynik frustracji, czy to jest jej apogeum, czy wręcz przeciwnie: on bije, żeby nie zrobić czegoś gorszego.

W burdelu nie ma rzeczy niemożliwych; teoretycznie jest on wentylem bezpieczeństwa, chroniącym mężczyznę przed kłopotami, koniecznością tłumaczenia się, a nade wszystko – przed więzieniem.

Od kilkudziesięciu lat tę funkcję spełnia pornografia: po sieci krąży co najmniej milion filmów pokazujących to, czego pragnie taki typ, czyli dziewczyny skatowane przez mężczyzn. I nie musi szukać daleko, właściwie w ogóle nie musi szukać. Nawet na stronie głównej mojego ulubionego portalu roi się od niedwuznacznych tytułów, nie trzeba żadnych słów kluczy, wygląda na to, że komputer sam generuje to pole leksykalne – natomiast jeśli chcemy pooglądać filmy romantyczne, seks między ludźmi, którzy się kochają, musimy stosować semantyczne wybiegi, i to jakie! Życzę powodzenia każdemu, kto chciałby znaleźć film, w którym nie będzie mowy o laniu, policzkowaniu, szarpaniu, napieraniu, poniewieraniu, traktowaniu jak mięso, kalaniu spermą, sikami, gównem, duszeniu, nadużywaniu, gwałceniu… a równolegle do filmów amatorskich, które w cudowny sposób są jednocześnie najbardziej podniecające i najbardziej czułe, mamy produkcje studyjne, w których aktorki porno, najwyraźniej znużone odgrywaniem zepsutych studentek, wbrew wszelkiej logice udają dziwki. W naszych czasach masturbujemy się do komedii, w których metadziwka gra dziwkę, czyli profesjonalistkę udającą podniecenie, masturbujemy się, patrząc na dziewczynę, która nie ma ochoty, grającą dziewczynę, która również nie ma ochoty, ale której się płaci – więc nie ma nic do powiedzenia. Fascynujący jest widok tych min, tej fałszywej żądzy i rezygnacji, tych odruchowych gestów, rozsuwania pośladków i jęków – „och, och" – podczas gdy oczy wędrują od góry do dołu, od lewej do prawej, zdradzając najskrytsze myśli i chęć, by jak najszybciej zakończyć tę maskaradę. Jak gdyby po wyeksploatowaniu wszystkich historii, w których studentka lub szanowana pani domu zostaje sponiewierana i domaga się więcej, mężczyźni podniecali się już tylko, wyobrażając sobie potulną dziwkę, z którą można zrobić wszystko za nie do końca adekwatną opłatą. To takie proste, a jednocześnie – takie deprymujące. Nie mu-

szę tłumaczyć, co mówi to o świecie, w którym żyjemy. Być może te filmy stanowią mniejsze zło, okazję do zaspokojenia fantazji o przemocy i dominacji, i dzięki nim zwykłe kobiety oraz dziwki nie muszą znosić takiej brutalności jak dawniej, gdy technologia nie potrafiła jeszcze ucieleśniać chwilowych fantazji.

Załóżmy: jest mężczyzna z pozoru normalny, lecz tłumiący popędy, których nikt nie może zaspokoić ani unicestwić – morderca kobiet na wolności, próbujący podejść jak najbliżej granic legalności, zakładając, że dziwka będzie się wstydziła powiedzieć o tym policji. Jak daleko się posunie? Do jakiej skrajności doprowadzi go potrzeba zadawania ciosów komuś, kto je przyjmuje, jaki będzie kolejny etap? Jeśli nawet burdel nie jest w stanie złagodzić tego napięcia, jeśli w ogóle nie jest to napięcie, ale morderczy, zwierzęcy instynkt – czy oznacza to, że utkwił samotnie w nałogu? Utknął między swoim psychiatrą a samym sobą, między moralnością a tym podstępnym wewnętrznym głosem, który szepcze mu do ucha na widok każdej dziewczyny ze Wschodu: „Sądzisz, że się popłacze, jak ją spoliczkujesz? Jaki wyda odgłos? Czy będzie jęczeć, czy raczej gryźć poduszkę, modląc się, żebyś szybko skończył?".

Myślę o swojej siostrze. Mijam liceum przy stacji metra, widzę wszystkie te pełne życia dziewczyny o pięknych białych zębach i malutkich piersiach, w których kryje się cała nadzieja, cała czułość świata, bez krzty nieufności wobec rodzaju ludzkiego. Uwodzicielskie, kuszące i nieświadome własnej urody. Ich zalotne spojrzenia nie mają żadnego konkretnego adresata, obdarzają nimi cały świat, ale taki mężczyzna, czatujący w pobliżu, na pewno wziąłby je sobie do serca – i jak oprzeć się pokusie zrobienia w bambuko napalonego starca, gdy się ma siedemnaście lat i potrzebę podobania się wszystkim? Myślę o swojej siostrze, myślę o sobie w tym wieku. I o tym, jak łatwo byłoby odciągnąć mnie od koleżanek i okręcić w kawiarni,

a później, wieczorem, w hotelowym pokoju. Och, jak łatwo byłoby mnie przekabacić! Własna zuchwałość kazałaby mi utrzymać to w sekrecie, a ja w całości oddałabym się tej przygodzie. I w chwili, gdy podniecony, podniósłby na mnie rękę, przekonałabym sama siebie, że tak wygląda wyrafinowany seks dorosłych, i dzielnie dałabym się mu skatować, zbyt dumna na protesty, zbyt dumna, by przyznać się do strachu. Jakąż potulną zwierzyną jest ta horda małych kobietek, które śmieją się za głośno, których radość zbyt rzuca się w oczy; niecałe dwieście metrów oddziela liceum od burdelu, i czy mogę mieć pewność, że wysiadając z metra, ten mężczyzna nie poczuł pokusy? Gdyby nie było burdelu, w którym może to robić legalnie, czy na pewno nie poszedłby szukać szczęścia wśród młodszych dziewczyn, podatnych na manipulację? Mogę się założyć, że jedynym argumentem zdolnym utrzymać go z dala od tej szkoły i od każdej innej jest myśl, że gdzieś w Berlinie czeka już na niego cela. I jedyne, co mogę zrobić, to modlić się, by ta myśl nigdy go nie opuściła albo żeby któregoś dnia przesadził z jakąś dziwką i dał się wreszcie przyskrzynić – i żebym tą dziwką nie była ja.

Ballrooms of Mars, T. Rex

W oknach nie ma krat. Żadnych zamków w drzwiach. Trzeba tylko wcisnąć kilka klamek, a potem już podwórko, ulica, świat. Te, które chcą odejść, mogą to zrobić, Dom nie będzie ich zatrzymywał. Zresztą często wracają. Niespodziewane dezercje, rezygnacje w połowie dyżurów mogłyby skłonić szefową do podjęcia surowych kroków – to się często zdarza w tym zawodzie. Wiele placówek wymaga od dziewczyn takiej samej solidności jak salony fryzjerskie albo restauracje – ale nie ta.

Na początku, gdy nie czułam się dobrze albo za mocno świeciło słońce, bombardowałam Dom doskonałymi wymówkami: okres, angina, najazd rodziny, awaria metra… Zaraz po wysłaniu wiadomości dopadały mnie wyrzuty sumienia, wyobrażałam sobie, jak Inge albo Sonja wzdychają ciężko i wykreślają jednego po drugim umówionych klientów, i informują ich, że znowu nie przyjdę. Tak było do dnia, w którym jedna z nich odpowiedziała mi esemesem: „Droga Justine, kiedy nie przychodzisz, nie musisz tłumaczyć dlaczego. Wystarczy, że uprzedzisz o swojej nieobecności".

Wyczułam jej irytację: znów musiała łyknąć moją pokrętną wiadomość, wśród domowego chaosu, gdy wszystkie pokoje dzwoniły jednocześnie, jedni wchodzili, inni wychodzili, a któryś z moich klientów na pewno już czekał w salonie. Poczułam się jak w gimnazjum, gdy po raz enty zapomniałam podręcznika i widziałam, jak nauczyciel wzrusza ramionami, zamiast się denerwować, jakby mówił, że od tej chwili przestaje go to obchodzić – i to było znacznie gorsze

od reprymendy. Zrozumiałam później, zapewne po zachodzie słońca, w momencie, w którym powinnam kończyć dyżur i w podskokach wracać do mieszkania, przepełniona męską rozkoszą i śmiechami dziewczyn, że niezależnie od irytacji było w tym esemesie więcej życzliwości, niż na to zasługiwała moja zła wola. Przeczytałam: „Dobra, kłamczucho, leniuchu, siedź sobie w domu", a powinnam była przeczytać: „Wiemy, że czasem bywają dni, kiedy masz dość, nadpobudliwy klient, rozmowy bez końca, durne wymagania. Prawdopodobnie dobrze się czujesz, nic cię nie boli, ale gdybyś musiała przyjść, skończyłabyś w złym humorze i klienci by to wyczuli – ale mamy gdzieś klientów; liczy się to, że chcemy, byś tu się czuła wolna. Więc nie trać czasu na wymówki: wystarczy, że nas uprzedzisz".

Co, ma się rozumieć, w ogródku restauracji, gdzie obżerałam się z siostrami, opróżniając kolejne butelki chianti, sprawiało, że czułam jeszcze większe wyrzuty sumienia. To miejsce było dla mnie zdecydowanie za dobre. Schlebiało moim najniższym instynktom, w tym również lenistwu, które czasem zatrzymywało mnie w domu. W tym miejscu uważano, w przeciwieństwie do mnie, że nasz zawód nie jest taki jak wszystkie. I że aby go wykonywać, dama musi być dysponowana, nawet jeśli nadwyręża przy tym cierpliwość niektórych mężczyzn. Gdyby dezerterowała zbyt często, w końcu zaczęliby chodzić gdzie indziej; ale z doświadczenia wiem, że nigdy nie chodzą. Czekają. Kilka tygodni, jeśli trzeba – ale wracają. Im bardziej wymyka im się jakaś dziewczyna, tym bardziej jej potrzebują. Nie licząc tych, którzy wkurzeni, że znów ich odesłano, pytają *Hausdame*, czy ja naprawdę istnieję albo czy Justine nie jest tylko chwytem przyciągającym klientów.

Niektóre *Hausdamen* powstrzymywały się od cierpkich komentarzy; tej wielkoduszności nauczyła ich szefowa. W ostatni wieczór przed zamknięciem Domu Désirée wreszcie jest z nami, otoczona

jak guru przez wszystkie kobiety, które czciły ją, choć przez dwadzieścia lat żadna jej nie widziała. Gdy zostajemy same, pytam ją (i czuję, jak w moich oczach migocze miłość, czuję, że ona to widzi):

– Jak ci się udało prowadzić ten Dom i pozostać przy tym tak życzliwą? Gdzie nauczyłaś się tej życzliwości wobec kobiet? W żadnym innym burdelu nie pozwalają na to, co mogłyśmy robić tutaj.

– Naprawdę? – dziwi się Désirée, jak gdyby nie znała innych placówek, jak gdyby nie przygarniała wszystkich dziewczyn, które gdzie indziej uznawano za mało solidne.

– Z tego, co wiem, w żadnym burdelu dziewczyny nie mogą przychodzić i odchodzić, wybierać dni pracy i zmieniać zdania, odwoływać wizyt w ostatniej chwili, czasem nawet bez uprzedzenia, i gdy pojawiają się znowu, nikt nie ma do nich pretensji, a jeśli już, to symboliczne. To się nigdzie nie zdarza. Rosamund, która jest teraz w T..., wyleciała, bo wzięła wolny tydzień, o którym uprzedziła. W R... podziękowano Lotte, bo była chora. Do tego dochodzą miejsca, w których dziewczyny nie mogą odmawiać klientom, gdzie są źle widziane, bo uważają, że czterech dziennie wystarczy, bo nie chcą obciągać bez gumki nawet za dopłatą... Zmusza się je do noszenia szpilek, do makijażu, *Hausdamen* decydują, kiedy mogą skończyć dyżur... Więc muszę to wiedzieć. Czy pracowałaś w miejscach, w których szefowie byli tak życzliwi jak ty?

– Tak życzliwi jak ja? Czy naprawdę chodzi o życzliwość? Raczej o inteligencję. Nie żebym była wyjątkowo inteligentna. Ale wiem, czym jest ta praca. Wiem, że nie ma sensu biegać za dziewczynami, pilnować ich, wyrzucać im złego humoru czy braku solidności. Pewnego dnia dziewczyna, która miała dziesięciu umówionych klientów, postanowiła zostać w domu; tak, wiem, to dużo pieniędzy – ale prawdopodobnie wśród tych dziesięciu klientów znajdzie się pięciu, którzy skuszą się na inną dziewczynę, a dziewczyny pojawią się

spontanicznie, i kiedy tamta wróci, zdobędzie innych klientów, jeszcze liczniejszych. Tak naprawdę nie tracimy pieniędzy. Po prostu pieniądze rozkładają się inaczej. A zysk, jaki wygeneruje dziewczyna, której się nie chce pracować, to, w jakim stanie wyjdzie stąd wieczorem… nie sądzę, by było warto. Nie uzyskasz nic od kobiety, jeśli będziesz ją zmuszać. Poza tym, wiesz…

Désirée omiata wzrokiem pomieszczenie, którego wkrótce nie będzie. A ja patrzę na jej dłonie, które stały się niemal bezużyteczne, dłonie, które wszystko tutaj zbudowały, udekorowały, urządziły tak, by dziewczyny, których nawet nie znała, których być może nigdy nie zobaczy, czuły się dowartościowane i cenne, i zachciało mi się płakać.

– Myślę, że trzeba dużo miłości, by wykonywać tę pracę. Moją pracę. Trzeba było kiedyś być jedną z nich, oczywiście. Bardziej niż życzliwości, bardziej niż żyłki do interesów, bardziej niż dobrego gustu – potrzeba miłości. Nikt nie może dobrze pracować bez miłości.

Przychodzi mi na myśl Romain Gary, który pisał, że gdy doświadczymy miłości matki, każda inna miłość wydaje się nam później zimna. Myślę o dziewczynach rozsianych po mieście, po przeciętnych burdelach, które być może są ładniej urządzone, droższe, lecz od ich wysokich sufitów i personelu emanuje takie zimno, że osieroconym dziewczynom nie przyjdzie nawet na myśl, by przytulić się do siebie, by odtworzyć tę serdeczność, której, jak im się zdawało, nikt im nie może odebrać. Och, dobrze wiem, jak to brzmi. Nieważne. Jest nas ponad pięćdziesiąt – my wiemy, co to znaczy. Tylko to miejsce mogłyśmy nazywać domem, nawet publicznym – bo nigdy „publiczne” nie było. Wszędzie indziej chodzi wyłącznie o transakcję bez krzty poezji.

Marnotrawstwo!

Przeszłam się do jednej z placówek, o której powiedziały mi dziewczyny, to były nasze ostatnie wspólne tygodnie. Atmosfera była już inna, perspektywa bezrobocia sprawiała, że dziewczyny stały się ślepe i głuche na dręczące mnie zmartwienia i gorączkowo przeglądały listę berlińskich burdeli. Ten konkretny wyglądał nieźle. Poszłam tam bez przekonania, a wróciłam z ciężkim sercem; śmierdziało tam Le Manège, dziewczyny były strzeliste jak iglice, to było dokładnie to, czego szukali mężczyźni. W swej naiwności chciałam zaprezentować się bez butów, w czarnych pończochach, ale *Hausdame* kategorycznie odmówiła – przypomniałam sobie, jak dwa lata wcześniej w norze wyścielanej szlachetnymi tkaninami wkładam niewygodne szpilki i idę uścisnąć dłoń typowi, który chciał obmacywać powiększone piersi i pragnął, by drapały go akrylowe tipsy. Kotłował się we mnie bunt i grzmiał w perfekcyjnej niemczyźnie: ,,Bando kretynów, każecie nam nosić obcasy... sami je noście, skoro uważacie, że do tego sprowadza się kobiecość, skoro myślicie, że faceci chcą kobiet, które wyglądają jak dziwki".

Zdobyłam w końcu jednego klienta, stałego bywalca Domu. Przytłaczała nas pretensjonalna przestronność tego miejsca; my przywykliśmy do naszej cieplutkiej królikarni, do mojej muzyki, do znajomego zapaszku. Byliśmy zakłopotani, czuliśmy się nieswojo, nie wiedziałam, gdzie co jest i co powinnam robić. Gdy wyszedł, a ja wróciłam z naręczem pościeli, by wrzucić ją do brudów (białe i sztywne poszewki jak w hotelach, w których trudno zasnąć), *Hausdame* wzięła mnie na stronę:

– Zauważyłam, że źle posprzątałaś pokój. Spójrz na tę poduszkę; musisz położyć ją prosto. Wiem, że tu jest nieco inaczej niż w miejscu, w którym byłaś wcześniej.

Inaczej? Nie masz pojęcia, jak bardzo, siostro.

Przed oczami stanął mi Dom i karteczka przypięta do korkowej tablicy obok łazienki, tam, gdzie wiadomo było, że przeczytają ją nowe dziewczyny: „Drogie panie, każda może swobodnie dobierać strój, pod warunkiem że nie odsłania on za bardzo waszych wdzięków. Noście to, w czym wyglądacie najlepiej; możecie prezentować się w szpilkach, balerinkach lub sandałach, albo na boso, jak elfy". *Sic!* Jak elfy!

Opowiadam o krainie, w której kurwa mogła decydować, czy chce być księżniczką, elfem, wróżką, syreną, dziewczynką czy też *femme fatale*. Opowiadam o domu, który był czarowny jak pałac, cichy jak oaza spokoju.

Reszta świata wydaje się teraz dziewczynom czymś w rodzaju rzeźni.

Memory of a Free Festival, David Bowie

Nie pamiętam, bym obdarzyła cokolwiek ostatnim spojrzeniem. Od początku wszystkie moje spojrzenia miały w sobie powagę i powolność pożegnań. Zawsze opuszczałam Dom z przekonaniem, że gdy tylko się odwrócę, on zniknie jak sen. Tak skutecznie, że ostatniego wieczoru, po imprezie zorganizowanej dzień przed wyprowadzką, biegłam do metra, nie chcąc uwierzyć, że to był już ostatni raz, nie dopuszczając tej myśli, bo pożegnania mnie przerażają.

Trudno było w to uwierzyć: wszystkie pokoje stały otwarte, ciepłe majowe powietrze wpadało przez balkony, na których tłoczyły się palaczki, a salon był zarezerwowany dla Désirée, której słabe płuca nie tolerowały ani chmurki dymu.

Z małego odtwarzacza, podłączonego w ogrodzie, dobiegała głośna muzyka. Przyszło ponad pięćdziesiąt dziewczyn, wszystkie te, które znałam, i inne, te legendarne, których imiona widniały jeszcze na szafkach i listach, a które skończyły już dawno. Przyszły moje koleżanki w cywilu i kobiety, które sporządniały, ubrane jak do nowej pracy. Przywiodła je tu lojalność, bo nawet korzystając ze statusu szanowanych obywatelek, nadal nosiły w sercach ogromną wdzięczność za to, że tak dobrze im się tutaj żyło, choć już na koniec miały dosyć, choć chciały być normalne, choć tak bardzo pragnęły zapomnieć, że płacono im za obciąganie kutasów. Te kobiety w garsonkach po przekroczeniu ciężkich pancernych drzwi odzyskiwały swój dawny rozkołysany krok; w purpurowym świetle salonu ich skromne

ubiory wyglądały jak stroje sekretarek, uszyte tak, by podniecić biznesmenów, którzy nie mają śmiałości chędożyć własnych pracownic. Annette, asystentka w kancelarii adwokackiej, wpatrywała się w ogród wielkimi oczyma, a pięć lat, które tu spędziła, jawiło się jej dziś jak jakaś fantazja, sen na jawie, którego nigdy nikomu nie opowie.

Teraz, gdy telefon już nie dzwoni, dziewczyny mówią na głos rzeczy, których wcześniej nie mogli usłyszeć sąsiedzi. Szukam wzrokiem Pauline, która nie przyjdzie, a znajduję Hildie, która idzie ze mną wypalić jointa na balkonie Żółtego Pokoju.

– Tu przyjęłam pierwszego klienta – mówi, nie spoglądając nawet na nadal pełny pokój za zaciągniętymi zasłonami.

Patrzy na balkon, na który nigdy wcześniej nie wychodziłyśmy, i na drugą stronę ulicy, na mieszkanie, w którym pewien typ z lornetką chował się za firankami, by podglądać nagie ciała.

– To zabawne, wczoraj jeden facet spytał mnie, co czułam przy pierwszym kliencie. Chciałam odpowiedzieć coś fascynującego, coś w stylu: olbrzymi szok, nagłe rozdwojenie jaźni, w każdym razie coś, co wyobrażają sobie faceci. Ale nie zrobiło to na mnie większego wrażenia. Albo rzeczywiście byłam w szoku i nie pozwoliłam sobie na poczucie bólu czy obrzydzenia, albo jestem skonstruowana inaczej niż reszta kobiet – nie wiem. Uznałam, że to łatwe. Zaskoczyło mnie, że nie poczułam się brudna. Coś mi mówiło, że powinnam. Za pierwszą dniówkę kupiłam pończochy i buty. Te pieniądze nie pachniały inaczej niż te, które zarabiamy, pracując inaczej.

Hildie myśli przez chwilę i się uśmiecha.

– Pachniały lepiej.

Przez te dwa lata sądziłam, że powinnam czuć się brudna, winna, poniżona. Przez dwa lata rozmyślałam, skąd bierze się przypływ ra-

dości, jaki czuję po wyjściu ze stacji metra, w piękne dni, gdy szyby odległych kamienic otaczających Dom oślepiały mnie, odbijając słońce. Przez dwa lata zachwycałam się, że mam tak dumną postawę, gdy napotykałam wzrokiem swoje odbicie w wystawach sklepowych, że moje ciało jest tak lekkie, a świat wokół – spokojny i pełen obietnic.

Może chodziło o to, że miałam pieniądze. Że przeżyłam dwa lata bez żadnych kłopotów finansowych, które mogłyby zakłócać mój umysł. Jedynym cieniem na moim szczęściu był właśnie ten brak poczucia winy, wręcz duma, i myśl, że nie jestem normalna i że nie będzie mi kiedykolwiek dane wpasować się w społeczeństwo. Stale nosiłam na barkach pogardę i politowanie, z jakimi świat traktuje dziwki. To nie był mój lęk, to był lęk innych ludzi.

Mój pierwszy klient… Jeśli przez „pierwszego klienta" rozumiemy pierwszego faceta, z którym przespałam się bez chęci, by sprawić mu przyjemność, to musimy cofnąć się jeszcze dalej, w czasy sprzed Domu i sprzed Le Manège. Nie pamiętam już. Może właśnie dlatego, tak jak Hildie, nie przeżyłam szoku i nie czułam obrzydzenia, gdy zaoferowano odpowiednie miejsce i zapłatę za moje przyzwolenie. Pierwszego klienta w Domu pamiętam dobrze, to było tuż obok Żółtego Pokoju, gdzie Hildie klęczała akurat przed pracownikiem budowlanym. Rzecz działa się w pokątnym półmroku Liliowego, a klientem był facet, który gładził wąs i przeglądał „Der Spiegel". Chciał odegrać wyświechtaną scenkę z uczennicą i profesorem, potrzebowaliśmy dłuższej chwili, żeby się zrozumieć, bo wtedy prawie nie mówiłam po niemiecku. Nie miał mi tego za złe i, jak dobry pedagog, starannie wymawiał każde słowo, by nauczyć mnie żargonu uległości. Tak, był bardzo brzydki – chętnie przyznam to tłumowi żądnemu szczegółów – niski, łysawy wąsacz bez rozmachu, ale sympatyczny; nosił obrączkę, której nie chciało mu się nawet zdjąć. Nie

obrzydzała mnie myśl, że zobaczę go nago ani że on mnie przeleci, ale ten żałosny scenariusz (miałam wyjść z pokoju, zapukać i udawać uczennicę, która spóźniła się z oddaniem wypracowania i zasługuje na porządną karę) wydawał mi się żenujący.

Zrobiłam to. I nie przeszkodziło mi to potem w pochłonięciu kanapki z jajkiem i czterdziestu stron książki Nicholsona Bakera, nie przeszkodziło mi to zasnąć jak kamień kolejnej nocy. Czy właśnie w tym leży problem? Powinnam była stracić apetyt i pragnienie, a nocą mieć straszne koszmary. Powinnam była patrzeć na siebie w lustrze, powtarzając: „Oto, kim jesteś: kurwą".

Nigdy w ciągu tych dwóch lat nie miałam takich myśli. Sytuacja wyglądałaby całkiem inaczej, gdybym została w Le Manège, jestem tego świadoma. To nie jest pochwała prostytucji. Jeśli w ogóle, to jest to pochwała Domu i pracujących w nim kobiet, pochwała życzliwości. Za mało powstaje książek na temat troski, jaką ludzie otaczają swoich bliźnich.

Bardzo rzadko zdarzało mi się gardzić facetami lub nienawidzić ich – tylko pod koniec dyżuru albo gdy miałam zły humor, okres czy po postu byłam przeczulona – a to dlatego, że sama również czuję tę męską obsesję kobiecego ciała i kobiecego – choćby udawanego – pożądania. Oni przez całe życie gonią za własnym fiutem, a ja przez całe życie gonię za swoją cipką w nadziei, że ją zrozumiem. Ci faceci nie są bardziej żałośni ode mnie. Szukałam siebie w ich oczach, podczas gdy oni uśmierzali tylko fizyczny świąd.

„Teraz jest najtrudniej. Wszystko się zmieniło. Żadnych ruchów. Czekam, aż to minie, jak wszyscy. Nie ma już nawet jak dobrze zjeść. Gdy tu dotarłem, zamówiłem fettuccine w sosie marinara, a dosta-

łem kluski z keczupem. Jestem nikczemnym przeciętniakiem. Skończę jako prostak" – jak mawiał Henry Hill w *Chłopcach z ferajny*.

Nasze poczucie humoru. To też lubiłam. Moje świńskie dowcipy, które zazwyczaj wszystkich gorszyły, wśród dziewczyn cieszyły się wielkim powodzeniem. Betty, Delilah i Hildie, oscylując między mdłościami a histerycznym śmiechem, słuchały, jak opisuję angielskiego klienta, który rano bombarduje mnie pomysłami z dildo na pasku w roli głównej – na zewnątrz musiałabym długo przygotowywać się mentalnie, aby wymówić słowa „dildo na pasku", ale tu wyrzucam je z siebie równie naturalnie jak spójniki i ani jedna nie marszczy brwi ani nie robi min, każda z nich nosiła już kiedyś na talii gruby czarny nylonowy pas z przezroczystym penisem, który jest dla nas jak nadliczbowy pracownik. Więc, zachęcona ich życzliwością, rzucam im w twarz ciąg dalszy swojej opowieści o tym, jak niezdarnie obrabiam typa, nie śmiejąc spojrzeć w lustro, nieco dotknięta, że moja osoba budzi w nim takie fantazje zamiast zwyczajnej ochoty, by mnie posiąść. Więc o tym myślał, odkąd zobaczył mnie po raz pierwszy? Serio? Ja występuję w jedwabnych podwiązkach, a on ma ochotę na coś takiego? Pogrążam się w swoich refleksjach i dziwię się sama sobie, że męski ekscentryzm nadal może budzić mój zachwyt, gdy nagle dostrzegam, że jesteśmy dosłownie cali wymazani gównem – teraz, gdy to piszę, w czyichś niewinnych uszach brzmi to oczywiście bardzo źle, muszę na chwilę zapomnieć, że minęły już dwa lata i że świat powoli zapomina, kim była Justine i kim jest Emma.

– Odsuwam się, by wziąć mały rozpęd, i wtedy widzę, że gówno jest wszędzie, na sztucznym członku, na jego tyłku, na moich palcach...

Betty popiskuje z ustami pełnymi szynki i sera, Hildie krztusi się dymem z papierosa, a Delilah rozchyla karminowe wargi, odsłania-

jąc piękne zęby, i powtarza w kółko: „O Boże, o Boże, o Boże!” – właśnie na taki efekt liczyłam.

– Przeżywam chwilę przerażenia, gdy dociera do mnie, że on niczego nie zauważył, jeszcze niczego nie widzi i nie czuje, lepiej: zaczyna przekręcać się na plecy, bo chce kontynuować, a ja bełkoczę: „Pójdę umyć ręce, nie masz ochoty zajrzeć do łazienki?”. A typ na to: „Nie, spokojnie, zaczekam na ciebie”. Więc biegnę do toalety, tak bardzo mnie zatyka, że nawet nie chce mi się wymiotować, mimo że spowija mnie ciepły smród gówna, i zastanawiam się, jak on może go nie czuć, gówno jest na narzucie, na poduszkach, a w ogóle to dlaczego nie zauważyłam tego wcześniej, tak bardzo odpłynęłam myślami, że ten smród przepływał wysoko nad moją głową… Nieważne, myję się, myję dildo i wracam do pokoju, przekonana, że klient już zdołał ocenić zasięg katastrofy. Spodziewam się nawet, że może już wyszedł – ale nie, jest, czeka. Na szczęście zostało już tylko pięć minut, pytam go raz jeszcze, czy chce iść pod prysznic, a on powtarza, że nie, i sięga po spodnie. Czy ten typ jest poważny? Włoży spodnie i wróci do pracy z dupą umazaną gównem? Ale naciągając gatki, nieruchomieje, wreszcie to widzi, próbuje zachować spokój i mówi mi, że w sumie może jednak szybciutko skorzysta z łazienki. Gdy wychodzi, nie wie, co powiedzieć, ma ochotę zwiać, prawdopodobnie już nigdy nie wróci. I – trzymajcie się – nie zostawił mi ani eurocenta napiwku.

– Gdyby zostawił ci napiwek – mówi Betty – oznaczałoby to, że wiedział.

– Ale jak mógł nie wiedzieć?

– Dopóki nikt nic nie mówi, dopóty jest tak, jakby nic się nie działo. Na pewno uznał, że gdyby dał ci napiwek, pomyślałabyś, że to zaplanował.

– A skąd mam wiedzieć, że nie zaplanował? Zaczynam podejrzewać, że wiedział, co robi. To nie była mała, dyskretna smużka, w stylu „zabezpieczyłem się, ale ryzyko istnieje". Tego było dużo. Dużo, w stylu „chciało mi się kupę, gdy tutaj przyszedłem". W stylu „wiedziałem, co się stanie, i może właśnie tego chciałem, ale nie miałem śmiałości poprosić". Czy to znaczy, że takie rzeczy się tutaj nie zdarzają?

– Czasem się zdarzają – mówi Delilah – ale w Studiu, bo tam są plandeki, i facet musi zapłacić co najmniej dwukrotność stawki.

– Tak, ale zazwyczaj *Hausdame* wysyła go do B... z takimi potrzebami – informuje mnie Betty. – Tam mają wszystko, co trzeba, a przede wszystkim dziewczyny, które do tego przywykły. Justine, dlaczego go nie ochrzaniłaś?

– Było mi za niego wstyd!

– Rozumiem – mówi Hildie. – Ja też nic bym nie powiedziała.

– Gdyby tego chciał, zapłaciłby ci, żebyś nie przerywała.

– Chyba że podnieca go myśl o moim zaskoczeniu.

– Może po przebudzeniu poczuł ochotę na seks analny – mówi Hildie – i zrobił sobie w domu lewatywę, ale za bardzo się starał albo wyszedł za wcześnie i w środku została mu woda. Znam to, bo mnie też się to zdarzyło.

– Całkiem możliwe. I nie zostawił ci dodatkowych pieniędzy, bo czuł się zmieszany na myśl, że musi powiedzieć ci: „Słuchaj, przykro mi z powodu tego, co się stało, proszę, tu jest sto euro, to się więcej nie powtórzy".

– Niech moim napiwkiem będzie świadomość, że będzie o tym myślał przez cały dzień i próbował z obrzydzeniem odgonić tę myśl.

W rzeczywistości moim napiwkiem była ta rozmowa.

Może istnieje coś takiego jak burdelowe poczucie humoru i od samego początku właśnie ta publiczność była mi przeznaczona. Rozmawiałam niedawno z koleżanką o podatkach i wspomniałam o progu osiemnastu tysięcy euro, którego nie należało przekraczać, jeśli nie chciało się zostać zjedzonym przez Finanzamt.

– Osiemnaście tysięcy miesięcznie?

– Rocznie – uściślam, choć pochlebia mi, że wyobraża sobie, iż mogłam tak dobrze zarabiać. I dodaję, sama chichocząc ze swojej błyskotliwej wypowiedzi: – Osiemnaście tysięcy miesięcznie, czaisz to? Do dziś bym tego nie przepuściła.

Zapada grobowa cisza. Niemal słyszę, jak Delilah i Hildie zanoszą się od śmiechu. Być może potrzebuję nadal, gdzieś z tyłu głowy, kilku rozbawionych dziwek, gdy tylko na myśl przyjdzie mi jakiś beznadziejny żart – a to się zdarza często.

Ta sama koleżanka czytała pierwszą wersję mojej książki i powiedziała mi, że w gruncie rzeczy uważa ją za smutną. Byłam wtedy w strasznym dołku, potrzebowałam informacji zwrotnej niemal tak samo bardzo jak sznura i taboretu. Więc przeczytałam wszystko jeszcze raz, dokładnie, próbując zrozumieć ten tekst umysłem kogoś, kto patrzył na dziwki w sposób niewinny, tak jak ja patrzyłam na nie na początku. Nic z tego, nadal śmiałam się w tych samych momentach, miałam wrażenie, że szarżuję w miejscach, które ona uznała za smutne – i jeszcze długo, wiele miesięcy później, blokowała mnie myśl, że być może to wszystko śmieszy tylko mnie. Albo jeżeli można doszukać się w tym jakiegoś rodzaju humoru, to jest to humor czarny, przywodzący na myśl wątpliwy, choć konieczny i katartyczny gust patologa, który zasłania maską klowna zmasakrowaną twarz trupa. Pomimo moich niezdarnych prób, by rozśmieszyć czytelników, reszta świata będzie w tym nadal widziała horror w stanie czystym, handel pariasami prowadzony przez innych pariasów – i ma-

rzyłam, by zapytać tamtą koleżankę, ponieważ była to jedyna rzecz, która naprawdę się liczyła: „Czy chcesz przez to powiedzieć, że sprawiam wrażenie, jakbym wołała o miłość?".

Jakby nie było to wystarczająco jasne.

Gdy już obrosłam w pisarskie piórka i postanowiłam, że będę zabawna i że reszta świata może sobie grzać tyłki, oglądając występy Keva Adamsa, przestałam pisać ze względu na rodzinę. Wolę powiedzieć to od razu, zanim ktoś mnie o to zapyta: tak, myślałam o tym. Myślałam o tym cały czas. Nie, nie zabiłam swoich rodziców, okej? Bóg mi świadkiem, że próbowałam, ale najwyraźniej są nieśmiertelni. Och, zlewał mnie zimny pot, nadal mnie zlewa, gdy ta myśl pojawia się w mojej głowie po wypaleniu jointa! W ciągu dnia, na trzeźwo, mam poczucie misji, które każe mi zmiatać skrupuły wojowniczym machnięciem ręką – lecz wieczorem sikam ze strachu, bo choć wyglądam na twardzielkę, tak naprawdę jestem miękkim cykorem. Mam przeczucie, że jeśli wyślę plik komuś z branży, moja ręka, moje ramię, a w końcu ja cała zostanę zmiażdżona przez machinę o niewyobrażalnych rozmiarach. Pomiędzy momentem A, w którym kliknę „Wyślij", a momentem B, w którym mój ojciec rzuci oschle, że była to naprawdę świetna inwestycja: opłacanie mi dziesięciu lat nauki w katolickiej placówce, nie widzę nic poza degrengoladą przerywaną nieudanymi próbami chowania się za konceptem powieści, które do hańby dołożą jeszcze oburzenie, że nie umiem wziąć odpowiedzialności za własne czyny. Nie mam żadnej możliwości, by się schować – ta myśl skręca mi flaki, dopóki nie zasnę. Po przebudzeniu znów wkurza mnie własne tchórzostwo i strategie, które obmyślam, by złagodzić początkowy szok: czemu miałabym się ukrywać? Byłam dumna. Byłam szczęśliwa w Domu. Uwielbiałam spotykać się z tymi dziewczynami, lubiłam tych mężczyzn, podobał mi się odcień mojej skóry

w różowym świetle i gra cieni na mojej twarzy, poczucie, że wymyślam do woli coraz to nową Emmę, coraz to nowe Justine, cieszyło mnie wrażenie, że nie ma rzeczy niemożliwych. Skoro byłam zdolna wejść w sam środek tego, co wielu uznaje za piekło, to znaczy, że mam silny instynkt samozachowawczy, odziedziczony po rodzicach. Jestem nimi; i tę bezustanną radość, ten wieczny wybuch śmiechu zawdzięczam ojcu i matce, dziadkom i siostrom – to oni przekazali mi tę zdolność bycia sobą i śmiania się z siebie, szukania wszędzie poezji oraz czułości. Czerpałam siłę z patrzenia, jak żyją i przytulają się do siebie w trudnych momentach. Podobnie lubiłam przebywać pośród tych kobiet, które się śmiały, choć bliżej im było do płaczu, które miały wszystko głęboko gdzieś, które głaskały się nawzajem po włosach, by ulżyć swoim zmartwieniom, i dodawały sobie odwagi, klepiąc się po tyłkach – i lubiłam być z nimi dlatego, że siedząca we mnie dziewczynka przypominała sobie te chwile, w których rozpacz była daleko, daleko, lata świetlne stąd, bo otaczali mnie ludzie, których rozpoznawałam po zapachu.

Wir müssen hier raus, Ton Steine Scherben

Na pewno przyjdzie taki czas, w którym wyczerpią się argumenty przeciwko szczęśliwym dziwkom. Ten czas już właściwie trwa, bo argumenty są już przestarzałe i kryje się za nimi paradoksalna zazdrość. To już nie jest praca, w której kobieta zdycha w wieku trzydziestu lat, przeżarta kiłą czy jakąkolwiek inną chorobą leczoną dziś antybiotykami w ciągu miesiąca. Minęła epoka, gdy dziwka była wieczną ryzykantką. Dziwka nie ma już w brzuchu ropiejącej rany, otwieranej codziennie na nowo, i nie trzeba już zagłuszać jej krzyków. Tam, gdzie jej działalność jest legalna, dziwka nie musi włóczyć się w deszczu, by dokonywać wątpliwych transakcji w ciemnych zaułkach. W domach, w których ma dobrą opiekę, nie musi co chwilę zerkać na torebkę, gdzie w wewnętrznej kieszonce tkwi całodzienny utarg; nie musi cierpieć głodu ani strachu przed mężczyznami, dzięki którym zarabia na życie. Może dysponować swoimi pieniędzmi, płacić za mieszkanie, używać karty kredytowej i użera się z urzędami mniej więcej tak samo jak pierwszy lepszy podatnik. I w związku z tym nie ma ochoty wydawać wszystkiego na narkotyki, które zgodnie z ogólnie przyjętą tradycją zabiją ją równie szybko jak choroby weneryczne na początku XX wieku.

Dziwka ma czas… i to ile! Szczęśliwie nie musi zrywać się o świcie, a w słoneczne dni może usiąść w kawiarnianym ogródku, zasłonić twarz ciemnymi okularami i oddawać się jedynym czynnościom, dzięki którym ta żałosna egzystencja bywa znośna: może czytać, pisać, uśmiechać się do chłopców, pożerać wzrokiem dziewczyny.

Cholera jasna, wiedziałam, że nie mogę się całkiem mylić w Paryżu, gdy spędzałam całe dnie na przeskakiwaniu z kawiarni do kawiarni z plikiem zapisanych odręcznie kartek. Mogę zadzwonić do Pauline, która akurat też ma dzisiaj wolne, i zjeść spokojnie obiad, podczas gdy inni już biegną do biur. Hojnie zapłacić ładnej kelnerce i potruchtać niespiesznie w wonnym upale Berlina do ogrodu botanicznego, który tonie w kwiatach.

Bywają momenty, gdy zadaję sobie pytanie, cóż lepszego można by mi zaproponować. I czuję, że nienawiść, podejrzliwość całego świata wobec dziewczyn lekkich obyczajów wynika głównie z zazdrości, jaką wywołuje ich swoboda. I z niechęci, by przyznać, że wolny czas, upojenie żywiołową wolnością są warte tego, by dotykali nas i penetrowali obcy mężczyźni. Właściwie nie muszę go sobie zadawać, ja mam wyrobioną opinię. Och, już słyszę kontrargument: że niby jestem leniwa. Że wybrałam najłatwiejszą opcję. Że ten odrażający kompromis to tak naprawdę karygodne wyrzeczenie się trudu i wytrwałości. By społeczeństwo uznało mnie za godną akceptacji, musiałabym przez większość czasu zasuwać w butiku; a pensja, którą przelewano by mi z wielką łaską, pozwoliłaby mi czytać, pisać i wypełniać noce randkami, dającymi większą lub mniejszą satysfakcję, bardziej lub mniej przeciętnymi. Najwyraźniej fakt, że mój sposób na życie łączy w sobie pracę i uwodzenie, jest w oczach całego świata niewybaczalną obelgą dla trudu i znoju reszty społeczeństwa. Ale gdy widzę, jakie rzeczy to społeczeństwo uważa za dopuszczalne, jeszcze chętniej zamawiam zimne piwo i wypijam nim zdrowie wszystkich dziwek świata.

Trudność, jaką sprawia mi ukończenie tej książki, wynika wyłącznie z tego, że nie mam ochoty opuścić Domu. Zawsze, gdy tam jestem, dosłownie widzę, jak książka pisze się sama, pełna celnych niuansów, tym bardziej czuła i pełna humoru, że obmyślam ją

w środku nocy, kiedy nie mogę spać. Dziewczyny jawią mi się wówczas jako bohaterki barwnych książkowych kart, stado egzotycznych ptaków, podlatujących tak blisko mych dłoni, że czuję łączącą mnie z nimi więź. Ale gdy tylko mam wolny dzień i nie muszę robić nic poza pisaniem, spada na mnie jakieś złe zaklęcie i nie jestem w stanie spłodzić ani linijki. Bo jakaś część mnie zrozumiała, że kiedy ukończę tę książkę, nie będę już dłużej potrzebować Domu. Nie będę już dłużej potrzebować dziewczyn. I natychmiast wracam odetchnąć ich tlenem, przerażona własną decyzją, że poradzę sobie sama, w chwili upojnej inspiracji.

A teraz przechadzam się w workowatej sukience, z zaokrąglonym brzuchem, z paskiem zapiętym ciasno pod piersiami, tak by nikomu nie umknęło, że jestem w piątym miesiącu ciąży, z książką Romaina Gary'ego w dłoni; moi najlepsi przyjaciele, mężczyźni mojego życia, wszyscy oprócz Jules'a są w książkach i delektuję się ich towarzystwem jak nigdy dotąd, przesiadując w słonecznych kawiarnianych ogródkach, a wewnętrzna błogość zalewa moją percepcję i ciało. Przeszłam spokojną żałobę po swoim seksualnym ja i wydaje mi się, że żyję już tylko poprzez ten brzuch, w którego wnętrzu niekiedy coś się porusza.

Wyobrażam sobie czas, w którym znów będę tak szczupła jak wszystkie dziewczyny wokół. Zmysłowość, ta nawiedzająca mnie stale obsesja, wydaje mi się teraz odległą przeszłością lub dziwaczną przyszłością, niemal nierealną. Bez wątpienia wynika to bardziej z wieku niż z ciąży – czuję dotkliwą nostalgię za szalonymi kawalkadami po Paryżu, kiedy każde męskie spojrzenie było dla mnie jak łyk świeżego powietrza. To, jak się oglądali; i to, jak ja również odwracałam wówczas głowę. Ogłuszona możliwością. Speszona tym, co mogli sobie wyobrażać. Świadomość własnego ciała, nieskończony do-

brostan wynikający z istnienia i z ruchu, z miłości do samej siebie. Unosiłam te spojrzenia aż na swoje przedmieście, rozpalona myślą, że przeszłam im koło nosa jak cudowny zapach. Te wewnętrzne rozkminki o pierwszym lepszym typie, którego nigdy nie zobaczę, i o tych, których spotykałam codziennie; ten wysiłek włożony w uśmiech, by wyglądał na szczerszy niż zwykle. To uczucie, że naprawdę mam jaja. Ta patologiczna potrzeba sprawdzania, czy złapali się na mój haczyk – to była najgorsza i najrozkoszniejsza ze wszystkich moich niewoli.

Zadziwiające, że dziś jest to mi aż tak obojętne. Powiedzmy raczej, że zrezygnowałam z tej rozrywki na czas ciąży.

Zamknęłam się w sobie z Romainem Garym u boku. Wybucham śmiechem. „Po przekroczeniu limitu czasowego twój bilet jest nieważny"; jakże smutne są ludzkie, przyziemne sprawy, prawda? Skąd ta obsesja twardego kutasa, przecież miłość, do cholery, zadowala się w pełni wspólnotą dusz. Orgazm – no cóż. Jest czymś ograniczonym, wąskim. Godziny wygibasów i zmian pozycji dla prostej przyjemności wspólnego orgazmu, do którego doprowadzają nas czyjeś ręce – choć przecież sami ze sobą robimy to tak sprawnie. Cały ten zgiełk dla jednego spazmu; każdy rozsądny facet mógłby z tego zrezygnować.

Teraz, gdy seks wydaje mi się nijaki, mam idealne warunki, by zaskoczyć sama siebie związkiem o niespotykanym dotąd rozmachu. Jestem idealną kandydatką i niemal wyobrażam sobie twarz mężczyzny, dla którego rozważyłabym hipotezę o porzuceniu dziecka i męża. Prawdziwa „miłość niemożliwa". Wreszcie wiedziałabym, o czym mówię. Wyobrażam sobie siebie, jak siedzę na parapecie i wzdycham do mężczyzny leżącego za moimi plecami, w łóżku mokrym od naszych płynów ustrojowych „Już naprawdę nie wiem, co robić"; a za oknem majaczyłyby dachy Paryża. Moja spokojna pierś

unosi się w rytmie krótkiego oddechu kobiety, która wraca do domu pachnąca innym mężczyzną. Moje palce odruchowo wiedzą, co robić, by usunąć konwersacje na Facebooku. Wystarczyłaby minuta, bym na powrót stała się dawną sobą. I pomyśleć, że ten facet już istnieje, że żyje gdzieś na świecie, prawdopodobnie kilkaset metrów ode mnie. I może nawet mnie minął, ale nie zobaczył niczego poza kobietą w ciąży. Cóż za cudowna ironia!

Przy stoliku obok siedzą dwie pary koło czterdziestki. Kobiety rozmawiają z jednym z mężczyzn. Drugi, który skręca papierosa, jest nawet niezły. Przez chwilę miałam chyba minę kobiety, która myśli o swoim przyszłym kochanku. On patrzy na mnie; nie powinien tego robić, ale to robi. Jego kobieta nie przestaje paplać, on już tysiąc razy słyszał tę rozmowę. Nikt nie zapyta go o zdanie. Zrezygnowano z niego, pozwolono mu łaskawie skręcać papierosa. Te cztery osoby spotkały się na wakacjach; on i jego żona mieszkają w Berlinie, druga para pochodzi z Monachium (tak, to ludzie w tym stylu), poznali się w Hiszpanii; ale nie tam, gdzie jeżdżą wszyscy Niemcy, tylko w zakątku wyspy, na której nie ma turystów, wynajęli willę i odwiedzali ten sam bar tapas, właśnie tam się spotkali. Dwie kobiety znały się z liceum, cóż za zbieg okoliczności! I choć straciły kontakt na piętnaście lat, dorastały w gruncie rzeczy w takim samym świecie, są do siebie podobne. Jedna jest blondynką, druga brunetką, ale to ten sam typ przystojnej czterdziestopięciolatki, opalonej, umalowanej, w dyskretnej biżuterii i drogich, choć pozornie zwyczajnych ciuchach, zadbanej i sączącej Aperol Spritz. Tak wyglądają żony lekarzy albo adwokatów, albo jakichś finansistów. W sumie mogliby pieprzyć się we czwórkę. W każdym razie widać, że indywidualnie nadal się pieprzą. To takie pary, które w ogólnym rozrachunku dobrze się dogadują; zdradzają się raczej ukradkiem, starając się wzajemnie nie urazić. Ale akurat ten, który skręca papierosa, wygląda, jakby

marzł przez całą zimę; nawet o tym nie myślał, lecz teraz, gdy znów robi się ciepło, a na ulice wyległy półnagie dziewczyny, myśl o nierozsądnym romansie wprawia go w stan powolnego upojenia. Być może ma w tym swój udział piwo (piwo pszeniczne, prawdziwe burżujskie piwo). To ten typ faceta; taki, który zaspokaja żonę, ale oszałamia go myśl o akademickim seksie z inną, z nieznajomą.

Tak naprawdę najbardziej poruszające nie są w tym wszystkim spojrzenia mężczyzny, lecz udawana obojętność pomiędzy jednym spojrzeniem a drugim. Odwracanie wzroku, gdy spotykają się nasze oczy. Sprawianie wrażenia, że zerknął przypadkiem. Milczenie, które zapada wśród nakładających się na siebie rozmów, gdy na mnie patrzy, a ja patrzę na niego. To poczucie, że na krótki moment jesteśmy na świecie sami. Nie samo jego spojrzenie, lecz pewność, że na mnie patrzy; spokojna pewność, która szepcze: „Czytaj sobie książkę, a ja będę tu, gdy podniesiesz oczy. Będę cię oglądał do woli przez cały ten czas, w którym ty będziesz udawać, że ja nie istnieję”.

Venus in Furs, The Velvet Underground

Niewidzialny pejcz, który Delilah trzyma w dłoni, tnie ze świstem powietrze. Dziś leje jak z cebra, a ja z zachwytem patrzę, zanurzona w klimacie zwiastującym apokalipsę, jak Delilah odgrywa przede mną swój teatrzyk.

– Co ty sobie wyobrażasz? Że powąchasz moją cipeczkę? Co? Tego byś chciał, chciałbyś, żebym pozwoliła ci wepchnąć obrzydliwego kutasa do mojej cipeczki? Spuść wzrok, gdy do ciebie mówię!

Jestem pod takim wrażeniem, że wykonuję rozkaz.

– Skąd w ogóle ta myśl, że możesz na mnie spojrzeć? Jesteś zwyrodnialcem, który płaci młodym kobietom, by traktowały go jak śmiecia. Brzydzę się tobą!

Jej głos przybiera nieco inny ton przy didaskaliach:

– Możesz lekko bić go pejczem, na przykład po chuju. Nigdy ręką, w każdym razie nie, zanim skończy. Możesz też położyć go na podłodze i chodzić nad nim w rozkroku. To zawsze działa. Ale w szpilkach, cały czas trzeba mieć szpilki. Dobre jest to, że mimowolnie będzie się na ciebie gapić, a to daje ci pretekst do bicia.

Delilah wypina wzgórek łonowy, obleczony w koralowe jedwabne majteczki; pod tkaniną odznaczają się pulchne wargi sromowe – i cały czas trzyma ten nieistniejący pejcz, większy niż w rzeczywistości, a ja czuję go na swoim karku.

– Pozwoliłam ci patrzeć na moją cipkę? Wiesz, co się dzieje, gdy jesteś nieposłuszny? Przeproś, wstrętny wieprzu. Kogo przepraszasz? Przepraszasz panią, jak cię w domu wychowali? Teraz będziesz ze

mną liczył, ile razy cię uderzę, to cię nauczy, by nie ruszać się z miejsca. A twoje miejsce jest na podłodze, ze spuszczonym wzrokiem. Przysięgam, że jeśli się pomylisz, będę zaczynać od nowa, aż twój tyłek zrobi się tak siny, że nie będziesz mógł wrócić do żony. Zrozumiano? *Teraz każesz mu wstać i związujesz mu ręce nad głową.* Zgodziłam się, żeby ci stanął? Ty chory zboku! Uprzedzam, że jeśli po karze znowu ci stanie, to się źle skończy. Perwer! Wkurza mnie widok twojego chuja, nie pozwoliłam mu stawać. Myślisz, że się na niego nadzieję, to sobie wyobrażałeś? Wybiję ci z głowy tę chętkę!

Delilah siada i uśmiecha się szeroko.

– Wszystko jest pretekstem do zadawania kar. Chodzi o to, żeby stopniowo zbliżać się do nich, aż do samego końca. Lejesz go przez pół godziny, a potem pozwalasz mu powąchać dupę albo cipkę, nawet z daleka – dojdzie natychmiast. Trzeba tylko pamiętać, że domina się nie pieprzy, a przede wszystkim nie obciąga. Nie pozwalaj mu dotykać niczego poza ręką, a i to z miną pełną obrzydzenia.

– I tak nigdy nie będę taka dobra jak ty.

– Nonsens! Podałam ci podstawowy schemat, na pewno się nie pomylisz. Zwłaszcza z tym francuskim akcentem.

Delilah życzliwie imituje mój pokręcony niemiecki – nigdy nie mogę wyczuć, czy jest w tym czułość, czy kpina – ale choć idealnie małpuje rozciągnięte samogłoski i śpiewną fakturę spółgłosek, to nie mówię jej, że nie znam połowy słów, które mi przypisuje.

– Oczywiście – wraca do tematu – znacznie łatwiej jest, gdy klient ma jakiś fetysz. Są na przykład tacy, którzy lubią stopy – dobrzy klienci. Każesz im lizać i pieścić stopy, a na koniec łaskawie muskasz mu kutasa palcami u stóp i po sprawie. Za niewielką dopłatą mogą spuścić ci się na buty, spokojnie.

– Albo ci, którzy chcą, żebyś wyruchała ich w odbyt.

– Ach, to mnie naprawdę odpręża. W tym najbardziej czuję się sobą.

Bez trudu wyobrażam sobie, jak Delilah zapamiętale młóci klientów, którzy prawie nie dostrzegają sprzączek paska z dildo, opinającego jej talię. Dobiera odpowiednie słowa, odpowiedni rytm i udaje tę królewską obojętność, z jaką traktują mnie kochankowie w moich fantazjach. Ryzykuję z uśmiechem:

– To taka twoja zemsta, nie? Przynajmniej raz ty kogoś pieprzysz.

– Niezaprzeczalnie. To bardzo naturalne. Odkąd ich posuwam, wiem, jakie to przyjemne. – W zamyśleniu rozgniata niedopałek. – A nawet gdybym nie wiedziała! Przecież ci, którzy po to tu przychodzą, chcą poczuć, jak to jest dać się wyruchać, prawda?

– Tak przypuszczam. Ale w sumie nie wiem. Zawsze słyszałam, że aby dobrze dominować, trzeba włożyć w to dużo miłości i empatii.

– Akurat – parska Delilah. – Kolejny wymysł mężczyzn, którzy chcą, by kobieta czołgała się u ich stóp. Gdy dominujesz nad mężczyzną, zapewniam cię, że nie potrzeba miłości. To coś znacznie prostszego. Myślisz, że kocham swoich klientów? Niektórych lubię, ale nic więcej, to nadal goście, do których poza burdelem nie odezwałabym się słowem. Nie, by dominować, trzeba się wyzbyć wszelkiej litości. Faceci chcą, by przypominać im, że są beznadziejni, z tymi kuśkami i potrzebą wpychania ich w dziewczyny. Bo o tym zapominają.

Delilah się przeciąga; grymas ziewania deformuje na moment jej twarz wyrazem zniecierpliwienia, ukazując otwartą paszczękę najeżoną ostrymi zębami.

– Ale kobiety nie zapominają. Jak mogłybyśmy zapomnieć. Zwłaszcza my.

Przyszedł jej klient. Delilah chowa telefon do kopertówki ozdobionej breloczkiem w kształcie misia.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, jak to działa na zewnątrz, ale myślę, że w burdelu wszystko jest proste. Jesteś albo dobra, albo niedobra. Niemal automatycznie patrzę na nich z góry i mówię do nich z pogardą. To dlatego tak dobrze sprawdzam się w Studiu.

To dlatego tak dobrze wykonuje swój zawód. Pogarda.

Pogarda! Myślę o tym nadal, kiedy Janus, który właśnie związał mi ręce na plecach, szpera w stojaku na parasole w poszukiwania czegoś do bicia. Spójrzcie tylko. Prawie dwumetrowy facet pochyla się nad stojakiem i udaje, że nie wie, czego dokładnie szuka. Z Janusem nie ma niespodzianek: weźmie dyscyplinę z trzema rzemieniami albo szpicrutę z płaskim trzonkiem, wyglądającą jak trzepaczka do dywanów. Spotykamy się co tydzień od pół roku, a ja nie dostrzegam u tego faceta żadnej skłonności do zmian, żadnej pokusy, by wypróbować wszystkie te przyrządy, którymi wypchane są szuflady komody, albo chociaż jakiś inny bicz. Na przykład ten bambusowy; zabójczo skuteczny – w przeciwieństwie do reszty, zdolnej tylko zaróżowić miękkie pupki burżujek, rozochoconych lekturą *Pięćdziesięciu twarzy Greya*.

Choć jego scenariusz jest tak wyświechtany, Janus nie potrzebuje żadnej pomocy ani żadnych zmian. Był okres, w którym – podczas gdy on starannie brał prysznic – ja rozkładałam z wyprzedzeniem na kredensie kajdanki w swoim rozmiarze, sznury, prezerwatywy i jego dwa ulubione bicze. Przychodził goły jak święty turecki, a ja witałam go już rozebrana, z ustami rozciągniętymi w uśmiechu wzorowej pracownicy: „Spójrz, już wszystko ci przygotowałam". W przypływie nadgorliwości gasiłam górne światło, zostawiając pokój skąpany w półmroku czerwonych lampek – tak jak robił to on; włączałam muzykę, wyciągałam kozioł na środek pokoju, rozkładałam ręcznik na ławce, na której zazwyczaj kończy się nasza sesja. Wstydziłam się,

kiedy widziałam, że już po związaniu mnie musi przerywać, by zbierać akcesoria rozsiane po Studiu przez inne dziewczyny. Miałam wrażenie, że niesłusznie płacił cennymi sekundami za nasze bałaganiarstwo. Widząc moje zabiegi, Janus uśmiechał się niechętnie, aż w końcu zrozumiałam, że pozbawiam go przyjemności samodzielnego szukania; że te stracone chwile były dla niego przyjemną i konieczną rozgrzewką. Ta pełna wahania cisza, ciężka jak powietrze przed burzą, przerywana jedynie odgłosem wysuwanych szuflad i powolnych kroków, nadawała ciężar całej przyszłej akcji. Cieszył się jak smakosz na myśl, że muszę czekać; to przeciąganie, to bezustanne granie na zwłokę to cecha dominujących partnerów – dostępna dla urzędników odwiedzających burdele.

Poruszając z nudów kajdankami na nadgarstkach, dostrzegam, że gdybym naprawdę chciała się uwolnić, nic by mi w tym nie przeszkodziło, a już na pewno nie Janus, który zanim zrobi najmniejszy choćby węzeł, swoim łagodnym głosem pyta mnie, czy wszystko w porządku i czy nie hamuje mi krążenia krwi. Ta uprzejmość nastawia mnie do niego jeszcze lepiej: wiem, że przy nim nie stanie mi się nic złego. A to z kolei odbiera mu wiarygodność. Tak naprawdę w ogóle nie może mi się nic stać. Ryzykuję jedynie tym, że zrobię się trochę mokra, jeśli mnie weźmie ustami, głęboko, bezlitośnie, gdy jego podniecenie osiągnie punkt krytyczny. Chwyta mnie za włosy na karku, i jest to jedyny moment, w którym Janus wygląda na nieposkromionego, a jego spokojna twarz poczciwca, który tylko bawi się w kata, nieco tężeje tak, że przeraziłaby każdą inną dziewczynę, lecz nie mnie.

Jeszcze bardziej wzruszają mnie jego proste, dziecinne przyjemności w Studiu. Rozkładanie sznurów. Ściąganie mi majtek – przestałam je zdejmować, gdy zrozumiałam, jaką radość sprawia mu rozbieranie dziewczyny, odbieranie jej wstydu – nawet jeśli ta dziewczyna

jest dziwką i wstyd jest dla niej już tylko atrapą utkaną z odległych wspomnień. Kręcenie korbką, by unieść moje ręce wysoko nad głowę – oto jego królewska rozkosz. Niemal tak samo silna jak ta, którą odczuwa, łapiąc mnie za podbródek i zmuszając, bym spojrzała mu w oczy; spełniam tę zachciankę, lecz drżę i robię spłoszone uniki. W jego oczach widać wyłącznie bezdenną pustkę, nicość. Muszę przyznać, że Janus ma pewien talent i gdyby chodziło tylko o spojrzenie psychopaty, mógłby wiele nauczyć różnych domorosłych masterów. Janus mówi niewiele, zrozumiał erotyczny potencjał milczenia. Wydaje rozkazy krótko, cichym głosem, w którym mieści się cały splendor języka niemieckiego.

Innym jego mistrzowskim zagraniem – to stały szczegół, który opanował do perfekcji – jest przejście od gry wstępnej do czegoś, co nazywam okiem cyklonu. Prezerwatywa leży na kredensie, w miseczce z muszelek. Janus zaczyna od rozwiązania mi rąk; teatralnie udaję cierpienie, rozmasowując nadgarstki, jęcząc słabo, udając podszytą lękiem ulgę dziewczyny, którą podwieszano godzinami (sprawdziłam, w sumie było to osiemnaście minut). Teraz na kolana. Janus odwraca się z powagą, idzie po gumkę. Genialne zagranie – rzuca mi ją do stóp, najwyraźniej chce, by wyglądało to pogardliwie. Nie wiem, czy czuje dumę, ale jest to jego najbardziej wiarygodna sztuczka; potrzebował czasu, by doszlifować ten gest. Z sesji na sesję udoskonala sposób przemieszczania się w moim kierunku, doprowadza do perfekcji ten szybki ruch łokciem, który ma mu nadać wygląd człowieka nieprzejednanego. Chciałabym dostosować się do tego nic nieznaczącego gestu, który budzi w nim takie emocje, obdarzyć go reakcją, która dodałaby głębi jego fałszywej odrazie, ale nigdy nie potrafię zdobyć się na nic poza grobowym milczeniem, spuszczonym wzrokiem i zgarbionymi ramionami; gorączkowo rozdzieram opakowanie, jak gdybym z rezygnacją poddawała się zasłużonej

karze. Gdy już nałożę mu gumkę, wiem, że nie mogę mieć nadziei na żadne niespodzianki. Osypuje się nawet to symulakrum dominacji, bo prezerwatywa, nierozerwalnie związana z możliwością wytrysku, to dla Janusa sygnał, że teraz mogą mu już puścić wszystkie hamulce. Na tym etapie stoi już na skraju otchłani. Jest zorganizowany, więc wie, że zostało mu od pięciu do dziesięciu minut. I jego maska opada w mgnieniu oka, niczym martwy naskórek.

Jest to komiczne, ale nie ma w tym nic godnego pogardy. Jaka ładna jest jego twarz, gdy się powstrzymuje. Któregoś wieczoru Bobbie, wychodząc z sesji z Janusem, powiedziała mi ze śmiechem: „Gdy się spuszcza, robi się naprawdę piękny". W rzeczy samej, piękny, obdarzony zabójczym wdziękiem delikatnych mężczyzn, którzy oddają się rozkoszy, a przez ich twarz przebiega krótki skurcz, tłumiony popęd śmierci. I ta podniecająca cisza, w której porusza się we mnie powoli, zaciskając i rozluźniając palce. I zaraz pyta, wstydliwie zawijając w kawałek papierowego ręcznika ciężką prezerwatywę: „W porządku, nie było za ciężko?".

Nie, nie czuję pogardy wobec Janusa. Ten typ nie wymaga nic więcej poza spełnieniem jego fantazji o dziewczynie, która nie chce mu się oddać. Janus nie ma nic wspólnego z facetami, którymi gardzimy w Studiu – a łatwo o pogardę, gdy leżymy skrępowane przez mężczyznę o niezdarnych palcach. Jeszcze łatwiej, gdy stoimy po dobrej stronie bicza, jak Delilah.

Taki na przykład Olaf. Olaf specjalista od nudy. Zastanawiamy się, po co mu muzyka Erika Satie, po co przychodzi ubrany jak spod igły, przewraca do góry nogami całe Studio w poszukiwaniu najbardziej egzotycznych narzędzi tortur, skoro po dwudziestu minutach jego fabuła zaczyna tracić rozpęd. Można przypuszczać, że facet, który umawia się na dwudziestą drugą, miał cały dzień, by obmyślić, co mu sprawi przyjemność – ale nie.

Generalnie moja dobra wola szybko się ulatnia, gdy czekam związana byle jak, aż Olaf wpadnie na jakiś pomysł. Nie trzeba znać się na sztuczkach sado-maso, by zgadnąć, że on nic z nich nie rozumie. Ignorancja, podniecenie i chęć, by dobrze wypaść, odbierają mu wszelką sprawność. Choć jest z zawodu krawcem, jego węzły są zbyt luźne albo zbyt ciasne, wywołują we mnie śmiech albo ochotę, żeby go pobić. Ponieważ jest miłym chłopcem, a ja z kolei jestem zbyt miła, pozwalam, by związał mi szyję – nie bez strachu, że stracę równowagę i skończę marnie na końcu sznura, jak David Carradine; założę się, że przy jego metodzie i czasie, jaki poświęca na wiązanie tych supłów, umarłabym pięć razy, zanim on zrozumiałby, jak mnie z tego wyplątać.

Sposób, w jaki daje mi klapsy, również zdradza brak jakiejkolwiek techniki: więcej bólu sprawia sobie niż mnie. Szybko dostaje zadyszki i nie wie, co robić dalej. Patrzę zirytowana, jak brodzi w tych ciasnych ramach dominacji, które sam sobie narzucił. Łamie sobie głowę tak ostentacyjnie, że ja sama czuję zakłopotanie – i jak to się zwykle zdarza pod koniec dyżuru, gdy wyczerpałam całą swoją cierpliwość z innymi klientami, zakłopotanie szybko przeradza się we wściekłość. Albo właśnie w pogardę. „Olaf, złotko, to dość droga impreza, dwieście euro za zagrywki debiutanta!” A on stoi, zwiesiwszy ramiona, i zastanawia się, jak ma wyglądać kolejny etap. Posucha pomysłów.

– Co powinienem ci teraz zrobić?

– Co powinieneś mi teraz zrobić? – bełkoczę zza luźnego knebla. – A na co masz ochotę?

Patrzę na niego w osłupieniu, nie mogąc się ruszyć.

– Ale… ja nie wiem!

– Masz jakikolwiek pomysł?

– Nie… niczego konkretnego…

– Ale to ja jestem uległa!

Olaf drapie się po głowie. Nie tylko mu nie pomagam, ale wkrótce zacznę go oceniać, więc postanawia przespacerować się ze mną na smyczy po Studiu, uzbrojony w miękki bacik, którego jakoś nie jest w stanie użyć. Nawet z nadgarstkami związanymi na plecach, z policzkiem przy ciepłym linoleum, nie jestem jeszcze w najbardziej niewygodnej pozycji.

– Na pewno masz na coś ochotę – rzuca Olaf, siedząc na ławce, na drugim końcu smyczy, w pozycji starca, który przerwał spacer po parku, by jego pies mógł zrobić kupę.

Nawet poza Studiem pytanie kurwy, na co ma ochotę, jest dość naiwnym posunięciem; jak każdy inny pracownik kurwa odpowie: „Na urlop". W Studiu to zniecierpliwienie nabiera innej intensywności. Przede wszystkim wcale nie mam ochoty, żeby ktoś mnie bił, i nie chce mi się dyskretnie poruszać palcami u stóp, by mi doszczętnie nie ścierpły. Dobrowolnie się temu poddaję, bo to jest gra, ale niech nikt nie wymaga ode mnie inicjatywy. Czy ktoś kiedykolwiek słyszał o masterze, który pyta niewolnicę o zdanie? Albo o masterze bez pomysłów? Jak tak dalej pójdzie, Olaf zacznie przygotowywać sobie fiszki z podpowiedziami dzień przed wizytą.

– Chcesz, żebym cię rozwiązał? Może ty mnie związesz?

– Nie. To ja tu jestem niewolnicą. Poza tym nie potrafię dominować.

A przede wszystkim, do diabła, nie odwraca się ról ot tak, z powodu braku inspiracji, nie wymaga się od dziewczyny, by kompensowała brak pomysłowości klienta, zwłaszcza w Studiu, gdzie zasady są ustalane z góry. Są ambiwalentne dziewczyny, takie jak Margaret, które byłyby zachwycone na myśl o przechwyceniu bicza i które chętnie ukarałyby go za jego niezręczność tak po prostu, z marszu – ale Margaret jest kameleonem domu uciech, wyposażonym w godne

podziwu zdolności adaptacyjne. Nie ma osoby, która nadawałaby się do Studia mniej niż ja; gdy ktoś wyznacza mi jakąś rolę, nie mam najmniejszej ochoty z niej wychodzić, moja spontaniczność usypia niczym stary kot przy kominku. Jednak Olaf tonie i ciągnie mnie na dno, więc pękam i wzdycham:

– Nie wiem, może wypróbujesz bambusowy kijek?

W ten sposób zyskuję chwilę spokoju i zadowolona liczę na głos, żeby Olaf przestał się nudzić. Gdy ejakuluje na moje udo, irytacja ustępuje miejsca uldze, czuję się wręcz pokrzepiona. Zerkam na zegar i widzę, że został nam jeszcze kwadrans, i zaczynam mu współczuć:

– Wiesz, możemy robić wszystko, ale najpierw musisz mnie uprzedzić. Jeśli chcesz odwrócić role, muszę się przygotować, nie mogę z niewolnicy stać się od razu dominą.

– Nie, ale było świetnie.

Olaf grzecznie ściera spermę z czarnego linoleum. Dostrzegam, że zabrudził mi lekko pończochę, ale ponieważ jest moim ostatnim klientem, nie robię z tego wielkiego halo. On za to ma spermę na garniturze, w którym musi przejechać cały Berlin, aż do domu.

– Zapalimy? – proponuje, opadając na szezlong stojący naprzeciw kozła.

Po wytrysku Olaf nie jest już godny pogardy. Jest wykształcony, interesujący, ma piękne rysy. Dostrzegam to, otwierając okna, tak jak dostrzegam wtedy, czym naprawdę jest Studio: pokoikiem obitym czarnym skajem przez naszego konserwatora, o ścianach obwieszonych naiwnie kajdankami i sznurami, które mają wyglądać groźnie, lecz zbyt często pucujemy je płynem antybakteryjnym, by budziły nasz strach; gdy zacinają się krążki linowe, trzeba wezwać poważnego fachowca, i czekając na jego przyjście, *Hausdame* wiesza na drzwiach tabliczkę DEFEKT. Puściłam głośno *Gymnopédies* Erika Sa-

tie, lecz muzyka nadal z trudem zagłusza bulgotanie rur w sąsiedniej łazience, gdzie – i wyraźnie to słychać – jakiś klient płucze sobie akurat usta. Gdy zapalam papierosa, spod drzwi dociera do nas stłumiony dźwięk dzwonka z korytarza. Studio jest hermetycznie zamknięte, *pro forma*; jednak pomyślano je tak, że przenika z niego każdy odgłos, na wszelki wypadek; to, co dzieje się w środku, nie uchodzi niczyjej uwagi – ani dziewczyn, ani *Hausdamen*, które z czasem nauczyły się instynktownie odróżniać fałszywe okrzyki bólu od podejrzanej ciszy. Janus i Olaf na pewno tego nie wiedzą, ale właśnie na tym powinni się skupić, gdyby naprawdę chcieli nas przestraszyć. Musieliby umiejętnie grać na zwłokę i wmówić dziewczynie, że w ciągu kilku sekund, w całkowitej ciszy, może się jej przytrafić wielkie nieszczęście.

Tym, od którego mogliby się uczyć wszyscy inni, ten, którego imię zaprowadziło w Domu rewolucję, jest Gerd. Zazwyczaj umawia się na sesje, ale czasem zjawia się bez zapowiedzi, bo lubi zaskakiwać i być zaskakiwany – wówczas, tuż przed prezentacją, w nasze szeregi wdziera się milcząca walka bratobójcza. Wszystkie, które zgadzają się chodzić do Studia, niezależnie od zajmowanej tam pozycji, tłoczą się na korytarzu, poprawiając palcami fryzury. Nie jest to kwestia pieniędzy, bo Gerd nie zostawia większych napiwków niż inni i trudno powiedzieć, że nadrabia to wyglądem. Z wielką teczką, w wełnianych, przytłaczających go płaszczach, Gerd wygląda jak stary lekarz rodzinny, który odebrał porody wszystkich naszych matek. A jednak gdy *Hausdame* otwiera mu drzwi i gdy krygując się jak młódka, odbiera bukiet róż, który jej zawsze przynosi, po korytarzu, niczym iskra po ścieżce prochu, niesie się szept: „Gerd! Gerd przyszedł! Nie, bez zapisu!”. Informacja dociera aż do salonu, pończochy na kilku parach ud aż szeleszczą z podniecenia. Dzwoni telefon, ale wszystkie

mają to gdzieś, a jedna nieszczęśnica ubolewa: „A ja mam zaraz klienta…”.

Gerd przychodzi tu już od tak dawna, że zrozumiał zasadę kotary; i choć z korytarza nie może dostrzec żadnej z nas, nie licząc cieni i czubków szpilek Birgit, unosi kapelusz w naszą stronę i ruchem głowy pozdrawia cały korytarz. Jego róże są zawsze piękne, strój – jak spod igły, on sam jest milcząco uprzejmy, do tego stopnia, że nawet najbardziej czepialskie z nas zapominają, że ten gość ma co najmniej tysiąc lat. Przede wszystkim jednak Gerd zna się na rzeczy. Każda szczęśliwa wybranka wam to powie – tylko nie Delilah, która za żadne skarby świata nie dałaby się zdominować i w związku z tym omija ją coś wielkiego.

Być może boi się jego walizeczki. Wszystkie się jej bałyśmy. Pamiętam nasze pierwsze spotkanie. Gerd specjalnie poprosił o mały Liliowy Pokój na końcu korytarza, najbardziej odosobniony. I choć docierały tam odgłosy kroków dziewczyn, on tak mnie skrępował – szyję przywiązał do rąk, a ręce do kostek – że nie miałam fizycznej możliwości wydania z siebie jakiegokolwiek alarmującego dźwięku. Stopniowo czułam, jak ogarnia mnie lęk. Kątem oka z szafki z zasłonkami, w której – dosłownie – umieścił mnie Gerd, patrzyłam, jak on na mnie patrzy i jak mu staje. Był spokojny. Całkowicie świadomy mojej ograniczonej możliwości manewru, by łapać oddech, i sekund, jakie dzieliły mnie od wyczerpania, a zatem – ewentualnej śmierci przez uduszenie. Czułam, że za chwilę umrę. Jeszcze nigdy tragiczny koniec nie wydawał mi się tak bliski. Przynajmniej – myślałam sobie – znajdą mnie w ciepłym miejscu; przynajmniej znajdzie się choć jedna zapłakana *Hausdame*, która wyjaśni moim rodzicom, że „Pilnujemy, zwracamy uwagę, ale nie możemy być wszędzie”.

Wbijałam w Gerda wzrok oszalałego konia, a za gardło ściskała mnie chęć, by powiedzieć mu: „Rozwiąż mnie, rozwiąż mnie, bo padnę". Chodził teraz dookoła, tuż przy mnie, a czubki jego chłodnych palców przesuwały się po mojej skórze. Zamknęłam oczy, by nie oglądać własnego końca, a on szeptał mi do uszu: „Uspokój się", i miałam wrażenie, że jest to ostatni dźwięk, jaki słyszę w życiu, a Gerd to anioł śmierci, który uspokaja mnie, gdy wydaję ostatnie tchnienie. Przed oczami przeszły mi wszystkie piękne rzeczy, które zazwyczaj przypominają się nam tuż przed śmiercią: dom w Nogent, zachód słońca na plaży Sainte-Maxime, uśmiechy ukochanych mężczyzn. Nigdy nie ma na to wystarczająco dużo czasu albo jest zbyt wiele pięknych rzeczy. Wtedy jednym ruchem ręki Gerd rozwiązał węzeł, który łączył moją szyję z hakiem na suficie, a ja wpadłam jak kłoda w jego ramiona – które już nie wydawały mi się takie brzydkie. Moje serce biło tak szybko, że poczułam, jak do oczu napływają mi łzy, zalewając mnie falą wdzięczności i uwielbienia. Podkreślał moje piersi zmyślną makramą z linek, miałam kolana na wysokości uszu i czułam się jak kawałek mięsa, zależny od jego woli – ale jakaś służalcza i kompletnie ogłupiała część mnie śliniła się na myśl o kolejnych ruchach Gerda. Mogłam być skonsternowana, jak to często bywało, gdy widziałam, jak wciąga lateksową rękawiczkę, by wsunąć we mnie palce; ile palców? Nie wiem. A nawet gdybym chciała liczyć, poszewka od poduszki, którą Gerd założył mi na głowę, sprawiała, że byłam ślepa i głucha na wszystko; na swoje wałki tłuszczu, wystające spomiędzy linek, na to, jak wyglądałam, na wstyd, jaki poczułabym, gdyby jakaś roztrzepana *Hausdame* weszła właśnie do pokoju. Pamiętam tylko swój orgazm – tak silny, że pogryzłam sobie język aż do krwi; później, widząc, jak zaczerwieniona wracam do wspólnej sali, Esmée i Hildie roześmiały się: „Wszystko w porządku, Justine? Może sznapsik postawi cię na nogi?". Widać

było, że nie czerwienię się z wściekłości ani z wyczerpania, i, co dziwne, mimo że zawsze chodziłam wśród nich na golasa bez choćby cienia wstydu, teraz odruchowo owinęłam się w pled, jakby moje ciało pachniało z daleka zaspokojoną kobietą. Było coś intymnego w tych moich rumieńcach, które dotyczyły czegoś znacznie większego niż nagość; coś, co budziło we mnie chęć na marzycielską samotność, na drzemkę głęboką jak śmierć. Potem, tak jak wszystkie inne, wypatrywałam wizyt Gerda.

Gerd nie ryzykuje, że rozmawiając z nami, wzbudzi naszą pogardę – bo on z nami nie rozmawia. Kilka uprzejmych zdań na wstępie, i tyle – poczciwy człowiek. Bierze prysznic, niezwykle skutecznie doprowadza dziewczyny do orgazmu, a potem wraca do domu lżejszy o bukiet róż, dwieście euro i o nasienny balast, którego nigdy nie widziała żadna z dziewczyn. Widok dochodzącej kobiety, która nie ma wyboru, która przestała z tym walczyć, całkowicie mu wystarczy i zadowala się swoją małą szczupłą rączką, której nikt nie podejrzewa o takie zdolności. Jest coś szlachetnego w tym staruszku; Hildie, Thaïs i ja wychwalamy go w kuchni, podczas gdy on torturuje Bobbie (która na to nie zasługuje, bo ją do orgazmu doprowadza każdy męski dotyk). Delilah przyszła zapalić. Słucha nas, a potem rzuca:

– Nie rozśmieszajcie mnie, ten typ mógłby być waszym dziadkiem. Widziałyście tę jego teczkę? Musiałby mi zapłacić, żebym zechciała tknąć ją palcem. Zastanawiałyście się kiedyś, przez ile dziewczyn przeszły te jego zabaweczki? Odrażające. Skąd wiecie, czy on nie łazi po tych wszystkich obrzydliwych burdelach w mieście, a gdy przychodzi tutaj, robicie z siebie idiotki, żeby tylko popieścił was wibratorem, wyjętym przed chwilą z jakiejś zarażonej chlamydią *Hartgeldnutte*.

– Czyści przy nas wszystko – odpowiada Hildie. – Ma własną butelkę z płynem dezynfekującym.

– Tak, własną butelkę… Skąd wiesz, czy nie trzyma w niej tylko wody?

– Ty i ta twoja podejrzliwość… Zakłada gumki na każdy wibrator i lateksowe rękawiczki, gdzie tylko się da.

– Nie ufam mu. Ten typ to świr. W dodatku nie daje nawet euro napiwku.

– Tak, ale daje orgazmy – rzucam, zdecydowana bronić honoru Gerda.

Delilah wzrusza ramionami.

– Stary dziad nie musi pokazywać mi, gdzie mam łechtaczkę, skarbie.

Ten komentarz nie psuje mi humoru, ale wyczuwam, że Delilah jest urażona naszą jednomyślnością, a przede wszystkim faktem, że nie ma w naszych rozmowach choćby śladu kpiny z Gerda. Świat staje na głowie, gdy dziwki zaczynają nagle darzyć sympatią faceta, który do czegoś je zmusza. To burzy nieco jej koncepcję tego zawodu – z jednej strony życiowi partnerzy, z drugiej – klienci. Pogarda Delilah rozciąga się na cały rodzaj męski; tym, co ratuje przed nią jej partnerów, jest miłość, jaką ich darzy – tym większa, im mocniejszą nienawiść czuje do mężczyzn, którzy jej płacą.

Jack on Fire, The Gun Club

Droga powrotna bywa czasem taka przyjemna! Zwłaszcza latem, gdy rozgwieżdżone niebo między brzydkimi kamienicami ma barwę koktajlu Violet Fizz. Wychodząc z Domu, czuję taką radość, że chętnie pozdrawiałabym ludzi na ulicy – co zresztą robię, jak co wieczór macham Turkowi z pobliskiej budki z jedzeniem; on doskonale wie, czym zajmują się jego ładne, zbyt mocno umalowane klientki, które zawsze zamawiają kebab bez cebuli. No i co to zmienia?

Kocham mały wagonik U-Bahna. Nie ma nic bardziej upojnego niż świadomość, że jestem kurwą pośród tłumu szacownych obywateli, którzy nie domyślają się niczego – bo choć wykonuję ten zawód ze znaną wielu starannością, często jestem, o tej późnej porze i w tej właśnie dzielnicy, osobą, która najbardziej przypomina studentkę. Pomyślcie! Spędziłam cały dzień w koronkowej haleczce i szpilkach, z włosami opadającymi na plecy i z mocno wytuszowanymi rzęsami, więc luksusem jest dla mnie wskoczenie w luźne dżinsy, rozciągnięty sweter i podarte tenisówki i związanie włosów w nieładny koński ogon; i lubię wtedy patrzeć na inne młode dziewczyny, które wybierają się na imprezę i najwyraźniej wkładają mnóstwo wysiłku, by upodobnić się do wyobrażenia, jakie mają o nas, dziwkach.

I kto tutaj ma lekkie obyczaje, drodzy państwo? One, w tych swoich dżinsach, tak obcisłych, że nie potrzeba nawet uruchamiać wyobraźni, czy ja, dziewczyna z książką, wyglądająca jak opiekunka do dzieci? Rozdaję uprzejme uśmiechy starszym paniom, które tłoczą się wokół mnie, bo jestem mniej groźną współpasażerką niż te grona

wystrojonych dziewcząt, pijących piwo Berliner Kindl w drodze do klubu Berghain. Ten niewyraźny zapach mężczyzny na pewno pochodzi od nich, przesiąkły nim ich długie włosy; ich hałaśliwe śmiechy zagłuszają moją muzykę; widzę, jak staruszki unoszą brwi: „Młode kobiety nie umieją się dziś zachować". Robię porozumiewawczą minę, jakbym chciała powiedzieć, że młodość się musi wyszumieć.

Ale jak czytać w takich warunkach? Czuję się jak Superman w cywilu, który dopiero co uratował świat, lecz zostało to przyjęte z ogólną obojętnością – i zastanawiam się, czy mężczyźni mnie wyczuwają. Makijaż mnie nie zdradzi, bo zmyłam go przed wyjściem – lecz moje oczy zachowały burdelową butę, dezynwolturę, którą można nawet uznać za bezczelność. Zeszłam przed chwilą z ostatniego klienta i dobrze wiem, że to jeszcze czuć. Że to już we mnie wygasa, bardzo powoli, jeśli w ogóle we mnie takie rzeczy mogą wygasnąć. Linią U7 poza dziadami, którzy zawsze gapią się na dziewczyny, jeżdżą już tylko przysypiające staruszki i okazjonalnie Bobbie albo Thaïs, które wysiadają na Yorckstrasse, puszczając do mnie oczko. Lecz doświadczenie jest jeszcze ciekawsze na linii U1: moje upojenie dobrze wykonaną pracą nakłada się na ogólny entuzjazm, panujący na Kreuzbergu. Istnieje mniej więcej jedna szansa na trzy, że w tym tłumie młodych berlińczyków zalewającym metro spotkam klienta – albo swojego, albo takiego, którego dzielę z Pauline (para, którą tworzymy, przyciąga raczej spłukanych artystów aniżeli biznesmenów z Zachodu). Ja rozpoznałabym ich natychmiast, oni potrzebowaliby więcej czasu, rzucaliby ukradkowe spojrzenia i wreszcie skojarzyliby włosy – które wiążę, zanim pochylę się, by im obciągnąć – i francuską książkę, którą pobieżnie czytam. Tak jak na przykład Werner, który wsiada na Hallesches Tor; spuścił się na moją twarz czterdzieści osiem godzin temu i oboje to pamiętamy, ale on czerwieni się na to wspomnienie, a ja się tylko uśmiecham. Dotykam skraju swojej

głupiej czapeczki, żeby go pozdrowić, Werner kiwa głową i oboje wracamy do przerwanych lektur – ja czytam Zolę, a on tekst Le Corbusiera.

Spójrz na mnie, przyjacielu. Podnieś wzrok znad telefonu. Znieś to nagie spojrzenie, jeśli możesz. Jak to się dzieje, że dziewczyna w czapeczce, taka jak ja, może mieć w oczach takie kurwiki? Powiem ci dlaczego. Przez cały dzień ktoś mnie posuwał. Doprowadzałam mężczyzn do wytrysku od szesnastej do dwudziestej trzeciej i szczerze mówiąc, mogłabym to robić dłużej, gdybym chciała. Zresztą – może chcę. Dokładnie wiedziałabym, co zrobić, żebyś zaczął błagać Stwórcę, by nie pozwolił mi pochłonąć twojej duszy.

Och, nigdy nie miałam tak spokojnie obscenicznych relacji z mężczyznami jak te nawiązywane w metrze z nieznajomymi. Gdy jadę wyczerpana po pracy, zdaje mi się, że wypłynęła ze mnie wszelka zmysłowość, jednak w mojej głowie zawsze, jak w finałowej scenie *Mechanicznej pomarańczy*, rozbrzmiewa *IX Symfonia* Beethovena, a pasażerowie metra, nadzy, zroszeni potem, robią sobie nawzajem niewyobrażalne rzeczy.

Words of Love, Buddy Holly

Różowy poranek nad Domem.

Sarah ziewa, wkładając coś do szafki. Bobbie pochyla się, by podnieść skarpetki, kuca bez gracji, obojętnie traktując odsłonięte ciało – wzruszające jak u kobiety, która dopiero co wyszła z łóżka i uwodzenie ją nudzi, przynajmniej w tej chwili. Birgit składa ręczniki w łazience, słucha radia przez słuchawki. Ja wlokę się w kapciach do kuchni, żeby zrobić kawę, ale Paula, najwyraźniej wściekła, już się tym zajmuje. Dzwonek, który zabrzmiał przed chwilą, odrywając nas od narzekań, to jej pierwszy klient, bardzo punktualny; już czeka na nią w Zielonym Pokoju.

Paula agresywnie zapala winstona, jest w tym cudownie wulgarna, zaciąga się, marszcząc brwi, i wylewa na mnie swój żal:

– Wkurza mnie, gdy zjawiają się równo o umówionej godzinie. Nie można im nic powiedzieć, wszędzie jest napisane, że zaczynamy o dziesiątej. Ale ja dopiero co przyszłam! Zastanawiam się, czy nie lazł za mną po schodach. Teraz, gdy o tym myślę, jestem pewna, że go słyszałam!

– To nie do zniesienia – podpuszczam ją. Współczuję jej i czuję satysfakcję, bo mój pierwszy klient ma przyjść dopiero w południe.

– W głowie się nie mieści, że można mieć ochotę na seks rano, przed pracą. Z żoną to jeszcze rozumiem, leży obok w łóżku, wystarczy wyciągnąć rękę. Ale wizyta w burdelu przed pójściem do biura!? Nie rozumiem tego, staram się, ale mnie to przerasta. Rano, no nie wiem, człowiek chciałby spokojnie wypić kawę, poczytać gazetę! Wi-

zyta w południe podczas przerwy obiadowej to już tak. Ale przyłażenie tuż po otwarciu tylko dlatego, że tak można… Czy on myśli, że ja spędzam życie w podwiązkach i szpilkach?

Prawdę mówiąc, nie pamiętam już, w jakim przyszła ubraniu. Jej ostrzyżone na pazia włosy są jeszcze w nieładzie, a szpilki nosi przydeptane jak kapcie. Nawet gdyby Paula spędzała życie w podwiązkach i szpilkach, to i tak wyglądałaby, jakby dopiero co wstała z łóżka.

– Ledwo otworzyłam drzwi, a już przyskoczyła do mnie Birgit, „Klient czeka", musiałam szybko się ubrać i umalować, na szczęście w domu wzięłam prysznic, bo tu bym dla niego się nie myła. – Wytrzeszcza swoje umalowane oczka z ledwo powstrzymywaną irytacją. – Tak, bo sprawdziłam przez dziurkę od klucza, jak wygląda. Miałam przeczucie, domyślałam się. Mogłabym go zabić. Jest czuły, klei się do ciebie, nie wiesz, co z nim zrobić, dużo czasu mija, zanim zrozumie, że ma już spadać. A co z moją kawą?

– No to wypij tę kawę! Kwadrans po dziesiątej to kwadrans po dziesiątej. Jak na poczcie. Spróbuj iść na pocztę przed otwarciem.

– Kawa będzie gotowa za jakieś dziesięć minut, nie mogę czekać, gdy wiem, że on tam siedzi z rękami na udach, wpatrując się w drzwi. To mnie przytłacza. Lepiej załatwić to od razu. Ale powiem ci, że denerwuje mnie takie zachowanie. Ja też mam rano swoje życie.

I zgniótłszy pierwszy niedopałek w czystej popielniczce, Paula z niechęcią porządnie wkłada szpilki. Kuca przez chwilę i z rezygnacją wypuszcza dym, który rozkosznie wyślizguje się z jej pięknych nozdrzy.

– Nawet nie wiesz, ile czasu zajmuje mi odzyskanie dobrego humoru po takim początku dnia.

Między zasłoną a kuchennymi drzwiami widzę, jak jej klient zdąża w kierunku łazienki – to wysoki chłopak, który patrzy na Paulę z uwielbieniem i nie widzi jej zmarszczonego noska nad obowiązkowym uśmiechem. On się myje, a Paula wypełnia kartę obecności i wzdycha:

– Sprytny jest, przyniósł mi kartę podarunkową do KaDeWe. Miło. Ale teraz mam podwójnie zły humor: bo jestem wściekła, a nie powinnam być.

Wyjdzie oczarowany, jak zwykle – oczarowany dosłownie. I gdy słyszę, jak Paula śmieje się na balkonie z Genovą, otoczona kłębami dymu i aromatem kawy, myślę, że ten klient ostatecznie przeminie jak wszyscy inni; wkurzają nas, gdy tu są. Gdy wyjdą, jest trochę tak, jakby nigdy nie istnieli.

Tainted Love, Gloria Jones

Czasem trudno jest udawać, że zapominamy, czym jest prostytucja. Spoglądamy na to wijące się między naszymi nogami ciało, słuchamy tych mozolnych, przesadnych, osłabiających jęków, które bezmyślnie z siebie wydajemy, i dociera do nas absurd całej tej sytuacji.

Miałam napisać – już mnie świerzbiły palce – że nasze wyczerpanie można porównać do tego, które odczuwa niania zmuszona niezmordowanie bawić się z nie swoimi dziećmi, zaspokajać ich rozliczne wymagania, tłumić rozdrażnienie; Bóg jeden wie, jak bardzo w moim mniemaniu te dwa zajęcia wymagają tej samej nadludzkiej energii, tego samego oddania. Ale wątpię, czy istnieje na tym świecie zmęczenie porównywalne ze zmęczeniem dziwek, nawet w zawodach wymagających siły fizycznej. Nie mówiąc już nawet o energii umysłowej, którą wkładamy w rozmowy z ośmioma różnymi facetami, starając się traktować każdego tak samo uprzejmie i z takim samym uśmiechem – to tytaniczny wysiłek! Nikt nie wie, jak bardzo ciało jest powiązane z głową po przyjęciu ośmiu mężczyzn, do jakiego stopnia zmęczona jest wagina – i czym jest obowiązkowe otwieranie waginy, powstrzymywanie złości przy każdym ruchu lędźwi, za każdym razem, gdy kutas uderza o jej dno, jak tysięczny cios pięścią w otępiałą gębę skatowanego faceta. Tak naprawdę nie czujemy już nic. A jeśli już, to same złe rzeczy: pozostałości aktywnych nerwów nie przekazują już mózgowi poczucia przymusu, dyskomfortu, który mógłby zamienić się w męczarnię, i na pewno był nią w czasach, gdy

nie istniały lubrykanty. Również to: ta przemoc wobec samych siebie, rezygnacja, z którą smarujemy pochwę lubrykantem, by mogli w nas wejść mimo wszystko, by uśmierzyć odruchowe skurcze, żeby przynajmniej uśmiech, gdy trudno nam się już uśmiechać, pozostał szeroki. Tę przemoc zadajemy same sobie, my, kobiety, powtarzając, że ta dziura i tak już jest i że jest właśnie po to, i nawet jeśli dla ciebie to już ósmy raz, dla niego jest to najpiękniejszy moment dnia, nie będzie innych, myśl o nim, bo myślenie o pieniądzach cię nie pocieszy. To właśnie poczucie ofiary każe nam nadstawiać dla nich drugi policzek, żeby przynajmniej oni czuli się szczęśliwi.

A myślę o tym akurat dzisiaj, bo pomyliłam godziny i zamiast przyjść o czternastej, jak mi kazała *Hausdame,* pojawiłam się w Domu równo o dziesiątej. Zanim zdążyłam sobie uświadomić swój błąd, umówiono mi już spotkania aż do końca dyżuru i ze względu na swoje świeże oraz liczne nieobecności nie śmiałam na bieżąco zmieniać grafiku. Jedenastogodzinny dyżur odpowiada męce moich sióstr, które pracują w kawiarni – ale w burdelu tortura ta łączy się z poczuciem nieludzkiego traktowania przez resztę świata, począwszy od mężczyzn po *Hausdame,* która w dobrej wierze przeładowała mi grafik.

W kuchni jest Genova, właśnie zaczęła dyżur. Spokojnie maluje się przed podwójnym lusterkiem zawieszonym nad stołem, a ja palę, siedząc naprzeciw niej, i dyskretnie obserwuję fascynujące i niezliczone etapy jej metamorfozy. Najpierw złocisty podkład, który wygląda, jakby miał kontrastować z jej jasną skórą. A jednak, wbrew wszelkim oczekiwaniom, to działa: Genova ma mnóstwo gąbeczek i pędzli, które zmieniają dwie dozy pudru w kremie w niedostrzegalną drugą skórę. Ja nigdy bym tak nie umiała. W dodatku ona jednocześnie rozmawia, a to znaczy, że cały ten proces jest dla niej czymś

naturalnym, tak jak dla mnie skręcenie idealnego jointa (co akurat, niestety, nie poprawia wyglądu mojej cery).

– Jak się masz, Justine?

– Dobrze, a ty?

– Jak zwykle świetnie.

Diabelnie mocno podkreśliła brwi, jak dziewczynka, która przebiera się za czarownicę; jest tam szarość, czerń, brąz i z tych ordynarnych kresek powstaje cud precyzji. Prawdopodobnie za sprawą tej dziwnej gąbeczki w kształcie czopka.

– Nie mogę już ich znieść – rzucam, bo nagle zebrało mi się na zwierzenia.

– Nic nie mów!

– Wytrzymałabym jeszcze, gdyby ten facet nie przyszedł. Jest taki jeden w tej puli, wolałabym zapłacić, żeby został w domu. Miły, ale powiedziałam mu, że nie mam dzisiaj czasu, a on i tak zrobił wszystko, by wyrwać aż dwie godziny. Nie wyobrażasz sobie, jak mi to rozwala dzień.

– Powiedz mu po prostu, że nie masz ochoty go widzieć.

– Tak, ale co robisz, gdy nie masz ochoty spotykać się z kimś jednego dnia, ale później być może będzie ci to obojętne albo sprawi ci to radość?

– Równie dobrze możesz mu powiedzieć: „Dzisiaj nie jestem w nastroju".

– Tak, ale to trochę…

Genova zastyga w oczekiwaniu na słowo, którego szukam, a które powinno brzmieć „kaprys".

– Nie wiem…

– Posłuchaj, skarbie, powiem ci jedną rzecz: ja na przykład utrzymuję się z tej pracy. Opłacam rachunki, wynajem, ubezpieczenie zdrowotne, potrzebuję tych pieniędzy i generalnie nie wybrzydzam,

jeśli chodzi o klientów, taką mam zasadę. Ale jeśli wyeksploatuję się jednego dnia, wprawi mnie to w zły humor i dzień później wszystko odwołam, będą to stracone pieniądze, których nie odzyskam nigdy.

– Tak, wiem, że masz rację…

– Przykro mi, ale my tu nie sprzedajemy bułek. To są relacje międzyludzkie. I tak się czasem zdarza, że nie masz ochoty. Nie da się z tym dyskutować. Mogą sobie iść na skargę do *Hausdame* albo nawet pisać do szefowej, nikt ci nie może nic powiedzieć.

– Pomyślę o tym następnym razem. Teraz już mi przeszło, już mi lepiej, ale jedenastogodzinny dyżur to za dużo.

– Wiem, co chcesz powiedzieć.

Teraz szminka. Neutralny kolor, który podkreśla jej piękne pełne usta, ale nie sprawia, że Genova wygląda na zbyt umalowaną.

– Bywają takie dni. Wiesz, kiedy robi się ciemno, a ty masz już dość. Mnie doprowadzają do szału lustra. Na przykład te w Złocistym. Są jak kolejny krąg piekła. Nie możesz dłużej, a musisz patrzeć w lustrze na tego typa, który maca cię po pośladkach, po talii, który potrząsa tobą na wszystkie strony. Zazwyczaj to lubię, lubię, jak jest trochę zwierzęco. Ale czasem czuję, jak narasta we mnie gniew, mam ochotę krzyczeć: „Zdejmij ze mnie te łapy, skurwielu!”. Rozumiesz?

Nie odpowiadam, tylko uśmiecham się do Genovy; nie wyobrażam jej sobie na skraju wyczerpania, przesiąkniętej tą nienawiścią do mężczyzn, która kiełkuje we mnie dzisiaj. To jest to, to jest ten przebłysk wśród dobrych intencji, to odbicie w lustrze, ukazujące nagle zepsutą lalkę, różową, jędrną skórę zasłoniętą zwierzęcym ciałem. Odgłos masakry – i stary jak świat odgłos kobiety tkwiącej pod mężczyzną, cierpiącej pod nim, zniecierpliwionej, zmęczonej. I patrzę spod włosów na te zasłony, te lustra, te światła i te kwiaty, cały pokój wokół mnie trzęsie się w wybranym przez niego rytmie, i my-

ślę sobie, że ten wystrój ma pomóc w zapomnieniu, co się tutaj naprawdę dzieje. I nic dziwnego, że momentami skrzeczy prawda. Wygoda i delikatność mogą służyć za przykrywkę przez pewien czas, ale punktem wyjścia są absolutnie nieludzkie warunki, bo ten zawód nigdy nie był tak naprawdę ludzki. Prawo, które jest po stronie dziwek, może poprawić warunki pracy, ale są to bolesne wysiłki, podejmowane przez społeczeństwo, by złagodzić nieco założenie: dziwka jest obiektem seksualnym. I ma bardzo ograniczoną możliwość odmowy. Tak, oczywiście, możemy powiedzieć „nie", zwłaszcza tutaj, ale o jakie „nie" tak naprawdę chodzi? „Nie" wobec czego? „Nie" wobec czego konkretnie?

Poza tym bywają dni, w których zupełnie nie rozumiem klientów: gdy się spóźniam, gdy klient już na mnie czeka, gdy przed rozpoczęciem dyżuru nie maluję się i nie wypalam papierosa, by przeobrazić się w Justine… i kiedy muszę już myśleć o wszystkim – ręcznikach, muzyce, lubrykancie – a głowę mam jeszcze pełną literackich stwierdzeń albo fantazji na temat któregoś z aktualnych gachów.

To może być jakiś drobiazg, ale nie wczuwam się, Bóg raczy wiedzieć dlaczego; nie wczuwam się, moje jęki brzmią fałszywie, jestem rozkojarzona, a faceci jakby to odgadywali, zauważam, że są mniej twardzi, że potrzebują więcej czasu, by ejakulować, i mają do mnie pretensje, a ja zaczynam ich nienawidzić, tak jak kelnerzy darzą nagłą nienawiścią klientów, którzy udowadniają im złą wolę albo roztrzepanie. Mam o to do nich żal i najmniejsze szczegóły związane z seksem stają się dla mnie nieznośne: temu nie staje tak, jak powinno; ten poci się jak wieprz i kontakt z jego ociekającym torsem jest dla mnie nie do zniesienia („zresztą, kurwa, niech jedna kropla spadnie mi na twarz, a podrapię go do krwi"); ten chce mnie cało-

wać, a ponieważ odwracam głowę, zadowala się lizaniem mojego ucha; ten, któremu rozmyślnie zakazałam wszelkich analnych sztuczek, cały czas trzyma palec w mojej dupie; a znów ten ma taki zapach – ani ładny, ani brzydki – który drażni moje nerwy, i w dodatku tak mlaszcze, gdy mnie liże, że muszę zatykać sobie uszy, w sposób – mam nadzieję – dyskretny, a nawet jeśli nie, to mam to gdzieś!

Czy to dlatego, że przywykli do mojej uprzejmości, mój nagły chłód sprawia, że tracą pewność siebie? Znużona balansowaniem między miękką penetracją a bezużytecznym obciąganiem, z bólem gardła, który przytrafia mi się w gorsze dni, ściągam gumkę, jakbym zdzierała opatrunek, i smaruję ręce lubrykantem. Zrazu delikatnie, biorę się do pracy z naiwną wiarą w działanie ciepłego dotyku i nieopisaną skuteczność wyrafinowanego ugniatania. Ale ponieważ trwa to długo, tracę wszystkie talenty i sprawna pieszczota zamienia się we wściekłe szarpanie dojarki, aż wreszcie niepewny kutas między moimi palcami kurczy się, a moja dotkliwa klęska i brak profesjonalizmu krzyczą szkarłatnymi literami: tak właśnie wygląda zjebana robota. Chciałaś zrobić to szybko, po linii najmniejszego oporu, i proszę, co z tego masz. Co ty sobie wyobrażasz? To jest sztuka, do cholery. A ty myślałaś, że co? Spójrz na siebie, nie masz ochoty gadać, nie masz ochoty się pieprzyć, jesteś tu, bo nienawidzisz się za przepuszczenie sześciuset euro w sklepie Agent Provocateur; idiotko! Wydałaś sześćset euro na komplet bielizny. Jak widzisz, człowiek nawet nie zauważa, kiedy staje się naprawdę kurwą. A myślisz, że tego gościa stać na opłacenie godziny z tobą? Jest pracownikiem socjalnym, do cholery, ma żonę i dzieci. Poświęcił się dla ciebie – a ty wzdychasz z furią? Za godzinę twojego czasu – czyli dwa razy mniej, niż spędziłaś wczoraj w fotelu nad Tinderem, gdy ktoś ci robił pedikiur? Gdzie ty masz serce? Zresztą, co tam serce, gdzie ty masz zasady? Te słynne zasady, które odróżniają cię od innych dziwek.

Więc znów robię się miła. Robię się na tyle miła i czuła, że moje ręce znów są więcej warte niż jego własne. A gdy dochodzi z ekstatycznym jękiem, czuję falę wdzięczności i tkliwości. Wygląda na uszczęśliwionego. Dziękuje mi ze znużonym rozanieleniem. I nie porusza cię to, kobieto o kamiennym sercu, że za tę chwilę delikatności wybaczył ci kwadrans zapamiętałego dojenia? Że w gruncie rzeczy to takie proste?

A ponieważ odwaliłam już największą robotę, postaram się być dla nich miła, taka, jak oni są dla mnie – będę mruczała i głaskała ich po włosach, zmiękczona upojeniem na widok pełnego kondoma, wyrzutami sumienia i dziwną solidarnością, jaką obdarzam tych mężczyzn, którzy przyszli tu, by poczuć się atrakcyjniejsi. To trochę jak z fryzjerem; nigdy nie ma gwarancji, że mu się uda.

Strange Magic, Electric Light Orchestra

Gdy na początku września mój przyjaciel Arthur został ojcem, nie byłam na tyle blisko, żeby to z nim świętować – nie, wegetowałam na południu, sama przekonana, że jestem w ciąży – inna kobieta otworzyła z nim szampana na swojej kanapie w Vincennes. Była to Anne-Lise; łączyło go z nią dziesięć lat miłości i pretensji, lecz ostatecznie doszedł do wniosku, że nie jest „tą jedyną". W ciągu tych dziesięciu lat doszło do wielu krwawych zemst, do wielu dramatów na klatce schodowej jego mieszkania – często wydawało się, że to już koniec. Ale spotykając się z nim tak długo, Anne-Lise zrozumiała Arthura i choć płakała, choć czasem krzyczała, wiedziała, że nic budującego nie wyniknie z gniewu na tego chłopca – i była zawsze przy nim, gdy nie chciał być sam, tak jak on otwierał jej zawsze drzwi, gdy ją męczyła samotność. Rozmawiali codziennie; Anne-Lise była tą eks, z którą kolejne dziewczyny Arthura nie wiedziały, co robić, i ostatecznie godziły się na współistnienie z tym cieniem, podejrzewając niewyraźnie, że je z nią zdradza, choć nie miały na to dowodów. W gruncie rzeczy Anne-Lise była jak najlepsza przyjaciółka, której mówił o wszystkim; i to do niej zadzwonił w wieczór, w którym przyszła na świat jego córka.

Anne-Lise poczuła lekki, bardziej lub mniej świadomy ból, słysząc, jak Arthur szczebiocze: „Mam córeczkę!", lecz zaprosiła go do siebie trzy dni po narodzinach. W lodówce czekał szampan, a Anne-Lise, która nie miała jeszcze dzieci, udawała entuzjazm, jakiego oczekuje się od kobiet wobec młodych ojców. Arthur, upojony nową

rolą i zachęcony jej przychylną postawą, nieco zapędził się w szczegółowych opisach nacinania krocza i przecinania pępowiny, unoszenia się ze szczęścia nad ziemią i miłości do całego rodzaju ludzkiego. Nie myśląc ani przez chwilę, że nie ma w tym wszystkim miejsca dla Anne-Lise.

Nie zdziwił się, gdy zdjęła bluzkę, mówiąc, że trzeba to uczcić. Wziął ją w ramiona w przypływie spokojnego szczęścia, przekonany, że czczą razem Kobietę, cudowną płodność jej otworów, tę ślepą i głupią radość, z której rodzą się dzieci. Kochała się z nim po królewsku, oddając mu się w sposób komunikatywny, wymyślając specjalnie dla niego niebezpieczne pozy, które pozbawiały go tchu, gdy wczepiał się dłońmi w jej młode, gibkie ciało. Pomyślał, a potem również powiedział: „Nigdy tego nie zapomnę".

Później, opadając na Arthura, który z trudem łapał oddech, ogłupiały od obfitego wytrysku, pogłaskała go po policzku, odzyskując nagle panowanie nad sobą: „Cała przyjemność po mojej stronie". To był jej prezent dla niego, występ na uczczenie ważnego wydarzenia. Nic w ich zbliżeniu nie wskazywało na taką intencję, w każdym razie nic konkretnego, nic namacalnego. Miała czerwone plamy na piersiach i ciężkie powieki, spod których błyszczały figlarne oczka – a Arthur zastanawiał się, skąd wzięła się ta figlarność, z tego, że miała orgazm? Czy z tego, że to on do niego doprowadził? Z przyjemnością podarowała mu tę szaloną jazdę; zrobiła to zresztą z dobrego serca, można nawet powiedzieć: z miłości. Była świadoma każdego gestu, każdej pozycji, każdego gorączkowego spojrzenia spod długich ciemnych włosów. Była być może świadoma każdego skurczu pochwy w chwili, w której być może doszła, być może – świat wokół stał się nagle jednym wielkim „być może". Nie żeby stanowiło to jakąś różnicę, przyjemność pozostała przyjemnością, nawet jeśli przyjemność Anne-Lise była motywowana czymś innym niż zwykłym po-

żądaniem. A on pomyślał: „Może one naprawdę potrafią być takie podwójne, potrójne, poczwórne, może są na tyle potworne, że nie można w żaden sposób udowodnić im uzurpacji? Może naprawdę trzeba pogodzić się z tym, że nigdy nie będzie wiadomo, może trzeba obdarzyć je ślepym zaufaniem albo ciągle wątpić i nigdy nie zaznać szczęścia?".

I pomyślał, że w gruncie rzeczy to duże szczęście, że problem ten można rozwiązać przy użyciu fiuta; by osiągnąć spełnienie, nawet powierzchowne, które umniejszyłoby wagę prawdy. Że fiut zawsze ostatecznie wygrywa, gdy umysł brodzi w dylematach bez końca; i gdy Anne-Lise zasypiała przy nim, rozpalona i spokojna, on miał przebłysk świadomości, chwilowy, lecz niezapomniany, dotyczący niedoli kobiet, ich seksualności, tak złożonej, że nawet one same często jej nie rozumiały – bo nie miały głupiego kutasa, który wskazywałby im źródło fizycznego zaspokojenia. Mężczyzna może kłamać o wszystkim, ale nie o wytrysku – nawet jeśli towarzyszy mu średnia przyjemność. Wytrysk był punktem końcowym, tymczasem kobieta, zdolna czerpać satysfakcję ze wszystkiego i z niczego, uczestniczyła w bezustannym biegu po Rozkosz, w którym przeszkodą były tysiące jej osobowości. Kobieta ma miliard powodów, by uprawiać seks, i żaden nie musi być do końca fizyczny. Jednym z powodów – szlachetnym i egocentrycznym – jest wymazanie wspomnienia o innej, wyświadczenie przysługi, przedłużenie własnego istnienia, świętowanie narodzin dziecka kobiety, którą wolał Arthur. Być może z tego altruizmu rodziła się w pewnym momencie fizyczna rozkosz, być może kobieta wychodząca z założenia, że doprowadzi mężczyznę do orgazmu, wpada we własne sidła, może dlatego cipka Anne-Lise przy jego udzie była taka mokra.

Ale może Anne-Lise była mokra wyłącznie dlatego, że tak mają wszystkie cipki, nawet nie do końca przekonane, może podniecały ją

wydawane przez niego odgłosy, świadomość, jak na niego podziałała. Nie było sensu tego drążyć. Moje cyniczne opowieści o burdelu tylko dodawały powagi jego refleksjom, Arthur myślał o mnie, jak pieprzę się, a głowę mam gdzie indziej. Kobiety mogą zatem z natury oddawać się komuś w całości i całkowicie się od niego odcinać, być obecne jednocześnie w różnych wymiarach.

Czy to rzeczywiście niedola? A jeśli tak, czy była to niedola kobiet, czy raczej mężczyzn, którzy rozpaczliwie próbowali oddzielić prawdę od fałszu? Czy w gruncie rzeczy nie to było jedyną prawdziwą niedolą? I ta umiejętność kobiet, by być jednocześni tu i tam, nie była raczej czymś magicznym?

Tak, właśnie o tym myślał Arthur, zasypiając – to musiała być magia.

Czując bliskość Anne-Lise i moją, czując bliskość wszystkich tych kobiet, które krzyczały pod nim i być może również dochodziły, i których oszałamiające obrazy krążyły mu po głowie, myślał, że to jest magia i że trzeba przyjmować te sztuczki jak dziecko, bez podejrzliwości, bez nieufności, bez prób szukania podstępu – a przede wszystkim nie ulegać tej dorosłej perwersji, tej potrzebie sprawdzenia, dlaczego ktoś zostaje magikiem, jaki chce zapełnić brak, jaki stłumiony głód zaspokoić; przecież wystarczy powiedzieć sobie, że magik kocha roziskrzone oczy widzów i że właśnie z tego czerpie swoją rozkosz: sprawiając przyjemność innym.

Always See Your Face, Love

Nie mam problemu, by zrozumieć powody kogoś, kto raz odwiedza burdel. Jeśli wraca, to znaczy, że placówka działa w sposób satysfakcjonujący i oferowany przez nią asortyment jest w stanie dostosować się do pozostających w wiecznym ruchu form męskich fantazji. Rezygnacja z burdelu – na zawsze lub na jakiś czas – stanowi mniejsze zło, zrozumiałe dla tych, którzy, tak jak ja, bezustannie próbują ograniczyć grzeszne przyjemności, takie jak papierosy, trawa czy różowe wino.

Odkąd pracuję w Domu, powtarzam sobie, iż szeroki wachlarz kobiet, jaki stanowimy, jest w stanie zaoferować każdemu mężczyźnie możliwość posiadania siedmiu rożnych małżonek na każdy dzień tygodnia – jeśli tylko ma na to odpowiednie środki finansowe: burdel to poligamia w zasięgu ręki. Po ponad dziewięciu miesiącach w zawodzie dostrzegam, że mój dzienny grafik, wypełniony po brzegi, rzadko obejmuje nowych klientów; w większości są to znane imiona i rzadko, wchodząc do pokoju prezentacji, nie mam okazji zaszczebiotać w coraz płynniejszej niemczyźnie: „Ach, to ty! Co tam słychać od ostatniego razu?”.

Wielu z nich ściskam jak przyjaciół. Choć słowo „przyjaciół” może nie jest tu całkiem na miejscu. To przyjaciele, bez których spokojnie bym się obeszła. Przyjaciele, z którymi spokojnie mogłabym nie uprawiać seksu. To, że uparcie do mnie wracają, można by tłumaczyć olbrzymią władzą, jaką ma nad człowiekiem przyzwyczajenie. Większość z nich uważa, że sto sześćdziesiąt euro, które wydają za

jedną godzinę, to na tyle wysoka suma, że nie będą narażać się na rozczarowanie (lub satysfakcję) w innym miejscu. To rozsądna decyzja, godna aprobaty przeciętnej małżonki, której przedstawia się tę inwestycję pod przykrywką fałszywej transakcji. Co natomiast powiedziałaby o więziach, nieuchronnie tworzących się w wyniku tych relacji, których część trwa już ponad pół roku?

Pieniądze powinny sprawiać, że wszystko to nie ma większego znaczenia – jak tajski masaż – ale Lorenz, z którym spotykam się już od ośmiu miesięcy, zna moje prawdziwe imię, Robert czytał moją książkę, Jochen ma mój numer, a moje pocałunki straciły zawodową obojętność i przypominają teraz te, które wymuszają od żon po powrocie z pracy. Tym, co odróżnia mnie od kochanki, i wierzymy w to wyłącznie ja i oni, jest fakt, że zapłata ogranicza nas w czasie. Płacą, by mieć kochankę, nic tak naprawdę nie zmieniło się od XIX wieku. Płacą, by mieć tylko jedną, zawsze tę samą kochankę; nie zmieniła się potrzeba mężczyzn i kobiet, by szukać treści tam, gdzie powinny być tylko pieniądze.

Tak, a co z tymi, którzy nie mają żon? Czy burdel – jeśli znajdzie się w nim dziewczynę w swoim typie – rozleniwia? Weźmy Theodore'a: po sześciu miesiącach spotkań jego nikczemny wygląd nie budzi we mnie już żadnej reakcji – przeciwnie, za sprawą całej masy innych czynników stał się dla mnie kimś sympatycznym, a nawet więcej – kimś miłym. Theodore ma gdzieś tak – ja wiem? – niecałe trzydzieści pięć lat. Jest biologiem i wykonuje samotniczy zawód, którego nazwa nie kojarzy się z niczym urzekającym. Theodore najbardziej lubi włóczyć się po zakątkach Niemiec, skąd przywodzi szczepki tajemniczych roślin. Poza grupką przyjaciół, których imiona poznałam, nie słyszałam o żadnej kobiecie w jego otoczeniu. Nie ma zatem nic niestosownego w uznawaniu mnie za kogoś, kto w tej samotnej egzystencji najbardziej zbliża się do „jego dziewczyny". The-

odore to błyskotliwy chłopak o ogromnej wiedzy. Czuły, zabawny, cierpliwy; długie wspólne miesiące pokazały mi, że wcale nie jest zły ani egoistyczny w łóżku – należy do tych klientów, którzy za punkt honoru stawiają sobie moją rozkosz. Powiedzmy, że w sumie ten mężczyzna ma wszystko, by uszczęśliwić kobietę. I w związku z tym zastanawiam się chwilami, czy czas, który spędzam z nim, nie jest trochę kradzieżą na niekorzyść jakiejś pani, równie samotnej i wrażliwej jak on, pani, która za pocałunki nie weźmie ani eurocenta. Zastanawiam się, czy nie zamykam go w fałszywym przekonaniu, że nie ma szansy na miłość, jeśli wcześniej za nią nie zapłaci.

Coraz trudniej mi określić swoje miejsce w życiu Theodore'a, podobnie jak kilku innych. Pieniądze, które mają nas chronić, to tylko ostatnia kłamliwa bariera, ustawiona między nami w nadziei, że nie moglibyśmy się pokochać. I gdy opadają złudzenia, ukazuje się prawda – bezlitosna i dotkliwa; zawsze chodzi o mężczyznę i kobietę, których żadne skarby świata nie powstrzymają przed penetracją w każdym tego słowa znaczeniu (a to najbardziej dosłowne nie jest tym, o którym myślimy, co to, to nie). Gdy już odwalimy obowiązek seksu, nadchodzi mój ulubiony moment, w którym oni zaczynają mówić i głaskać mnie po żebrach, komentować moją muzykę, opowiadać o swoim tygodniu. O swoich satysfakcjach. O swoich zmartwieniach. O drobiazgach, określających ich w tej egzystencji, której ja też jestem częścią, choć nie zawsze do końca zdaję sobie z tego sprawę.

Jest grudzień, Lorenz i ja skończyliśmy się pieprzyć, a ja narzekam właśnie na Boże Narodzenie, które zbliża się wielkimi krokami, a wraz z nimi cała moja rodzina i diaboliczne obowiązki związane z narodzinami Jezuska – prezenty, spotkania, Wigilia… Próbuję prze-

konać Lorenza do swojej opinii, ale on cały czas się uśmiecha, leżąc z rękami założonymi za głowę, i wpatruje się w lampkę.

– A ja myślę, że to będą dobre święta – rzuca w końcu.

– Serio? Dlaczego?

– Moja dziewczyna jest w ciąży – odpowiada Lorenz, nagle zaróżowiony. Wygląda jak kobieta, która właśnie wyznała mężowi, że jest brzemienna – a ja, jakbym była tym mężem, czuję, jak moją pierś wypełnia fala euforii.

– Naprawdę?

– Tak. Bliźniaki!

Lorenz dosłownie promienieje. I siedzimy razem jak na różowej chmurce, rozmawiając o dziewczynie Lorenza, dla której jest to pierwsza ciąża – on ma już dwóch dużych synów i narodziny kolejnych dzieci ujmują mu dwadzieścia lat.

Początkowo jestem nieco zdumiona, choć tego nie pokazuję, przypływem żądzy, a właściwie radości, która prowadzi przyszłego ojca nie między uda grubej żony, lecz do pustego, obojętnego – tak bardzo, jak to możliwe – brzucha innej kobiety. I nie ma żadnej różnicy, że ta inna jest akurat dziwką.

W Paryżu, kilkadziesiąt miesięcy wcześniej, utrzymywałam sekretną i dość mało satysfakcjonującą relację z żonatym mężczyzną – mężczyzną, który, gwoli ścisłości, nie występował w żadnej z moich poprzednich książek, w sumie którymś z kolei. Ten czterdziestosześcioletni mężczyzna ożenił się w wieku dwudziestu lat i wtedy też urodził mu się pierwszy syn. Pewnego wieczoru, gdy spotykamy się w przelocie, tak jak najbardziej lubimy, pytam go o dokładny dzień narodzin syna, a on częstuje mnie następującą anegdotą: tamtej nocy jako młody ojciec wychodzi ze szpitala w transie, wstrząśnięty faktem, że trzymał na rękach czerwone, rozkrzyczane zawiniątko – swojego syna. Czy to możliwe? On ma syna? Nic nigdy nie było w sta-

nie wywołać bardziej intensywnego szczęścia i lęku ani bardziej zaraźliwej euforii – nawet ecstasy, które obficie zażywał, nie sprawia, że człowiek nagle zakochuje się we wszystkim: w Paryżu, w świecie, w samym Bogu, który nagle zdaje się naprawdę istnieć. Kupuje wino i wsiada na motocykl, przejeżdża przez całe miasto z błogim uśmiechem na ustach, a dokąd jedzie, proszę państwa?

Do mieszkania dziewczyny, którą posuwa na boku, a której imię pamięta do dziś tylko dlatego, że był z nią tamtego wieczoru, w dniu, kiedy został ojcem. Pokonuje po cztery schodki naraz, z butelkami pod pachą. Bierze dziewczynę spokojnie, po męsku jak cesarz. Myślę: „Tymczasem jego żona z podkrążonymi oczami i z dmuchanym kółkiem próbuje ignorować pulsujące bólem nacięcie krocza". I on chyba też o tym myśli, bo parska cicho:

– Dziwne, co? Zastanawiałem się, czy nie jestem draniem. Często zdarzało mi się zachowywać jak łajdak, nie będę się oszukiwał. Ale trudno wyjaśnić, co czułem tamtego wieczoru. Miałem w sobie tak dużo miłości, tak dużo. Jakbym miał eksplodować. Musiałem się tym z kimś podzielić. Victoire była w szpitalu, zmęczona.

– A koledzy?

Udaję surowszą, niż jestem, bo coś bardzo pierwotnego we mnie rozumie paradoks tego mężczyzny, w każdym razie chce go zrozumieć. Jest w tym coś niewątpliwie ludzkiego, a wręcz – wzruszającego.

– Och, koledzy… spotkałem ich później. Nie tego było mi trzeba w tamtym momencie. Potrzebowałem kobiety. Rozumiesz?

– Kobiety, która nie jest twoja. Z którą nie masz dzieci.

– Tak przypuszczam.

– Nie sądzisz, że to był strach? To znaczy, że rozpaczliwie czepiałeś się tego, co dla ciebie było w tamtej chwili synonimem wolności?

– Oczywiście – odpowiada potulnie. – Umierałem ze strachu. Było coś przerażającego w tej miłości.

Tak, coś jak zatrzaskująca się pułapka, miękka i bardzo wygodna, zachęcająca do drzemki – już może przez resztę życia. Poczucie, że sama miłość jest pułapką. Więc facet idzie pieprzyć inną, bo ten łyk powietrza nie prowadzi do zawrotów głowy, nie wyrzuca go kilka kilometrów w górę nad ogół śmiertelników. Czy to jest cena, którą trzeba zapłacić, by mieć przy sobie dobrego, zaangażowanego ojca, kochającego żonę i dzieci? Lepiej to zignorować czy zrozumieć, że szalona miłość oraz lęk, że się nie stanie na wysokości zadania, może uczynić młodego ojca niewiernym?

Co mówi swojej kochance? Co można powiedzieć kochance, do jakiego stopnia można przyznać się do strachu, do obawy, że popełniło się błąd? Wzwód, który przebija się przez ten strach, może być wystarczającym wyznaniem.

Widzę, że Lorenz jest nieco zażenowany swoją obecnością tutaj, ze mną, zamiast przy łóżku swojej partnerki, która ze względu na trudną ciążę musi leżeć przez sześć miesięcy. W tym momencie nie ma mowy o seksie, a jeśli już, to bardzo delikatnym, ostrożnym. Ale wyobrażam sobie, że nawet przy zachowaniu wszelkich środków ostrożności, mając świadomość, że najmniejszy skurcz może zagrozić płodom, Lorenz zaczyna nagle odnosić wrażenie, że jego kutas jest zbyt gruby albo zbyt długi, że drży, próbując wejść głębiej.

(Pisząc te słowa kilka tysięcy kilometrów od Domu i w odmiennym stanie, modlę się: Boże, daj mi lekką ciążę. Daj mi ciążę szczęśliwą, zmysłową, ciążę, z którą można i trzeba obchodzić się bez ceregieli; to przerażające, gdy kobieta musi nagle stać się ciałem, którego jedynym zadaniem jest donoszenie dziecka, skupionym wyłącznie na tej roli, lecz widzącym wszystkie cienie wokół – cienie

kobiet o pustych brzuchach – i znoszącym cichy lęk oraz wiedzę, że bycie Kobietą, tą Jedyną, skazuje nas na znoszenie zdrad).

Wracając do mojego punktu wyjścia, skoro tak bardzo lubię zbaczać z tematu, wydaje mi się, że przy odrobinie pragmatyzmu można by powiedzieć, że dziwki to Uber-kochanki dla mieszczańskich par. Dlaczego nie? Sto sześćdziesiąt euro tygodniowo to niewielka suma w porównaniu z kosztami niezbyt podłego pokoju hotelowego, szampana, kolacji, prezentów – krótko mówiąc, wszystkich tych pierdół, które mają uczynić mniej dotkliwym i mniej smutnym fakt, że mężczyzna nigdy nie odchodzi od żony. Ta inwestycja wydaje się lepsza pod wszelkimi względami. Potrzebowałam czasu, by zrozumieć, że w oczach wielu mężczyzn moja pozycja dziwki stanowi ostateczny argument, który przedstawią legalnej małżonce, jeśli pewnego dnia, Bóg wie w jaki sposób, dadzą się przyszpilić.

Oczywiście są też tacy, którzy przychodzą na szybkie numerki. Ich również trudno mi zrozumieć. Mam tu głównie na myśli tego młodego, dynamicznego urzędnika, który czasem posuwa się nawet do tego, że dzwoni, by uprzedzić o swoim przybyciu, tak bym czekała gotowa, umyta, odświeżona. Za pierwszym razem trochę mnie to zdenerwowało. Uśmiechnął się do mnie, wyjaśnił, że gdyby można było zostać krócej niż pół godziny, toby został – zresztą często właśnie tak robi. Wskakuje pod prysznic, a po powrocie do pokoju posuwa mnie z wywróconymi oczami, tak jakby świat miał się za chwilę skończyć. Krótki sztorm, z którego budzi się natychmiast; i gdy ja łapię oddech w łóżku, on już wkłada spodnie i zapina pasek. Na twarzy ma uśmiech faceta, któremu wyświadczono nie lada przysługę. Nie bierze prysznica, woli umyć się w domu, w spokoju. Czasem udaje mi się coś z niego wyciągnąć. Ma dziewczynę, którą kocha, ale którą się znudził, jak wszystkim. Wizyty w burdelu to zły nawyk, który chciałby wyplenić i który kosztuje go niemało pieniędzy. Ale to nie

z powodu pieniędzy wpada tu jak po ogień, nikt nie da się na to nabrać. Jest jak heroinista szlachetnej krwi, który pechowym zrządzeniem losu wpadł w to bagno, ale nigdy nie poczuł żadnej bliskości z towarzyszami niedoli; raz w tygodniu musi wmieszać się w to pospólstwo, by dostać wymaganą dawkę – ale poświęca temu tylko pospieszną wizytę, odbywaną na chybcika, nienawidzi myśli, że na jego twarzy może malować się wyraz rozkoszy, i wmawia sobie, że tym razem przyszedł tu po raz ostatni; ale nie ma czegoś takiego jak „ostatni raz", o czym świadczy choćby to, że zawsze mówimy sobie „do zobaczenia". Gdy się spotykamy, rozmawiamy trochę o jego dziewczynie; on mówi mi, co jest nie tak albo co się zepsuło. Nuda zabija tak wiele rzeczy, którymi mieliśmy się delektować już zawsze. Stwierdzam, że owszem, istnieje archetyp dziwki, ale stałe partnerki i żony również zostały wyjęte z takich samych form; a epitafium na grobach, do których mężczyźni składają je na pół godziny kilka razy w miesiącu, jest pełne wzniosłych słów: „Byłam fantazją, stałam się tą Jedyną i to mnie uśmierciło".

Przedtem – mówili – lubiła seks. Przedtem pieprzyliśmy się całymi nocami. Przedtem znałem każdy jej otwór. Przedtem mi obciągała. Przedtem. Przed czym? Nie wszyscy są jak ten młody Turek, ojciec trzech dziewczynek i mąż dewotki, której piękne usta, zdolne do tylu cudów w okresie narzeczeństwa, dzień po ślubie wypowiedziały to zdanie: „Od dziś koniec z obciąganiem". Bardzo rzadko kobiety z własnej woli zamykają się w trumnie małżeństwa i wciągają do niej swoich mężów.

Prawdziwym problemem jest czas. Czy można walczyć z jego upływem? Może przed tym najwyższym wrogiem, niewidzialnym i niezwyciężonym, mężczyźni chronią się w burdelu, wybierając mniejsze zło, łatwiejsze do wybaczenia niż romans na boku, być może też bardziej godny pogardy.

Burdel jest bezlitosną próbą społecznej pokory, sprowadza mężczyznę i kobietę do najprostszej prawdy – ciała, które smakuje i wącha, i drży bez cienia myśli, bez jakiegokolwiek rozumowego podejścia, to plus i minus, które głupio się przyciągają, bo w tym leży ostateczny cel, to jest meta tego szalonego wyścigu. I w tej głupocie, w tym płaskim encefalogramie zwierzęcego pragnienia, nikt nie jest świadomy myślowej walki, jaką dwie ludzkie istoty prowadzą z czasem. Czas. Bo nie ma nic innego. Czas, a na końcu śmierć – starsza siostra nudy, którą nauczono uczciwości.

To daje do myślenia. Każdy, kto kiedyś żył w parze, wie albo przypuszcza, że oddanie to miecz obosieczny. Zanurzamy się w nim z najlepszymi intencjami, jak w ciepłą kąpiel. Czujemy, jak kurczy się potrzeba stwarzania pozorów. To czas, w którym powoli, w kolebce wzajemnej miłości, znika uprzejmość, na którą silili̇śmy się, by nie odstraszyć drugiej osoby. Stopniowo przestajemy silić się na cokolwiek; co, jak sądzę, jest czymś dobrym.

A może nie? Kto nigdy nie doświadczył takiej sytuacji: jedno siedzi z twixem w ustach i w rozciągniętym dresie na dupie, drugie – w tym samym stroju wyżywa się na Bayernie podczas gry w FIFA, i oboje czują, że ich libido jest w niejasny sposób zagrożone? Ja na pewno nie. Tu niekoniecznie chodzi o to, że cierpi na tym jakość seksu – ale że seks jest z góry wygraną rozgrywką. Brakuje możliwości porażki.

Bo możliwość niepowodzenia ma fenomenalną siłę przyciągania. Pamiętam taki obrazek: Margaret odprowadza klienta do drzwi i mężczyzna pyta ją szeptem, czy podobał się jej wspólnie spędzony czas. Stoję w kuchni przy uchylonych drzwiach, jem przeznaczone dla klientów czekoladki i aż drżę, słysząc, jak zuchwałe i naiwne jest to pytanie; wyobrażam sobie, jak wiele będzie kosztować Margaret

odpowiedź: „Było bardzo dobrze, skarbie”. Ale zamiast tego Margaret milczy zakłopotana, a potem wzdycha:

– Mogę być całkiem szczera?

– Ależ… oczywiście – odpowiada klient, już pewnie żałując, że się odezwał, choć powinien zadowolić się pożegnalnym całusem i wyjść, napompowany złudzeniami.

– Gdyby była to na przykład randka z Tindera, to raczej nie byłabym pewna, że zadzwonię jeszcze raz.

Jest bardzo prawdopodobne, że choć dzieli nas kuchenna ściana, jej klient i ja stoimy w tej samej pełnej osłupienia pozie. Przestaję przeżuwać.

– Ale… co poszło nie tak?

– Skarbie, nie zrozum mnie źle. Nie powiedziałam, że masz nie wracać. Jeśli cię to kręci, wracaj, kiedy zechcesz.

– Tak bardzo miałem na ciebie ochotę, skończyłem za szybko?

– To też. Ale nic się nie stało. Zawsze możesz spróbować jeszcze raz. Byłeś u mnie pierwszy raz, trudno, żebyś od razu wszystko robił dobrze.

– Ale wyglądałaś na zadowoloną.

– Tak, wyglądałam. Ale ponieważ wygląd to nie wszystko, wolę powiedzieć ci prawdę.

– Więc co mam robić? Powiedz.

– Nie, nic ci nie powiem. Musisz się mnie nauczyć. Jak każdej innej kobiety. A teraz, skarbie, muszę się pożegnać, mam sporo roboty.

Facet wrócił po kilku dniach. Kobieta czy dziwka – dla mężczyzny stającego naprzeciw nich to takie same tajemnicze stworzenia, na których twarzy chciałby ujrzeć uśmiech.

Bold As Love (*instrumental*), Jimi Hendrix

Niemal każdego dnia, w każdej godzinie pracy nad tą książką uświadamiam sobie, że prawdopodobnie opowiadam tę historię od złej strony. Może nie od złej – powiedzmy, że nie od dobrej. Nie tej najbardziej interesującej. A to skłania mnie do refleksji, czy ostatecznie nie urodziłam się po złej stronie. Powinnam być mężczyzną, do cholery! W tym konkretnym przypadku powinnam być mężczyzną.

Byłabym królem wśród klientów. Gdybym mogła przez jeden dzień (bardzo długi dzień) mieć kobiecy mózg w ciele młodego mężczyzny – ale nie za młodego i niezbyt przystojnego. Przede wszystkim niezbyt przystojnego, to nie przystojniacy najbardziej poruszają serca dziwek, to nie ich obdarzają one swym cennym oddaniem.

Na schodach wiodących do Domu czułbym, jak mocno bije mi serce, a może nawet, jak już mi staje; prowadziłby mnie zapach – jak czerwony dywan – mięsisty i piżmowy zapach świeżo wypranych spódniczek na rozgrzanych biodrach, dziecięce, matczyne i występne wyziewy zadbanych kobiet, palących po kryjomu w pralni. Nie wiedziałbym, gdybym był klientem, skąd bierze się ten zapach; tak jak teraz, będąc dziwką, nie wiem, skąd się wydostaje, przez jaką mikroskopijną szparę w naszych pancernych drzwiach. I właśnie do tego sekretu lgnąłbym jak mucha, wciskałbym dzwonek drżącym palcem; i już sam dźwięk tego dzwonka, przerywający na moment

śmiechy i rozmowy, wywołałby stłumiony harmider, jak w szkole, gdy uczennice uciszają się wzajemnie przed wejściem nauczyciela.

Wchodząc, poczułbym je wszystkie, chowałyby się za kotarą, by sprawdzić, jak wygląda nowy przybysz. Kotara poruszałaby się lekko, jedna z dziewczyn, mniej dyskretna od reszty, błysnęłaby długą nogą obleczoną w czerń, kilkoma kosmykami włosów. Nie umawiałbym się wcześniej. Przyszedłbym w momencie, w którym nie mają co robić.

– Zawołam panie – powiedziałaby Inge wesołym głosem, wkładając lekką emfazę w słowo „panie", określające kobiety, których często nie nazywa się nawet „dziewczynami".

Usiadłbym naprzeciw dziurki od klucza, żeby dziewczyny mogły mnie zobaczyć i zdecydować, czy chcą wziąć udział w prezentacji; udawałbym, że nie widzę oczu – niebieskich, zielonych, czarnych, czujek, które wymieniają się, by ocenić klienta – i że nie słucham ich szeptanych raportów. Ach, jakież szczęście czułbym, siedząc tam ze skurczonym podbrzuszem, w tym ochrowym świetle, przy głupiej, obleśnej muzyczce.

A potem drzwi otworzyłyby się powoli; kto wyszedłby pierwszy? Birgit o stanowczym głosie i długich nogach, w szpilkach, które wkłada i zdejmuje jak kapcie? Thaïs z tym swoim przewrotnym, komercyjnym uśmiechem i jędrnym, wydatnym zadkiem młodej klaczki oraz spojrzeniem, które mówi, że nie jest tu po to, by się pieścić? Manuela o dobrych oczach, wielkich piersiach i niezbyt ładnej, lecz wesołej twarzy, zdolna wybaczyć najpodlejsze zachcianki? Odile o torsie murillowskiej dziewicy i bardzo szerokich biodrach, może nawet zbyt szerokich, ładniutka od przodu i przerażająca od tyłu, gdy wychodzi z pokoju, obnosząc swój monumentalny zadek, aż drżący od tłuszczu? Margaret i jej metr osiemdziesiąt czarno-złocistego ciała pachnącego jaśminem? Genova! Genova, królowa wśród

dziwek, nazywająca każdego klienta innym czułym przydomkiem, Genova o mięsistych, niepozostawiających wątpliwości ustach i dołeczkach na udach, w które chciałoby się wgryźć? Eddie z tym swoim wyglądem porządnej kobiety, która zabłądziła w burdelu, wyciągająca elegancko palce jak do pocałunku? Wszystkie, przyślijcie mi wszystkie! Z uwielbieniem ściskałbym im dłonie. Rozbierałbym je w myślach z największym szacunkiem, zbyt delikatnie, by mogły to wyczuć.

Wybrałbym którąś z tych niezbyt ładnych, niezbyt pewnych siebie. Taką z wystającym brzuchem albo z oczkami w pończochach. Taką, której przeszkodziłbym w przerwie i która wniosłaby do pokoju woń papierosów i lekkiego zniecierpliwienia. Wziąłbym taką nie do końca chętną, zgnuśniałą, taką, która westchnęłaby, słysząc słowa *Hausdame*: „Jest twój".

Sonja powiedziała mi kiedyś, że gdyby była właścicielką Domu, zmieniłaby wystrój pokoi, dostosowując je do męskich gustów: skórzane fotele, drogie ciemne drewno, stal. Zapachowe akordy bobu tonka, grafitowe odcienie, żadnych kwiatów ani falbanek, ani różowej bielizny – mężczyznom zdawałoby się, że są u siebie. Ale to właśnie owo poczucie wtargnięcia do kobiecego świata stanowi o geniuszu i sukcesie Domu; i ja jako klient nie chciałbym niczego zmieniać, nie przesunąłbym ani jednej plastikowej piwonii, ani jednej śliwkowej organdynowej zasłony, bo właśnie tak mieszkają dziewczyny, bo ich oczy rozpoznają każdy frędzel, każdy mebel, bo odnajdują się w każdym naiwnym kwiatku na każdej narzucie. Bo tutaj są u siebie, w tej skromnej i bezpretensjonalnej iluzji, i wygląda to tak, jakby łaskawie wpuszczały klientów do swojego pokoju. Obdarzyłbym każdy bibelot spojrzeniem pełnym czułości; doceniłbym każdą ozdóbkę, każdy kobiecy wysiłek, by upiększyć i dodać poezji pokojom, służącym wyłącznie do uprawiania seksu. Wielbiłbym tandetne fontan-

ny, sztuczne kominki z przyciskiem do rozpalania sztucznych płomieni, wydających sztuczne trzaski. I sofy, na których siada się tylko po to, by zawiązać buty, lecz wprawne oko dostrzeże na wytartym welurze widmowe uśmiechy cipek, odbite dawno temu, w chwili zapomnienia.

Umyłbym się w domu, lecz grzecznie poszedłbym pod prysznic, choćby po to, by odkręcić kran i dać dziewczynie czas na przygotowania. Siedząc na brzegu wanny, wzruszony jak przed pierwszym w życiu seksem, wyobrażałbym sobie, jak rozkłada na łóżku ręczniki, rozrzuca po nim kondomy – średnie i duże, bo nigdy nie wiadomo, co przyniesie los. Kazałbym jej czekać trochę dłużej, niż to konieczne, żeby zastanawiała się, co robię, i była zmuszona o mnie pomyśleć – właśnie o mnie. Żeby zastanawiała się, do jakiego należę typu: czy jestem z tych, którym nie staje, czy z tych, którzy długo czekają na wytrysk, albo z tych, którzy będą egzekwować swoje prawo do dwóch ejakulacji, zapisanych w umowie.

Wchodząc do pokoju, widziałbym, jak skrywa te pytania za maską zawodowej uprzejmości. Powiedziałbym jej: „Nie chcę cię pieprzyć, nie chcę nawet, żebyś mnie dotykała, nie chcę, żebyś na mnie patrzyła". Nie chcę, żebyś udawała, że mnie lubisz, ani żebyś cokolwiek mówiła. Chcę, żebyś zamknęła oczy i zdjęła majtki, tylko majtki, jeśli je masz.

Nie miałaby. Byłaby ubrana tylko w body, rozpięłaby je w kroku z gardłowym śmiechem dziewczyny, która zgadza się na wszystkie kłamstwa, nawet to, że nie przyszedłem tu, by ją przelecieć. Leżałaby na łóżku w plamie żółtego słonecznego światła wpadającego przez firanki, a poduszka lekko unosiłaby jej pośladki. Nieważne, jak wyglądałaby jej cipka, bo byłaby po prostu pierwszą w mojej kolekcji; ale byłbym wzruszony tym, jak mi ją pokazuje, jak rozchyla nogi. Zrobiłaby to bez nadmiernego zwlekania, właśnie tak bym chciał.

Pokazałaby mi ją jak kobieta, która zapomina, że diabeł tkwi w szczegółach i że pomimo zapłaty jest to jednak prezent.

Nie ma znaczenia, jak wyglądałaby jej cipka, ale lubię wyobrażać ją sobie jako mięsistą, pełną, porośniętą gęstym włosem. Kobiecą cipkę w ramie z ud, miękkich jak okładka Biblii. Cipkę, którą trochę wstydziłaby się pokazać w wieku szesnastu lat, zanim nabrała zawodowej dumy i obojętności. Z długimi wargami barwy świeżego mięsa, jak głębokie nacięcie wśród twardej szczeciny. Gdy rozłożyłaby nogi, wargi zaczęłyby żyć swoim życiem, niezależnie od siebie. Jedna byłaby zwinięta do środka, druga odchylona na bok, ukazująca czerwone i różowe głębiny; jej obojętność wobec tego pięknego chaosu, jej skromność doprowadziłyby mnie do łez. To nieme rozdarcie pośrodku, omiatane spojrzeniami setek mężczyzn, pochłonęłoby mnie jak dzieło mistrza, namalowane wyłącznie dla moich oczu. Podobałaby mi się nawet jej udawana wilgotność, kropelka lubrykantu zaaplikowana, gdy byłem pod prysznicem, na wypadek gdybym chciał wziąć ją z marszu. Pocałowałbym ją tam, w to kłamstwo, które inni mężczyźni łykają bez mrugnięcia okiem. Zadrżałaby lekko, a ja nie mógłbym stwierdzić, czy to prawdziwy dreszcz, czy początek wyuczonego recitalu. I w powątpiewaniu powiedziałbym jej: „Nie chcę, żebyś udawała". Nie chcę, żebyś doszła; oczywiście ucieszyłbym się, ale nie chcę wymagać od ciebie niemożliwego. Dojdź, jeśli chcesz. Albo nie. Przyszedłem tu, żeby na ciebie popatrzeć. Jesteś piękna.

Patrzyłbym na nią, myśląc, ilu mężczyzn brało ją i jej to nie ruszało, a ilu ją poruszyło. Czego trzeba, żeby ją poruszyć, jakiej dawki obojętności i egoizmu, jakich proporcji miłości, by oddała się mężczyźnie, który jej nie płaci. Muskałbym lekko cienką skórę wokół uśpionej łechtaczki. Oglądałbym każdą fałdkę, każdą niebieską żyłkę, zastanawiając się, która naprawdę prowadzi do jej głowy. Dmuchałbym lekko we włoski wokół warg, by patrzeć, jak jej cipka kur-

czy się delikatnie, niczym skropiona cytryną ostryga. Całowałbym ją w sam środek tej różowej plątaniny ciała i włosów. Wykorzystałbym w ten sposób dany mi czas, by ją obejrzeć pod każdym kątem, obserwując z niedowierzaniem, jak zmienia się rytm jej oddechu. Pieściłbym powoli wszystkie perłowe rozstępy, każdy szczegół tego ciała-ołtarza, na który codziennie spuszcza się tylu mężczyzn, składając u stóp tej bogini litości i obojętności całą swoją frustrację, swoją radość i kaprysy. Sam nie miałbym wytrysku. Przyciskałbym, w dowód uznania, nabrzmiały członek do jej grubego tyłka, słuchając, jak w pokoju obok inna dziewczyna prezentuje swoje wokalizy w rytmie synchronicznego klaskania dwóch ciał. Poszedłbym grzecznie masturbować się do łazienki, mając odkręcony kran za jedyne alibi, nie przeszkadzając ani swojej, ani tej drugiej dziewczynie, która pożegnawszy klienta, będzie sprzątała pokój i podśpiewywała. Prawdopodobnie uznałaby mnie za impotenta. Za takiego, co się nie pieprzy. Za takiego, co przychodzi tylko po to, by z namaszczeniem całować cipy: jasne, ciemne, wygolone i kudłate, takiego, co wypełnia swój zielnik tysiącami łechtaczek o skomplikowanej budowie katedr, zapachami cipek i dup; i nikt by nawet nie podejrzewał, że robię sobie dobrze w toalecie, w gorączkowym tańcu nadgarstka.

Znam je, więc wiem, że by się ze mnie śmiały. Ale w końcu poznałyby moje imię. Mówiłyby o mnie jak o łatwym, choć dziwnym kliencie; i nawet te najbardziej wybredne w końcu zasiliłyby prezentacyjny szereg, widząc zza kotary, że nadchodzę. Z czasem znałbym je wszystkie na pamięć, wiedziałbym, jakich używają perfum, czym się malują, jaką lubią bieliznę. Poznawałbym po odległym i kuszącym oddechu dziewczyn, których nie można całować, co ostatnio jadły, która nieostrożnie zamówiła kebab, która sączyła kawę, która pobiegła na prezentację, zapominając o okruchu ciasta w kąciku ust. Nie rozmawiałbym z nimi dużo, nie należałbym do tych klientów, którzy

zastępują stosunek niekończącymi się perorami – a mimo to byłyby mi bliskie. Odgadywałbym ich nastroje po fałdkach ich cipek, po ich zmieniających się kolorach, ich sutki mówiłyby mi, w których momentach cyklu je odwiedzam, dostrzegałbym miedzianą kropelkę krwi za mydłem, w lubrykancie i w brudnej wodzie pozostawionej przez poprzednich klientów. Wiedziałbym po kształcie ich brwi, czy boli je brzuch, i kładłbym ciepłe ręce w miejscu boleśnie pulsującej macicy. Byłbym cichy i bezczelnie pokorny. Do tego stopnia, że z czasem znalazłaby się przynajmniej jedna i podjęłaby wyzwanie, by podporządkować sobie tego klienta, o którym nie wiadomo nawet, czy ma sprawnego kutasa. Znalazłaby się przynajmniej jedna bezwstydnica, którą irytowałoby moje milczenie, przynajmniej jedna odważna i obdarzona żarłocznym ego dziewczyna, która rozpięłaby mi pasek i też zmusiłaby mnie, żebym zamknął oczy, i obciągnęłaby mi wyzywająco, stojąc nade mną na czworaka, trzymając usłużnie szparkę w odległości kilku centymetrów od mojej zachwyconej twarzy. Na pewno w końcu znalazłaby się taka, którą moje spojrzenie powoli by zdobyło, uspokoiło i która odważyłaby się nieco wyluzować. Taka, której obsceniczne myśli na próżno próbowałbym odgadnąć, patrząc, jak jej łechtaczka nabrzmiewa rozkoszą, której nie pozwoliłbym dojść w ostatnim momencie i która, schwytana w sidła, zapomniałaby, że jej płacę, i nadal by jęczała; i która już po orgazmie ocierałaby się o mnie, być może trochę zażenowana. Znalazłaby się taka, która miałaby ochotę na twardego chuja w sobie, ale nie śmiałaby tego powiedzieć. Taka, którą wziąłbym nagle, bez słowa, która zassałaby mnie jak usta, a ja szybko bym skończył, by pozostawić ją niezaspokojoną. Taka, która zaczęłaby w końcu mówić, że jak na klienta jestem całkiem seksowny.

Widziałbym słodkie zawstydzenie debiutantek, ale też potulność i obojętność tych starszych, znających wszystkie zakamarki swojego

ciała i oddających się w całości, bez strachu, bez cienia zakłopotania, jak juczne zwierzęta, których umaszczenie nie ma większego znaczenia. Znałbym nieprzewidziane uroki, defekty, nieoczekiwane defekty, takie, które wywołują westchnienie: „Jaka szkoda", na myśl o tym, co było dawniej. Źle powiększone piersi z dużymi bliznami, pamiątka po czasach mniej sprawnych chirurgów – wielu nie wybrałoby tej dziewczyny, gdyby o tym wiedzieli, a dla mnie te szczegóły, odkrywane z największą dezynwolturą, byłyby jak prezent. Blada pamiątka po zamierzchłym nacięciu krocza, którą całowałbym delikatnie – w hołdzie tej, która rodzi dzieci i jeszcze znajduje w sobie czas, dobroć i konieczność, by wynajmować temu, kto da więcej, swoją dzielną, pracowitą cipę. Tropiłbym pod czarnymi pończochami źle ogolone nogi, pod pachami szukałbym wilgotnego zapachu potu. Wielbiłbym nieprawdopodobne i ordynarne znaleziska, kosmyk włosów zlepiony spermą, białe rozbryzgi entuzjazmu na zdejmowanych i wąchanych dziesięć razy majtkach, złuszczony lakier na paznokciach u stóp, obgryzione paznokcie u rąk – przejawy umownej higieny dziewczyn, ochlapujących się nad bidetem między klientami, a wieczorem unoszących ze sobą ślady po każdym z nich.

Ze słów wypowiadanych głosami niskimi, wesołymi, ochrypłymi, zmęczonymi, szorstkimi albo ciepłymi utkałbym opowieść; wymyśliłbym każdej z nich dzieciństwo, cielęcy wiek, rodzinę i projekty, całe życie, którego nie jestem częścią, a jeśli już, to niewielką. I włóczyłbym się po okolicy tak często, że w końcu spotykałbym niektóre z nich w cywilu, pędzące lub drepczące do pracy, i pozdrawiałbym je ledwo widocznym uśmiechem przyjaciela, który za nic w świecie nie zdradziłby ich sekretu. Widywałbym je w dżinsach, w trampkach, w luźnych swetrach na ramionach, roześmiane i rozmawiające przez telefon, podobne do wszystkich kobiet, do żywych plam koloru na szarych ulicach. W końcu widziałbym je już wszędzie: w tej pani sto-

jącej przede mną w aptece, w Späti, w dziewczynie czytającej kryminał obok mnie w U-Bahnie, w każdej rowerzystce pędzącej jak wiatr wśród tylu innych; zdawałoby mi się, że wszędzie widzę kurwy. Tę niespełna dwudziestopięcioletnią, zbyt swobodnie kołyszącą biodrami, tę drugą, wydekoltowaną, na którą z góry ślepią się mężczyźni – zdradza ją jej piękna obojętność, jakby była pracownicą cukierni o słodko pachnących włosach. Albo tę wytrzymującą spojrzenia mijanych na ulicy mężczyzn, bo jest bezczelna albo przyzwyczajona – od dawna już nie budzi to w niej strachu.

Byłbym milczącym biografem tych marzących kapłanek, które rozumieją wszystko bez słów i nie kłamią nigdy, chyba że chcą być miłe. Czytałbym im wiersze w językach, które by rozumiały lub nie, a które budziłyby ich uśmiech; opowiadałbym im książki, których są bohaterkami, z czasów, gdy kobiety dzielono wyłącznie na małżonki i na kurwy. I mógłbym im powiedzieć, bo byłbym mężczyzną, że też piszę o nich książkę, taką, w której będą piękne, heroiczne, w której to, co brudne, stanie się szlachetne i w której nie będzie już brudu, poza takim, od którego nam staje. Opisałbym im w swojej nieczystej niemczyźnie Francuza na wygnaniu pełną wdzięku obsceniczność ich póz, kiedy kucają, jakby sikały, gdy rozchylają uda tak, by żaden szczegół ich szparek nie umknął wzrokowi klienta, opowiedziałbym o sztuczkach, które stosują, by jak najszybciej doprowadzić do wytrysku, a które budzą chęć, by powstrzymywać się do końca świata. Tłumaczyłbym dla nich fragmenty Millera, Calaferte'a i Márqueza, rozpaczając, że nie dam rady spłodzić niczego lepszego. Siłą rzeczy zakochałbym się, jak facet przygnieciony ciężarem własnego liryzmu. A im dłużej byłbym z nimi, w nich, tym szybciej zapominałbym pewnie, że są na świecie, na każdej ulicy, dziewczyny, którym nie trzeba płacić, a w każdym razie nie w ten sposób, nie tak otwarcie, którym płaci się inaczej, przy użyciu różnych taktyk, a ja byłbym

zbyt leniwy, żeby je stosować. Należałbym być może do tych, którzy żenią się z kurwą, i czułbym dumę, że wśród tylu kutasów liczy się tylko mój kutas, że moje palce, nie robiąc nic nadzwyczajnego, sprawiają, że przyspiesza jej oddech, a policzki różowieją, że jestem jedynym, dla którego puszczają wszelkie tamy.

Piszę te słowa w kawiarnianym ogródku na Boxhagener Strasse, w słoneczne, nieco chłodne popołudnie. Obok mnie przepływa barwny tłum z eleganckich i brudnawych zakątków wschodniego Berlina, faceci z brodami, dobrze uczesani, laski pofarbowane na różowo, niebiesko, zielono, rodzice ciągnący za ręce rozchełstane bachory, śmierdzące piwem punki, wytatuowani starcy i staruszki, mężczyźni i kobiety, dziwki i klienci, wszyscy tak pomieszani, że nie można stwierdzić, kto jest kim i kto co robi. Zaczęłam ten fragment wczoraj, po tygodniu czarnej rozpaczy, z którą walczyłam, czytając żarłocznie Zolę. Byłam po pracy, właśnie wzięłam prysznic w łazience klientów. I nagle zobaczyłam swoje odbicie w lustrze na korytarzu: z ręcznikiem owiniętym wokół bioder, tym, który wieszam na swoim haczyku, tym z napisem „Justine". Inge zgasiła światło na parterze, wyłączyła muzykę, słyszałam, jak rozmawia sama ze sobą, wymieniając rzeczy już zrobione i te do zrobienia, wszystkie czynności, którym oddaje się z takim zadowoleniem, nie pozwalając sobie na choćby najmniejszą oznakę irytacji.

Nie mogłam się nadziwić świadomości, że czuję się tutaj, w tym burdelu, jak w domu i że ten dom może być tak bezpieczny. I zastanawiałam się nieco podejrzliwie, kiedy się zmieniłam, kiedy te pokoje, ten zapach, te dziewczyny przestały mnie onieśmielać i stały się dla mnie tą dziwną rodziną. Kiedy wzięłam pierwszy prysznic w łazience mężczyzn, kiedy po raz pierwszy bezwiednie zaczęłam śpiewać, ścieląc łóżko, kiedy po raz pierwszy nie stawiłam się na prezen-

tacji – kiedy poczułam się tu na tyle swobodnie – właśnie jak w domu – by pozwolić sobie na wyłamywanie się z reguł i kaprysy.

We wspólnej sali próbowałam niedbale liczyć szafki na ścianach i czytać wypisane na nich imiona; na każdej były inne naklejki i inne wzorki, każda stanowiła pojedynczy głos w tym chórze: „*Kein Sex mit Nazis*". „*Komm zu Mir*", „*Für das Recht auf Faulheit*", goły Święty Mikołaj ze skrzyżowanymi nogami obok imienia Thaïs. Kartki, które przysyłały z wakacji. I w tym nagromadzeniu było także moje imię, Justine z serduszkiem zamiast litery „i" – kiedy czułam się tu tak szczęśliwa, tak dumna, żeby narysować to głupie i dziecinne serduszko? Po otwarciu mojej szafki widać dwa rysunki od sióstr – by choć trochę wymieszać moją rodzinę z tą drugą.

Całkiem goła, pachnąca mydłem dla klientów, rozsiewająca ten zapach, który rozpoznałabym wszędzie, spacerowałam w milczeniu po tej pustej muszli, którą jest zamknięty burdel, po tym osieroconym lunaparku.

Zastanawiałam się nad znaczeniem słowa „rodzina". Czy rzeczywiście możemy je odnieść do tego, co nas wszystkie łączy – czy sam fakt, że jesteśmy kobietami, czyni nas rodziną. Czy tym słowem można po prostu określić tę wilgotną i ciepłą część ludzkości, która sprawia, że mężczyźni wstają rano i żyją. Rodzina to dla mnie miejsce, chwila, otoczenie, w którym śmiejemy się, rozmawiamy i zwierzamy się sobie częściej niż gdziekolwiek indziej – albo w którym przeżywamy takie same problemy, takie same zwycięstwa, takie same porażki, rodzina to miejsce, w którym rodzaj ludzki wydaje się piękniejszy, szlachetniejszy i bardziej wrażliwy, które chroni wspólnotę przed rynsztokiem. Jest to prawdopodobnie dość zwodniczy argument, bo niezależnie od kontekstu, w którym rodzi się pojęcie rodziny lub braterstwa – czy to w świetle, czy w cieniu ogólnej pogardy – rozkwita ono wówczas, gdy zbierają się ludzie dzielący ten sam los.

Chwile miłości, zrozumienia i harmonii zdarzają się we wszystkich możliwych konglomeratach mafiosów, kryminalistów, nędzników, w każdej grupie społecznej, której moralność pozostawia więcej lub mniej do życzenia. I uważam za rzecz naturalną, że trzydzieści nagich kobiet, żyjących obok siebie, połączonych prostym faktem, że są kobietami i że się im za to płaci, może, jeśli nie są sobie wrogie, traktować się wzajemnie jak siostry. Rodziny nie krępuje żadne pojęcie moralności, chyba że jej własnej; prosperuje, dążąc do swoich celów, obojętna na to, co o niej sądzi świat zewnętrzny.

Nie powiem nic złego o szlachetnych przedsięwzięciach, podejmowanych otwarcie na rzecz dobra społeczeństwa i jego wywyższenia – jeżeli poszukiwania wielkości zbliżają i łączą zaangażowane w nie rodziny. Ale między oczywistym dobrem wspólnym a bezspornym złem rozciąga się jeszcze jasna strefa cienia, o której chciałabym opowiedzieć. Chcę mówić o tym gnieździe kobiet i dziewczyn, matek i żon, pocieszających się świadomością, że one również działają – wykorzystując do tego własne ciała i niewyczerpane pokłady cierpliwości – dla dobra jednostek, z których składa się społeczeństwo. Z definicji zapominają o sobie samych, przełamują własne słabości i oddają, w imię kilku radosnych chwil, swoje ciało, bo uznały pewnego dnia, pod ślepym i głuchym niebem, że nie mogą być własnością jednego tylko mężczyzny, do diabła. Chcę mówić o tych kobietach, które delikatnymi palcami składają i rozkładają iluzoryczne pojęcie sacrum, o tych istotach wyższych, które wydają się żyć wyłącznie w murach burdelu. Chcę o nich mówić, bo one istnieją; i kiedy wychodzą z burdelu, pozostawiają na tym pustym statku oszałamiający, duszący zapach tysięcy różnych miłości, czułości poszukiwanej i odnalezionej, zapach spełnienia, które osiąga się tu codziennie i każdego ranka dąży do niego na nowo. I choć nie ma w tym nic szlachetnego, trafiamy tu na dotkliwe prawdy, jakich nie

znajdziemy nigdzie indziej, na świadectwa szczęścia i obietnice rozkoszy – i ktoś powinien o tym powiedzieć.

Podziękowania

Dziękuję swojemu agentowi, Olivierowi Rubinsteinowi, za jego wzorową wierność. To on dzięki swojej lekturze i swojej ocenie uratował mnie i tę książkę. Mam nadzieję, że jeszcze długo będę mogła cieszyć się Twoją przyjaźnią i Twoim profesjonalizmem.

Dziękuję również wspaniałej Élisabeth Samamie za jej uważne oczy i nieocenione wsparcie.

Spis treści

Vous qui passez sans me voir, Jean Sablon
Season of the Witch, Donovan
Breezeblocks, Alt-J
Monolith, T. Rex
Spicks and Specks, The Bee Gees
Little Bird, The White Stripes
(Sometimes You Gotta Be) Gentle, Heavy Trash
I'm So Green, Can
If There Is Something, Roxy Music
Beware My Love, The Wings
Who Loves the Sun, The Velvet Underground
Bluebird Is Dead, Electric Light Orchestra
Mambo Sun, T. Rex
Czerwiec 2014 roku
The Hell of It, Paul Williams
Come on, The Rolling Stones
Is She Weird, The Pixies
Au cœur de la nuit, Téléphone
Twist and Shout, The Mamas and the Papas
Dead Leaves and the Dirty Ground, The White Stripes
Love Me or Leave Me, Nina Simone
Summertime, Janis Joplin
Ballrooms of Mars, T. Rex
Memory of a Free Festival, David Bowie

Wir müssen hier raus, Ton Steine Scherben
Venus in Furs, The Velvet Underground
Jack on Fire, The Gun Club
Words of Love, Buddy Holly
Tainted Love, Gloria Jones
Strange Magic, Electric Light Orchestra
Always See Your Face, Love
Bold As Love (*instrumental*), Jimi Hendrix
Podziękowania